



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Źnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Pisma

Henryk
Sienkiewicz



RODZINA POŁANIECKICH

III

P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXVI



RODZINA POŁANIECKICH

TOM III



Henryk Sienkiewicz

RODZINA POŁANIECKICH

POWIEŚĆ

WYDANIE DRUGIE

TOM III

NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1897

PG 7158

S 4

1883

v. 26

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Марта 1896.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

I.

Po tygodniu, gdy prawdopodobieństwo stało się pewnością, Połaniecki zwiastował nowinę Bigielom. Pani Bigielowa poleciała jeszcze tegoż dnia do Maryni, która rozplakała się z radości w jej pocziwych ramionach.

— Zdaje mi się — rzekła — że mnie teraz i Stach będzie więcej kochał?

— Jako więcej? — spytała pani Bigielowa.

— Chciałam powiedzieć jeszcze więcej! — odrzekła Marynia. — A zresztą, widzisz, mnie nigdy nie dosyć!

— Miałby ze mną do czynienia, gdyby było nie dosyć!

Tymczasem lzy oschły na słodkiej twarzy pani Połanieckiej — i pozostał tylko uśmiech. Po chwili złożyła ręce jak do pacierza i rzekła:

— Ach, Boże, żeby tylko była córka, bo Stach sobie życzy córki!

— A ty cobyś wolała?

— Jabym... tylko nie mów tego Stachowi... ja-bym wolała chłopca, ale niech będzie córka!

Następnie zamyśliła się i spytała:

— Na to jednak niema rady, prawda?

— Nie! — odpowiedziała, śmiejąc się, pani Bigielowa. — Na to jeszcze nie wynaleźli sposobu.

Bigiel zaś ze swojej strony opowiadał nowinę każdemu, kogo napotkał, w biurze zaś rzekł przy Połanieckim, z pewnem namaszczeniem w głosie:

— No, moi panowie, zdaje się, że Dom się powiększy o jednego współnika.

Urzednicy zwrócili na niego pytające spojrzenia, on zaś dodał:

— Dzięki panu Połanieckiemu — i pani Połanieckiej.

Wówczas wszyscy rzucili się do Połanieckiego z życzeniami, z wyjątkiem Zawilowskiego, który, pochyliwszy się nad biurkiem, począł pilnie przeglądać kolumny cyfr — i dopiero po chwili, czując, że jego zachowanie się może zwrócić uwagę, odwrócił się ze zmienioną twarzą ku Połanieckiemu i uściskawszy mu rękę, począł powtarzać:

— Winszuję, winszuję...

Poczem wydało mu się, że jest komiczny, że coś zapadło mu się na głowę, że mu jest czezo i bezbrzeżnie głupio i że cały świat jest bajecznie płaski. Najgorszem było jednak uczucie własnej komiczności; bo przecie rzecz była tak naturalna i łatwa do przewidzenia, że byłby ją zdolny przewidzieć nawet taki Kopowski. Tymczasem on, człowiek inteligentny, pisujący wiersze, przyjmowane z zapalem, uświadamiający wszystko, co się wokół dzieje, zapędził się w takie złudzenia, iż mu się teraz zdawało, że w niego piorun trzasł. Co

za upokarzająca śmieszność! Ale on poznał Marynię, jako panią Połaniecką, i mimowolnie wyobraził sobie, że ona zawsze była panią Połaniecką, że będzie nią na przyszłość, jak jest w terażniejszości, i wprost nie przyszło mu do głowy, że mogły nadejść jakieś zmiany. I oto, zobaczywszy kiedyś liliowe tony na jej twarzy, nazwał ją sobie Lilią i pisywał do niej liliowe wiersze. A teraz ten utrapiony zmysł, który do każdej przykrości dorzuca jeszcze drwiny, szeptał mu do ucha: „A dobra lilia!...“ I Zawilowski czuł się coraz bardziej zgnieciony i coraz bardziej śmieszny. On pisał wiersze, a Połaniecki ich nie pisał. W tem zestawieniu była zarazem i gryząca gorycz i coś błazeńskiego; Zawilowski zaś pił z tego kielicha pełnemi ustami, umyślnie tak, by nie uronić jednej kropli. Gdyby jego uczucia były się wydały, gdyby je był wyznał Maryni, gdyby go odepchnęła była z największą pogardą, a Połaniecki zrzucił ze schodów — byłoby jeszcze w tem coś zakrawającego na dramat. Ale takie zakończenie! — „takie płaskie!...“ Miał on naturę odczuwającą wszystko dziesięć razy silniej, niż zwykle natury ludzkie, więc położenie wydało mu się wprost nie do wytrzymania, a te godziny biurowe, które musiał jeszcze przesiedzieć — męką. Uczucie jego dla Maryni nie tkwiło głęboko w sercu, ale zajęło całkowicie jego wyobraźnię, teraz zaś rzeczywistość uderzyła go nielitościwie dłonią po głowie, uderzenie zaś wydało mu się nie tylko bolesne i grubijańskie, ale zarazem szydercze. Przychodziła mu do głowy desperacka myśl: wziąć kapelusz, wyjść i nie wrócić więcej. Na szczęście, nadeszła

zwykła godzina zakończenia pracy — i wszyscy zaczęli się rozchodzić.

Zawilowski, idąc przez korytarz, w którym przy wieszadłach było lustro, i ujrawszy swą długą postać i wystającą brodę, powiedział sobie: „Tak wygląda bla-zen!“ Tegoż dnia nie poszedł, jak zwykle, na obiad z drugim buchhalterem, Poźniakowskim. Radby był uciec nawet sam przed sobą. Tymczasem zamknął się w domu i z przesadą prawdziwego artysty potęgował do niemożliwych granic swoje nieszczęście i swoją śmieszność. Po kilku dniach jednak uspokoił się, czuł tylko jakąś dziwną pustkę w sereu, tak zupełnie, jakby ono było mieszkaniem, z którego się ktoś wyprowadził. U Polańskich nie pokazał się przez dwa tygodnie, ale po upływie tego czasu zobaczył Marynię na letniem mieszkaniu u Bigielów i zdumiał się.

Wydała mu się prawie brzydka. Nie było to zupełnie jego uprzedzenie, albowiem, jakkolwiek w postaci jej trudno było jeszcze dopatrzeć różnicy, zmieniła się jednak mocno. Usta miała nabrzmiałe, wyrzuty na czole i straciła świeżość cery. Była przytem spokojna, ale nieco smutna, tak jakby spotkał ją jaki zawód. Zawilowskiego, który w istocie rzeczy miał dobre serce, wzruszyła ta jej brzydota. Poprzednio zdawało mu się, że nią pogardza. Teraz wydało mu się to głupie.

Zresztą zmieniła się tylko jej twarz, nie dobroć, ani życzliwość. Owszem, czując się teraz zabezpieczoną od zbytniego z jego strony zachwytu, okazywała mu więcej serdeczności, niż dawniej. Wypytywała go z wielkiem zajęciem o pannę Castelli, i gdy spostrzegła, że

jest to przedmiot, o którym i on chętnie już rozmawia, poczęła się uśmiechać dawnym, pełnym niewypowiedzianej słodyczy uśmiechem, i rzekła prawie wesoło:

— Dobrze, dobrze! Tam się dziwią, że pan znów dawno nie był — i wie pan, co mi mówiła i Anetka i pani Broniczowa? Mówiły mi...

Ale tu przerwała i po chwili:

— Nie — tego nie mogę głośno powiedzieć. Pójdziemy trochę do ogrodu...

I podniosła się, ale niedość uważnie, tak, że potknąwszy się na pierwszym kroku, omal nie upadła.

— Uwważaj! — zawołał z niecierpliwością Połaniecki.

A ona poczęła spoglądać na niego prawie ze strachem i pokorą — i zaczerwieniwszy się, odrzekła:

— Stachu, to niechący, jak ciebie Kocham!...

— Pan także niech jej nie przestrasza! — rzekła z żywością pani Bigielowa.

Było bowiem tak widocznem, że Połanieckiemu chodziło w tej chwili więcej o przyszłe dziecko, niż o Marynię, że nawet Zawilowski to rozumiał.

Co do Maryni, było jej to wiadome nie od dzisiejszego dnia. Przeszła z tego powodu przez całą walkę duchową z sobą, o której na razie nie mówiła nikomu, a walka ta była tem trudniejsza, im bardziej stan jej zdrowia wyradzał rozdrażnienie, niepokój i skłonność do posępnych myśli. Przeszła przez ciężkie chwile, zanim powiedziała sobie, że tak musi być, jak jest.

Połaniecki byłby wprost zdumiony, gdyby mu ktoś powiedział, że nie kocha, a zwłaszcza, że nie ocenia

żony tak, jak powinien. Kochał ją po swojemu, a zarazem sądził, że jeśli kiedy, to teraz, im obojgu powinno przede wszystkim chodzić o dziecko. Będąc z natury żywym i porywczym, posuwał chwilami tę troskliwość za daleko, ale nie poczytywał sobie tego za grzech. Nad tem, co się może dzieć w duszy Maryni, nawet się nie zastanawiał. Zdawało mu się, że między innymi jej obowiązkami jednym z pierwszych jest obowiązek dostarczenia mu dzieci, że zatem prostą jest rzeczą, iż go spełnia. Był jej za to wdzięczny i wyobrażał sobie, że będąc troskliwym o dziecko, jest tem samem troskliwy i o nią, i tak troskliwy, jak mało który mąż. Gdyby był uznał za stosowne wezwać się do obrachunku co do postępowania z żoną, uważałby również, że jest rzeczą zupełnie naturalną, iż jej urok czysto kobiecy pociąga go teraz mniej, niż przedtem. Z każdym dniem stawała się brzydsza i chwilami razila jego zmysł estetyczny, on zaś mniemał, że, ukrywając to przed nią i starając się jej okazać współczucie, jest tak delikatnym, jak tylko mężczyzna dla kobiety być może.

Ona zaś miała wrażenie, że ta nadzieja, na którą najbardziej liczyła, zawiodła ją; czuła, że schodzi na drugi plan, że będzie schodziła coraz bardziej. I mimo całego uczucia dla męża, mimo skarbów tkliwości, które już zbierały się w niej dla przyszłego dziecka, w pierwszej chwili ogarnął jej duszę bunt i żal. Ale trwało to niedługo. Poczęła z tem walczyć i zmogła się. Powiedziała sobie, że tu niema niczyjej winy, że takie jest życie i że to wypada z naturalnego porządku rzeczy, który znów jest wynikiem woli bożej. Potem zaczęła

sama siebie oskarżać o egoizm i kruszyć się pod ciężarem tej myśli. Czy ona ma prawo myśleć o sobie, nie o Stachu i nie o przyszłym dziecku? Co może Stachowi zarzucić? Co w tem dziwnego, że on, który nawet cudze dzieci tak kochał, ma duszę zajętą teraz przede wszystkim swoim, że mu serce naprzód do niego bije? Czy niema w tem obrazy boskiej, że ona pozwala sobie dochodzić przede wszystkim jakichś swoich praw, jakiegoś swego szczęścia, ona, która tyle zawiniła? Kto ona jest i co ma za prawo do jakiegoś wyjątkowego losu? I gotowa była bić się w piersi, Bunt przeszedł; zostało tylko gdzieś, na samem dnie serca, troch żalu, że życie takie dziwne, i że każde nowe uczucie, zamiast potęgować dawniejsze, odsuwa je w głąb... Ale gdy ten żal cisnął się jej z serca do oczu pod postacią łez, lub poczynął drzeć na ustach, już mu nie pozwalała i na takie ujście: „Cicho mi zaraz!“ — mówiła sobie w duszy — „tak jest, tak będzie i tak trzeba, bo takie jest życie i taka wola boska, z którą musisz się zgodzić.“ I wreszcie zgodziła się.

Powoli odzyskała nawet spokój, nie zdając sobie sprawy, że podkładem jego jest rezygnacya i smutek. Był to zresztą smutek, który się uśmiecha. Jako młodej kobiecie, było jej także chwilami przykro, gdy w oczach męża, lub nawet kogoś obcego, wyczytywała nagle wyraźnie: „Ach, jakes ty zbrzydła!“ Ale że pani Bigielowa zapewniła ją, że „potem“ będzie jeszcze ładniejsza, więc odpowiadała im w duszy: „Poczekajcie!“ — i to była jej pociecha.

Odpowiedziała też coś podobnego i Zawilowskiemu.

Była zarazem rada i nierada z wrażenia, jakie na nim uczyniła, gdyż jeśli z jednej strony cierpiała na tem trochę jej miłość własna, z drugiej czuła się zupełnie zabezpieczona i mogła z nim swobodnie rozmawiać. Chciała zaś pomówić i to zupełnie poważnie, albowiem przed kilkoma dniami pani Aneta Osnowska powiedziała jej wprost, że „Kolumienka“ po uszy zakochana, i że Zawilowski ma wszelkie przed sobą widoki.

Ją zaś zaniepokoiło cokolwiek to kucie żelaza na gorąco. Nie umiała sobie zdać sprawy, dlaczego tak jest, nawet biorąc w rachubę wrodzoną porywczosć pani Anety. Dla Zawilowskiego, który stał się niejako Benjaminem obu domów, miała, również jak Bigielowie i Połaniecki, ogromnie wiele przyjaźni — a prócz tego była mu wdzięczna, bądźco bądź bowiem poznał się na niej. Owóż radaby była mu dopomóc w tem, co zdawało się być dla niego wielkim losem, ale jednocześnie przychodziło jej na myśl: „A nuż to będzie dla niego źle?“ Złękła się trochę i odpowiedzialności i swojej własnej poprzedniej polityki. Teraz więc chciała naprzód dowiedzieć się, co też on naprawdę myśli, powtóre dać mu do zrozumienia, jak rzeczy stoją, a nakoniec poradzić mu, by w danym razie sam dobrze patrzył i rozważał.

— Tam się już dziwią, że pan dawno nie był — powtórzyła, gdy wyszli do ogrodu.

Zawilowski zaś spytał:

— Co pani mówiła pani Osnowska?

— Powiem panu tylko jedno, choć nie wiem, czy powinnam to powtarzać. Pani Osnowska mówiła mi,

że... Ale nie! Naprzód muszę wiedzieć, czemu pan tak dawno u nich nie był?

— Byłem niezdrów i miałem zmartwienie. Nie bywałem nigdzie. Nie mogłem! Pani sobie przerwała...

— Tak, bo chciałam wiedzieć, czy się pan naprawdę nie pogniewał o co na te panie. Otóż pani Osnowska mówiła mi, że Lineta przypuszcza, że tak jest, i że kilka razy widziała z tego powodu łzy w jej oczach.

Zawilowski zaczerwienił się, poczem na jego młodej wrażliwej twarzy odbiło się prawdziwe rozczulenie.

— Ach Boże! — odpowiedział — jabym się miał gniewać, i jeszcze na taką pannę Linetę! Czy ona może kogo obrazić?

— Ja to powtarzam, co mi powiedziano, choć pani Osnowska jest tak żywa, że — nie śmiem ręczyć, czy wszystko, co ona mówi, jest ściśle. Wiem, że nie kłamie — ale pan rozumie, że osoby bardzo żywe widzą czasem rzeczy, jak przez powiększające szkło. Niech pan sam sprawdzi, jak to jest. Lineta wydaje mi się miłą, bardzo niepospolita i bardzo dobra — ale niech pan sam sprawdzi. Pan ma tyle zmysłu obserwacyjnego.

— Że jest dobra i niepospolita, to niema wątpliwości. Pamięta pani, jakem mówił, że one czynią mi wrażenie cudzoziemek, ale to nieprawda! Pani Osnowska — może! ale nie panna Lineta!

A Marynia odrzekła:

— Trzeba samemu patrzeć i patrzeć! Rozumie pan, że ja pana do niczego nie namawiam... Bałabym się nawet trochę Stacha, który nie lubi tych pań... Ale

szczerze powiem, że jak usłyszałam o łzach Linetki, tak mnie to chwyciło za serce... Biedactwo!...

— Nawet nie umiem pani powiedzieć, jak mnie wzrusza sama myśl o tem! — odpowiedział Zawilowski.

Dalszą jednak rozmowę przerwał Połaniecki, który, zbliżywszy się, rzekł:

— Cóż? ciągle swaty! Te kobiety są jednak niepoprawne! Wiesz, Maryniu, co ci powiem? że byłbym najszczęśliwszy, gdybyś się w takie rzeczy nie wdawała.

Pani Połaniecka poczęła się tłumaczyć, lecz on, zwróciwszy się do Zawilowskiego, rzekł:

— Ja się tam w nic nie wdaję, ale wiem tylko, że nie mam do tych pań najmniejszego zaufania.

Zawilowski jednak powrócił do domu rozmarzony. Poruszyły się w nim wszystkie struny wyobraźni i poczęły dźwięczeć, tak, że ochota do snu odleciała od niego zupełnie. Nie zapalił światła, by mu nie przeszkadzało grać na tych rozegranych strunach — i siedząc w blasku księżyca, myślał, a raczej tworzył. Nie kochał się jeszcze, ale ogarniała go już wielka tliwość, gdy myślał o pannie Castelli — i układał obrazy takie, jakby się już kochał. Widział ją tak wyraźnie, jakby stała przed nim; widział jej czarne oczy i złotawą głowę, pochylającą się jak podcięty kwiat aż - - na jego piersi. I wydawało mu się, że kładzie palce na skroniach tej głowy, że czuje jedwabne dotknięcie jej włosów i przechylając się nieco w tył, patrzy, czy pieszczota nie osuszyła łez, a jej oczy śmieją się do niego, jak niebo. jeszcze mokre po deszczu, ale już słoneczne... Potem wyobraźnia poczęła porywać jego zmysły. Wydało mu się,

że jej wyznaje miłość, że ją przyciska do piersi i wyczuwa śpieszne bicie jej serca, że klęczy z głową na jej kolanach, od których przez jedwab' bije ciepło na jego twarz. I począł naprawdę drzeć. Dotychczas była dla niego obrazem, teraz wyczuł ją po raz pierwszy jako kobietę. Nie było w nim ani jednej myśli, któraby nie była przy niej — i zapamiętał się w niej tak, że stracił poczucie, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Jakiś ochryply śpiew na ulicy zbudził go. Wówczas zapalił światło i począł myśleć trzeźwiej. Zdjął go teraz pewien niepokój, albowiem jedna rzecz wydała mu się niewątpliwą, mianowicie, że jeśli nie zaprzestanie bywać zupełnie u pani Broniczowej i u Osnowskich, to się zakocha w tamtej dziewczynie bez pamięci.

— Trzeba więc wybrać! — mówił sobie.

I nazajutrz poszedł ją zobaczyć — bo począł tęsknić — a tejsze jeszcze nocy próbował napisać wiersz pod tytułem „Pajęczyna.“

Nie śmiał jednak pójść do pani Broniczowej, więc czekał aż do godziny, w której można było zastać wszystkich we wspólnym salonie na herbacie. Pani Osnowska przyjęła go z nadzwyczajną serdecznością i z wybuchami wesołego śmiechu, lecz on, przywitawszy się, począł patrzeć na twarz panny Castelli i serce zabiło mu żywiej, gdy ujrzał, że bije z niej wielka i głęboka radość.

— Wie pan, co ja myślałam? — zawołała ze zwykłą sobie żywością pani Aneta -- nasza „Topólka“ tak lubi brody u panów, że myślałam, że pan zapuszcza brodę i dlatego się nie pokazuje.

„Topółka“ zaś odrzekła:

— Nie, nie! niech pan zostanie tak, jak pana poznałam.

Lecz pan Osnowski otoczył w pół ramieniem Zawilowskiego i rzekł z tą poufałością dobrze wychowanego człowieka, który umie postawić od razu stosunki na bliższej i serdeczniejszej stopie:

— A, pochował nam się pan Ignaś, prawda? Ale ja mam na niego sposób: niech Linetka zacznie jego portret, to musi codzień przychodzić.

Pani Osnowska klasnęła w ręce:

— Jaki ten Józio rozumny, to aż dziw!

Jemu zaś rozpromieniła się cała twarz, że powiedział coś, co podobało się żonie, i począł powtarzać:

— Prawda? co! Moja droga Anetko, prawda?

— Ja już się przymawiałam — odpowiedziała miękkiem głosem panna Castelli — ale bałam się naprzykrzać.

— Kiedy tylko pani rozkaże — odpowiedział Zawilowski.

— Teraz dzień taki długi: to może o czwartej, po panu Kopowskim. Zresztą niedługo już skończę tego nieznośnego pana Kopowskiego.

— Wie pan, co ona powiedziała o panu Kopowskim? — zaczęła pani Broniczowa.

Lecz panna Castelli za nic nie pozwoliła jej powiedzieć, zresztą przeszkodził temu pan Pławicki, który właśnie w tej chwili nadszedł i rozbił towarzystwo. Pan Pławicki, poznawszy panią Anetę u Maryni, stracił dla niej głowę, do czego otwarcie się przyznawał, ona zaś

kokietowała go, ku wielkiej swojej i innych ucieście, bez miłosierdzia.

— Niech tatuś siada, tu koło mnie — rzekła — będzie nam przy sobie dobrze? — co?

— Jak w niebie! jak w niebie! — odpowiedział pan Pławicki, uderzając się raz po raz dłońmi po kolanach i wysuwając z zadowolenia koniec języka.

Zawilowski zaś przysiadł się do panny Castelli i rzekł:

— Taki jestem szczęśliwy, że będę mógł tu codzień przychodzić... Czy tylko naprawdę nie zajmę pani czasu?

— Owszem, zajmie pan — odpowiedziała, patrząc mu w oczy — ale zajmie pan tak, jak nikt inny zajęćby nie potrafił. Ja naprawdę bałam się tylko naprzykrzać — bo ja się pana boję.

Teraz on zajrzał jej w głąb' zrenic i odpowiedział z naciskiem:

— Niech się mnie pani nie boi.

Panna Lineta spuściła powieki i nastąpiła chwila dość kłopotliwego milczenia; potem panienska spytała trochę przyciszonym głosem:

— Czemu pan tak długo nie przychodził?

On miał na języku odpowiedź: „To ja się boję,“ ale nie śmiał posunąć się tak daleko, więc odpowiedział:

— Pisałem.

— Wiersz?

— Tak, pod tytułem: „Pajęczyna!“ Jutro go przyniosę. Pamięta pani, co pani powiedziała, kiedym panią poznał? że chciałaby pani być pajęczyną. Jam to zapa-

miał i od tej pory ciągle widziałem obraz takiej śnieżnej nitki, która buja po powietrzu.

— Buja, ale nie o własnej sile — odpowiedziała panna Castelli — i nie może zalecieć wysoko, chyba...

— Co? czemu pani nie kończy?

— Chyba że się owinie koło skrzydeł jakiego wielkiego Latawca...

To rzekłszy, panna Lineta nagle wstała i odeszła, by pomódz panu Osnowskiemu, który w tej chwili otwierał okno.

A Zawilowski został sam — z mgłą na oczach. Zdawało mu się przytem, że słyszy, jak mu tętna biją w skroniach.

Oprzytomnił go dopiero miodowy głos pani Broniczowej:

— Parę dni temu mówił mi stary pan Zawilowski, że pan jego krewny, ale, że pan u niego bywać nie chce, a on u pana nie może, bo ma pedogrę. Czemu pan u niego nie bywa? to taki miły i dystyngowany człowiek. Niech pan do niego pójdzie. Jemu to nawet przykro. Pójdzie pan?

— Dobrze, pani, mogę pójść — odpowiedział Zawilowski, który w tej chwili gotów był na wszystko się zgodzić.

— Jaki pan musi być dobry i łatwy. Pozna pan tam swoją kuzynkę, pannę Helenę. Tylko niech się pan nie zakocha, bo to także bardzo dystyngowana panienka.

— Nie, pani, niema niebezpieczeństwa — rzekł, śmiejąc się, Zawilowski.

— Mówią zresztą o niej, że ona się kochała w tym

Płoszowskim, który to się zastrzelił, i że nosi wieczną żalobę w sercu. A kiedy pan do nich pójdzie?

— Jutro, pojutrze. Kiedy się pani podoba.

— Bo widzi pan, oni wyjeżdżają. Lato za pasem! Gdzie pan będzie w lecie?

— Nie wiem, pani. A panie?

Panna Castelli, która przez ten czas wróciła i siadła niedaleko, przerwała rozmowę z Osnowskim i, dosłyszawszy zapytanie Zawilowskiego, odrzekła:

— Nie mamy jeszcze projektu.

— Wybierałyśmy się do Scheveningen — mówiła pani Broniczowa — ale z Linetką to tak trudno...

I po chwili dodała ciszej:

— Ona taka zawsze otoczona — takie ma szczęście do ludzi, że pan nie uwierzy! Choć, dlaczegoby pan nie miał uwierzyć? Dość na nią spojrzeć. Mój nieboszczyk mąż przepowiadał mi to jeszcze wówczas, gdy ona miała dwanaście lat: „Obaczysz — mówił — co to będzie za kłopot, jak ona dorośnie!“ I jest kłopot, drogi panie, jest kłopot! Mój mąż dużo rzeczy naprzód przewidział... Ale!... Czy ja mówiłam panu, że on był ostatnim z Rur... A tak! mówiłam! Dzieciśmy własnych nie mieli, bo pierwsze nie doszło, a on był czterdzieści lat starszy odemnie — i później był mi raczej... ojcem.

— Cóż mnie to może obchodzić! — pomyślał Zawilowski.

Pani Broniczowa zaś mówiła dalej:

— Mój nieboszczyk mąż zawsze bolał nad tem, że nie ma syna. To jest — był syn, ale przyszedł o połowę drogi zawczasie... (Tu w głosie pani Broniczow-

wej zadrgały łyzy). Trzymaliśmy go czas jakiś w spirytusie... Ach!! co to za smutne wspomnienia! Ile się mąż nacierpiał, że umrze ostatnim z Rur... Mniejsza zresztą z tem! dość, że w końcu przywiązał się do Linetki, jak do rodzonej, i oczywiście, to była najbliższa krewna — i co po nas zostanie, to będzie jej. Może i dlatego ją tak ludzie otaczają... Chociaż — nie! Ja im się nie dziwię. Żeby pan wiedział, co to jednak za męka, i dla niej i dla mnie! Dwa lata temu w Nizy, jeden Portugalczyk, hrabia Jao Colimação, krewny Alkantarów, tak stracił głowę, że aż śmiech brał. Albo ten Grek zeszłego roku w Ostendzie!... Syn bankiera z Marsylii, milioner... Jakże to się nazywał?... Linetko, jak to nazywał się ten Grek milioner — ten, co to wiesz?

— Ciociu! — rzekła z widoczną niechęcią panna Lineta.

Lecz ciocia była już w pełnym biegu, jak pociąg puszczony całą siłą pary.

— Aha! przypominam sobie — rzekła — Kanafaropulos, sekretarz ambasady francuskiej w Brukselli.

Panna Lineta wstała i odeszła do pani Osnowskiej, rozmawiającej przy głównym stole z panem Pławickim, ciocia zaś, odprowadzając ją wzrokiem, rzekła:

— Gniewa się dziecko!... Ona ogromnie nie lubi, jak mówić o jej powodzeniach, a ja nie mogę wytrzymać. Pan mnie rozumie? Patrz pan, jaka ona wysoka! Tak mi wybujała!... Anetka nazywa ją czasem Kolumienką a czasem Topólką — i prawdziwa z niej Topółka! Cóż dziwnego, że ją ludzkie oczy widzą! Nie wspominałam jeszcze o panu Ufińskim. To nasz wielki

przyjaciel. Mój nieboszczyk mąż bardzo go lubił. Pan przecie musiał słyszeć o panu Ufińskim? To ten, co tak sławnie wycina sylwetki z papieru. Cały świat go zna. Nie wiem na ilu dworach wycinał sylwetki, a ostatnim razem wycinał księcia Walii. Był także jeden Węgier...

Pan Osnowski, który siedząc niedaleko, bawił się ołówczkiem przy breloku, to wysuwając go, to zasuważąc napowrót, zniecierpliwiał się wreszcie i rzekł:

— Jeszcze ze dwóch takich, kochana ciociu, a będzie wieczorek kostiumowy.

— Właśnie, właśnie! — odpowiedziała pani Broniczowa. — Jeśli o nich wspominam, to dlatego, że Linetka nie chciała ani słyszeć o żadnym. To taka szowinistka! Pan nie ma pojęcia, jaka z tego dziecka szowinistka!

— Niechże jej Bóg da zdrowie — rzekł Zawilowski.

Poczem wstał i począł się żegnać. Na pożegnanie długo zatrzymał dłoń panny Linety, która zresztą odpowiedziała mu równie długim uściskiem.

— Do jutra! — rzekł, patrząc jej w oczy.

— Do jutra... po panu Kopowskim. A nie zapomni pan o „Pajęczynie?...“

— Nie, pani, nie zapomnę... nigdy — odpowiedział nieco wzruszonym głosem Zawilowski.

Wyszli razem z panem Pławickim, ale zaledwie znaleźli się na ulicy, gdy staruszek uderzył go zlekka w ramię i, zatrzymawszy się, rzekł:

— Panie młodziku, czy pan wie, że ja wkrótce zostanę dziadkiem?

— Wiem — odpowiedział Zawilowski.

— Tak! tak! — powtórzył z rozkosznym uśmiechem Pławicki — a mimo tego powiem panu tylko tyle: niema, jak młode mężatki!!...

I śmiejąc się, począł go klepać raz po raz po ramieniu, poczem przyłożył końce palców do ust, pożegnał się i odszedł. Zawilowskiego doszedł tylko zdaleka jego trochę drżący głos:

— Niema nad młode...

Resztę zgłuszył turkot na ulicy.

II.

Od tego czasu Zawilowski przychodził codziennie do ciotki Broniczowej. Często zastawał jeszcze Kopowskiego, albowiem w ostatnich czasach coś popsuło się w portrecie „Antinousa“. Panna Lineta mówiła, że nie zdołała jeszcze wszystkiego z tej twarzy wydobyć, że może wyraz jest nie taki, jak być powinien — słowem: potrzebowała czasu do namysłu. Z Zawilowskim szło jej łatwiej.

— W takiej głowie, jak pana Kopowskiego — rzekła raz — dość jest zmienić najmniejszą linię, dość położyć niewłaściwie światło, żeby wszystko przepadło. Tymczasem w panu Zawilowskim trzeba chwycić przede wszystkim charakter.

Słyszac to, obaj byli zadowoleni. Kopowski oświadczył nawet, iż to nie jego wina, że go takim pan Bóg stworzył. Pani Broniczowa opowiadała później, że panna Lineta rzekła z tego powodu: „Bóg go stworzył, Syn Boży odkupił, ale Duch Święty zapomniał go oświecić“. Dowcip ten powtarzano o biednym panu Kopowskim w całej Warszawie.

Zawiłowski dość go lubił. Po kilku spotkaniach wydał mu się tak bezdennie ograniczony, iż nie przyszło mu do głowy, żeby można być o niego zazdrosnym. Natomiast, zawsze miło było na niego patrzeć. Te panie lubiły go również, chociaż często pozwalały sobie z niego żartować, a czasem służył im wprost za piłkę, którą przerzucały sobie z rąk do rąk. Głupota Kopowskiego nie była zresztą ani posepną, ani podejrzliwą. Humor posiadał jednostajny i istotnie precudny uśmiech, o czym może wiedział, więc wołał się uśmiechać, niż marszczyć. Był dobrze wychowany, obyty w świecie, a przytem ubierał się wyśmienicie i pod tym względem mógł Zawiłowskiemu służyć za mistrza.

Zadawał też od czasu do czasu zdumiewające pytania, które napelniały uciechą młode panie. Raz, słysząc panią Broniczową mówiącą o poetyckich natchnieniach, spytał Zawiłowskiego: „Czy na to co trzeba, czy nie trzeba?“ — i w pierwszej chwili zmieszał go, albowiem ten nie wiedział, co mu odpowiedzieć.

Kiedyś znów pani Aneta rzekła mu:

— Czy pan pisał kiedy wiersze? Niech pan do-
bierze jaki rym!

Kopowski zażądał, żeby mu zostawiono czas do jutra. Ale nazajutrz zapomniał, albo też i nie znalazł, te panie zaś były tak dobrze wychowane, że mu nie przypomniały obietnicy. Tak zawsze przyjemnie było na niego patrzeć, że nie chciały mu robić przykrości.

Tymczasem kończyła się wiosna a nadchodziły wy-
ścigi. Zawiłowski był zaproszony na cały ich czas do
powozu państwa Osnowskich; dawano mu miejsce na-

przeciw panny Linety. I podziwiał ją z całej duszy. W jasnych toaletach, w jasnych kapeluszach, z uśmiechem w czarnych oczach, ze swoją spokojną twarzą, zarumienioną nieco pod tchnieniem świeżych powiewów, wydawała mu się wiosną i rajem. Wracając do domu, miał jej pełne oczy, pełną myśl i pełne serce. W tym świecie, w którym one żyły, w towarzystwie tych młodych ludzi, którzy zbliżali się do powozu, by bawić te panie, bywało mu nie swojo, ale jej widok wynagradzał mu wszystko. Pod wpływem słonecznych dni, pogody, szerokich letnich powiewów i tej młodej dziewczyny, która poczynała mu być drogą, żył jakby w ciągłym upojeniu. Czuł w sobie młodość i siłę. W twarzy jego bywało czasem istotnie coś orlego. Chwilami zdało mu się, że jest rozbujanym dzwonem, który bije i bije i głosi radość życia, radość miłości, radość szczęścia — wielki odpust kochania. Pisywał też dużo i pracował tak łatwo, jak nigdy, a w wierszach jego był jakby czerstwy zapach świeżo zoranych zagonów, jakby bujność młodych liści, jakby szum skrzydeł ptaków nadlatujących na ugory — i ogromna szerokość łąk i pól. Poczul się w swej mocy i przestał się wstydzić poezji nawet przed obcymi, bo zrozumiał, że w nim coś jest, że coś tkwi i że ma co podłożyć pod kochane stopy.

Połaniecki, który, mimo swego kupiectwa, miał niepołamowaną namiętność do koni i nie opuszczał nigdy wyścigów, widywał go przez wszystkie dni w towarzystwie Osnowskich i panny Castelli, zapatrzonego w nią jak w tęczę, i kiedyś w biurze począł go prześladować, że się kocha, na co Zawilowski odpowiedział:

— To nie ja, to moje oczy; ale państwo Osnowscy wkrótce wyjadą, te panie także — i wszystko minie jak sen.

Nie mówił jednak prawdy, bo już nie wierzył sam, by wszystko mogło minąć jak sen. Przeciwnie, czuł, że zaczęło się dla niego nowe życie, które wyjazd panny Castelli może złamać.

— A dokąd wybiera się pani Broniczowa z panną Castelli? — pytał dalej Połaniecki.

— Przez resztę czerwca i przez lipiec zabawiają u państwa Osnowskich, a potem jadą jakoby do Scheveningen, ale to jeszcze niepewne.

— Przytułów Osnowskich o trzy mile od Warszawy — rzekł Połaniecki.

Zawiłowski od kilku już dni zadawał sobie z biciem serca pytanie, czy go zaproszą, czy nie; gdy go jednak zaprosili i w dodatku bardzo uprzejmie, nie obiecał im i przy wszelkich zapewnieniach wdzięczności począł się drożyć, tłómacząc się zajęciami i brakiem czasu. Panna Castelli słuchała z boku, podnosząc w górę swoje złotawe brwi, a gdy wychodził, zbliżyła się ku niemu i rzekła:

— Czemu pan nie chce przyjechać do Przytułowa? On zaś, spostrzegłszy, że nikt ich nie słucha, odrzekł, patrząc jej w oczy:

— Boję się.

Wówczas poczęła się śmiać i, powtarzając słowa Kopowskiego, spytała:

— Czy na to co trzeba, czy nie trzeba?

— Na to trzeba — odpowiedział nieco drżącym głosem — by mi pani powiedziała: przyjeźdź!

Ona zawahała się jeszcze przez chwilę; może nie śmiała mu powiedzieć tak wprost i w tej formie, jak on tego żądał, nagle jednak zarumieniła się i wyszeptała:

— Przyjeźdź!

Potem uciekła, jakby wstydząc się tych kolorów, które pomimo mroku były coraz widoczniej jej na twarzy.

Zawiłowskiemu, gdy wracał do domu, zdawało się, że pada deszcz gwiazd.

Wyjazd Osnowskich miał jednak nastąpić dopiero za dziesięć dni. Przedtem malowanie portretu szło zwykłym trybem i miało tak iść aż do ostatniego dnia, albowiem panna Lineta nie chciała tracić czasu. Pani Osnowska namówiła ją, by wyłącznie malowała Zawiłowskiego, ponieważ Kopowski potrzebuje już tylko kilku posiedzeń, które będzie można urządzić w Przytułowie, przed samym ich wyjazdem do Scheveningen. Dla Zawiłowskiego owe posiedzenia stały się teraz jakby pierwszą potrzebą życia — jeśli wypadkiem zaszła jaka przeszkoda, uważał taki dzień za stracony. Pani Broniczowa bywała najczęściej obecna przy malowaniu. Zawiłowski odgadywał w niej jednak duszę przyjazną i w końcu sposób, w jaki mówiła o panie Linecie, począł mu być miły. Oboje układali wprost hymny na cześć panny Linety, którą w poufnej rozmowie pani Broniczowa nazywała „Niteczką“. Zawiłowskiemu podobało się to miano tem bardziej, im wyraźniej czuł, jak ta „Niteczka“ obwija mu się koło serca.

Częstokroć jednak wydawało mu się, iż pani Bro-

niczowa opowiada rzeczy nieprawdopodobne. Że panna Lineta była i mogła być najzdolniejszą uczenicą Świrskiego, że Świrski mógł ją nazywać „La Perla“, że mógł się w niej, jak pani Broniczowa dawała do zrozumienia, kochać — w to wszystko było łatwo uwierzyć; ale żeby ów Świrski, znany w całej Europie i nagradzany wielkimi medalami na wszystkich wystawach, miał oświadczyć ze łzami na widok jakiegoś szkicu panny Linety, że poza techniką — onby raczej mógł brać od niej lekcye, o tem nawet Zawilowski pozwalał sobie wątpić. I gdzieś, w jakimś kącie duszy, w którym zataiło się jeszcze trochę trzeźwości, dziwił się, że panna „Niteczka“ wprost temu nie zaprzecza i poprzestaje na zwykłych w takich razach słowach: „Ciociu! wiesz, że ja nie lubię, jak takie rzeczy powtarzasz!“ Wreszcie jednak stracił i te ostatnie przebliski trzeźwości, począł się rozczulać nad nieboszczykiem Broniczem, a panią Broniczową niemal pokochał, za to tylko, że mógł rozmawiać z nią od rana do wieczora o panie Castelli.

Wskutek powtarzających się nalegań pani Broniczowej, odwiedził także w tych czasach starego pana Zawilowskiego, owego Krezusa, u którego przedtem nie bywał. Stary szlachcic, o białych jak mleko wąsach, rumianej cerze i obciętych krótko siwych włosach, przyjął go z nogą na fotelu i z pewną wielkopańską poufałością człowieka, który przywykł do tego, że się ludzie więcej z nim liczą, niż on z nimi.

— Przepraszam, że nie wstaję — rzekł — ale pedagoga, nie żarty.. Ha, cóż robić! Spuścizna! Zdaje się,

że to już będzie po wiek wieków przywiązane do nazwiska. A ty, miewasz czasem łupania w wielkim palcu?

— Nie — odpowiedział Zawilowski, cokolwiek zdziwiony zarówno sposobem przyjęcia, jak i tem, że stary szlachcic mówi mu od pierwszego widzenia: ty.

— Poczekaj, przyjdzie starość!

Poczem, zawoławszy na córkę, przedstawił jej Zawilowskiego i począł rozmawiać o stosunkach rodzinnych, wykazując młodemu człowiekowi, w jaki sposób są krewni. W końcu rzekł:

— No, ja tam wierszy nie pisywałem, bom na to za głupi, ale muszę ci powiedzieć, żeś mi się popisał — i żem się nie wstydził, chociażem wyczytał moje nazwisko pod wierszami.

Odwiedziny nie miały się jednak skończyć pomyślnie. Panna Zawilowska, osoba lat niespełna trzydziestu, ładna, ale jakby przedwcześnie zwiędła i posępna, chcąc wziąć udział w rozmowie, poczęła wypytywać: „kuzyna“, kogo zna i gdzie bywa, a stary szlachcic do każdego wymienionego nazwiska dodawał w jednym lub dwóch słowach swoją opinię. Przy wymienieniu Połanieckich powiedział: „dobra krew!“ — przy Bigielach spytał: „jak?“, a gdy Zawilowski powtórzył ich nazwisko, dodał: „connais pas!“ — panią Osnowską określił jednym słowem: „dzierlatka!“ — przy pani Broniczowej mruknął: „furfantka!“ — nakoniec, gdy młody człowiek wymienił z pewnem zmieszaniem pannę Castelli, szlachcic, którego w tej chwili łupnęło widocznie w nodze, skrzywił się okropnie i zawołał:

— Aj! Półdyablę weneckie!

Na to Zawilowskiemu, który, mimo swej nieśmia-

łości, był człowiekiem popędliwym, zaćmiło się w oczach, wystająca i tak dolna szczeka wysunęła się jeszcze bardziej naprzód, począł starego człowieka mierzyć wzrokiem od chorej nogi, aż do głowy — i rzekł:

— Pan masz sposób wydawania doraźnych sądów, który mi się nie podoba, dlatego miło mi go pożegnać.

I skłoniwszy się, porwał za kapelusz i wyszedł.

Stary pan Zawilowski zaś, który przywykł sobie na wszystko pozwalać i któremu wszystko uchodziło, patrzył czas jakiś z osłupieniem na córkę i dopiero po długim milczeniu zawołał:

— Co on się „wścik?”

Młody człowiek nie opowiedział pani Broniczowej tego, co zaszło. Wspomniał tylko, że był z wizytą i że ojciec i córka zarówno mu się nie podobali. Dowiedziała się jednak o wszystkim od samego starego Zawilowskiego, który zresztą nawet w oczy nie nazywał panny Castelli inaczej, jak „Póldyablę weneckie“.

— Nasłałaś mi pani za to całego dyabła — rzekł jej — dobrze, że mi głowy nie rozbił.

W głosie jego przebijało jednak jakby pewne zadowolenie, że to *Zawilowski* okazał się taki czupurny, ale pani Broniczowa, nie zauważywszy tego odcienia, wzięła rzecz nieco do serca i ku wielkiemu zadziwieniu „całego dyabła“, rzekła mu:

— On przepada za Linetką i to jest u niego rodzaj pieszczoty, a przytem człowiekowi, mającemu taką pozycję i w tym wieku, dużo trzeba przebaczyć. Pan musiał nie czytać powieści Kraszewskiego: „Póldyablę weneckie...“ To jest przezwanie, w którym jest od tego

czasu pewna poezya... Jak się staruszek udobrucha, niech pan do niego parę słów napisze — dobrze? Takie stosunki trzeba podtrzymywać...

— Pani — odpowiedział Zawilowski — nie napiszę za nic w świecie!

— Nawet gdybym nietylko ja o to prosiła?

— To jest... kamieniem znów nie jestem.

Panna Castelli uśmiechnęła się, słuchając tych słów. W duszy podobało się jej jednak, że Zawilowski po jednym słowie o niej, które wydało mu się ubliżającym, skoczył tak, jakby usłyszał bluźnierstwo. To też, przy pozowaniu, gdy na chwilę zostali sami, rzekła mu:

— Dziwna rzecz, jak ja mało wierzę w szczerłość ludzką... Tak mi trudno uwierzyć, żeby ktoś, prócz cioci, był mi prawdziwie życzliwy.

— Czemu pani?

— Nie wiem. Sama nie umiem sobie zdać z tego sprawy.

— A naprzykład państwo Osnowscy? Pani Aneta?

— Pani Aneta? — powtórzyła panna Castelli.

I poczęła pilnie malować, jakby zapomniała o pytaniu.

— A ja, pani? — spytał ciszej Zawilowski.

— Tak! — odrzekła — pan, tak! Pan jeden, jestem pewna, nie pozwoliłby o mnie nikomu źle mówić. Ja czuję, że pan mi jest szczerze życzliwy, choć nie wiem dlaczego, bo ja wogóle tak mało jestem warta...

— Pani mało warta! — zawołał, zrywając się, Zawilowski. — Niechże pani pamięta, że ja naprawdę nie pozwalam nikomu o pani źle mówić, nawet jej samej.

Panna Castelli uśmiechnęła się i rzekła:

— Dobrze, ale niech pan siada, bo nie mogę malować.

On siadł, lecz patrzył na nią wzrokiem tak pełnym miłości i zachwytu, że poczęło ją to mieszać.

— Co za nieposłuszny model! — rzekła — niech pan odwróci głowę trochę na prawo i nie patrzy na mnie.

— Nie mogę! nie mogę! — odpowiedział Zawilowski.

— A ja, doprawdy nie mogę malować. Głowa zaczęła w innej pozycji... Niechże pan poczeka...

To rzekłszy, zbliżyła się i dotknawszy palcami jego skroni, poczęła odwracać mu zlekka głowę na prawo. Lecz jemu serce jęło bić jak młotem, wszystko zakreśliło mu się w oczach i przytrzymawszy rękę panny Castelli, przycisnął do ust jej ciepłą dłoń.

— Co pan robi? — szepnęła panna Lineta.

On wciąż trzymał jej dłoń na ustach — i nie odpowiadał nic — tylko przyciskał ją coraz silniej.

Wówczas ona rzekła spieszenie:

— Niech pan pomówi z ciocią... My jutro wyjeżdżamy.

I nie mogli sobie powiedzieć nic więcej, albowiem w tej chwili Osnowski, Kopowski i pani Aneta, którzy poprzednio siedzieli w przyległym saloniku, wrócili do pracowni.

Pani Aneta, spostrzegłszy zarumienione policzki panny Castelli, spojrzała bystro na Zawilowskiego i rzekła:

— Jakże państwu dziś idzie?

— Gdzie ciocia? — spytała panna Castelli.

— Wyjechała z wizytami.

— Dawno?

— Kilka minut temu. Jakże państwu dziś poszło?

— Dobrze, ale na dziś już dosyć.

To rzekłszy, panna Lineta złożyła pędzle i po chwili poszła do siebie, by umyć ręce. Zawilowski zabawił jeszcze czas jakiś, odpowiadając mniej więcej przytomnie na pytania, które mu zadawano, ale miał ochotę odejść. Bał się rozmowy z panią Broniczową i, zwyczajem tchórzów, pragnął ją odłożyć do jutra. Chciał przytem zostać na chwilę sam ze swemi myślami, uładzić je, ocenić lepiej doniosłość tego, co się stało, w tej chwili bowiem miał w głowie tylko jakby chaos mętnych pojęć, że stało się coś niesłychanego, coś, od czego zacnie się nowa epoka w jego życiu. Na samą myśl o tem, przejmował go dreszcz szczęścia, ale zarazem i strach, czuł bowiem, że teraz nie czas się już cofać, że trzeba iść naprzód przez miłość, przez wyznania, przez oświadczenie się panie i rodzinie, aż do ołtarza. Pragnął tego całą duszą, ale tak przywykł wszystko, co jest szczęściem, uważać za poetyczne urojenie, za coś należącego wyłącznie do świata myśli, sztuki i marzeń, że prawie nie śmiał uwierzyć, by panna Castelli została naprawdę jego żoną. Tymczasem ledwie mógł dosiedzieć i gdy Lineta wróciła, począł się żegnać.

Ona podała mu swą ochłodzoną w zimnej wodzie rękę i rzekła:

— Nie zaczeka pan na ciocię?

— Muszę odejść, a jutro pożegniam się z panią i panią Broniczową.

— Więc do widzenia!

Pożegnanie to wydawało się Zawilowskiemu, po

tem co zaszło, tak nieodpowiedne i chłodne, że ogarniała go rozpacz. Ale nie śmiał żegnać się przy ludziach inaczej, tem bardziej, że pani Aneta patrzyła na niego z niezwykłą uwagą. Na odchodnym pan Osnowski rzekł mu:

— Czekał pan. Mam coś do załatwienia w mieście, więc pójdziemy razem.

I wyszli. Ale zaledwie znaleźli się przed bramą willi, pan Osnowski zatrzymał się, położył mu rękę na ramieniu i z przekorną miną zapytał:

— Panie Ignasiu! a czy nie pokłóciliście się trochę z Linetą?

Zawiłowski spojrzał na niego wielkimi oczyma:

— Ja? z panną Linetą?

— Bo tak jakoś pożegnaliście się chłodno. Myślałem, że ją pan przynajmniej w łapkę pocałuje!

Oczy Zawiłowskiego stały się jeszcze większe, pan Osnowski zaś począł się śmiać i rzekł:

— No, to powiem panu prawdę! Żona moja, jako to kobietka ciekawa, podglądała was i widziała, co się stało. Mój panie Ignasiu, masz pan we mnie ogromnego przyjaciela, który prócz tego wie, co to znaczy kochać. I jedno tylko panu mogę powiedzieć: daj ci Boże być tylko tak szczęśliwym, jak ja jestem!

To rzekłszy, począł potrząsać jego dłonią, a Zawiłowski, chociaż zmieszany do najwyższego stopnia, ledwie się powstrzymał, żeby mu się nie rzucić na szyję.

— Czy pan naprawdę masz dziś coś do roboty? Dlaczegoś odszedł?

— Otwarcie panu powiem, potrzebowałem myśli zebrać, a przytem zdjął mnie strach przed panią Broniczową.

— To pan cioci nie znasz. Jej także się w głowie pali. Odprowadźże mnie kawałek drogi, a potem wracaj do nas bez ceremonii. Wracając, zbierzesz właśnie myśli, przez ten czas wróci pani Broniczowa i powiesz do niej mówkę, przy której się rozplacze. Nic innego ci nie grozi. Pamiętaj także, że jeśli ci będzie dobrze, to będziesz głównie winien wdzięczność mojej Anetce, bo dalibóg, że tak *montowała* głowę Castelce, jakby była pańską rodzoną siostrą. To już taka szalona główka, a zarazem takie poczciwe serce! Równie dobre kobiety może istnieją, ale lepszej niema na świecie... Nam się trochę zdawało, że ten głuptaś Kopowski ma się ku Castelce i Anetkę gniewało to ogromnie. One lubią Koposia, ale pozwolisz, że wyjść za takiego — toby było nadto.

Tak gawędząc, wziął Zawilowskiego pod rękę i po chwili począł znów mówić:

— Dajmy też sobie pokój z tytułowaniem się per pan. Mamy przecie zostać krewniakami. Muszę ci jeszcze to powiedzieć: nie wątpię, że Castelka kocha cię najserdeczniej, bo to też poczciwe stworzenie. Ale swoją drogą, tak jej zawracano tobą głowę, a ona taka jeszcze młoda, że dorzucaj dREW na ten ogień... dorzucaj!... Rozumiesz!... Trzeba, żeby się to wkorzeniło — co powinno łatwo przyjść, bo to istotnie niezwykła natura. Nie myśl, żebym cię chciał przestrzegać, albo straszyć. Nie! Chodzi tylko o ugruntowanie rzeczy. Że ona cię kocha, to nie ulega wątpliwości. Żebyś ty ją był widział, jak ona nosiła się z twoją książką, albo co się z nią działo wówczas, gdy wróciliście z teatru! Przyszła mi wtedy do głowy głupia myśl. Powiedziałem, że słyszałem, iż stary

Zawiłowski dlatego tak chciałby cię poznać, że ma zamiar ożenić cię ze swoją córką, żeby majątek nie wyszedł z nazwiska — i, wyobraź sobie, że to biedactwo, jak to usłyszało, tak zrobiło się blade, jak papier. Ażem się przestraszył i co prędzej odwołałem. Cóż ty na to?

Zawiłowskiemu chciało się śmiać i płakać, tymczasem przyciskał tylko z całej siły do boku rękę trzymającego go pod ramię Osnowskiego i po chwili rzekł:

— Anim ja jej wart, ani...

— No — i co po tem drugim: „ani?” — może chciałeś powiedzieć: „ani jej tak Kocham!”

— Bogdaj tak! — odpowiedział Zawiłowski, podnosząc w górę oczy.

— No, to wracajże teraz i ułóż sobie mówkę do cioci Broniczowej. Nie bój się być nadto patetycznym. Ona to lubi!... Do widzenia, Ignas! Ja za jaką godzinę wrócę i będziemy mieli zaręczynowy wieczorek.

Tu poczeli się ścisnąć za ręce z uczuciem istotnie braterskiem, przyczem pan Osnowski rzekł:

— Powtarzam ci jeszcze raz: daj ci Boże znaleźć w Castelce taką tylko żonę, jak moja Anetka!

Zawiłowski, wracając, myślał, że pan Osnowski jest jeden anioł, pani Osnowska drugi, pani Broniczowa trzeci, a panna Lineta unosi się nad nimi wszystkimi na archanielskich skrzydłach, jak świętość, jak coś bożego. Zrozumiał teraz, że serce kochać może aż do bólu. W duszy klęczał u jej kolan, bił głową u jej nóg, kochał ją, ubóstwiał, a jednocześnie do tych wszystkich uczuć, które w nim grały, jakby jeden wielki hejnał, dołączyło się uczucie takiej tkliwości, jak gdyby ta uwielbiona kobieta

była zarazem dzieckiem, jedynem i ogromnie kochanem, ale jeszcze malutkiem i potrzebującym opieki. Przypominał sobie opowiadanie Osnowskiego, jak pobladła, gdy jej powiedziano, że chcą go ożenić z inną — i w duszy powtarzał sobie: „A moja ty, a moja!...“ I rozczulał się bez miary, a wdzięczność zalewała mu tak serce, iż zdawało mu się, że życiem całym nie wypłaci się jej za tę jedną chwilę bladości. Czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy, i chwilami ogrom tego szczęścia niemal przerażał go. Przedtem był teoretycznym pesymistą, obecnie zaś rzeczywistość zadawała tak dalece kłam tym naleciałym teoryom, iż trudno mu było uwierzyć, by się mógł do tego stopnia omylić.

Tymczasem wracał do willi, wciągając po drodze w nozdrza zapach kwitnących jaśminów i mając jakieś mętne poczucie, że ta upajająca woń nie jest niczem zewnętrznem, ale po prostu częścią i składnikiem jego szczęścia. Po drodze mówił sobie: „Co to za ludzie, co to za dom, co za rodzina! Tylko między nimi mogła się wychować ta moja Biała!“ Patrzył przytem na zachodzące wśród wieczornego spokoju słońce, na złociste firanki zórz, poprzewiązywane taśmami z purpury, i ten spokój począł go ogarniać. W tych niezmiernych światłach uczył niezmierną łaskę i dobroć, które patrzą na świat, koją go i błogosławią. Nie modlił się wprawdzie słowami, ale wszystko śpiewało mu w duszy jakby jedną dziękczynną modlitwę.

Przy bramie willi, ocknąwszy się jak ze snu, spostrzegł starego służącego Osnowskich, który patrzył sobie na przejeżdżające powozy.

— Dobry wieczór, Stanisławie — rzekł — a pani Broniczowa nie wróciła?

— Właśnie wyglądam: tylko co starszej pani nie widać.

— Panie są jeszcze w salonie?

— Są — i pan Kopowski też.

— A kto mi otworzył?

— Tam otwarte, ja ino na chwilę zeszedłem.

Zawiłowski poszedł na górę — ale nie znalazłszy we wspólnym salonie nikogo, przeszedł do pracowni. Tam było jednak również pusto, natomiast z przyległego mniejszego pokoiku doszły go przez portyerę, przedzielającą ów salonik od pracowni, jakieś ciche głosy.

W przypuszczeniu, że znajdzie tam obie panie wraz z Kopowskim, uchylił portyerę — i spojrzawszy, skamieniał.

Panny Castelli nie było w saloniku, natomiast Kopowski klęczał przed panią Osnowską, która, trzymając ręce zanurzone w jego bujnych włosach, odchyłała mu w tył głowę, zniżając jednocześnie swą twarz, jakby dla złożenia na jego czole pocałunku.

— Aneto! jeśli mnie kochasz! — mówił zdławionym przez namiętność głosem Kopowski.

— Kocham! Ale nie! ja tego nie chcę! — odpowiedziała pani Osnowska, odsuwając go nieco od siebie.

Zawiłowski mimowolnym ruchem zapuścił portyerę; przez chwilę stał przed nią, jakby nogi jego stały się naraz ołowiane, wreszcie, nie zdając sobie dobrze sprawy, co robi, przeszedł pracownię, której gruby dywan zgłu-

szyl, tak jak i poprzednio, jego kroki, przeszedł główny salon, przedpokój, schody i znalazł się w bramie willi.

— Jaśnie pan wychodzi? — spytał stary służący.

— Tak — odrzekł Zawilowski.

I zaczął iść tak szybko, jakby uciekał. Po chwili jednak stanął i rzekł głośno do siebie:

— Czym ja nie oszalał?

I nagle wydało mu się to możliwem, poczuł bowiem, że traci wątek myśli, że nie umie zdać sobie z niczego sprawy, że nic nie rozumie i niczemu nie wierzy. Coś poczęło się w nim rwać, coś walić. Jakto? więc ten dom, o którym przed chwilą myślał, że jest jakimś błogosławionym przybytkiem wyjątkowych dusz, kryje zwykły fałsz, zwykłą lichosć, zwykłe brudy życiowe — nędzną i zarazem haniebną komedję? I taką atmosferą oddycha, w takim żyje otoczeniu, z takimi istotami przestaje jego Lineta — jego „Biała“? Tu przypomniały mu się słowa Osnowskiego: „Daj ci Boże znaleźć w Castelce taką tylko żonę, jaką ja znalazłem w mojej Anecie!“ „Dziękuję!“ — pomyślał Zawilowski — i mimowoli zaczął się śmiać. Zło, ni brud, nie były mu nowiną: widział je i wiedział, że istnieją; ale po raz pierwszy życie ukazywało mu je z taką niemilosierzną ironią, przez którą ów pan Osnowski, człowiek, który mu okazał serce brata, człowiek uczciwy, człowiek prawy, dobry, jak mało ludzi w świecie, wydał mu się zarazem błaznem, rodzajem wzniosłego durnia — wzniosłego przez wiarę i uczucie — durnia przez kobietę. I po raz pierwszy również ujrzał jasno, co może licha i nędzna kobieta zrobić z człowieka — bez jego winy. Otworzyły się

przed nim nowe, straszliwe widnokreśli życiowe — całe krainy, których istnienia nie przypuszczał, rozumiał bowiem dotąd, że zła kobieta może człowieka wyssać jak pająk i zabić — wydawało mu się to demonicznem, ale nie przypuszczał, że może go przytem zblaźnić. Z tą myślą nie umiał sobie dać rady. A jednak ów pan Osnowski, życzący mu, by był szczęśliwym ze swoją przyszlą, jak on z Anetą — był śmieszny. Na to także nie było rady. Nie wolno tak kochać, by aż do tego stopnia się zaślepić.

Tu myśli Zawilowskiego przeniosły się do Linety. W pierwszej chwili miał poczucie, że od tego brudu w domu Osnowskich i od tego zwątpienia, które zrodziło się w jego sercu, padł jakiś cień i na nią. Po chwili poczał sobie jednak wyrzucać to wrażenie, jako profanację, jako zbrodnię obrażonej niewinności, jako pokalanie myślą równie czystej jak kochanej istoty i jej anielskich piór. Chwyciło go oburzenie na siebie samego. „Czy taki gołąb’ domyśla się nawet złego?“ — pytał w duszy. I miłość jego wzmogła się jeszcze bardziej na myśl, że „takie przeczyste dziecko“ musi ocierać się o zepsucie. Chciałby był odsunąć ją jak najprędzej od pani Osnowskiej, osłonić ją od jej wpływu, porwać na ręce i wynieść z tego domu, w którym niewinne jej oczy mogły się otworzyć na zło i zepsucie. Demon jakiś szeptał mu wprawdzie chwilami do ucha, że i pan Osnowski tak wierzy, jak on, że dalby krew własną w zakład za uczciwość żony, że każde zwątpienie poczytałby także za profanację swej świętości. Lecz Zawilowski odpędzał ze zgrozą te podszepty. „Dość spojrzeć w jej

oczy“ — mówił sobie. I na samo wspomnienie o tych oczach, gotów był bić się w piersi, jakby ciężko zgrzeszył. Był też zły na siebie, że wyszedł, że nie doczekał pani Broniczowej i nie pokrzepił się widokiem Linety. Wspomnił teraz, jak przyciskał usta do jej dłoni, i jak ona, mieniając się ze wzruszenia, mówiła mu: „Niech pan pomówi z cicią.“ Ile było anielskiej prostoty i czystości w tych słowach! jaka prawość duszy, która, kochając, chce, by wolno jej było wobec całego świata kochać! Zawilowskiego, gdy o tem myślał brała ochota wrócić, czuł jednak, że nadto był wzburzony i że poprzedniej swej bytności, jeśli służący o niej wspomnieli, nie potrafiłby usprawiedliwić.

Potem znów mu stanął przed oczyma obraz Kopowskiego, klęczącego przed panią Osnowską, i począł się siebie pytać, co ma wobec tego robić i jak postąpić. Przestrzedz Osnowskiego? — myśl tę odepchnął od razu z oburzeniem. Zamknąć się z panią Anetą — i powiedzieć jej na cztery oczy kazanie? — wskaże mu drzwi. Przez chwilę przyszło mu do głowy zagrozić Kopowskiemu i wymóżyć na nim przyrzeczenie, że przestanie bywać w domu Osnowskich. Ale po chwili uznał, że i to na nic. Kopowski, jeśli ma choć trochę odwagi, zelży go, wyzwie — w takim razie on będzie musiał milczeć, a ludzie pomyślą, że awantura powstała z powodu panny Castelli. Zawilowskiemu było żal Osnowskiego, albowiem powziął dla niego szczerą przyjaźń, a z drugiej strony zbyt był młodym, by zgodzić się od razu z myślą, że zło i krzywda ludzka mają pozostać bezkarne. Ach, gdyby w tym razie mógł się kogo poradzić, naprzykład takiego

Połanieckiego, albo Maryni! Ale nie mogło to być. I po dłuższym namyśle doszedł do przekonania, że należy mu wszystko pochować w sobie i milczeć.

Przytem, z namiętnej prośby Kopowskiego i z odpowiedzi pani Anety, wnosił, że zło mogło jeszcze nie przejść w zupełny upadek. Kobiet nie znał — ale naczytał się o nich niemało. Wiedział, że istnieją i takie, dla których forma złego ma więcej ponęty od jego istoty — to jest kobiety pozbawione zmysłu moralnego, ale też i temperamentu, mające tyle samo pociągu do zakazanego romansu, ile niechęci do zupełnego upadku, słowem takie, które, niezdolne kochać nikogo, zawodzą zarówno mężów, jak i kochanków. Przypomniały mu się słowa jakiegoś Francuza: „Gdyby Ewa była Polką, byłaby urwała jabłko, ale nie byłaby go zjadła“. Podobnym typem wydała mu się pani Osnowska. Zło mogło być w niej równie płytkie, jak i dobro, i w takim razie zakazany stosunek mógł jej się prędko znudzić, zwłaszcza z takim Kopowskim.

Tu jednak Zawilowski tracił osnowę rozumowań i klucz do duszy pani Anety. Rozumiałby stosunek z każdym innym, ale nie z Kopowskim, z takim Cherubem o mózgu idyoty. „Pudel więcej rozumie, co się do niego mówi — myślał Zawilowski — i kobieta z takimi aspiracyami do rozumu, do wiedzy, do artyzmu, do rozumienia wszelkich odcieni myśli i uczuć, może się poniżać dla takiej pałuby!“ Tego nie umiał sobie wytłumaczyć nawet tem, co o kobietach czytał.

A jednak rzeczywistość mówiła wyraźniej niż wszystkie książki, że tak było. Nagle przyszło na pamięć

Zawiłowskiemu, co mu mówił Osnowski, że bali się, iż „ten głuptaś może się mieć ku Castelce,“ że panią Osnowską ogromnie to gniewało i że dlatego *montowała* jej głowę innem uczuciem. Więc jednak pani Osnowskiej chodziło o to, by Kopowski nie starał się o pannę Castelli — i by go zachować dla siebie. Tu Zawiłowski drgnął nagle, bo uderzyła go myśl, że jeśli tak, to jednak Kopowski miał jakieś widoki powodzenia. I cień znowu przesłonił mu jasną postać Linety. Gdyby tak było, spadłaby w jego oczach do poziomu pani Osnowskiej. Przez chwilę uczuł gorycz w ustach, a ogień w mózgu. Zerwał się w nim gniew, jak wichur. Tego nie mógłby jej przebaczyć i samo podejrzenie otrułoby go. Zatrzymawszy się znów na ulicy, czuł, że musi zdusić tę myśl w sobie, bo inaczej chyba oszaleje.

Jakoż zdusił ją tak dokładnie, że uznał się za ostatniego głupca, tylko dlatego, że mu mogła przyjść do głowy. Że panna Lineta nie była zdolna pokochać takiego Kopowskiego, najlepszy dowód był w tem, że pokochała jego — a obawy i podejrzenia pani Osnowskiej wypływały tylko z miłości własnej kobiety lekkiej i próżnej, która lęka się, by nie uznano innej za piękniejszą i bardziej ponętną od niej. Zawiłowski miał teraz uczucie, że zepchnął kamień z piersi, który go gniótł. Począł też w duszy przeproszać znów na klęczkach swoją niepokalaną, i myśli jego o niej były już odtąd pełne miłości, uwielbienia i skruchy.

Uczył sobie jednak uwagę, jak zło, choćby przez kogo innego spełnione, rodzi zło — i ile szkaradnych myśli przeszło mu przez głowę dlatego tylko, że widział

durnia u nóg wietrznicy. Uwagę tę zanotował sobie w pamięci.

W pobliżu domu spotkał Połanieckiego pod rękę z panią Maszkową, i tak już był zatruty dniem dzisiejszym, że przeszło mu przez myśl nagle podejrzenie. Ale Połaniecki poznał go przy świetle księżycy i latarni i widocznie nie miał zamiaru się ukrywać, bo go zaczął.

— Dobry wieczór — rzekł. — Co tak wcześnie dziś do domu?

— Byłem u pani Broniczowej, a teraz, ot tak, włóczę się, bo noc piękna.

— To wstąpcze pan do nas. Ja tylko odprowadzę panią — i wracam. Żona dość dawno pana nie widziała.

— Dobrze — rzekł Zawilowski.

I istotnie wzięła go ochota zobaczyć panią Połaniecką. Tyle się przez niego przewaliło uczuć i myśli, że czuł się zmęczony, a wiedział, że dobra i spokojna twarz pani Maryni podziała na niego w sposób kojący.

Po chwili też zadzwonił do Połanieckich i, wszedłszy, począł się po przywitaniu tłumaczyć, że przychodzi zaproszony przez męża, na co ona rzekła:

— Ale owszem, bardzom rada. Mój mąż odprowadza w tej chwili panią Maszkową, która mnie odwiedziła, ale wróci na herbatę. Pewno i państwo Bigielowie przyjdą, a może i mój ojciec, jeśli się nie wybrał do teatru.

To rzekłszy, wskazała mu miejsce przy stole, sama zaś, poprawiwszy ciemnik na lampie, zabrała się do roboty, którą była zajęta poprzednio, mianowicie do szy-

cia kokardek z wążkich różowych i błękitnych wstążek, których pełno leżało przed nią.

— Co pani robi? — spytał Zawilowski.

— Kokardki. To się przyszywa na rozmaite ubrania.

Po chwili zaś dodała:

— Ale daleko ciekawsze jest, co pan robi? Czy pan wie, że już cała Warszawa żeni pana z Linetką Castelli. Widzieli was w teatrze, na wyścigach, widują na spacerach i ani ludziom wytłómaczyć, że to jeszcze nie zdecydowane.

— Bo — mówiłem zawsze z panią tak otwarcie — że i teraz powiem szczerze, że to już prawie zdecydowane.

A ona podniosła na niego ożywione uśmiechem i ciekawością oczy:

— Tak? A, to doskonała nowina! Niechże Bóg da panu takie szczęście, jakiego panu oboje życzymy.

Tu wyciągnęła do niego rękę, a potem, rozciekawiona, spytała:

— Mówił pan z Linetką?

Zawilowski począł opowiadać, jak było, i przyznał się do swojej rozmowy z panną Castelli i z panem Osnowskim; potem, unosząc się stopniowo w opowiadaniu, wyspowiadał się ze wszystkiego, co się w nim działo: jak z początku przypatrywał się, krytykował, walczył ze sobą, nie śmiał się spodziewać; jak starał się sam sobie wybić z głowy, a raczej z serca to uczucie — i jak nie mógł jednak mu się oprzeć. Zapewniał, że kilka razy obiecywał sobie przeciąć od razu znajomość, bywanie, ale za każdym razem sił mu brakło, za każ-

dym razem spostrzegął ze strachem, że już cały świat, cały cel życia tam; że bez niej, bez panny Linety, nie wiedziałby, co z tem życiem zrobić — i wracał.

Zawilowski nie mniej wprawdzie przypatrywał się, ale mniej krytykował i walczył z sobą, niż opowiadał. Mówił to jednak szczerze. Dodał w końcu, że obecnie wie już z pewnością, że kocha, nie swoje własne uczucie, uwięzione w pannie Linecie, ale ją samą, dla niej samej, i że to jest jego najdroższa w świecie głowa.

— Niech pani pomyśli — rzekł — inni mają rodziny, matki, siostry, braci; ja, poza moim nieszczęśliwym ojcem, nie mam nikogo — i dlatego wszelkie ludzkie miłości skupiły mi się w niej jednej.

— Tak! — rzekła Marynia. — To się musiało stać.

On zaś mówił dalej z coraz większem uniesieniem:

— Ale ciągle jeszcze zdaje mi się, że to sen, i nie może mi się w głowie pomieścić, żeby ona naprawdę została moją żoną. Czasem zdaje mi się, że to nie może być i że zajdzie coś takiego, że wszystko przepadnie.

Rzeczywiste uczucie potęgowało się w nim jeszcze przez egzaltację, do której więcej od innych ludzi był skłonny, i wreszcie począł drzeć nerwowo, a potem zakrył oczy ręką i mówił:

— Ot, widzi pani! muszę oczy zasłonić, żeby sobie to dobrze wyobrazić. Takie szczęście! takie bajeczne szczęście! Czegoż człowiek szuka i w życiu i w małżeństwie? — właśnie szczęścia! — a swoją drogą, to aż siły przerasta. Nie wiem, czym ja taki słaby, czy co? — ale szczerze mówię: czasem mi tchu nie staje.

Marynia położyła kokardkę na stole i złożywszy na niej ręce, przez chwilę patrzyła na niego, poczem rzekła:

— Bo pan jest poeta i nadto się unosi. Powinien pan patrzeć spokojniej. Niech pan posłucha, co powiem. Ja mam książeczkę po matce, w której, będąc chora i nie spodziewając się długo żyć, spisywała dla mnie, co uznała za dobre. O małżeństwie napisała mi coś, czego później nie słyszałam od nikogo i nie czytałam w żadnej książce: że nie po to powinno się wychodzić za mąż by być szczęśliwą, tylko po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas wkłada — i że szczęście, to tylko przydatek i podarek boży. Widzi pan, jakie to proste, a jednak doprawdy, że nietylko tego później nie słyszałam, ale nie widziałam, żeby ktoś, żeniąc się, albo wychodząc za mąż, więcej o tem myślał, niż o szczęściu. Niech pan o tem pamięta i niech pan powtórzy to Linetce — dobrze?

A Zawilowski popatrzył na nią ze zdziwieniem:

— Wie pani, że to jest tak proste, iż istotnie nie przychodzi nikomu na myśl.

Ona zaś uśmiechnęła się — trochę smutno — i wzięwszy swoją kokardkę, poczęła ją zszywać znowu. Po chwili zaś powtórzyła:

— Niech pan to powie Linetce.

I szła dalej, wyciągając szybkim ruchem swoją wychudłą nieco rękę, wraz z igłą.

— Rozumie pan: jak się taką zasadę ma w sercu, to się ma wieczny spokój — weselszy, albo smutniejszy — jak Bóg da! — ale jednakowo głęboki. A bez

tego, to tylko jakaś gorączka szczęścia — i gotowe zawsze zawody, choćby dlatego tylko, że to szczęście może być inne, niż je sobie wyobrażamy.

I szła dalej.

A on patrzył na jej pochyloną głowę, na jej migającą rękę, na jej robotę, słuchał jej głosu i zdawało mu się, że ten spokój, o którym mówiła, unosi się nad nią, napęnia całe powietrze, zwiesza się nad stołem, pali się łagodnie w lampie — i wreszcie wstępuje w niego.

Był tak zajęty sobą, swoją miłością, że ani mu w głowie nie powstało, że serce jej może być przytem smutne; natomiast przejmowało go jakby podwójne zdziwienie: naprzód, że te prawdy, które ona mówi, są takim a, b, c, iż powinny leżeć na samym wierzchu każdego umysłu, a powtóre, że, mimo to, jego własny umysł nie wydobył ich jednak z siebie, a przynajmniej na nie nie baczył. „Co to jest — pomyślał — mądrość nasza, książkowa, w porównaniu z tą prostą mądrością prawdziwego kobiecego serca!“ Potem, przypomniawszy sobie panią Osnowską i spoglądając na Marynię, począł monologować: „Tamto kobieta i to kobieta!“ I nagle przyszła na niego ogromna ulga; wszystkie rozkołysane myśli ułożyły się do poziomu. Czuł, że wypoczywa, patrząc na tę szlachetną istotę. „W Linecie — mówił sobie — jest taka sama cisza, taka sama prostota i taka sama prawość“.

Tymczasem nadszedł Połaniecki, a wkrótce potem Bigielowie, za którymi przyniesiono wiołonczelę. Przy herbacie Połaniecki mówił o Maszce. Sprawę o zwalenie testamentu prowadził Maszko z całą energią i postępo-

wała naprzód, choć trudności jeżyły się na każdym kroku. Adwokat, stojący ze strony instytucji dobroczynnych, ów młody Śledź, którego Maszko obiecywał opieprzyć, podlać oliwą i zjeść — okazał się nie tak łatwym do zjedzenia, jak się zdawało. Połaniecki słyszał o nim, jako o człowieku zimnym, upartym, a jednocześnie jak o biegłym prawniku.

— Co jest przytem zabawne — rzekł — że Maszko, jak to Maszko, uważa się za jakiegoś patrycyusza, który walczy z plebejuszem i mówi, że to będzie próba: jaka krew tęższa. Szkoda, że Bukasio nie żyje, bo sprawiłoby mu to uciechę.

— A Maszko ciągle jeszcze w Petersburgu? — spytał Bigiel.

— Dziś wraca. Ona dlatego nie mogła zostać na wieczór — odpowiedział Połaniecki.

Po chwili zaś dodał:

— Ja miałem do niej w swoim czasie uprzedzenie, ale przekonywam się, że to niezła kobiecina, a przytem biedna.

— Czemu biedna? Jeszcze pan Maszko sprawy nie przegrał — rzekła pani Bigielowa.

— Ale on ciągle przesiaduje za domem. Matka pani Maszkowej jest w zakładzie oftalmicznym w Wiedniu i podobno całkiem oczy traci, a ona siedzi po całych dniach sama, jak pustelnica. Mówię, że miałem do niej uprzedzenia, ale teraz mi jej żal.

— Prawda — rzekła Marynia — że ona, od czasu jak wyszła za mąż, stała się daleko sympatyczniejsza.

— Tak — odpowiedział Połaniecki — i przytem

nie nie straciła wdzięku. Szpeciły ją dawniej czerwone oczy, a teraz jej to przeszło — i zawsze taka panienkowata, jak była.

— Niewiadomo tylko, czy Maszko z tego równie zadowolony — odrzekł Bigiel.

Lecz Marynię korciło, by powiedzieć obecnym nowinę o Zawilowskim; ponieważ jednak nie był jeszcze urzędownie zaręczonym, więc nie wiedziała, czy można. Ale, gdy po herbacie pani Bigielowa poczęła go wypytować, jak „sprawa“ stoi, a on sam odrzekł, że jest prawie ukończona, wtrąciła i pani Marynia swoje słówko, oznajmiając obecnym, że sprawa stoi w ten sposób, iż mogą składać panu Zawilowskiemu życzenia. Wówczas wszyscy poczęli go ścisnąć za ręce, z tą prawdziwą przyjaźnią, jaką dla niego mieli — i wszystkich ogarnęła szczerą wesołość. Bigiel pocałował z radości panią Bigielową. Połaniecki rozkazał przynieść kieliszki i butelkę szampana, by wypić zdrowie „najwybujalszej pary“ w Warszawie, pani Bigielowa poczęła przekomarzać się z Zawilowskim, przewidując naprzód, co to będzie za gospodarstwo poety i malarki; Zawilowski śmiał się, ale zarazem był naprawdę wzruszony tem, że jego marzenia poczynają być czemś realnem.

W chwilę później, Połaniecki, trącając się z nim, rzekł:

— Szczęść Boże, a ja dam panu tylko jedną radę: co masz w sobie poezyi, to kładź w *dzieło*, w robotę, a w życiu bądź realistą i pamiętaj, że małżeństwo, to nie rom...

Lecz nie mógł dokończyć, bo pani Marynia położyła mu nagle rękę na ustach i rzekła, śmiejąc się:

— Cicho, ty mądra głowo!

A potem do Zawilowskiego:

— Niech pan nie słucha tego sensata, niech pan nie tworzy sobie żadnych teorii z góry, tylko niech pan kocha.

-- Tak, pani, tak! — odpowiedział Zawilowski.

A Połaniecki, drażniąc się, dodał:

— To kup pan sobie w takim razie harfę...

Ale, na wspomnienie o harfie, Bigiel chwycił swoją wiolonczelę, mówiąc, że taki wieczór trzeba skończyć muzyką; Marynia siadła do fortepianu i po chwili zaczęła serenadę Händla. Zawilowski miał wrażenie, że dusza z niego wychodzi, bierze te łagodne tony w siebie i leci. wśród nocy, kołysać nimi do snu Linetę. Późnym wieczorem wyszedł, jakby pokrzepiony widokiem tych zacnych ludzi.

III.

A Marynia miała już spokój — „taki, jaki Bóg dał“ — ale rzeczywiście głęboki. Wielką pomocą w odzyskaniu jego był ów zagrobowy głos, owa poźółkła już przez lata książeczka, w której wyczytała: „Nie po to powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, ale po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas wkłada“. Marynia, która często zaglądała do tej książeczki, nieraz poprzednio odczytywała te słowa, ale prawdziwego znaczenia nabrały one dla niej dopiero w ostatnich czasach, wśród tego procesu duchowego, przez który przechodziła od powrotu z Włoch. Skończył się on w ten sposób, że nietylko pogodziła się z losem, ale obecnie nie dopuszczała nawet myśli, że jest nieszczęśliwa. Powtarzała sobie, że jest to szczęście inne wprawdzie, niż sobie wyobrażała, ale nie mniej rzeczywiste. Zapewne, że gdyby jej Bóg dał moc rządzenia sercami ludzkiemi, toby chciała, żeby „Stach“ okazywał jej — nie więcej czci — ale więcej takiej tkliwości, do jakiej był zdolny i jaką okazywał był w swoim czasie Litce; żeby uczucie jego dla niej mniej było trzeźwe, żeby było w niem to

jakieś ziarnko poezji, którą miała jej miłość. Ale z drugiej strony, naprzód, gdzieś, w jakimś kąciku serca żyła zawsze nadzieję, że to przyjść może, a powtóre, myślała w duszy, że gdyby nawet nie przyszło, to i tak powinna Bogu dziękować, że jej dał człowieka dzielnego i prawego, którego mogła nietylko kochać, ale i cenić. Nieraz zastanawiała się, z kimby go tu porównać — i nie umiała znaleźć nikogo, ktoby porównanie wytrzymał. Bigiel był zacny człowiek, ale nie miał tego polotu; Osnowskiemu, przy całej jego dobroci, brakło tej dzielności życiowej i brakło pracy; Maszko był istotą we wszystkim stokroć niższą; Zawilowski wydawał jej się raczej genialnem dzieckiem, niż mężczyzną — słowem: z porównań Stach wychodził zawsze zwycięsko — i jedynym ich rezultatem zawsze było, że czuła do niego coraz większe zaufanie życiowe i coraz więcej go kochała. Przytem, ograniczając siebie, poddając mu swoje ja, przynosząc na ofiarę swoje rojenia i swój egoizm, miała poczucie, że coraz więcej wyrabia się duchowo, że się doskonalili, że staje się lepszą, że nie schodzi na żaden niż, ale wstępuje na jakieś wyżyny, skąd duszy bliżej do Boga — i nagle spostrzegła, że w takim poczuciu leży cały świat szczęścia. Połaniecki często bywał teraz za domem, więc ona często zostawała sama i nieraz rozumowała z wielką prostotą uczciwej kobieciny: „Przecież człowiek powinien się starać, by być coraz lepszy, a jeżeli ja nie jestem gorsza, niż byłam — to i dobrze! Gdyby było inaczej, tobym się może popsuła!“ Nie przychodziło jej jednak na myśl, że jest w tem więcej mądrości, niż naprzykład we wszystkich myślach i po-

wiedzeniach pani Osnowskiej. Wydało jej się też naturalnem, że tymczasem ma dla „Stacha“ mniej powabu, niż przedtem. Od tego miała duże lustro, w które spoglądając, mówiła sobie: „No, oczy się nie zmieniają, ale co to za figura! co za twarz! Ja, żebym była Stachem, tobym uciekła z domu!“ I myślała nieprawdę, bo nie byłaby uciekła, ale zdawało jej się, że w ten sposób powiększa zasługę Stacha. Dodawały jej też otuchy słowa pani Bigielowej, że potem będzie jeszcze ładniejsza, „zupełnie, jak jaka dziewczyna“. I chwilami wzbierała w jej sercu radość i wdzięczność, że tak wszystko mądrze urządzone, iż z początku jest się trochę brzydszą, potem trzeba trochę przecierpieć, a jeszcze potem, nietylko, że wszystko wraca, ale w nagrodę ma się jeszcze „bobo“ kochane, które i z życiem wiąże, i nowy węzeł między żoną a mężem wytwarza. W ten sposób miewała chwile nietylko spokoju, ale i wprost wesołości — i kiedyś rzekła pani Bigielowej:

— Wiesz, co ja myślę, że zawsze można być szczęśliwą, tylko trzeba się Boga bać.

— Co to się ma jedno do drugiego? — spytała pani Bigielowa, która od męża przejęła się zamiłowaniem jasności w rozumowaniu.

— A to — odpowiedziała Marynia — żeby poprzestawać na tem, co On daje i nie dręczyć Go, że nie dał tego, co nam się zdawało najlepsze.

Potem dodała wesoło:

— Nie nudzić, nie nudzić!

I obie poczęły się śmiać.

Nieraz też, w troskliwości, niemal przesadnej, jaką

Połaniecki okazywał żonie, znać było wyraźnie, że mu głównie chodzi o dziecko; ale Marynia nie miała mu już tego za złe. Poprawdnie, nie miała nigdy; obecnie jednak gotowa była uważać to za jego zasługę, albowiem powiedziała sobie, że teraz jest obowiązkiem ich obojga dbać przedewszystkiem o dziecko, jako o przyszłe wspólne kochanie. Tak zrzekając się z każdym dniem czegoś z własnego egoizmu, zyskiwała coraz większy spokój, coraz większą pogodę, która odbijała się w jej oczach, tak cudnych, jak nigdy przedtem. Gotowa była i pod tym względem zgodzić się z wolą boską, ale trochę się bała Stacha — i pewnego dnia spytała go, żartując:

— Stachu, a nie wybierzesz, jak będzie syn?

— Nie — odpowiedział, śmiejąc się i całując ją w rękę — ale wolałbym, żeby była córka.

— A ja słyszałam od pani Bigielowej, że panowie zawsze wolą chłopców.

— A ja jestem taki pan, który woli dziewczynę.

Nie zawsze jednak myśli jej były tak wesołe. Chwilami przychodziło jej do głowy, że może umrzeć, bo wiedziała, że się to zdarza, i modliła się gorąco, żeby się tak nie stało; bo naprzód bała się śmierci, powtórę żalby jej było odchodzić, choćby do nieba, wówczas, gdy zapowiadało jej się tyle kochania, a nakoniec wyobrażała sobie, że Stach ogromnieby jej jednak żałował. I na tę myśl rozczułała się nad nim tak, jakby już obecnie był człowiekiem najgodniejszym politowania ze wszystkich nieszczęśliwców na świecie. Nigdy też nie mówiła z nim o tem, chociaż zdawało jej się, że on sam czasem się tego obawia.

I myliła się najzupełniej. Doktorka, która odwiedzała co tydzień Marynię, zapewniała za każdym razem i ją i Połanieckiego, że wszystko jest i postępuje najprawidłowiej, skutkiem czego Połaniecki nie miał żadnej obawy o życie żony. Powodem jego niepokoju było zgola co innego, czego Marynia, na szczęście dla siebie, ani się dotąd domyślała, a czego sam Połaniecki nie śmiał wyraźnie nazwać. Oto od niejakiego czasu poczęło mu się coś psuć w życiowych rachunkach, z których był tak dumny i które dawały mu taką wewnętrzną pewność siebie. Przed niedawnym jeszcze czasem uważał, że jego teorye życiowe są jak dom, zbudowany z tęgich bierwion i wsparty na potężnych fundamentach. W duszy pysznił się tym domem, a po cichu wywyższał się nad tych, którzy nie umieli sobie nic podobnego zbudować. Krótko mówiąc, uważał się za lepszego życiowego majstra od innych. Sądził także, że robota jest skończona od góry do dołu — tylko wejść, zamieszkać i wypoczywać! Zapomniał, że dusza ludzka, jak ptak: gdy wzbije się na pewną wysokość, nietylko nie wolno jej spocząć, ale musi tego skrzydłami pracować, by się na niej utrzymać. Inaczej pierwsza lepsza pokusa przyciągnie ją ku ziemi.

Im zaś pokusa była lichsza i marniejsza, tem większa brała go na siebie złość, że jednak jej ulega. Późniomy przedmiot i płaska żądza! — nie było się nawet czem przed sobą wytłómaczyć. A pomimo tego ściany domu poczęły się rysować. Połaniecki był obecnie człowiekiem religijnym — i to z przekonania, miał zaś za dużo szczerości wobec siebie samego, by wejść w układ ze swemi zasadami i powiedzieć sobie, że nawet najbar-

dziej wierzącym ludziom, zdarzają się podobne sprawy. Nie! Był on z natury człowiekiem dość bezwzględny i logika mówiła mu: „albo, albo!“ — czuł zaś, że tak mówi słusznie. Pokusie dotąd nie uległ, lecz gniewało go już to samo, że ją ma, albowiem prowadziło go do zwątpienia o własnym charakterze. Uważając się za lepszego od innych, nagle stanął wobec pytania, czy nie jest lichszym od innych, bo jednak pokusę nietylko miał, ale czuł, że w danym razie mógłby się jej poddać.

Nieraz, patrząc na panią Osnowską, powtarzał sobie zdanie Konfucjusza: „Kobieta zwyczajna ma tyle rozumu, co kura; kobieta nadzwyczajna — tyle, ile dwie kury“ — na widok zaś pani Maszkowej przychodziło mu do głowy, że są kobiety, względem których ta oburzająca prawda chińska jest jeszcze pochlebstwem. Gdybyż przynajmniej można było powiedzieć o pani Maszkowej, że jest szczerze głupia, stanowiłoby to pewien jej rys indywidualny. Ale ona była żadna. Kilkanaście lub kilkadziesiąt formułek uczyniło z niej przyzwoitą nicość. Równie jak dwieście lub trzysta wyrazów stanowi cały język mieszkańców Nowej Gwinei i zaspakaja wszystkie ich potrzeby, tak owe formułki wystarczały pani Maszkowej do stosunków towarzyskich, do myślenia i życia. Zresztą była bezdennie bierna, z tym odcieniem automatycznej powagi, jaką wytwarza ciasnota umysłowa i ślepa wiara, że gdy się zachowuje odpowiednie formy, nie można błędzić. Połaniecki taką ją znał i taką nieraz wyśmiewał, jeszcze jako pannę. Nazywał ją lalką, manekinem, miał do niej złość za owego lekarza, który dla niej zmarniał gdzieś, gdzie pieprz rośnie — lekceważył ją i nie lubił

jej. Ale nawet i wówczas, ilekroć ją widział, czy to u Bi-gielów, czy gdy w sprawie Maszki chodził do pani Kra-sławskiej, zawsze wracał pod fizycznym jej wrażeniem, z którego doskonale zdawał sobie sprawę. Ta zgaszona twarz, ów bierny, roślinny spokój jej wyrazu, ów chłód w zachowaniu się, owe zaczerwienione częstokroć oczy, owe wysmukłe kształty, miały w sobie coś, co go nie-zwykle pociągało. Tłómaczył to sobie wtedy jakimś pra-wem naturalnego doboru, i określiwszy rzecz technicznie, przestawał na tem, albowiem wrażenie, jakie czyniła na nim Marynia, było jeszcze większe, więc za niem po-szedł. Ale obecnie Marynia była jego i oswoił się z jej pięknnością, która zresztą na czas pewien znikła; złożyło się zaś tak, że z powodu częstych wyjazdów Maszki, wi-dywał panią Maszkową prawie codziennie, skutkiem czego dawne wrażenia nie tylko odżyły, ale, w warun-kach, w jakich znajdował się Połaniecki ze względu na Marynię, odżyły z niespodzianą potęgą. I stało się wresz-cie, że on, który nie zgodził się być paskiem do ostrzenia się dla dziesięć razy piękniejszej i bardziej uroczej pani Osnowskiej, on, który się oparł jej rzymskim fantazyom, on, który uważał się za człowieka zasad, silniejszego cha-rakterem i tęższego umysłem od innych ludzi, spostrzegł teraz, że gdyby pani Maszkowa chciała trącić nóżką w ów gmach, to wszystkie jego wiązania mogłyby się rozluźnić, i pułap mógł mu spaść na głowę. Zapewne — nie prze-stalby żony kochać, bo się do niej szczerze i głęboko przywiązał — ale czuł, że byłby w stanie ją zdradzić — i to nie tylko ją, ale siebie samego, swoje zasady, swoje pojęcia o tem, jakim uczciwy i moralny człowiek być

powinien. Z pewnym przestraczem, a zarazem i ze złością, odnalazł w sobie nietylko zwierzę ludzkie, ale i słabe zwierzę. Niepokoił się tem, buntował się przeciw owej słabości, a jednak nie mógł jej zmódz. Prostą rzeczą było wobec tego nie widywać pani Maszkowej, lub widywać ją jak najrzadziej — on tymczasem wynajdywał powody, by ją widywać jak najczęściej. Z początku chciał się sam nimi uspić, ale wobec wrodzonej mu szczerości wewnętrznej, było to niemożliwe i kończyło się na tem, że tylko sobie wymyślał. Natomiast oszukiwał nimi żonę i kogo wypadło. Gdy był razem z panią Maszkową, nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nią, od obejmowania wzrokiem jej twarzy i całej postaci. Brała go chorobliwa ciekawość, jakby ona znalazła się w razie, gdyby wobec niej wydał się z tem, co się w nim działo, coby wówczas rzekła — i lubował się mimowoli w przypuszczeniach, że zachowałaby się zupełnie biernie. Z góry nią za to pogardzał, ale tem bardziej stawała mu się pożądaną. Odkrywał w sobie całe góry zepsucia, które przypisywał swemu długiemu pobytowi zagranicą i, mając się dotychczas za niepożytą i zdrową naturę, poczynił się niepokoić, czy się na sobie nie pomylił i czy owo dziwne wrażenie, jakie czyniła na nim istota tak mało pojętna, nie jest objawem jakiejś newrozy, toczącej go mimo jego wiedzy. Nie przyszło mu do głowy, że mogą istnieć takie nawet stany, w których dusza męska kobietą wprost pogardza, a zwierzę ludzkie tęskni do niej.

W niej zaś instykt zastępował bystrość; nie była już zresztą dość naiwną, by nie rozumieć, co znaczył jego ślizgający się po jej postaci wzrok. lub co wyrażały

jego oczy, gdy, rozmawiając z nią, zwłaszcza gdy byli sami, patrzył z pewnym uporem w jej twarz. I naprzód doznała pewnego zadowolenia miłości własnej, jakiemu trudno się oprzeć nawet kobiecie uczciwej, gdy widzi wywierane przez siebie wrażenie, gdy czuje się wyróżnioną, bardziej pożądaną od innych — słowem: zwycięską. Poza tem gotowa była nie uznawać i nie widzieć niebezpieczeństwa, jak nie chce go widzieć kuropatwa, gdy chowa głowę w śnieg, czując krążącego nad sobą jastrzębia. Tym śniegiem były dla pani Maszkowej pozory. I Połaniecki to czuł. Wiedział jeszcze z kawalerskiego doświadczenia, że są kobiety, którym przedewszystkiem chodzi o ocalenie pewnych, często nawet dziwacznych, pozorów. Pamiętał takie, które wybuchały oburzeniem, gdy mówił do nich po polsku to, czego słuchały z uśmiechem po francusku; spotykał i takie, które były jak nieprzystępne twierdze u siebie w domu i w mieście, a jak wolne miasta na letnich mieszkaniach, na wodach, lub w kąpielach — i takie, które znosiły zamach, a nie znosiły słów — i takie, dla których rozstrzygającą rzeczą było światło i ciemność. Wszędzie, gdzie uczciwość nie płynęła z duszy i z zasad, wszczepionych jak ospa w krew, opór lub upadek zależały od przypadku, od otoczenia, od zewnętrznych, nieraz błahych, warunków, od osobistych pojęć o pozorach przyzwoitości. Sądził, że takby być mogło i z panią Maszkową, i jeśli nie wszedł dotychczas na drogę prób i doświadczeń, to tylko dlatego, że walczył sam z sobą, że się nie chciał poddać i że, pogardzając nią na dnie duszy, pragnął uniknąć pogardy dla siebie. Hamowało go też przywiązanie do Maryni

i współczucie, jakby pomieszane z czcią dla jej stanu, i wdzięczność dla niej, i nadzieja ojcowstwa, którą się wzruszał, i pamięć na krótkość czasu, który ze sobą przeżyli. i uczciwość, i uczucia religijne. Były to niby łańcuchy, na których trzymał jeszcze szarpiące się zwierzę ludzkie.

Nie trzymał jednak z równą zawsze siłą. Raz, a mianowicie tego wieczora, w którym spotkał ich Zawilowski, o mało się nie zdradził. Na myśl, że Maszko wraca i że pani Maszkowa dlatego śpieszy do domu, ogarnęła go nagle nizka, czysto fizyczna zazdrość, i rzekł z pewną złością, tłumioną, ale wyraźną:

— Tak! rozumiem pani pośpiech! Ulisses wraca, więc Penelopa musi być w domu, ale...

Tu uczuł ochotę kłąć.

— Ale co? — spytała pani Maszkowa.

Połaniecki zaś odrzekł bez żadnego zastanowienia:

— Właśnie dziś chciałbym panią dłużej zatrzymać!

— Nie wypada! — odpowiedziała krótko, swoim jakby precedzonym przez drobne sitko głosikiem.

I w tem: „nie wypada!“ była cała jej dusza.

On wrócił, klnąc naprawdę ją i siebie, a wróciwszy, zastał w jasnym, spokojnym pokoju Marynię z Zawilowskim, dowodzącą, że w małżeństwie winno się szukać nie jakiegoś urojonego szczęścia, ale obowiązków, które Bóg wówczas wkłada.

IV.

— Co mi pani Osnowska i co mi jej wszystkie sprawy? — mówił sobie nazajutrz Zawilowski, idąc do pani Broniczowej — ja nie żenię się z panią Osnowską, tylko z *tyją moją!* Po com ja się wczoraj tak szarpał i dręczył?

I rzekłszy to do „swojej duszy wyniosłej“, począł już tylko myśleć o tem, co powie pani Broniczowej, albowiem, mimo upewnień Osnowskiego, mimo wszelkiej nadziei, że ta rozmowa będzie tylko jakąś formą, którą trzeba wypełnić, mimo zaufania do serca Linety i dobroci pani Broniczowej, „wyniosła dusza“ była w strachu. Zastał obie panie razem — i już, ośmielony dniem wczorajszym, przycisnął do ust rękę Castelki, która spłoniwszy się leciuchno, rzekła:

— A ja uciekam!

— Niteczko, zostań! — rzekła pani Broniczowa.

— Nie — odpowiedziała — boję się i tego pana, i cioci.

Tak mówiąc, zaczęła się ocierać swoją złotawą

główką, jak rozpieszczona kotka, o ramię pani Broniczowej, powtarzając:

— Ciociu, nie zrób mi krzywdy! nie zrób mi krzywdy!

I spojrzawszy na niego, uciekła rzeczywiście. Zawilowski ze wzruszenia i nadmiaru miłości blady był jak płótno, a pani Broniczowa miała łzy na rzęsach.

I widząc, że on gardło ma tak ściśnięte, że łatwiejby mu było płakać, niż mówić, rzekła:

— Ja wiem, po co pan przychodzi. Widziałam ja od dawna, co się w was dzieje, moje dzieci...

Zawilowski chwycił jej ręce i począł je kolejno do ust przyciskać, ona zaś mówiła dalej:

— Och, ja sama w życiu zbyt wiele czułam, że-
bym się nie miała znać na prawdziwych uczuciach —
powiem więcej: to moja specjalność! Kobiety żyją tylko
sercem i umieją serce odgadywać. Wiem, że pan Niteczkę
prawdziwie kocha i jestem pewna, że, gdyby ona pana
nie kochała, lub gdybym ja jej panu odmówiła, toby pan
tego nie przeżył — prawda?

Tu poczęła patrzeć na niego pytającym wzrokiem,
on zaś rzekł z wysileniem:

— Niechybnie pani! Nie wiem, co by się ze mną
stało!

— A co? ja to zaraz odgadłam! — odrzekła z roz-
promienioną twarzą. — Ach, mój drogi panie, mnie dość
spojrzeć! — to też nie będę złym duchem dla pańskiego
geniuszu. Nie! ja tego nie zrobię, ja nie mogę tego zro-
bić! Kogo ja znajdę dla Niteczki? gdzie człowiek, któryby
jej był wart? któryby miał w sobie to wszystko, co ona

głównie kocha i ceni? Ja jej nie mogę oddać za takiego Kopowskiego i nie oddam, panie! Pan Niteczki może tak dobrze nie zna, jak ja, ale ja nie mogę i nie oddam!

Zawiłowskiego, mimo całego wzruszenia, zdziwiła ta energia, z jaką pani Broniczowa odmawiała ręki „Niteczki“ Kopowskiemu, tak, jak gdyby on właśnie Kopowskiego, nie siebie, oświadczał, ciocia zaś mówiła dalej, wzruszona, ale widocznie lubująca się we własnych słowach i w położeniu:

— Nie! o Kopowskim mowy być nie mogło! Pan jeden potrafi uszczęśliwić Niteczkę. Pan jeden potrafi jej dać to, czego ona potrzebuje. Ja już od wczoraj wiedziałam, że pan będzie ze mną dziś mówił... Przez całą noc ani oka nie zmrużyłam. Niech się pan nie dziwi. Tu przecież o Niteczkę chodzi! — więc wahałam się jeszcze! Strach mnie brał przed dzisiejszą rozmową, bom z góry wiedziała, że się panu nie oprę, że pan porwie mnie swoim uczuciem i swoją wymową, tak jak wczoraj porwał pan Niteczkę...

Zawiłowski, który ani wczoraj, ani dziś, nie umiał słowa wybąkać, nie mógł jakoś zdać sobie sprawy, w czym właściwie leżała siła jego wymowy i kiedy miał czas z nią się popisać; lecz pani Broniczowa nie pozwoliła mu zastanowić się dłużej nad tem pytaniem:

— I wie pan, co zrobiłam? Oto, co zawsze czynię w najważniejszych chwilach życia. Rozmówiwszy się wczoraj z Niteczką, poszłam dziś rano na grób męża. On tu leży, w Warszawie... (Nie wiem, czy panu mówiłam, że on był ostatnim z Rury... a tak! mówiłam!) Ach, drogi panie, co to dla mnie za ucieczka ten grób — i ile już

wyniosłam stamtąd dobrych natchnień!... Czy chodziło o edukację Niteczki, czy o jaką podróż, czy o lokatę kapitałów, które mąż mi zostawił, czy o pożyczkę, której ktoś z krewnych, albo znajomych żądał, ja zawsze tam, jak w dym! I da pan wiarę? Nieraz, hipoteka, zdaje się, dobra, interes doskonały, nieraz nawet serce nakazuje dać, lub pożyczyć — a mąż, tam z głębi wiekuistego spoczynku, powiada: „Nie daj!“ — i nie dawałam! I nigdy źle na tem nie wyszłam! Ach, drogi panie! pan, który wszystko czuje i rozumie, pan pojmie, jak się dziś modliłam, jak ze wszystkich sił duszy pytałam: „Dać Niteczkę, czy nie dać Niteczki?“

Tu chwyciła go rękoma za skronie i zawołała przez łzy:

— Ale mój Teodor odpowiedział: „Dać!“ — więc ci ją daję — i moje błogosławieństwo w dodatku!

Łzy zgasiły istotnie dalszą wymowę pani Broniczowej. Zawilowski klęknął przy niej, panna „Niteczka“, która weszła, jakby na umówioną chwilę, rzuciła się przy nim na kolana, pani Broniczowa zaś, wyciągnąwszy ręce, mówiła, łkając:

— Ona twoja! twoja! Daję ci ją ja — i daje Teodor!

Potem wstali we troje. Ciocia nakryła oczy chustką i pozostała bez ruchu; zwolna jednak poczęła nieco uchylać chustki, spoglądać z boku na oboje młodych; nagle rozśmiała się i, grożąc im palcem, rzekła:

— Oj, wiem ja, czego by się wam teraz chciało! Chcielibyście zostać sami. Pewno macie sobie teraz coś do powiedzenia — prawda?

I wyszła. Zawilowski wziął wówczas ręce panny Castelli i patrzył z upojeniem w jej oczy.

Poczem siedli, i ona, pozostawiwszy swoje dłonie w jego rękach, oparła skroń na jego ramieniu. Była to jakby pieśń bez słów. Zawilowski począł pochylać głowę ku jej jasnej twarzy, Lineta przymknęła oczy, ale on był zbyt młody, zbyt nieśmiały, nadto czcił i kochał, więc nie odważył się jeszcze dotknąć ustami ust, tylko całował jej złotawe włosy — a i tak, pokój, w którym siedzieli, począł się z nim kręcić, ziemia zaczęła się kręcić; potem wszystko znikło mu z przed oczu, stracił pamięć, gdzie jest, co się z nim dzieje, słyszał tylko bicie własnego serca, czuł woń tych jedwabnych włosów, które muskały jego wargi, i zdało mu się, że w tem jest świat.

Lecz to był tylko sen, z którego trzeba się było zbudzić. Po pewnym czasie ciocia zaczęła uchylać lekko drzwi, jakby chcąc jak najmniej stracić z romansu, w którym odegrała, przy pomocy Teodora, rolę opiekuńczego ducha; w przyległym pokoju ozwały się głosy państwa Osnowskich i w chwilę później panna Castelli znalazła się w ramionach cioci, z których przeszła w objęcia pani Anety, Osnowski zaś, ściskając ze wszystkich sił ręce Zawilowskiego, mówił:

— A jaka radość w domu, jaka radość! — bośmy cię tu wszyscy szczerze pokochali: ja, i ciocia, i Anetka, nie mówiąc już o tej małej.

Poczem zwrócił się do żony i rzekł:

— Wiesz, Anetko, czego ja Ignasiowi jeszcze wczoraj życzyłem? — żeby im tak było ze sobą, jak nam!

I chwyciwszy jej rękę, począł je namiętnie całować. Zawilowski, jakkolwiek wogóle nie wiedział, co się z nim dzieje, odzyskał jednak o tyle przytomność, że spojrział w twarz pani Anety; lecz ona odrzekła wesoło, odbierając mężowi rękę:

— Nie! Im będzie lepiej, bo Castelka nie taki trzpiot, jak ja, a pan Zawilowski nie będzie jej tak natarczywie całował rąk przy ludziach. No, Józiu, puść!

— Niech ją tylko tak kocha, jak ja ciebie, mój skarbie, moja dziecinko! — odpowiedział rozpromieniony Józio.

Zawilowski tego dnia został aż do wieczora u pani Broniczowej i nie poszedł wcale do biura. Po śniadaniu wyjechali powozem wraz z cicią i panną Linetą, pani Broniczowa bowiem chciała ich koniecznie światu pokazać. Przejazdźka w Aleje niezupełnie się jednak udała z powodu krótkiego, nawalnego dżdżu, który rozpędził powozy. Po powrocie, pan Osnowski, pocziwy jak zawsze, postawił nowy wniosek, który Zawilowskiego uszczęśliwił:

— Przytułów nam nie ucieknie — rzekł — mieszkamy tu i tak, jakby wpół na wsi, a że dosiedzieliśmy do końca czerwca, więc możemy posiedzieć jeszcze parę dni. Niechże ta zakochana para zamieni pierścionki przed wyjazdem, a przytem, niech nam z Anetką wolno będzie wyprawić im zaręczynowy wieczorek. Dobrze, ciciu? Widzę, że oni nic nie mają przeciw temu, a Ignasiowi będzie pewno przyjemnie mieć na zaręczynach swoich blizkich, państwa Połanieckich, państwa Bigielów... u tych ostatnich wprawdzie nie bywamy, ale to nic! Jutro bę-

dziemy u nich z wizytą i rzecz się załatwi. Dobrze, Ignasiu? dobrze, ciociu?

Ignas był oczywiście w siódmym niebie; co do cioci, nie wiedziała wprawdzie, jakiego zdania byłby pod tym względem Teodor — i poczęła się wahać. Ale na-przód, można było Teodora jeszcze o to zapytać, a po-wtóre, przypomniała sobie, że tak wielkim głosem odpo-wiedzial ze swego miejsca wiekuistego spoczynku: „Dać!“ że niepodobna było mieć wątpliwości co do jego dobrych chęci — w końcu więc zgodziła się na wszystko.

Po obiedzie nadszedł codzienny niemal gość, Ko-powski — i okazało się, że był jedyną istotą w willi, której wieść o uczuciach i zaręczynach młodej pary nie sprawiła radości. Twarz jego wyrażała przez jakiś czas niewypowiedziane osłupienie, w końcu zaś rzekł:

— A ja, tobym się nigdy nie był domyślił, że panna Lineta pójdzie za pana Zawilowskiego.

Pan Osnowski zaś, trąciwszy łokciem Zawilow-skiego, przymrużył oko i rzekł mu po cichu z wielce przebiegłą miną:

— Uważałeś? Ja ci wczoraj jeszcze mówiłem, że on się podkochuje w Castelce.

Zawilowski opuścił późnym wieczorem willę Osnow-skich. Wróciwszy do siebie, nie zabrał się jednak do wierszy — choć zdawało mu się teraz, że jest jakąś harfą, której struny dźwięczą same przez się — ale do biurowej korespondencji i do rachunków, których we dnie nie mógł odrobić.

W biurze ujęło to wszystkich tak dalece, że gdy państwo Bigielowie po wizycie Osnowskich byli u nich

z rewizytą, a zarazem z pierwszemi odwiedzinami u pani Broniczowej, Bigiel rzekł:

— Co są warte wiersze pana Zawilowskiego, to paniom wiadomo, ale może panie nie wiedzą, jaki to sumienny człowiek. Ja mówię dlatego o tem, że to u nas rzadka rzecz. Wtedy, jak tu u pań bawił cały dzień i nie mógł być w biurze, to je sobie kazał w nocy otworzyć dyżurnemu, zabrał książki i listy do domu i odrobił, co do niego należało. To miło pomyśleć, że się ma z takim człowiekiem do czynienia, bo takiemu można ufać.

Tu jednak zacny spółnik Domu pod firmą Bigiel i Połaniecki, zdziwił się, że tak wysoka pochwała z jego ust tak małe uczyniła wrażenie i że pani Broniczowa, zamiast okazać radość, odrzekła:

— Ach, mamy nadzieję, że w przyszłości pan Zawilowski będzie się mógł oddać pracy odpowiedniejszej jego pozycji i zdolnościom.

Wogóle wrażenie, jakie obie strony odniosły z poznania się, dowodziło, że obydwom było ze sobą jakoś nieswojo. Bigielom podobała się wprawdzie panna Lineta, ale on, odchodząc, szepnął żonie: „Jak oni tu sobie wygodnie żyją“. Miał poczucie, że duszą tej całej willi jest jakby ciągle świętowanie, czyli próżniactwo, ale nie miał daru prędkiego wyrażania swych myśli.

Pani Broniczowa, po ich odejściu, mówiła do panny Castelki:

— Zapewne, zapewne!... To muszą być wyśmienici ludzie — tak!... Doskonali ludzie! jestem pewna... Tak!... zapewne!...

I jakoś nie kończyła swej myśli, ale „Niteczka“ musiała ją jednak zrozumieć, albowiem odrzekła:

— Przecie to nie żadni jego krewni.

Ale w kilka dni później odezwali się i krewni. Zawilowski, który dotąd, mimo życzenia pani Broniczowej, nie był z przeprosinami u starego pana Zawilowskiego, odebrał od niego list następujący:

— „Panie Żbiku! Podrapałeś mnie niesłusznie, bo ja cię nie chciał obrazić, a że mówię zawsze to, co myślę, to mi wolno, bom stary. Musieli ci też powiedzieć, że ja twojej pannie w oczy nie mówię inaczej, jak „Półdyablę weneckie“. Ale Bóg cię tam wiedział, że się kochasz i żenisz. Ja się o tem wczoraj dopiero dowiedział i teraz dopiero rozumiem, czemuś mi skoczył do oczu; ale że wolę paliwodów, niż ciemiegów, a nie mogę przez tę dyablą pedogrę przyjść sam do ciebie, żeby ci powinnować, przeto przyjdź ty do starego, który ci jest życliwszy, niż myślisz“.

Po takim liście Zawilowski poszedł tego samego dnia i został przyjęty z serdecznością cokolwiek mrukliwą, ale tak szczerą, że tym razem stary weredyk podobał mu się naprawdę i że naprawdę poczuł w nim krewnego.

— Niech cię Bóg błogosławi i Najświętsza Panna — rzekł stary. — Ja cię mało znam, ale tyłem o tobie sły-szał, że chciałbym, żebym o wszystkich Zawilowskich mógł tak słyszeć.

I począł ścisnąć jego rękę, poczem, zwróciwszy się do córki, rzekł:

— I jeniałna bestya, co?

Na odchodnem zaś spytał:

— A cóż „Teodor?“ Nie bruździł ci tam za-
nadto? co?

Zawiłowski, który, jako artysta, posiadał w wyso-
kim stopniu poczucie śmieszności i któremu w duszy
wydał się także ów Teodor komiczny, roześmiał się i od-
powiedział:

— Nie. Przeciwnie: był za mną.

A stary począł kręcić głową:

— To dyabło wygodny Teodor! Miej się na bacz-
ności, bo to wyga!

Pani Broniczowa miała jednak tyle prawdziwej czi-
dła majątku i towarzyskiego położenia starego pana Za-
wiłowskiego, że zaraz na drugi dzień poszła do niego
w odwiedzinę i poczęła mu niemal dziękować za tak
uprzejme przyjęcie krewniaka. Ale szlachcic niespodzianie
rozgniewał się:

— Cóż to pani myślisz, że ja jaki furfant? —
rzekł. — Pani słyszałaś ode mnie, że ubodzy krewni, to
plaga — i myślisz, że ja mam im to za złe, że gołi.
Nie!... Pani mnie nie znasz! Tylko, wiedz pani o tem,
że jak szlachcic straci wszystko i zrobi się goły, to naj-
częściej staje się szuja. Takie nasze charaktery, albo ra-
czej, taki ich brak. A ten Ignacy — slysze zewszad —
porządny człowiek, choć goły, i dlatego go kocham.

— I ja go kocham — odrzekła pani Broniczowa. —
Wszakże pan będzie na zaręczynach?

— C'est décidé. Choćbym się miał kazać zanieść!...

Pani Broniczowa wróciła rozpromieniona i przy
śniadaniu nie mogła się powstrzymać od wypowiedzenia
przypuszczeń, które jej bujna fantazyja poczęła tworzyć:

— Pan Zawilowski — rzekła — to milionowy człowiek i bardzo przywiązany do nazwiska. Zupełnie bym się nie dziwiła, gdyby naszego Ignasia zrobił swoim spadkobiercą, jeśli nie w głównej, to przynajmniej w znacznej części, albo gdyby który ze swych majątków w Poznańskim zmienił dla niego na ordynacyę. Zupełnie bym się nie dziwiła.

Nikt nie zaprzeczył, bo widziano i takie wypadki na świecie; dlatego po śniadaniu pani Broniczowa, uściśnawszy Niteczkę, szepnęła jej do ucha:

— Oj, ty, ty! przyszła pani ordynatowo!

Wieczorem zaś rzekła Zawilowskiemu:

— Niech się pan nie dziwi, że ja się tak do wszystkiego mieszam, ale ja przecie wasza mama. Otóż mama ogromnie ciekawa, jaki pierścionek pan przygotowuje dla Niteczki? Prawda, że to będzie coś ładnego? Tyle ludzi będzie na tych zaręczynach! A przytem nie ma pan pojęcia, co to za malec wybredny! Ona taka nawet w drobniakach estetyczna — i ma swój własny gust, ale jaki! ho! ho!

— Ja, chciałbym, pani — odpowiedział Zawilowski — żeby w kamieniach były kolory, oznaczające wiarę, nadzieję i miłość, bo w niej moja wiara, moja nadzieja i moja miłość.

— Bardzo śliczna myśl! Mówił pan już o tem z Niteczką? Wie pan co? W środku niech będzie perła, na znak, że ona perła. Teraz symbole w modzie. Czy ja panu mówiłam, że pan Świrski, jak jej dawał lekcye, to ją nazywał: „La perla?“ A tak, mówiłam panu! Pan nie zna pana Świrskiego? On także... Mówił mi Józio

Osnowski, że on dziś-jutro przyjeżdża. Więc to szafir, rubin, szmaragd i w środku perelka?... O tak! pan Świrski także... Czy pan będzie na pogrzebie?

— Na czym, pani?

— Pana Bukackiego. Bo Józio Osnowski mówił mi, że pan Świrski przywiózł jego ciało.

— Nie znalazłem go, nigdy go w życiu nie widział.

— To lepiej. Niteczka będzie wolała, że pan go nie znalazł! Bóg w miłosierdziu swoim może mu przebaczyć, pomimo, że dla mnie nie był nigdy sympatyczny, a Niteczka nie mogła go znieść. Ale mała będzie rada z pierścionka, a jak ona rada, to i ja rada.

A „Mała“ nietylko była rada z pierścionka, ale z życia wogóle. Rola narzeczonej nabierała dla niej coraz większego uroku. Przyszły śliczne, bardzo widne noce, w czasie których przesiadywali z Zawilowskim na balkonie i przytulając się do siebie, patrzyli na drganie światła na liściach, albo gubili wzrok w srebrnej kurzawie drogi mleczej i w rojach gwiazd. Od rosnącej pod balkonem akacyi szedł w górę zapach mocny i odurzający, jak z wielkiej kadzielnicy. W nich zmysły zdawały się usypiać, dusze zaś, ukołysane ciszą, same zmienione w czyste światło, rozpraszały się niejako wśród nocnych głębin, stapiały się w jedność z łagodnym blaskiem księżyca — i tak, oboje, siedząc z dłonią w dłoni, w półzapamiętaniu, w pół-śnie, zatracali prawie poczucie odrębnego bytu i życia, zachowując tylko pół-świadomość jakiegoś powszechnego szczęścia i powszechnego „sursum corda“.

Zawilowski, gdy się potem rozbudził i wracał do

rzeczywistego życia, rozumiał, że takie chwile, w których serce topnieje w owym panteizmie miłości i bije tem samym tętnem, jakim drga wszystko, co kocha się, łączy i łądzi we wszechświecie, są najwyższem szczęściem, jakie miłość dać może, i tak niezmiernem, że gdyby trwało dłużej, musiałoby zniszczyć ludzką jednostkę. Lecz, mając duszę idealisty, przypuszczał, że gdy przychodzi śmierć i oczyszcza z materii monadę ludzką, wówczas te chwile zmieniają się w wieczność — i w ten sposób wyobrażał sobie niebo, w którem nic nie jest pochłoniętem, lecz wszystko tylko złączonem i zładzonem z ogólną harmonią.

Panna Lineta nie mogła wprawdzie szybować jego lotem, lecz odczuwała jakby pewien zawrót głowy, jakby pewne upojenie od jego pędu i czuła się także szczęśliwą. Kobieta, nawet niezdolna kochać człowieka, kocha jednakże miłość, a co najmniej, siebie i swoją w niej rolę, i dlatego najczęściej z radością przestępuje próg narzeczeństwa, czując zarazem wdzięczność dla mężczyzny, który otwiera przed nią nowe widnokreśli życia. Przytem, w pannę Linetę wmawiano miłość tak mocno, że w końcu uwierzyła w nią zupełnie.

I raz, gdy Zawilowski spytał jej, czy jest pewna siebie i swego serca, podała mu obie ręce, jakby z wyłaniem i odrzekła:

— O tak; teraz już wiem, że kocham.

On przycisnął wysmukłe jej palce do ust, do czoła, do oczu, jak coś świętego, ale zaniepokoił się jednak jej słowami i spytał:

— Czemu dopiero „teraz“ Niteczko? Czy była chwila w której myślałaś, że nie będziesz mnie mogła pokochać?

Panna Castelli podniosła w górę swe czarne oczy i zamysliła się nieco; po chwili w kącikach jej ust i w dołkach twarzy począł się zbierać uśmiech:

— Nie — rzekła — ale ja jestem wielki tchórz. więc się bałam. Ja rozumiem, że kochać pana, to inna rzecz, niż kochać pierwszego z brzegu.

I nagle poczęła się śmiać:

— Och! z panem Kopowskim to byłoby simple comme bonjour! Ale z panem!... Może ja nie umiem tego dobrze wyrazić, ale nieraz mi się zdawało, że to tak, jakby wstępować na jakąś górę, albo na jakąś wieżę. Gdy się raz stanie na wierzchołku, widać świat cały, przedtem jednak trzeba iść i iść, i trudzić się, a ze mnie — taki leniuszek!...

Zawiłowski, jak był długi i kościsty, wyprostował się i rzekł:

— Jak mi się mój drogi leniuszek zmęczy, to go wezmę na ręce, jak dziecko i poniosę choćby najwyżej.

— A ja się będę przytulała, żeby jak najmniej ciążyć — odpowiedziała Castelka, ściskając ramionka i wchodząc w rolę małego dziecka.

Zawiłowski zaś ukląkł przed nią i począł całować brzeżki jej sukni.

Zdarzały się jednak na tem niebie i chmurki, ale nie oni temu byli winni. Młodemu człowiekowi zdawało się czasem, że jego uczucie nadto jest dozorowane, że i pani Broniczowa i pani Osnowska zanadto sprawdzają, czy kocha, zanadto rozpatrują, jak kocha. Tłómaczył to

sobie wprawdzie ciekawością kobiecą i wogóle zajęciem, jakie w kobietach wzbudza miłość, ale wolałby był mieć więcej swobody i wolałby był, żeby mu nie pomagano kochać. Uczucie swe uważał za świętość i przykro mu było czynić z niego wystawę dla niepowołanych oczu, a tymczasem śledzono każdy jego ruch i każde słowo. Przypuszczał także, że się muszą potem odbywać kobiece sesye, na których pani Broniczowa z panią Osnowską wydają swoje „approbatur“, i ta myśl gniewała go, bo sądził, że obie nie są nawet w stanie zrozumieć jego uczucia.

Gniewało go również, że Kopowski został zaproszony do Przytułowa i że wybierał się tam razem ze wszystkimi, ale w tym wypadku chodziło mu tylko o Osnowskiego, którego szczerze polubił. Pozorem do tych zaprosin był niedokończony przez pannę Linetę portret Kopowskiego. Zawilowski rozumiał teraz jasno, że wszystko stało się tak za namową pani Osnowskiej, która doskonale umiała ludziom podsuwać swoje życzenia, jako ich własne. Chwilami przychodziło mu nawet do głowy prosić pannę Linetę, by zaniechała kończenia tego portretu, ale wiedział, że ją zasmuci tem żądaniem, jako artystkę, a przytem bał się, by go nie posądzono o zazdrość o takiego mydłka, jak „Koposio“.

V.

Świrski przyjechał istotnie z Włoch z ciałem Bukackiego i zaraz na drugi dzień po przyjeździe poszedł do Połanieckich. Zastał jednak tylko Marynię, mąż jej bowiem wyjechał był za roгатki dla oglądania jakiejś wystawionej na sprzedaż kolonii. Marynię znalazł tak zmienioną, że z trudnością ją poznał, ale że w Rzymie polubił ją ogromnie, więc się tylko tem bardziej rozczulił jej widokiem; po chwili zresztą wydała mu się tak wzruszająca i tak w swoim rodzaju piękna w aureoli przyszłego macierzyństwa, a prócz tego tyle mu nasunęła artystycznych porównań z rozmaitemi „primitivami“ rozmaitych szkół włoskich, że, wedle zwyczaju, zaczął głośno swoje zachwyty wypowiadać. Ona śmiała się z jego oryginalności, ale jednak dodał jej pewnej w biedzie otuchy i rada była, że przyjechał — naprzód dlatego, że czuła szczerą sympatyę dla tej krzepkiej i zdrowej natury, a powtóre, iż była pewną, że się będzie nad nią zachwycał i przy „Stachu“, a tem samem podnosił ją w jego oczach.

Zatrzymała go też dość długo, chcąc, by doczekał

powrotu Połanieckiego; ten jednak wrócił dopiero późnym wieczorem, a tymczasem nadszedł Zawilowski, który teraz, potrzebując kogoś, przed kimby mógł wylewać swój nadmiar szczęścia, odwiedzał panią Połaniecką dosyć często. Przez chwilę obaj ze Świrskim spoglądali na siebie z pewną ostrożnością, jak się zwykle zdarza ludziom wybitnym, którzy wzajem obawiają się wygórowanych pretensyi, a natomiast tem łatwiej przystają do siebie, gdy spostrzegą, że obaj są prości. Tak stało się i z nimi. Do złamania lodów przyczyniła się także i Marynia, przedstawiając Zawilowskiego, jako narzeczonego znajomej Świrskiemu panny Castelli.

— Jakże! — zawołał Świrski — znam doskonale. To moja uczenica!

I począł ścisnąć ręce Zawilowskiego, poczem mówił:

— Pańska narieczona ma Tycyanowskie włosy... Trochę za wysoka, ale i pan wysoki. Takiego osadzenia głowy ze świecą szukać! Pan naturalnie musiał zauważyć, że ona ma w ruchach coś łabędziego. Ja nawet nazywałem ją Łabędziem.

— „La perla“ — pamięta pan?

Świrski spojrział na niego z pewnem zdziwieniem:

— To jest taki obraz Rafaela w Madrycie — odpowiedział — w Museo del Prado. Skąd panu przysłała na myśl „La perla?“

— Zdaje mi się, że o niej coś od tych pań słyszał — rzekł zbity nieco z tropu Zawilowski.

— A tak, być może, bo ja mam u siebie w pracowni, na via Margutta, kopię własnej roboty.

Zawilowski powiedział sobie w duchu, że jednak

trzeba być więcej ostrożnym w powtarzaniu słów pani Broniczowej, i po jakimś czasie począł się zbierać, szedł bowiem na wieczór do narzeczonej. Świrski podążył wkrótce za nim, zostawiwszy Maryni adres swojej warszawskiej pracowni i prosząc, by Połaniecki zobaczył się z nim w sprawie pogrzebu jak najprędzej.

Jakoż Połaniecki wybrał się do niego nazajutrz rano. Pracownia Świrskiego stanowiła rodzaj szklanej hali, przyczepionej jak gniazdo jaskółcze do dachu jednego z kilkupiętrowych domów, i trzeba było do niej iść osobnymi krętymi schodami, jak na wieżę. Natomiast artysta miał w niej zupełną swobodę i widocznie nie zamykał drzwi, albowiem Połaniecki, idąc do góry, usłyszał tępy dźwięk żelaziwa i basowy głos, śpiewający:

„Wiosna ciepłem na świat chucha,

„Kwitną ciernie i rzezucha,

„A ja śpiewam, zamiast szlochać,

„Bom cię także przestał kochać!

Hu-ha-hu!!

— Dobrze — pomyślał Połaniecki, przystając dla nabrania tchu — ma bas, bo ma! Ale czem on, u licha, tak szczekà?

Lecz przeszedłszy resztę schodów, a następnie mały korytarzyk, zrozumiał powód, ujrawszy przez odemknięte drzwi Świrskiego, przybranego do pasa tylko w siatkową koszulkę, z pod której przeglądał jego herkulesowy tors — i z hantlami w ręku.

— O! jak się pan ma! — począł wołać Świrski, kładnąc hantle na widok gościa. — Przepraszam, żem

nieubrany, ale to nic; przytem się trochę hantlowałem. Wczoraj zaraz byłem u państwa, ale zastałem tylko panią. Cóż panie! przywiozłem naszego biednego Bukacyusza! A chata dla niego gotowa?

Połaniecki odrzekł, ściskając ręce malarza:

— Grób skończony od dwóch tygodni — i krzyż już stoi. Serdecznie witamy tu pana w Warszawie! Mówiła mi żona, że ciało jest już na Powązkach.

— Tymczasem w krypcie kościelnej. Jutro go pochowamy.

— Dobrze. Ja dziś jeszcze zamówię księży i dam znać znajomym. Co tam porabia profesor Waskowski?

— Miał pisać do was. Upały wypędziły go z Rzymu i wiesz pan, gdzie pojechał? Oto między najmłodszych Aryjczyków. Mówił, że podróż zajmie mu ze dwa miesiące. Chce się przekonać, o ile gotowi są do jego historycznej misji. Pojechał na Ankonę i Fiume, a potem dalej i dalej!...

— Biedny profesorzysko! Myślę, że go czekają nowe zawody.

— To być może. Ludzie się z niego śmieją. Ja, wiesz pan, nie wiem, o ile najmłodszy z Aryów są zdolni do spełnienia jego idei — ale sama idea jest, dalibóg, tak niepospolita i chrześcijańska i prawdziwa, że trzeba być takim Waskowskim, żeby się na nią zdobyć. Pozwolisz pan, że się ubiorę. Upały tu u was bez mała, jak we Włoszech i gimnastykować się lepiej w samym kafetaniku.

— A najlepiej wcale się nie gimnastykować w takie gorąco.

Tu Połaniecki spojrział na ramiona Świrskiego i rzekł:

— No, ale pan, to mógłbyś się za pieniądze pokazywać.

— Co? — rzekł Świrski — bicepsy niezłe. A obacz pan te deltoidey! To moja próżność. Bukacysz zawsze powtarzał, że może mi każdy powiedzieć, iż maluję, jak idyota, ale nie wolno nikomu, że nie podniosę stu kilo jedną łapą, albo, że nie zrobię dziesięciu musz w dziesięciu strzałach.

— I taki człowiek nie przekáže swoich bicepsów, ani deltoideów potomstwu!

— Ha! cóż robić!... Boję się, panie, niewdzięcznego serca; jak Boga kocham, tak się boję! Znajdź mi pan taką drugą, jak pani Połaniecka, to nie będę się i dnia namyslał. Ale!... Czego mam życzyć? syna czy córki?

— Córki, córki!... potem niech będą synowie, ale pierwsza, niech będzie córka.

— A kiedy się spodziewacie?

— Jakoby w grudniu.

— Daj Boże szczęśliwie! Pani zresztą zdrowa kobieta, więc niema się czego bać.

— Ogromnie się zmieniła, prawda?

— Ona jest inna, niż była, ale daj Boże najpiękniejszym tak wyglądać. Co to za wyraz! Czysty Botticeli! daję słowo! Czy pan pamięta ten jego obraz, w willi Borghese? Madonna col Bambino e angeli? Tam jest jedna głowa anioła, trochę pochylona, ubrana w lilie: zupełnie pani, zupełnie ten sam wyraz! Wczoraj mnie to od razu uderzyło — i ażem się wzruszył.

To rzekłszy, poszedł za parawan, by wdziąć koszulę i z za parawana mówił dalej:

— Pan pytasz, czemu ja się nie żenię! A wie pan, czemu? Bo nieraz mi się przypomina, co Bukacyusz także powtarzał, że ja mam ostry język i twarde bicepsy, a maślane serce — takie głupie, że gdybym miał taką żonę, jak pańska, i gdyby ta żona była w tym stanie, to, dalibóg, nie wiem, cobym zrobił? Czy chodziłbym przed nią na kolanach, czy czołem bił, czy stawiał gdzie w kącie na stole i adorował z podniesionemi rękoma — dalibóg, nie wiem!

Połaniecki począł się śmiać:

— Ej! — odrzekł — to się tylko tak zdaje... przed ślubem, a potem samo przyzwyczajenie miarkuje zbytek czułości.

— Nie wiem. Może ja taki głupi.

— Wie pan co? Jak już moja Marynia będzie wolna, trzeba, żeby dla pana znalazła żonę taką, jak sama.

— Zgoda!! — huknął z za parawana Świrski. — Verbum! Oddam się pani w ręce i jak mi powie: „Żeń się!” — tak się żenię z zamkniętymi oczami.

I wyszedłszy jeszcze bez surduta, począł powtarzać:

— Zgoda! zgoda!... Bez żartów! Byle pani zechciała.

— Kobiety zawsze to lubią! — odpowiedział Połaniecki. — Żebyś pan był widział naprzykład, co taka Osnowska wyrabiała, żeby naszego Zawilowskiego ożenić z panną Castelli! A i Marynia jej pomagała — tyle, ile pozwoliłem. I ona uszkami strzygła. Kobietom w to graj!

— Poznałem wczoraj u państwa tego Zawilowskiego. Ogromnie miły chłopak. I to po prostu genialny leb. Dość na niego spojrzeć. Co to za profil, z tem kobicem czołem i z tą zuchwałą szczęką. Ma za długie piszczele i kolana musi mieć grubo wiązane, ale głowa pyszna!

— To nasz Benjaminek w biurze i naprawdę ogromnie go kochamy, bo to przytem poczciwa natura.

— Aha! To on jest waszym urzędnikiem? A ja myślałem, że to z tych bogatych Zawilowskich, bom zagranicą widywał dość często jakiegoś starego oryginała bogacza.

— To jego krewny — rzekł Połaniecki — ale ten nasz nie ma złamanego szeląga.

A Świrski począł się śmiać:

— Jakże! stary Zawilowski z córką, milionową jedynaczką! pyszna figura! Koło panny kręciło się tam we Florencyi i w Rzymie z pół tuzina porujnowanych książąt włoskich, a stary gadał, że córki za obcego nie da — *bo to, panie, kiepsciejsza rasa*. Wyobraż pan sobie, że on nas uważa za pierwszą na świecie rasę, a między nami pewno Zawilowskich — i kiedyś dowodził tego tak: „Niech sobie — (powiada) — gadają co chcą! ja się dosyć najeździł po świecie i ilu to Niemców, Włochów, Francuzów, czyściło mi buty, a ja — (powiada) — butów nikomu nie czyścił, i nie będę!”

— Dobry! — odpowiedział, śmiejąc się, Połaniecki — to czyszczenie butów uważa, nie za kwestyę pozycyi w świecie, tylko narodowościową.

— Tak, i zdaje mu się, że Pan Bóg po to wy-

łącznie stworzył inne „nacye“, żeby szlacheicowi z pod Kutna miał kto wyczyścić buty. jak mu się podoba wyjechać za granicę. A czy on nie kręci nosem na małżeństwo młodego, bo to wiem, że on Broniczów uważał za hetkę-pętelkę.

— Może i kręci, ale on się z naszym Zawilowskim niedawno poznał, przedtem nie widywali się, bo nasz to harda dusza i nie chciał pierwszy szukać starego.

— To go lubię. Byle tylko dobrze trafił, bo to...

— Co? Pan zna pannę Castelli, co to za dziewczyna?

— Ja znam pannę Castelli, ale, widzisz pan, nie znam się na pannach. Ba! żeby mi się na nich znał, to bym nie doczekał czterdziestki w kawalerskim stanie... One wszystkie dobre i wszystkie mi się podobają; tylko jak kilka z tych, które mi się podobały, widziałem potem mężatkami — tak teraz żadnej nie wierzę. I złości mnie to — bo, żeby mi nie miał ochoty się żenić — no! to powiedziałbym: mniejsza z tem! — ale mam! Co ja mogę wiedzieć? Wiem, że każda ma gorset, ale jakie tam serce w tym gorsecie — licho wie! A w pannie Castelli się kochałem, bo zresztą, ja się we wszystkich kochałem, którem spotkał. W tej może nawet więcej, niż w innych.

— I co? i jakoś jednak żeniaczka nie przyszła panu do głowy?

— Licha tam nie przyszła! Tylko wówczas nie miałem tych pieniędzy, co dziś, ni tego rozgłosu — byłem na dorobku, a wierz mi pan, że ludzi na dorobku nikt się tak nie boi, jak dorobkiewiczze. Bałem się, że mi

pan Bronicz albo pani Broniczowa minę zrobi, a że panny nie byłem pewny, więc dałem spokój.

— Zawiłowski też przecie nie ma pieniędzy.

— Ale głośno o nim i przytem jest stary Zawilowski — a to koligacya nie żartem. Kto o starym u nas nie slyszal? Zresztą co do mnie, mówiąc szczerze, nie smakowali mi Broniczowie do tego stopnia, żem w końcu machnął ręką.

— To pan i nieboszczyka znał? Niech pan się nie dziwi, że ja tak wypyuję, bo mi idzie o naszego Zawilka.

— Panie, kogo ja nie znałem? Znałem i siostrę pani Broniczowej, panią Castelli. Przecie ja od dwudziestu czterech lat siedzę we Włoszech — a o czterdziestce to się tak mówi dla okrągłości. Naprawdę to mam czterdziesty piąty. Znałem i pana Castellego, który był zresztą dobry człowiek; znałem wszystkich. Cóż panu powiedzieć? Pani Castelli była egzaltowana kobieta, a odznaczała się tem, że nosiła krótkie włosy, że była zawsze nieumyta i miała newralgię w twarzy. Co do pani Broniczowej, tę pan znasz.

— A kto był pan Bronicz?

— „Teodor?“ — Pan Bronicz był dubeltowy du-reń, raz dlatego, że był durniem, a powtóre, że się za niego nie miał. Zresztą milczę, bo: „de mortuis nihil, nisi bene“ — był o tyle tłusty, o ile ona chuda; ważył podobno przeszło sto pięćdziesiąt kilo i miał rybie oczy. Wogóle to byli ludzie przedewszystkiem próżni. Co tu się rozwodzić! Jak człowiek długo żyje na świecie i dużo ludzi widuje, a gada z nimi tak, jak ja gadam przy malowaniu, to się przekonywa, że istnieje prawdziwy wielki

świat, który się wspiera na tradycyi, a prócz tego istnieje kanalia, która, mając trochę grosiwa, udaje wielki świat. Otóż nieboszczyk Bronicz i jego dzisiejsza wdowa zawsze mi trochę trącili tym gatunkiem, dlatego wołałem się trzymać z daleka. Ot, żeby Bukacki żył, tenby dopiero rozpuścił język ich kosztem. On wiedział, że ja się kochałem w Castelli, i co się ze mnie nadrzył, niech mu Bóg nie pamięta — a kto wie, czy słusznie, bo kto jest panna Lineta, to się dopiero pokaże.

— Mnie najbardziej chodziło — odrzekł Połaniecki — żeby się właśnie o niej coś dowiedzieć.

— Wszystkie dobre, wszystkie dobre, tylko ja ich się boję, razem z ich dobrocią. Chyba mi pańska żona za którą zaręczy.

Na tem rozmowa się urwała i zaczęli mówić o Bukackim, a raczej o jutrzejszym jego pochówku, do którego Połaniecki porobił już poprzednio wszelkie przygotowania. Wyszedłszy od Świrskiego, zamówił jeszcze księży, a następnie dał znać znajomym o jutrzejszej godzinie.

Kościelny obrządek pogrzebowy był już odprawiony w swoim czasie w Rzymie, więc Połaniecki wezwał tylko kilku duchownych, jako człowiek religijny, by modlitwy swoje połączyli z modlitwami obecnych. Uczynił też to także przez przywiązanie i wdzięczność dla Bukackiego, który mu zostawił znaczną część swego majątku.

Prócz obojga Połanieckich, przybyli państwo Maszkowie, Osnowscy, Bigielowie, Świrski, pan Pławicki i pani Emilia, która chciała odwiedzić zarazem Litkę. Dzień był prawdziwie letni, słoneczny i znojny. Cmen-

tarz wyglądał zupełnie inaczej, niż za poprzednich bytności Połanieckiego. Wybujale ogromnie drzewa stanowiły jakby zbitą, gęstą, złożoną z ciemniejszych i jaśniejszych liści, zasłonę, pokrywającą głębokim zielonym cieniem białe i szare pomniki. Miejscami cmentarz wydawał się wprost lasem, pełnym mroku i chłodu. Na niektórych grobowcach drgała świetlista sieć promieni słonecznych, precedzonych przez liście akacyi, topoli, grabów, bzów i lip; inne krzyże, zatulone w gąszcz, zdawały się drzemać w chłodzie, nad mogiłami. W gałęziach i wśród liści rojno było od ptasiego drobiazgu, który odzywał się ze wszystkich stron nieustannym świegotem, łagodnym i jakby umyślnie przyciszonym, by śpiących nie budzić.

Świrski, Maszko, Połaniecki i Osnowski wzięli na ramiona wążką trumnę ze szczątkami Bukackiego i poczęli ją nieść do przygotowanego grobu. Księża, w białych komżach, które to rozbłyskały w słońcu, to gasły, szli przed trumną, za nią czarno ubrane młode kobiety i cały ten orszak posuwał się zwolna przez cieniste aleje, cicho, spokojnie, bez łkań i łez, towarzyszących zwykle pogrzebom, tylko z powagą i smutkiem, który tem był na ich twarzach, czem cień od drzew na grobowcach. Była w tem wszystkim jednak jakaś pełna melancholii poezya — i wrażliwa dusza Bukackiego potrafiłaby odczuć wdzięk tego żałobnego obrazu.

W ten sposób przyszedli do grobowca, który miał kształt sarkofagu i cały był wzniesiony nad ziemię, Bukacki bowiem mówił był za życia Świrskiemu, że nie chce leżeć w piwnicy. Trumnę łatwo wsunęto przez że-

lazne drzwi do środka, poczem oczy kobiet wzniosły się ku górze, usta poczęły szeptać modlitwy i po chwili zostawiono Bukackiego cmentarnej samotności, drzewom szumiącym, święgotowi ptactwa i bożemu miłosierdziu.

Pani Emilia i Połanieccy poszli następnie do Litki; reszta towarzystwa czekała na nich w powozach przed kościołem, bo tak sobie życzyła pani Osnowska.

Połaniecki miał sposobność przekonać się przy grobie Litki, jak dalece ta, tak bardzo niegdyś kochana dziecina, zbłękitniała mu już w duszy i rozwiała się w cień. Niegdyś, ilekroć odwiedzał jej grób, tylekroć buntował się przeciw jej śmierci i nie zgadzał się na nią, z całą namiętnością świeżego żalu. Dziś wydało mu się rzeczą prawie naturalną, że ona tu sobie leży w cieniu tych drzew, na tym cmentarzu; miał niemal poczucie, że tak musiało się skończyć; przestała być dla niego prawie zupełnie realną istotą, a stała się tylko słodką mieszkanką pamięci, westchnieniem, światłem, rodzajem jeno takiego wspomnienia, jakie zostawia muzyka.

I byłby się może oburzył na siebie, gdyby nie to, że spostrzegł, iż pani Emilia wstała po odmówionej modlitwie z twarzą pogodną, z wyrazem wielkiej tkliwości w oczach, ale bez łez. Zauważył przytem jednak, że wygląda jak osoby chore, że z trudnością podniosła się z kłęczków i że, idąc, wspiera się na lasce. Jakoż ona była już w początkach ciężkiej choroby krzyża, która później na kilka lat przykuła ją do łóżka i puściła dopiero do trumny.

Przed bramą cmentarną czekali na nich Osnowscy; pani zaprosiła ich na jutro na wieczorek zaręczy-

nowy Zawilowskiego, a potem „kto łaskaw“, do Przytułowa.

Świrski siadł wraz z panią Emilią do powozu Polanieckich i przez czas jakiś zbierał w milczeniu wrażenia, a wreszcie rzekł:

— Jakie to dziwne! Dziś byliśmy na pogrzebie, jutro będziem na zaręczynach: co śmierć wykosi, miłość posieje i to jest życie!

VI.

Zawiłowski życzył sobie, by jego zaręczyny odbyły się nie wieczorem, przy ludziach, tylko przedtem, i stało się zadość jego woli, tem bardziej, że Castelka, która chciała przed ludźmi ukazać się już jako narzeczona, poparła go wobec ciotki Broniezowej. Było im tak swobodniej i gdy ludzie poczeli się schodzić, oboje występowali już, jako młoda para. Od panny Linety bił blask szczęścia. Sama znajdowała urok w roli narzeczonej i rola dodawała jej uroku. W wysmukłej jej postawie było coś skrzydlatego; powieki nie zapadały jej dziś sennie na oczy; źrenice były świetliste, usta w uśmiechach, twarz w rumieńcach. Była tak ładna, że Świrski, ujrawszy ją, nie mógł się, jednak wstrzymać od kilku cichych westchnień za rajem utraconym, i odzyskał pogodę duszy dopiero wówczas, gdy przypomniał sobie swoją ulubioną piosnkę:

„A ja śpiewam, zamiast szlochać,
„Bom cię także przestał kochać!
Hu-la-hu!

Zresztą wszystkich dziś uderzała jej piękność. Stary pan Zawilowski, który się kazał na swoim fotelu wnieść do salonu, zatrzymał jej ręce i przez jakiś czas patrzył na nią, poczem, oglądając się za córką, rzekł:

— No! że takie „póldyablę weneckie“ może głowę zawrócić, to może, a zwłaszcza poecie, bo to, panie, jak powiadają, u nich w głowach: fiu! fiu!

Poczem zwrócił się do młodego i spytał:

— A co? nie skrećisz mi dziś karku, żem na nią powiedział: „póldyablę weneckie?“

Zawilowski zaś rozśmiał się i, pochyliwszy głowę, pocałował w ramię staruszka:

— Nie; dziśbym nie mógł nikomu skrećić karku.

— No! — rzekł stary, widocznie uradowany z tej oznaki czci. — Niech wam Bóg i Najświętsza Panna błogosławi. Mówię: i Najświętsza Panna, bo Jej opieka, to grunt!...

To rzekłszy, począł szukać za sobą w fotelu i wydobywszy duże jubilerskie pudełko, mówił do Linety:

— A to od rodziny Zawilowskich: daj ci Boże długo nosić.

Castelka, wzięwszy pudełko, przegięła swą wdzięczną postać, by również pocałować go w ramię, on zaś objął ją za szyję i rzekł do młodego:

— Chodźże i ty!

I ucałował oboje w czoło, z większem wzruszeniem, niż chciał okazać, mówiąc przytem:

— A kochajcieże się i szanujcie, jak ucziwi ludzie.

Panna Lineta otworzyła następnie pudełko, w którym na szafirowej aksamitnej podścieli rozbłysła wspa-

niała rywiera. Stary powtórzył raz jeszcze z naciskiem: „Od rodziny Zawilowskich“ — chcąc widocznie okazać, że panna, która wychodzi za Zawilowskiego, nawet nie mającego majątku, nie robi złego interesu. Ale nikt go nie słuchał, gdyż głowy młodych pań: pani Linety, pani Osnowskiej, pani Maszkowej, pani Bigielowej i nawet Maryni, pochyliły się zwartym wiankiem nad migotliwymi kamieniami i usta wstrzymywały czas jakiś oddech, nim wreszcie szmer podziwu i pochwał przerwał milczenie.

— Nie o te brylanty chodzi! — wołała pani Broniczowa, rzucając się niemal w objęcia starego pana Zawilowskiego — ale jaki dar, takie serce!

A staruszek bronił się i powtarzał:

— Daj pani spokój! daj pani spokój!...

Poczem towarzystwo rozbiło się na pary, lub małe gromadki. Narzeczeni zajęli się tak sobą, że cały świat zginął im z oczu; Osnowski ze Świrskim przysunęli się do Maryni i pani Bigielowej; Kopowski jał zabawiać panią domu, a Połaniecki panią Maszkową. Co do samego Maszki, chodziło mu widocznie o bliższe poznanie się ze starym Krezusem, bo zastawił go tak krzesłem, że nikt nie mógł się do niego zbliżyć, i począł z nim rozmowę o czasach dawnych i dzisiejszych, która, jak łatwo odgadł, stanowiła ulubiony temat dla staruszka.

Był jednak nadto sprytny, by być we wszystkim jego zdania. Pan Zawilowski zresztą nie zawsze napadał na nowe czasy, owszem, w części je podziwiał, w części uznawał, że pod wielu względami idą ku lepszemu, ale swoją drogą nie chciały mu się w głowie pomieścić,

Maszko zaś tłumaczył mu, że wszystko na świecie musi się zmieniać, zatem, tak dobrze szlachta, jak inne warstwy ludzi.

— Ja, szanowny panie — mówił — trzymam się roli przez jakieś dziedziczne instynkta, przez to coś, co człowieka, który z ziemi wyszedł, do ziemi ciągnie — ale, administrując własnym majątkiem, jestem przytem adwokatem i jestem poniekąd z zasady, bo trzeba, żebyśmy mieli swoich w tej gałęzi. Inaczej zostaniemy na łasce i nielasce ludzi, pochodzących z innej sfery i często wprost przeciw nam uprzedzonych. I muszę naszym ziemianom oddać tę sprawiedliwość, że po większej części rozumieją to dobrze i dlatego wołają swoje interesa powierzać mnie, niż innym. Niektórzy poczytują to sobie poniekąd za obowiązek.

— To tam, panie, w palestrze zawsze bywali nasi — odpowiedział pan Zawilowski — ale w innych fachach, czy szlachcie da sobie radę — dalibóg, nie wiem! Słyszę ja to, słyszę, żeśmy się powinni do wszystkiego brać, tylko ludzie zapominają, że brać się, a wskórać, to dwie różne rzeczy. Pokaż mi pan takiego, coby wskórał.

— A ot, masz szanowny pan takiego Połanieckiego: ten na Domu komisowo-handlowym zrobił wcale duży majątek i co ma, to w gotowiznie, tak, że jutro mógłby wszystko na stół położyć. Sam on szanownemu panu nie zaprzeczy, że rady moje często były mu przydatne, ale jednak co zrobił, to zrobił przez handel — głównie zbożem.

— Proszę! proszę! — rzekł pan Zawilowski, pa-

trząc na Połanieckiego i wytrzeszczając trochę ze zdziwienia oczy — naprawdę zrobił majątek? Proszę... Jeśli z prawdziwych Połanieckich — to dobra rodzina.

— A tamten, brunet, krępy — to malarz Świrski.

— To wiem, bom go za granicą widywałem. I Świrscy, panie, w piecach nie palili... Ale on może sobie tylko wymalował pieniądze, bo przecie chyba ich nie zrobił?

— Licha tam, nie zrobił! — rzekł poufałym tonem Maszko. — Niejeden gruby majątek podolski tyle nie daje, ile jemu akwarele.

— Co takiego?

— Obrazy, wodną farbą...

— Proszę! nawet nie olejne!... I ten także?... Ha! to może i mój krewniak dorobi się na wierszach... Niech pisze, mech pisze! Ja mu tego nie będę brał za złe... Pan Zygmunt był szlachcic i pisywał — i to, panie, nie od parady. Pan Adam był także szlachcic — a głośno o nim — głośniejsz, niż o tym trzecim furfancie, co to się bawił w demokrację... Jakże mu tam? Mniejsza z tem! Mówisz pan, że się czasy zmieniają? Hm, proszę!... Niech się tam zmieniają, byle z pomocą bożą, na lepsze.

— Główna rzecz — rzekł Maszko — by nie więzić ni zdolności w głowach, ni kapitałów w kasach, bo kto tak czyni, ten wprost grzeszy przeciw społeczeństwu.

— A, to za pozwoleniem! Jakże to pan rozumiesz? To mi nie wolno zamknąć na klucz tego, co moje, tylko mam zostawić szufladę otworem dla złodziei?

Maszko uśmiechnął się z odcieniem wyższości, i położywszy rękę na poręczy fotelu, rzekł:

— Nie o to chodzi, szanowny panie.

I następnie zaczął wyklądać panu Zawilowskiemu zasady ekonomii politycznej, których stary szlachcic słuchał, kiwając głową i powtarzając od czasu do czasu: „Proszę! to coś nowego! — ale ja i bez tego rady sobie dawał!”

Pani Broniczowa zaś wodziła rozrzuwionymi oczyma za parą narzeczonych, a jednocześnie opowiadała panu Pławickiemu (który znów wodził niemniej rozrzuwionymi oczyma za panią Osnowską), swoje lata młodości, życie z Teodorem i nieszczęście, jakie ich spotkało z powodu przedterminowego przyjścia na świat jedyne go ich potomka. Pan Pławicki słuchał z roztargnieniem, lecz ona w końcu, wzruszywszy się własnem opowiadaniem, mówiła nieco drżącym głosem:

— Tak więc cała moja miłość, nadzieja i wiara w Linetce! Pan to zrozumie, bo pan ma także córkę! A co do Lola, niech pan pomyśli, jakim błogosławieństwem byłoby to dziecko, gdyby żyło.

— Ogromnie wzruszające! ogromnie wzruszające! — przerwał pan Pławicki.

— O, tak! — mówiła dalej pani Broniczowa — o tak! I to była tem większa strata, że to była ostatnia nadzieja! Mój mąż był człowiek w wieku — i mogę rzec, że był dla mnie najlepszym opiekunem, ale po tem nieszczęściu — tylko opiekunem.

— Tu go przestaję rozumieć — rzekł pan Pławicki. — He! he! zupełnie go nie rozumiem!...

I otworzywszy usta, spojrział figlarnie na panią Broniczową, ta zaś uderzyła go zlekka wachlarzem i rzekła:

— Nieznośni są ci mężczyźni: dla nich niema nic świętego!

A Świrski pytał tymczasem Maryni:

— Co to za istny Perugino — ta blada osoba, z którą rozmawia mąż pani!

— To nasza znajoma, pani Maszkowa. Czy pan jej nie był przedstawiony?

— Owszem. Poznałem ją jeszcze wczoraj na pogrzebie, ale zapomniałem nazwiska. Wiem, że to żona tego pana, który rozmawia ze starym panem Zawilowskim. Czysty Vannuci!... Ten sam kwietyzm i trochę żółtawa. Ale ona ma bardzo piękne linie.

I popatrzawszy jeszcze chwilę, dodał:

— Twarz zgaszona, ale nadzwyczajne linie całej figury. Niby szczupła, niech jednak pani zauważy rysunek ramion i pleców.

Ale Marynia nie patrzyła na rysunek ramion i pleców pani Maszkowej, tylko na męża — i na twarzy jej odbił się nagle niepokój. Połaniecki pochylał się właśnie w tej chwili do pani Maszkowej i mówił do niej coś, czego Marynia nie mogła dosłyszeć, siedzieli bowiem z daleka, ale wydało się jej, że on spogląda na tę zgaszoną twarz i w te blade oczy takim wzrokiem, jakim w czasie ich podróży poślubnej spoglądał chwilami na nią. Ach! ona знаła ten wzrok! I serce poczęło teraz bić w niej, jakby w poczuciu jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa. Natychmiast jednak powiedziała sobie: „To nie może być! to byłoby niegodne Stacha“. Nie mogła się wszelako powstrzymać, żeby na nich nie patrzeć. Połaniecki mówił coś bardzo żywo, czego pani Maszkowa

słuchała ze zwykłą sobie obojętnością. Marynia zaś pomyślała znowu: „Co mi się uwidziało! — mówi żywo, jak on zawsze, ale nic więcej“. Resztę jej wątpliwości rozproszył Świrski, który, czy to dlatego, że zauważył jej niepokój i badawczy wzrok, czy nie poznawszy się istotnie na wyrazie twarzy Połanieckiego, rzekł:

— Z tem wszystkim ona nic nie mówi. Mąż pani musi podtrzymywać rozmowę i wygląda jakby się razem nudził i złościł.

Twarz Maryni rozpromieniła się w jednej chwili:

— O, to pan ma słuszość! Stach z pewnością trochę się nudzi, a on jak tylko się nudzi, to zaraz zły.

I wpadła w doskonały humor. Oddałaby teraz taką rywierę brylantową, jaką pan Zawilowski podarował Castelce, by ten Stach zbliżył się w tej chwili do niej i żeby mu mogła powiedzieć i usłyszeć od niego jakie dobre słowo. Jakoż w kilka minut później stało się za-dość jej życzeniu, albowiem do pani Maszkowej przybliżył się pan Osnowski, Połaniecki zaś wstał, po drodze rzekł parę słów do pani Osnowskiej, rozmawiającej z Koppowskim i wreszcie siadł przy żonie.

— Czy ty chcesz mi co powiedzieć? — spytał.

— Jakie to dziwne, Stachu! — rzekła Marynia — bo ja w tej chwili wołałam na ciebie, ale tylko w myśli, a tyś to jednak odczuł i przyszedłeś.

— A widzisz, jaki ze mnie mąż! — odpowiedział z uśmiechem. — Ale naprawdę, to przyczyna jest bardzo prosta: zauważyłem, że na mnie patrzysz, zląkłem się, czy ci co nie jest i przyszedłem.

— Ja patrzę, bo — bo mi tęskno.

— A ja przychodzę, bo mi tęskno. Jak ty się czujesz? Powiedz szczerze; może chciałabyś do domu?

— Nie, Stachu, doskonale mi jest, jak cię Kocham. Mówiliśmy z panem Świrskim o pani Maszkowej i ba-wiłam się doskonale.

— Domyślam się, żeście ją obmawiali. Ten oto artysta sam o sobie mówi, że ma zły język.

— Przeciwnie — odpowiedział Świrski. — Tym razem podziwiałem tylko jej figurę. Na zły język może przyjść kolej później.

— O tak — rzekł Połaniecki — pani Osnowska mówi, że ona ma właśnie niedobrą figurę i to jest dowód, że ma dobrą. Ale! Marychna, powiem ci coś o pani Osnowskiej.

Tu pochyliwszy się do żony, rzekł po cichu:

— Wiesz, co po drodze słyszałem z ust Kopowskiego, idąc tu do ciebie?

— Co? coś zabawnego?

— Jak kto uważa: słyszałem, jak mówił do pani Anety: „ty“.

— Stachu!

— Jak ciebie Kocham! Powiedział jej: „Tyś zawsze taka!“

— Może cytował jakie cudze słowa.

— Nie wiem! Może, ale może i nie. Oni się przecież nigdyś podobno kochali.

— Fe! wstydz się!

— Powiedz to im -- a raczej pani Anecie.

Marynia, która wiedziała doskonale, że przენiewierstwo istnieje, ale uważając je raczej za jakąś książkową

francuską teorię, ani się spodziewała, by je można było napotkać na każdym kroku i w praktyce, poczęła teraz spoglądać na panią Anetę ze zdziwieniem, a przytem z taką ogromną ciekawością, z jaką kobiety ucziwie spoglądają na te, które miały odwagę zejść z gościńca na boczne ścieżki. Miała jednak zbyt prawą naturę, by uwierzyć od razu w zło — i nie chciało się jej jakoś w głowie pomieścić, żeby mogło coś być naprawdę między tą parą, choćby ze względu na niesłychaną głupotę Kopowskiego. Zauważyła wszelako, że rozmawiają ze sobą bardzo żywo.

A oni, siedząc nieco zasunięci między wielki porcelanowy wazon a fortepian, nietylko rozmawiali, ale kłócili się od kwadransa.

Po przejściu Połanieckiego, pani Aneta rzekła z pewnym niepokojem:

— Boję się, czy czego nie dosłyszał. Ty nigdy nie uważasz.

— Tak! zawsze moja wina! A kto ciągle powtarza: bądź ostrożna!

I rzeczywiście, pod tym względem oboje byli siebie warci, on bowiem nie umiał nic przewidzieć z powodu swej głupoty, ona zaś była nieostrożna aż do zuchwalstwa. Dwie już osoby wiedziały ich tajemnicę; inne mogły ją już odgadywać i trzeba było całego zaślepienia Osnowskiego, żeby się niczego nie domyślać. Ale ona właśnie na to liczyła.

Lecz tymczasem Kopowski spojrział na Połanieckiego i rzekł:

— Nic nie słyszał.

Poczem wrócił do zaczętej rozmowy, ale tym razem zaczął mówić ciszej i po francusku:

— Bo, żebyś mnie kochała, tobyś była inna, ale skoro mnie nie kochasz, to cóż ci to mogło szkodzić?

To rzekłszy, zwrócił na nią swoje cudne, bezmyślne oczy, a ona odpowiedziała z niecierpliwością:

— Kocham, czy nie kocham, a z Castelką nigdy! rozumiesz? nigdy! Raczej wołałabym z każdą inną! — choć, gdybyś ty naprawdę mnie kochał, tobyś o małżeństwie nie myślał.

— Jaby nie myślał, żebyś była inna.

— Patientez!

— Tak! do śmierci? Gdybym się był z Castelką ożenił, tobyśmy właśnie byli blisko.

— Nigdy! powtarzam ci!

— No, ale dlaczego?

— Tybyś tego nie zrozumiał. Zresztą Castelka jest narzeczona i szkoda czasu o tem mówić.

— Samaś mi kazała udawać, że się o nią staram, a teraz mi robisz wyrzuty. Ja z początku o niczem nie myślałem, ale później podobała mi się — i tego się nie wypieram; ona się wszystkim podoba, a oprócz tego to dobra partya.

Pani Osnowska poczęła targać w palcach chusteczkę.

— I ty mi śmiesz w oczy mówić, że ona ci się podobała, więc nareszcie: czy ja, czy ona?

— Ty, ale się z tobą przecie nie mogę ożenić, a z nią mogłem, bom to widział doskonale, że jej się też podobałem.

— Gdybyś lepiej rozumiał kobiety, tobyś się cieszył z tego, że do małżeństwa nie dopuściła. Ty jej nie znasz. Ona jest cała jak patyk, a przytem ma zły charakter. Czy i tego nie rozumiesz, że ci kazała starać się o nią, przez wzgląd na ludzi i na Józia. Inaczej, czemuś mógł usprawiedliwić codzienne prawie bywanie?

— Jabyś rozumiał, gdybyś była inna.

— Nie przeszkadzaj mi. Widzisz, że wszystko tak urządziłam, żeby twój portret nie był skończony i żebyś mógł przyjechać do Przytułowa. Potem przyjedzie tam Stefcia Ratkowska, krewna daleka Józia. Rozumiesz? Musisz udawać, że ci się podoba, a ja w Józia wmówię, co chcę. W ten sposób będziesz mógł zostać w Przytułowie. Do panny Ratkowskiej już pisałam. Jest nieładna, ale miła.

— Ciągle udawać i za to nic.

— Chciałabym ci powiedzieć: to sobie nie przyjeżdżaj.

— Anetko!

— Więc bądź cierpliwy. Nie mogę się na ciebie długo gniewać. Ale teraz już idź sobie. Idź, zabaw panią Maszkową.

I po chwili pani Osnowska została sama. Oczy jej odprowadzały przez minutę Kopowskiego, z resztkami gniewu, ale zarazem z pewną czułością. W białym krawacie, przy swej smagłej cerze, był tak zabójczo piękny, że nie mogła mu się dosyć napatrzeć. Lineta była już narzeczoną innego, a jej jeszcze wydała się nieznośną myśl, że ta jej codzienna rywalka mogła go nie tylko posiadać, jako męża, ale nawet jako kochanka. Pani

Aneta, mówiąc Kopowskiemu, że zgodziłaby się dla niego raczej na każdą inną, niż na Castelkę, mówiła szczerą prawdę. Była to dla niej kwestya zarazem ogromnej słabości dla tego głupiego Endymiona i kwestya miłości własnej. Nie zgadzały się na to wprost jej nerwy. Pewne zamiłowania estetyczne, które sama uważała za wzniosłe i płynące z greckiej natury, a które w gruncie rzeczy były płaskie, zastępowały w niej moralność i sumienie. Z powodu tych zamiłowań zostawała pod nieprzepartym urokiem Kopowskiego, ale mając tylko zapalną głowę, a zimny, jak u ryby, temperament, wołała, jak to intuicyjnie odgadł Zawilowski, igraszkę ze złem, niż samo zło. Swoją drogą, trzymając się zasady: „jeśli nie ja, to nikt inny!“ — byłaby gotowa posunąć się do ostateczności, by nie dopuścić małżeństwa Kopowskiego z Linetą, tem bardziej, że spostrzegła, iż Lineta, mimo wszystkich swoich „powiedzeń“ o Kopowskim, mimo ironii, z jaką się o nim odzywała, i żartów z niego, jest także pod urokiem jego wyjątkowej urody, że te wszystkie żarty są tylko drażnieniem się, w którym tkwi pociąg, i że wogóle upodobania jej własne i upodobania Linety są jednakowe. Nie spostrzegła natomiast, że z tego powodu na dnie duszy ma rodzaj pogardy dla Linety.

Chciała ją przedewszystkiem zwyciężyć i przez Zawilowskiego udało się jej to znakomicie. Wiedziała, że dziewczyna przez samą próżność nie oprze się jej wmiawianiu i hołdom człowieka o rozgłośnem imieniu. W ten sposób zachowała dla siebie Kopowskiego, a nadto wyprawiała sobie pyszne widowisko, na jakie zawsze z chciwością patrzą wszystkie kobiety, żądne bardziej wrażeń,

niż uczuć. Gdyby przytem ów sławny Zawilowski, gdy mu żona z czasem spowszednieje, chciał sobie gdzieindziej szukać Beatryczy — to możeby ją znalazł... Ludziom, którzy mają moc przekazać pamięci ludzkiej i uwielbieniu wieków kochane imię, mało się czego odmawia. Tych zamiarów na przyszłość pani Aneta nie określała dotąd wyraźnie, miała jednak jakby mgliste poczucie, że wówczas tryumf jej byłby jeszcze zupełniejszy.

Tryumfowała jednak już i teraz, albowiem wszystko poszło podług jej woli. Gniewał ją tylko Kopowski. Sądziła, że on jest niemal jej rzeczą, tymczasem spostrzegła, że, o ile był zdolny do wyrozumowania czegośkolwiek, wyrozumował sobie, że od przybytku głowa nie boli i że Aneta mogłaby nie przeszkadzać Linecie. Drażniło ją to tak mocno, że chwilami myślała, czemuby mu za to dokuczyć; tymczasem rada była, że Lineta zdawała się być naprawdę zakochana duszą i sercem w swoim Zawilowskim, co dla Kopowskiego było zarazem i niezrozumiałe i przykre.

Myśli te przelatowały jej teraz, jak błyskawica, przez głowę i przeleciały wszystkie przez krótką chwilę samotności. Przerwało je wreszcie podanie kolacyi. Osnowski, który chciał, by żonę otaczało takie powszechne uwielbienie, jakim on ją otaczał, a któremu wydawało się przytem nader trafnem to, co mówił Zawilowskiemu o pożyciu małżeńskim, miał nieszczęśliwą myśl powtórzyć znów przy pierwszym toaście życzenie, by Zawilowskiemu było tak dobrze z Linetą, jak jemu z Anetą. Na to oczy Zawilowskiego i Połanieckiego zwróciły się mimowoli na

piękną panią, która spojrzała bystro na Połanieckiego i wątpliwości obojga pierzchły w jednej chwili, to jest ona nabrała zupełnej pewności, że Połaniecki ich słyszał, on zaś, że Kopowski nie cytował obcych słów, ale mówił „ty“ wprost do niej. Pani Aneta odgadła nawet, iż Połaniecki musiał mówić o tem z Marynią, widziała bowiem, jak w chwilę po jego przejściu, oboje rozmawiając, spoglądali czas jakiś na nią z wielką ciekawością. Ta myśl napęłniła ją gniewem, chęcią zemsty i dystrakcją, tak, że bez żadnej uwagi słuchała dalszych toastów, które wznosił jej mąż, pan Zawilowski i pan Pławicki, a w końcu Bigiel.

Lecz po kolacyi przyszło jej nagle do głowy, by urządzić „dancing-party“ — i „Józio“ — posłuszny, jak zawsze, na każde skinienie, a przytem rozochocony po kolacyi, poparł gorąco tę myśl. Marynia nie mogła tańczyć, ale było prócz niej pięć młodych pań: panna Lineta, pani Osnowska, pani Bigielowa, pani Maszkowa i panna Zawilowska. Ta ostatnia oświadczyła wprawdzie, że także nie tańczy, ale ponieważ i tak mówiono o niej, że ona nie tańczy, nie mówi, nie je i nie pije, więc odmowa jej nie popsowała ochoty. Osnowski, który był w rozkosznem usposobieniu, oświadczył przytem, że „trzeba, aby Ignas mógł wziąć w ramiona Linetkę, bo pewno się dotąd nie ośmielił“.

Pokazało się jednak, że Zawilowski nie był w możności skorzystania z dobrych chęci pana Osnowskiego, albowiem nigdy w życiu nie tańczył i nie miał o tem najmniejszego pojęcia, co panią Broniczową i pannę Linetę nietylko zdziwiło, ale i cokolwiek dotknęło. Nato-

miast Kopowski posiadał tę sztukę w wysokim stopniu, on więc rozpoczął tańce z panną Linetą, jako bohaterką wieczoru. Tworzyli razem śliczną parę i oczy mimowoli zwracały się za nimi. Zawilowski musiał patrzeć, jak jej złota główka pochyła się ku ramieniu Kopowskiego, jak piersi ich są blisko — i jak oboje, wirując w takt Bigielowego walca, łączą się w harmonii ruchów, zlewając się niejako w jeden ład i w jedną całość. I patrząc na to, był zły, rozumiał bowiem, że jest coś, czego on nie umie i co będzie łączyło Linetę z innymi, a rozłączało z nim. Na dobitkę mówiono koło niego o urodzie tańczącej pary, a siedzący obok Świrski rzekł:

— Co to za śliczny pan! Gdyby istnieli hurysowie, tak jak istnieją huryski, to on mógłby być huryssem w damskim raju Mahometa.

Oni zaś walcowali długo i była w tych tonach walca, a zarazem w ich poruszeniach, jakby jakaś upajająca i upojona omdlałość, co jeszcze bardziej drażniło Zawilowskiego, przypomniał sobie bowiem, równie cyniczny jak prawdziwy, wiersz Byrona o walcu. Wreszcie począł sobie mówić z zupełną niecierpliwością: „Kiedyż ten osieł ją puści!“ Bał się także, by mu się nie zmęczyła.

„Osieł“ puścił ją wreszcie na drugim końcu salonu i wziął zaraz panią Osnowską. Lecz Lineta przybiegła do narzeczonego i, siadłszy przy nim, rzekła:

— On dobrze tańczy, ale lubi się z tem popisywać, bo zresztą nie ma z czem innym. Za długo mnie trzymał. Zdyszałam się trochę i serce mi bije... Chciałabym, aby pan przyłożył rękę i zobaczył, jak bije...

Ale nie wypada! Jakie to dziwne! bo przecie to pana własność...

— Moja! — rzekł Zawilowski, wyciągając ku niej rękę, — Linetko, nie mów mi dziś „pan“.

— Twoja własność — odszepnęła.

I nie bronila mu dłoni, opuściła ją tylko trochę wzdłuż sukni, tak, aby ludzie mniej widzieli.

— Zazdrościłem mu — rzekł Zawilowski, ściskając namiętnie jej palce.

— Czy chcesz, żebym więcej dziś nie tańczyła? Ja lubię, ale wolę być przy tobie...

— Moja uwielbiona!

— Ja jestem głupia, światowa dziewczyna, ale ja chcę być ciebie wartą. Widzisz, ja bardzo lubię muzykę... nawet walce, nawet polki. Tak to na mnie dziwnie działa. Jak ten pan Bigiel ładnie gra!... Ja przecie wiem, że są rzeczy wyższe od walców. Potrzymaj mi chusteczkę i puść na chwilkę rękę. To twoja ręka, ale muszę poprawić włosy. Czasem potańczyć, to przecie nie złego? — prawda? Ale jeśli ty nie będziesz sobie życzył — to nie będę, bo ze mnie pokorne stworzenie. Nauczę się czytać w twoich oczach i potem będę jak woda, która odbija i chmury i pogodę. Tak mi przy tobie dobrze. Patrz, jak tamci doskonale tańczą!

Zawilowskiemu nie starczyło słów: mógł tylko w jeden sposób okazać, co czuje dla niej, to jest klęknąć przed nią. Ale ona tymczasem ukazywała mu Połanieckiego, tańczącego z panią Maszkową, i poczęła ich szczerze podziwiać:

— Doprawdy, że on lepiej tańczy od pana Ko-

powskiego — mówiła z błyszczącymi oczyma — i ona, jaka zgrabna! O! chciałabym choć raz z nim zatańczyć... jeśli pozwolisz.

Zawiłowski, w którym Połaniecki nie wzbudzał najmniejszej zazdrości, odrzekł:

— Mój skarbie, ile zechcesz. Sam ci go zaraz przyślę.

— Ach i jak doskonale tańczą, jak doskonale! I ten walc, to jakby jakiś miły dreszcz. Oni płyną, nie tańczą.

Tegoż zdania była i Marynia, która, wodząc oczyma za tańczącą parą, doznawała jeszcze większego uczucia przykrości, niż przed chwilą Zawiłowski, albowiem wydało jej się kilkakrotnie, że Połaniecki spogląda znów na panią Maszkową takim wzrokiem, jakim spoglądał na nią wówczas, gdy Świrski uczynił przypuszczenie, że albo się nudzi, albo jest zły. Tylko teraz przypuszczenie takie byłoby już niemożliwe. Chwilami oboje tańczący przesuwali się tuż koło Maryni i wówczas widziała doskonale, jak jego ręka silnie obejmuje stan pani Maszkowej, jak jego oddech oblewa jej szyję, jak rozdymają mu się nozdrza, a spojrzenia ślizgają się po obnażonym gorsie. Mogło to być niewidoczne dla wszystkich innych, ale nie dla Maryni, która umiała czytać w jego twarzy, jak w książce. I nagle światło lamp zmierzchno w jej oczach. Zrozumiała, że co innego jest nie być szczęśliwą, a co innego byłoby być nieszczęśliwą. Trwało to krótko, tak krótko, jak jeden takt walca, lub jak minuta, w której serce ściska się i przestaje bić, ale starczyło na przecucie, że życie w przyszłości mogłoby się zupełnie poplątać, a dzisiejsza miłość zmienić się w gorzki i po-

gardliwy żal. I przecucie to nappełniło ją przerażeniem. Uchyliła się na chwilę przed nią jakby zasłona, z poza której ukazała się niespodzianie cała ńędza i lichota natur ludzkich, cały szych życia. Nic się jeszcze nie stało, nie zupełnie, tylko przyszło na panią Połaniecką widzenie, że może nadejść czas, w którym ufność jej do męża może rozwiać się jak dym.

Ale próbowała się jeszcze bronić zwątpieniom. Pragnęła w siebie wmówić, że on jest pod wrażeniem tańca, nie tancerki. Wolala nie wierzyć oczom. Zdejmował ją wstyd za tego „Stacha“, z którego dotychczas była tak dumna, i walczyła ze wszystkich sił z tem uczuciem, rozumiejąc, że chodzi o rzeczy ogromnie ważne i że z tej małej rzeczy, z tej jego winy, dotąd prawie żadnej, mogą wypłynąć następstwa, które odbiją się na całej ich przyszłości.

A wtem ozwał się koło niej żartobliwy głosik pani Osnowskiej:

— Ach, Maryniu! twójego męża i panią Maszkową chyba natura umyślnie stworzyła, żeby ze sobą walcowali. Co to za para!

— Tak! — odpowiedziała z wysileniem pani Połaniecka.

Pani Aneta zaś szczebiotała dalej:

— Doskonale do siebie przystają. Doprawdy, że na twojem miejscu byłabym trochę zazdrosna... A ty, jesteś zazdrosna? Nie? Ja jestem szczerą i przyznaję się otwarcie, że tak. Przynajmniej niegdyś tak było. Och! wiem przecie, że Józio mnie kocha, ale ci panowie, nawet kochając, miewają swoje małe fantazyje. Ich o to głowa

ani trochę nie boli, a że nas trochę boli serce — to tego nie widzą, lub nie chcą widzieć. Najlepsi nie są inni. Józio? — tak! wzorowy mąż — a czy myślisz, że ja go nie znam? Teraz już przyzwyczaiłam się i często śmiech mnie zbiera, bo oni przytem tacy niezgrabni!... Ja natychmiast wiem, jak tylko Józio poczyna się bałamucić — i wiesz, po czem to poznaję?

Marynia wciąż patrzyła na męża, który przez ten czas przestał tańczyć z panią Maszkową, a wziął pannę Linetę. I nagle doznała wielkiej ulgi, wydało jej się bowiem, że Stach tańczy z panną Linetą z tym samym wyrazem twarzy. Podejrzenia jej zaczęły blednąć, natomiast pomyślała, że jeśli posądzała go niesłusznie, to sama jest niegodziwą. Nigdy nie widziała go przedtem tańczącego i przyszło jej do głowy, że może on zawsze tak tańczy.

Tymczasem pani Osnowska powtórzyła:

— Wiesz, po czem poznaję, gdy Józio poczyna się bałamucić?

— Po czem? — spytała raźniej Marynia.

— Nauczę cię tego sposobu. Otóż, jak tylko sam ma nieczyste sumienie, natychmiast podejrzewa innych i udziela mi tych swoich spostrzeżeń, żeby odwrócić uwagę od siebie. Poczciwy Józisko! To ich metoda. Jak oni wszyscy kłamią, nawet najlepsi!

To rzekłszy, odeszła, z przekonaniem, że na towarzyskiej szachownicy uczyniła nader zręczne posunięcie. I było ono poniekąd zręczne. W głowie Maryni powstał jakby chaos. Nie wiedziała, co wreszcie ma o wszystkim myśleć. Ogarnęło ją też wielkie zmęczenie fizyczne. „Ja

jestem niezdrowa — rzekła sobie — rozdrażniona, i może mi się Bóg wie co wydawać“. I poczucie zmęczenia powiększało się w niej z każdą chwilą. Cały ów wieczór przedstawiał jej się teraz jako gorączkowo. Mąż jej mówił o pani Osnowskiej, jak o kobiecie wiarołomnej, ona mówiła to samo o wszystkich mężach; on patrzył nieuczciwemi oczyma na panią Maszkową, a pani Aneta mówiła do Kopowskiego „ty“. Do tego mieszały się tańczące pary, jednostajny takt walca, głowy zakochanych — i wreszcie burza, która ozwała się na dworze. Co za mieszanina wrażeń, co za fantasmagorya! „Ja jestem niezdrowa“ — powtórzyła w myśli Marynia. Ale czuła zarazem, że ją opuszcza spokojność i że to był zły wieczór jej życia. Chciało jej się ogromnie do domu, ale, jak na złość, na dworze była ulewa. „Do domu! do domu!“ Gdyby tak jeszcze Stach powiedział jakie dobre i serdeczne słowo! Niechby nie mówił ani o pani Osnowskiej, ani o pani Maszkowej, tylko o czemś, co ich samych dotyczy, a jest im drogiem.

„Ach, jaka ja zmęczona!“

Tymczasem Połaniecki zbliżył się do niej i na widok jej biednej bladej twarzy, ozwała się w nim współczucie dla niej, na jakie zresztą łatwo zdobywało się jego dobre z natury serce.

— Moje biedactwo — rzekł — czas na ciebie do łóżka; niech tylko ulewa trochę przejdzie. Nie boisz się grzmotów?

— Nie; siądź przy mnie.

— To letnia burza, zaraz minie. Jakaś ty senna!

— Możem niepotrzebnie przyjechała. Mnie bardzo potrzeba spokoju, Stachu.

On sumienie miał niezbyt czyste i był zły na siebie. Ani mu przez myśl nie przeszło, by to, co ona mówi o spokoju, mogło odnosić się do niego, do jego pokus i postępowania z panią Maszkową, ale uczuł nagle, że gdyby się czegoś domyśliła, spokój jej byłby z jego winy zabity raz na zawsze — i — ponieważ nie był człowiekiem zepsutym, ogarnęła go bojaźń i skrucha.

— Do licha z wszystkimi tańcami! — rzekł. — Będę siedział w domu i pilnował swojego dobra.

I mówił to tak szczerze, że jej, która go znała doskonale, nie mógł przejść przez głowę ani cień zwątpienia. To też ogarnęło ją uczucie ogromnej ulgi.

— Jak ty jesteś przy mnie — rzekła — to ja zaraz mniej się czuję zmęczona. Przed chwilą było mi jakoś niedobrze. Aneta siedziała koło mnie, ale cóż ja ją mogę obchodzić! Gdy człowiek jest niezdrów, potrzebuje koło siebie kogoś swojego i pewnego. Może mnie wyłajesz za to, co ci powiem, bo to dziwne, żeby takie rzeczy mówić na wieczorze, u obcych, i tak dawno po ślubie, więc sama rozumiem, że trochę dziwaczą, ale mi ciebie naprawdę potrzeba, bo — ja cię bardzo kocham.

— I ja ciebie kocham, drogie stworzenie — odpowiedział Połaniecki, który w tej chwili miał uczucie, że jedynie miłość do niej może być w nim uczciwą i spokojną.

Tymczasem ulewa zmniejszyła się, tylko błyskało jeszcze tak, że okna willi stawały się co chwila jasno-sine. Bigiel, który był na zakończenie wieczoru odegrał

preludium Szopenowskie, rozmawiał teraz z panną Linetą i Zawilowskim o muzyce i, zastanowiwszy się dobrze nad swoją ideą, rzekł;

— To tam Bukacki wymyślał rozmaite podziały i typy kobiet, a ja mam swoje kryterium muzyczne. Są kobiety, które lubią muzykę duszą, a są takie, które ją lubią skórą — i takichbym się bał.

W kwadrans później, krótka letnia burza przeszła i wypogodziło się zupełnie; goście państwa Osnowskich poczęli zbierać się do domów. Tylko Zawilowski pozostał dłużej od innych, by ostatni mógł powiedzieć pannie Linecie: dobranoc!

Połaniecki, z obawy o Marynię, kazał powozowi jechać noga za nogą. W jej zmęczonej głowie przesunął się ciągle obraz męża tańczącego z panią Maszkową, a w uszach brzmiały słowa pani Osnowskiej: „Ach, jak oni kłamią, nawet najlepsi!“ Ale Połaniecki otoczył ją tymczasem ramieniem i trzymał opartą o siebie przez całą drogę — więc stopniowo niepokój jej począł tajać. Chciało jej się z całej duszy zadać mu takie jakieś pytanie, z którego mógłby się domyśleć jej obaw i uspokoić ją. Ale po chwili pomyślała: „Gdyby mnie nie kochał, nie okazywałby troskliwości. On prędzej mógłby być okrutny, niż udawać. Nie spytam go dziś o nic“.

Połaniecki zaś, widocznie pod wpływem myśli, które snuł w głowie, i pod wpływem wrażenia, że ona jedna może być jego prawą miłością i prawdziwym szczęściem, pochylił się i pocałował z lekka jej twarz.

— Nie spytam go o nic i jutro — pomyślała Marynia, opierając głowę o jego ramię.

A po chwili jeszcze:

— Nigdy mu nie powiem.

I utrudzenie, zarazem duchowe i fizyczne, poczęło przemagać jej siły, tak, że nim dojechali do domu, oczy jej się przymknęły i usnęła na ramieniu Połanieckiego.

Pani Broniczowa siedziała tymczasem w salonie, spoglądając ku szklanym drzwiom balkonu, na który narzeczeni wyszli na chwilę, by odetchnąć odświeżonem przez deszcz powietrzem i powiedzieć sobie bez świadków: dobranoc. Po burzy zrobiła się przejasna noc, pachnąca mokrymi liśćmi, pełna gwiazd, jakby wykąpanych w dżdżu i uśmiechniętych przez łzy. Oni stali czas jakiś w milczeniu, potem poczęli sobie mówić, że się z całej duszy kochają, a wreszcie Zawilowski wysunął rękę, na której połykiwał pierścionek, i rzekł:

— Moja, bardzo kochana! Patrząc na ten pierścionek i nie mogę mu się napatrzeć. Dotychczas zdawało mi się, że to wszystko sen, i teraz dopiero śmiem myśleć, że ty będziesz moją naprawdę.

A Lineta przyłożyła dłoń do jego ręki, tak aby dwa pierścionki były obok siebie, i odrzekła rozmarzonym głosem:

— Tak! Już niema dawnej Linety, tylko twoja narzeczona; już całe życie musimy do siebie należeć — i aż mi dziwnie, że w tych pierścionkach jest taka siła, jakby w nich było coś świętego.

Zawilowskiemu zalewało serce szczęście i spokojna słodycz.

— Bo — rzekł — w pierścionku jest dusza, która się oddaje, a w zamian bierze drugą duszę... I w taką złotą

obietnicę wszczepia się wszystko, co w człowieku mówi: chcę, kocham i przyrzekam!...

Panna Lineta powtórzyła jak ciche echo:

— Chcę, kocham i przyrzekam...

Wówczas on objął ją i trzymał długo przy piersiach, a potem pocałował się z nią żegnać. Lecz porwany siłą miłości i polotem własnej swej duszy, uczynił z tego pożegnania jakiś religijny akt czci i adoracyi.

Więc dawał dobranoc tym błogosławionym rękom, które mu dały tyle szczęścia, i dobranoc sercu, które go pokochało, i dobranoc ustom, które wypowiedziały miłość, i dobranoc przeczystym oczom, przez które patrzyła na niego wzajemność — a wreszcie dusza wyszła z niego i zmieniła się jakby w świetlisty krąg, koło tej droższej nad świat i uwielbionej głowy...

— Dobranoc!...

Po chwili pani Broniczowa i panna Castelli zostały same w salonie.

— Zmęczyłaś mi się, dziecko? — spytała pani Broniczowa, patrząc na jakby zbudzoną ze snu twarz Linety.

A panna Castelli odrzekła:

— Ach, ciociu, wracam z gwiazd, a to taka daleka droga!

VII.

Zawiłowski mógł sobie powiedzieć, że i poetom przyświeca czasem szczęśliwa gwiazda. Od chwili zaręczyn z panną Castelli, przychodziło mu wprawdzie często do głowy, że trzeba będzie teraz pomyśleć o środkach na urządzenie domu i opędzenie wydatków, tak ślubu, jak i wesela, ale, będąc przede wszystkim zakochanym i nie mając wogóle jasnego pojęcia o podobnych rzeczach, przedstawiał sobie to wszystko tylko jak jakąś nową trudność życiową, którą należy przezwyciężyć; złał zaś ich już tyle w życiu, że, ufając w swe siły, mniemał, że złamie i tę, ale nad sposobami dotychczas nie rozmyślał.

Natomiast rozmyślali za niego inni. Stary pan Zawiłowski, w którym, obok całego uznania dla geniuszów, nic nie mogło zachwiać wiary, iż każdy poeta musi mieć w głowie: „fiu, fiu!“ — wezwał Połanieckiego na osobną naradę i rzekł mu:

— Ja powiem otwarcie, że mi się ten chłopak spodobał, bo ojciec jego był z przeproszeniem wielki hultaj: nic, panie, tylko karty, kobiety i konie!... Doczekał się

też za życia pokuty. A młody się w niego nie wdał — i nie tylko ujmę nazwisku nie przyniósł, ale chlubę. No, inni nie bardzo mnie do tego przyzwyczaili, to też o nim, da Pan Bóg pożyć, nie zapomnę, ale i zaraz chciałbym dla niego coś zrobić, bo choć to daleki krewny, ale krewny i nazwisko to samo, a to grunt!

Na to Połaniecki odrzekł:

— Myśmy już o tem myśleli, tylko to trudna rzecz. Byłe wspomnieć o pomocy, to mu ambicya tak bije do głowy, że najcierpliwszego może do złości doprowadzić.

— Proszę... Takaż to harda sztuka! — przerwał z widocznym zadowoleniem pan Zawilowski.

— Tak jest. On prowadzi księgi i korespondencyę w naszym Domu od niedawna, ale szczerześmy go pokochali, więc obaj ze współnikami sami zaofiarowaliśmy mu kredyt; powiedzieliśmy tak: weź kilka tysięcy rubli na wydatki i urządzenie domu, a oddasz nam w ciągu trzech lat z tego, co ci wpłynie za książkę. Nie chciał. Powiedział nam, że ufa swojej narzeczonej, że jest pewny, iż ona zastosuje się do niego — i nie chciał. Osnowski miał też ochotę ofiarować mu pomoc, aleśmy go powstrzymali, wiedząc, że to na nic... To będzie trudna sprawa.

— Może też on coś ma?

— Ma i nie ma. Teraz dopiero dowiedzieliśmy się, że mu po matce zostało kilkanaście tysięcy rubli, ale on z procentu utrzymuje ojca w domu dla obłąkanych i kapitał uważa za nienaruszalny. Że z niego nic nie weźmie, to pewna, bo, nim zaczął u nas urzędować, znosił taką biedę, że wprost głód marł, a nie ruszył ani grosza.

To taki charakter. I zrozumie szanowny pan, dlaczego go tak cenimy. On, zdaje się, coś teraz pisze i liczy, że z tego opędzi koszta urzędzenia. Może być. Teraz jego nazwisko dużo znaczy.

— Gruszki na wierzbie! — rzekł pan Zawilowski. — Mówisz pan, że jego nazwisko dużo znaczy? — proszę!... Ale to gruszki na wierzbie!

— Niekoniecznie — tylko, że to nie przyjdzie prędko.

— To z wami robił ceremonie, boście mu obcy, ale ja krewny.

Połaniecki potrząsnął głową:

— My mu obcy, ale dawniejsi znajomi od pana — i znamy go lepiej.

Pan Zawilowski, nieprzywykły, żeby mu się ktośkolwiek sprzeciwiał, począł ruszać swymi białymi wąsami i sapać z niezadowolenia. Pierwszy też raz w życiu przyszło mu biedzić się o to, czy ktoś, komu on chce dać pieniędzy, raczy je przyjąć. Razem go to dziwiło, podobąło mu się i gniewało go. Przypomnił sobie teraz to, o czem Połanieckiemu nie wspominał, ile to razy płacił był weksle za ojca młodego człowieka — i jakie weksle! A oto jabłko padło tak daleko od jabłoni, że teraz był nowy i niespodziewany kłopot.

— No — rzekł po chwili — może to Bóg miłosierny daje, że młodsze pokolenia tak się zmieniają, bo dyabłu do nich: ani przystęp!...

Tu twarz rozjaśniła mu się nagle ogromnie pocziwą radością. Niewyczerpany optymizm, leżący na dnie

jego duszy, znalazł realny dowód na swe usprawiedliwienie, napelnił mu serce wesołemi widzeniami.

— Zgryźże go tu, panie dyable — rzekł — kiedy to bestya jak z kamienia!... Zdolne szelmy! zawzięte w robocie! — i charaktery! — ot co! charaktery!

Tu wytrzeszczył oczy i, kręcąc głową, usta złożył na znak podziwu, jak do gwizdania, a potem dodał:

— Proszę! i to w szlachcie! Dalibóg, takem się nie spodziewał.

— Zdaje się też — rzekł Połaniecki — że nie będzie innej rady, tylko panna Castelli musi się do niego zastosować.

Lecz stary szlachcic skrzywił się nagle:

— To niby się gada! hm! Zastosuje się, nie zastosuje? — lichy ją wie! Młoda, jak to młoda, może i gotowa na wszystko, ale kto zaręczy, na jak długo? A prócz tego, jest tam ciotka i ten usłużny nieboszczyk, co to, jak panie huknie z pod ziemi, to i gadajże z nim!... Ja, dalibóg, cenię takich, co się dorobili majątku, ale, jak kto wylazł z folwarku, nie ze dworu, a udaje, że mieszkał zawsze w pałacach, to mu się chce pałaców. I tak było ze starym Broniczem. Na próżności tam nie zbywało im obojgu i w takiej szkole chowała się młoda. Nic, panie, tylko wygody i zbytek. Ignacy ich pod tym względem nie zna — i pan nie znasz. Taka, ot! (tu wskazał głową na córkę) poszłaby na poddasze, jakby raz dała słowo, ale tam, to może nie pójść łatwo.

— Ja ich nie znam — rzekł Połaniecki — i różnie o nich słyszałem, a przez życzliwość dla Ignasia chciałbym wiedzieć wreszcie, co o nich sądzić.

— Co o nich sądzić? Ja znam je dawniej, a też nie bardzo wiem. A no! sądząc z tego, co gada sama Broniczowa — święte kobiety, panie, najzacniejsze!... I pobożne! — ho! za życiaby je kanonizować!... Ale to, widzisz pan, jest tak: są u nas kobiety, które Boga i przykazania wiary noszą w sercu, a są też i takie, które sobie z naszej katolickiej religii robią katolicki sport — i takie najgłośniej gadają i wyrastają, gdzie ich nie posiał. Ot, co jest!

— A, jaką pan ma słuszość! — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki.

— Co? nieprawda? — spytał Zawilowski. — Ja się napatrzył różnym rzeczom w życiu... Ale wróćmy do materyi. Masz tedy pan jaki sposób, żeby ten żbik przyjął pomoc, czy nie masz?

— Trzeba będzie coś obmyśleć, ale w tej chwili nie mi do głowy nie przychodzi.

Wtem panna Helena Zawilowska, która, zajęta wyszywaniem na kanwie, milczała do tej chwili, jakby nie słysząc rozmowy, podniosła nagle swe stalowe, zimne oczy i rzekła:

— Jest sposób bardzo prosty.

Stary szlachcic spojrział na nią:

— Ot i znalazła! Cóż to za taki prosty sposób?

— Niech papa złoży dostateczny kapitał dla ojca pana Ignacego.

— To lepiej było ci nie radzić. Już ja dosyć w życiu zrobił dla ojca pana Ignacego, choć go nie chciałem na oczy widzieć, a teraz chciałbym coś zrobić dla samego pana Ignacego.

— Tak, ale jeśli jego ojciec będzie miał zabezpieczony do śmierci procent, to on sam będzie mógł rozporządzać tem, co ma po matce.

— A jak mi Bóg miły, prawda! — rzekł ze zdumieniem pan Zawilowski. — Patrzą pan! Tośmy obaj napróżno głowy łamali, a ona znalazła! Jak mi Bóg miły, prawda!

— Pani ma zupełną słuszność — rzekł Połaniecki.

I spojrział na nią z ciekawością, lecz ona już pochylała swą obojętną i jakby przedwcześnie zwiędłą twarz nad robotą.

Wiadomość o takim obrocie sprawy ucieszyła mocno panią Połaniecką i Bigielów, a przytem dała powód do rozmów o pannie Helenie Zawilowskiej. Niegdyś miała ona opinię panny zimnej i ceniącej nad wszystko formy; lecz opowiadano, że później przez ten chłód przedarło się do jej serca wielkie uczucie, które, zmieniawszy się w tragedję, zmieniło również i tę niegdyś światową istotę na kobietę dziwną, oderwaną od ludzi, zamkniętą w sobie, zazdrosną o swój ból. Niektórzy wynosili jej wielką dobroczynność, ale jeśli istotnie była dobroczynną, to tak skrycie, że nikt nic dobrze nie wiedział. Trudno też było komukolwiek się do niej zbliżyć, gdyż obojętność jej zbyt była podobną do dumy. Mężczyźni utrzymywali, że w obejściu jej jest wprost coś pogardliwego, jakby nie mogła darować im, że żyją.

Zawilowski był w Przytułowie i wrócił dopiero w tydzień po rozmowie starego z Połanieckim, to jest wówczas, gdy szlachcic złożył już na imię jego ojca dwa razy większy kapitał, niż ten, który służył dotychczas na

opłatę domu zdrowia. Dowiedziawszy się o tem, polecał dziękować i bronić się przed przyjęciem, lecz stary, czując pewny grunt pod nogami, zburczał go z miejsca:

— A ty co masz tu do gadania — rzekł — kiedy ja dla ciebie nic nie zrobił?... Tobie nic nie dałem, więc nie masz prawa przyjmować, albo nie przyjmować, a że mi się spodobało przyjść z pomocą choremu krewnemu, to każdemu wolno.

I rzeczywiście nie było na to nic do odpowiedzenia, więc skończyło się na uściskach i wzruszeniu, w którym obaj ci, niedawno obcy sobie ludzie, poczuli się naprawdę krewnymi.

Nawet i panna Helena okazywała „panu Ignasiowi“ życzliwość, co zaś do starego pana Zawilowskiego, ten, bolejąc skrycie nad tem, że nie ma syna, pokochał młodego człowieka serdecznie, i gdy w tydzień później pani Broniczowa, wpadłszy dla jakiegoś sprawunku do Warszawy, przyszła dowiedzieć się, co słychać z pedogą, a zarazem, mówiąc o młodej parze, powtórzyła kilkakrotnie na większą chwałę „Niteczki“, że wychodzi za człowieka bez majątku, staruszek zniecierpliwił się i zawołał:

— Co mi tam pani mówisz! Bóg to raczej wie-dzieć, kto robi lepszą partję nawet pod względem majątkowym, nie mówiąc już o innych.

I pani Broniczowa, która zresztą znosiła wszystko od starego weredyka, zniosła gładko nawet wzmiankę o „innych względach“. Natomiast w pół godziny później rozpuściła dowoli skrzydła wyobraźni. Odwiedziwszy po drodze Połanieckich, opowiedziała im, że pan Zawilowski

formalnie przyrzekł jej uczynić ze swoich majątków pruskich ordynacę dla „tego kochanego Ignasia“. Sama wyznała również, że pokochała „tego kochanego Ignasia“ tak niepohamowanym macierzyńskim uczuciem, iż chwilami zastępował w jej sercu Lola. W końcu wyraziła niezachwianą pewnością, iż Teodor pokochał go nie mniej od niej i że dla obojga pamięć Lola stałaby się przez to mniej bolesną.

Zawilowski nie wiedział ani o tem, że w sercu pani Broniczowej zastąpił Lola, ani o wynalezionej przez nią ordynacyi. Spostrzegł jednak, iż jego stosunek do ludzi poczyna się zmieniać. Wiadomość o owej ordynacyi musiała się rozejść z piorunującą szybkością po mieście, albowiem znajomi witali go jakoś inaczej, a nawet koledzy biurowi, ludzie uczciwi, poczuli z nim być mniej poufali. Wróciwszy z Przytułowa, musiał pójść w odwiedziny do wszystkich, którzy byli obecni na wieczorne zaręczynowym u Osnowskich, i szybkość, z jaką mu oddał wizytę taki naprzykład Maszko, świadczyła również o tej zmianie stosunku. Maszko w pierwszych chwilach znajomości traktował go trochę z góry. Teraz nie przestał wprawdzie być protekcyjnym, ale ileż było życzliwej i przyjacielskiej poufałości w jego obejściu, jaka wyrozumiałość — nawet dla poezyi. Nie! Maszko nie miał przeciw poezyi; wołałby może, żeby wiersze Zawilowskiego były w duchu odpowiedniejszym obozowi prawdziwie dobrze myślących ludzi, ale wogóle na istnienie poezyi się zgadzał, a nawet ją pochwalał. Łaskawe jego usposobienie i dla poezyi i dla poety widać było w jego spojrzeniu, w jego uśmiechu, w powtarzaniu co

chwila: „Ale owszem, owszem, ale bardzo!“ Zawilowski, który był pod wieloma względami naiwny, lecz przytem wyjątkowo inteligentny, zrozumiał jednak, że w tem wszystkim jest jakieś udawanie czegoś i pomyślał:

— Dlaczego ten, niby rozumny człowiek, tak pozuje, że to widać?

I tego samego dnia poruszył to pytanie w rozmowie u Połanieckich, u nich bowiem poznał był Maszkę.

— Ja, gdybym pozował — rzekł — starałbym się tak robić, żeby się na tem nie poznali.

— Ci, którzy pozują — odpowiedział Połaniecki — liczą na to, że choć się ludzie na pozie poznają, w końcu przez samo lenistwo, lub brak odwagi cywilnej, zgodzą się na to, co poza ma wyrażać. To zresztą trudna rzecz. Czyś pan uważał, że kobiety, które się różują, tracą zwolna miarę w oku? Z pozowaniem jest tak samo. Najinteligentniejsi tracą miarę.

— Prawda — odpowiedział Zawilowski — jak również prawda i to, że ludziom można wszystko narzucić.

— Co do Maszki — mówił dalej Połaniecki — wie przytem, że się żenisz z panną, która uchodzi za zamożną; wie, żeście się polubili ze starym panem Zawilowskim, i może chciałby za pańską protekcją zbliżyć się z nim. Maszko musi myśleć o przyszłości, bo mówiono mi, że sprawa o zwalenie testamentu, od której zależy jego los, nie stoi zbyt pomyślnie.

Jakoż tak było. Ów młody adwokat, występujący w obronie testamentu, okazywał aż nadto wiele zręczności, energii i upor.

Lecz na tem skończyła się rozmowa o Maszce, al-

bowiem pani Marynia zaczęła się wypytywać o Przytułów i jego mieszkańców, dla Zawilowskiego zaś był to przedmiot niewyczerpany. W wyrazistem opowiadaniu ukazał się dwór przytułowski, z lipami przy drogach, dalej cienisty ogród, stawy, trzciny, olszyny i na widnokregu pas sosnowego lasu. Krzemień, który był już zbladł w pamięci Maryni, stanął przed nią teraz, jak żywy, i w tem chwilowem odzyciu tęsknoty pomyślała, że kiedyś, kiedyś poprosi Stacha, by ją zawiózł choć do Wątorów, do tego kościółka, w którym ją chrzcili i w którym pochowana była jej matka. Może w tej chwili Krzemień przypomniał się i Połanieckiemu, albowiem, machnąwszy ręką, rzekł:

— To wszędzie na wsi tak samo. Pamiętam, co mawiał Bukacki, że on lubiłby namiętnie wieś, ale pod warunkiem, żeby w domu był doskonały kucharz, duża biblioteka, ładne i inteligentne kobiety — i żeby nie potrzebował dłużej tam siedzieć na rok, jak dwa dni. I ja go rozumiem.

— A jednak — rzekła Marynia — tak ci się chce mieć swój kawałek ziemi pod miastem?

— Żeby latem mieszkać u siebie, nie u Bigielów, jak musimy uczynić w tym roku.

— A we mnie — rzekł Zawilowski — jak tylko jestem na wsi, odzywają się jakieś polne instynkta. Zresztą moja narzeczona nie lubi miasta, a to dla mnie dosyć.

— Linetka naprawdę nie lubi miasta? — spytała z zajęciem Marynia.

— Bo to urodzona artystka. Ja przecie także pa-

trzę na naturę i odczuwam ją, ale ona pokazuje mi takie rzeczy, których sam nie umiałbym dostrzedz. Przed paru dniami wybraliśmy się wszyscy do lasu, gdzie pokazywała mi naprzykład paprocie w słońcu. To takie ładne! Nauczyła mnie także, że pnie sosen mają, zwłaszcza w wieczornem oświetleniu, ton fioletowy. Ona otwiera mi oczy na kolory, których przedtem nie widziałem, i jak jakaś wróżka, chodząc po lesie, pokazuje mi nowe światy.

Połaniecki pomyślał, że wszystko to może być dowodem artyzmu, ale może być również objawem mody i tego wmawianego w siebie powszechnie zamiłowania do malarstwa, a w niem do kolorytu, którem wojuje dziś byle panna, nie z miłości dla sztuki, ale dla popisu. Sam on nie zajmował się malarstwem, spostrzegł jednak, że dla światowych gąsek stało się ono w ostatnich czasach towarem, chętnie wystawianym na jarmarku próżności, albo, inaczej mówiąc, frazesem, mającym dowodzić artystycznej kultury i artystycznej duszy.

Ale zachował te myśli dla siebie, Zawilowski zaś mówił dalej:

— Ona przytem ogromnie lubi dzieci wiejskie! Mówi, że to takie doskonałe modele i mniej spospolitowane, niż młode Włoszeta. Jak pogoda, cały dzień jesteśmy na świeżem powietrzu i opaliliśmy się oboje. Uczę się też grać w tennis i robię wielkie postępy. To się zdaje łatwo, a z początku idzie bardzo trudno. Pan Osnowski grywa zapalczywie, żeby nie utyć. Trudno wypowiedzieć, co to za dobry i delikatny człowiek.

Połaniecki, który za czasów swego pobytu w Bel-

gii uprawiał tennis niemniej zapalczywie od pana Osnowskiego, począł się teraz chęłpić swem doświadczeniem i rzekł:

— Żeby tam był, pokazałbym wam, jak się gra w tennis.

— Mnie, tak! — odpowiedział Zawilowski — ale oni tam zresztą dobrze grają, zwłaszcza Kopowski.

— A, to pan Kopowski jest w Przytułowie? — spytał Połaniecki.

— Jest — odpowiedział Zawilowski.

I nagle obaj, spojrzawszy sobie w oczy, w jednej chwili odgadli, że obaj coś wiedzą — i umilkli. Nastąpiła chwila ciszy i nawet zakłopotania, albowiem pani Marynia zaczerwieniła się niespodzianie, a nie umiejąc tego ukryć, czerwieniła się coraz mocniej.

Zawilowski, który rozumiał dotąd, że jest wyłącznym posiadaczem tajemnicy, spostrzegł ze zdziwieniem jej rumieńce i zmieszał się również, następnie zaś, chcąc zakłopotanie zagadać, począł mówić pospiesznie:

— Tak, Kopowski jest w Przytułowie. Pan Osnowski zaprosił go dlatego, że panna Lineta nie skończyła jego portretu, a później nie będzie na to czasu. Prócz tego, bawi tam krewna pana Osnowskiego, panna Ratkowska, i myślę, że Kopowski o nią się stara. To bardzo miła i cicha panienska. W sierpniu wyjeżdżamy wszyscy do Scheveningen, bo te panie nie lubią Ostendy... Gdyby pan Zawilowski nie był przyszedł z taką serdeczną pomocą memu ojcu, ja nie byłbym mógł pojechać, ale teraz mam rozwiązane ręce...

To rzekłszy, począł mówić z Połanieckim o swem

stanowisku w biurze, którego nie chciał porzucać. Prosił natomiast, by, ze względu na wyjątkowe okoliczności, mógł otrzymać kilkomiesięczny urlop. Poczem pożegnał się i wyszedł, albowiem pilno mu było do pisania listu do narzeczonej. Za parę dni miał znów jechać do Przytułowa, ale tymczasem pisywał, niekiedy nawet po dwa razy dziennie.

I przez drogę do swego mieszkania układał sobie słowa listu, wiedział bowiem, że panna Lineta będzie czytała go na wspólną z panią Broniczową, że obie będą szukały w nim nietylko serca, ale skrzydeł, i że piękniejsze ustępy będą czytane pod sekretem pani Anecie, panu Osnowskiemu, a nawet pannie Ratkowskiej. Ale nie brał tego za złe swojej ukochanej „Niteczce“ — owszem, był jej wdzięczny, że się nim chlubi i dokładał wszystkich sił, by odpowiedzieć jej wysokiemu o nim wyobrażeniu. Nie gniewała go również myśl, że ludzie będą wiedzieli, jak ją kocha. „Niech wiedzą, że jest kochana tak, jak nikt w świecie!“

Obok tego, myślał teraz trochę i o Maryni. Rumieńce jej wzruszyły go, widział w nich bowiem dowód przeczystej natury, która nietylko sama nie byłaby zdolną do złego, ale którą nawet zło cudze zawstydzą, urażą i trwoży. I porównywając ją z Osnowską, zrozumiał, jaka jednak przepaść może dzielić kobiety, pozornie bliskie sobie przez położenie towarzyskie i poziom umysłowy.

Połaniecki zaś rzekł po wyjściu Zawilowskiego:

— Widziałas, że i Zawilowski musiał czegoś do-

patrzeć. Teraz nie mam już wątpliwości. Ślepy ten Osnowski! ślepy!

Pani Marynia zaś odpowiedziała:

— Właśnie jego zaślepienie powinno ją ująć i powstrzymać. To byłoby okropne!

— To nie „byłoby“ — to jest. Widzisz, szlachetne dusze płacą za ufność wdzięcznością, podle — pogardą.

VIII.

Dla pani Maryni słowa te były wielką otuchą, myśląc bowiem o swoich poprzednich niepokojach, miała zarazem, że Połaniecki nie powiedziałby nic podobnego, gdyby był zdolnym zawieść jej ufność. Nie przypuszczała też, że człowiek inną może mieć miarę ogólną, inną osobistą, i że w życiu co krok napotyka się takie dwie różne miary. Mówiła sobie, że dość jest okazywać mężowi ufność bez granic, by go od wszystkiego powstrzymać, i z mniejszą obawą myślała teraz o bliżkiem sąsiedztwie letniego domu pani Krasławskiej z domem Bigielów, w którym oboje z mężem mieli przepędzić lato. Łatwo bowiem było odgadnąć, że pani Maszkowa, która już się była przeniosła do domu matki, będzie z samych nudów częstym gościem u Bigielów. Maszko nie wysłał jej do Krzemienia, nie chcąc się z nią na letnie miesiące rozłączać. Z Warszawy, w której musiał zostać dla interesów, łatwo mu było codziennie dojeżdżać do żony, mieszkającej o godzinę od rogatek, tymczasem odległy Krzemień wyłączał możliwość podobnych wypraw. Maszce, zakochanemu szczerze w żonie, obe-

ność jej była potrzebna, jako pokrzepienie, albowiem nadchodziły znów na niego ciężkie czasy. Sama sprawa o zwalenie testamentu nie była jeszcze wcale stracona, nie brała jednak, z powodu sprężystości obrony pomyślnego obrotu; poczyniała się przewlekać i ludzie poczęli o niej wątpić — już zaś to samo było dla Maszki niemal klęską. Kredyt jego, który z początku sprawy tak był odżył i rozkwitł, jak jabłoń na wiosnę, począł się powtórnie chwiać. Śledź, który był osobistym Maszki wrogiem i człowiekiem wogóle zawziętym, nietylko nie pozostał na rozpuszczaniu wieści o złem położeniu swego współzawodnika, lecz postarał się, by wątpliwości co do pomyślnego zakończenia sprawy przedarły się i do prasy. Poczęła się bezlitosna wojna prawna i osobista, Maszko bowiem starał się również szkodzić wszelkimi siłami nieprzyjacielowi, a przy spotkaniach się z nim zachowywał się wprost wyzywająco. Nie przynosiło mu to jednak korzyści. Kredyt stawał się coraz trudniejszym a wierzyciele, lubo spłacani dotąd regularnie tracili ufność. Zaczęło się znów gorączkowe poszukiwanie pieniędzy w tym celu, by jednym długiem zepchnąć drugi i podtrzymać opinię natychmiastowej wypłacalności. Maszko zużywał na to tyle inteligencji i energii, że, gdyby nie zasadniczy fałsz w jego życiowych stosunkach, byłby z tymi przymiotami doszedł do sławy i wielkiego majątku.

Zwalenie testamentu mogło wszystko uratować, ale na to trzeba było czekać, a tymczasem wiązać rwące się tu i owdzie nici, co było równie nie łatwym, jak upokarzającym. Przyszło do tego, że w dwa tygodnie

po przeniesieniu się Połanieckich do Bigielów, gdy państwo Maszkowie przybyli do nich w odwiedzinę, Maszko zmuszony był zażądać od Połanieckiego „przyjacielskiej usługi“ — to jest, podpisania weksłu na kilka tysięcy rubli.

Połaniecki był z natury człowiekiem uczynnym i raczej hojnym, ale miał swoją teorię, która w sprawach pieniężnych nakazywała mu być trudnym — i skutkiem tego podpisu odmówił, natomiast zaś uczestował Maszkę swymi poglądami na kwestye pieniężne między przyjaciółmi.

— Gdy chodzi, nie o obustronny korzystny interes — rzekł mu — ale o usługę prywatną, odmawiam podpisu z zasady; natomiast służę gotówką, o ile znajomy lub przyjaciel potrzebuje jej z powodu chwilowego kłopotu, nie zaś z powodu rozpaczliwego położenia. W tym ostatnim razie wolę zachować moją użyteczność na później.

— To się znaczy — odrzekł sucho Maszko — że dajesz mi lekką nadzieję wsparcia, gdybym zbankrutował?

— Nie. To się znaczy, że jeśli przyjdzie katastrofa, wówczas, zaciągnąwszy u mnie pożyczkę, będziesz mógł schować to, co pożyczysz, lub rozpocząć z owym kapitałem coś na nowo. Obecnie, rzucisz go jak w przepaść, ze szkodą dla mnie, bez pożytku dla siebie.

Maszko obraził się.

— Mój drogi — rzekł — widzisz moje położenie w gorszym świetle, niż ja sam i niż jest rzeczywistość. Właśnie jest to chwilowy kłopot i mały kłopot. Cenię

twoje dobre chęci, ale dziś jeszcze nie oddałbym może moich widoków za twój gotowy majątek. Teraz zaś mam jedną przyjacielską prośbę, mianowicie: żebyśmy nie mówili o tem więcej.

I obaj wrócili do pań: Maszko zły na siebie, że czegośkolwiek żądał, Połaniecki, że żądaniu odmówił. Jego teoria, iż w interesach pieniężnych należy być nieużytym, nieraz sprawiała mu podobne przykrości, nie mówiąc o szkodach, które mu w życiu przyniosła.

Przy paniach jego zły humor powiększył się jeszcze z powodu porównania między panią Maszkową a Marynią. Ku wielkiemu umartwieniu Maszki, nic dotąd nie zwiastowało, by pani Maszkowa miała zostać matką, a co większa, zaufany lekarz, który znał ją od dzieciństwa, począł wątpić, czy to kiedykolwiek nastąpi. Natomiast zachowała całą wysmukłość panieńskich kształtów i teraz zwłaszcza, w perkalowej letniej sukni, wyglądała przy bardzo zmienionej i ociążalej Maryni, nietylko jak dziewczyna, ale jak osoba młodsza o kilka lat. Połaniecki, któremu się zdawało, że się już uporał z tym dziwnym pociąganiem, jaki na niego wywierała, uczuł nagle, że tak nie jest i że z powodu blizkiego sąsiedztwa, widując ją często, będzie coraz bardziej poddawał się jej fizycznemu urokowi.

Stosunek jego do żony stał się jednak od czasu zaręczynowego wieczoru Zawilowskiego cieplejszy i Marynia była śmielsza, niż poprzednio, to też teraz, po wyjściu Maszków, spostrzegli, że Połaniecki pożegnał się z Maszką zimniej, niż zwykle, i że wogóle był zły, spytała, czy się nie poróżnili.

Połaniecki nie miał zwyczaju mówić z nią o interesach, ale w tej chwili był niezadowolony ze siebie i uczył taką potrzebę wypowiedzenia tego, co mu ciążyło, jaką zawsze odczuwa człowiek, trochę egoista, mający pewność, że znajdzie współczucie w oddanem mu sercu, więc rzekł:

— Odmówiłem Maszce pożyczki i szczerze ci powiem, że mi teraz przykro. On ma przed sobą jeszcze widoki ratunku, ale położenie jego jest takie, że nim dojdzie do celu, może się przez lada przeszkodę przewrócić. Ostatecznie, nigdy nie byliśmy z nim w przyjaźni, prawie go nie lubię; razi mnie, gniewa, ale jednak życie stykało nas ustawicznie, a oprócz tego, on oddał nam raz wielką przysługę. Wprawdzie oddawałem i ja jemu usługi, ale teraz on znów ma nóż na gardle.

Marynia słuchała z przyjemnością tych słów, pomyślała bowiem, że gdyby Stach był naprawdę pod urokiem pani Maszkowej, to nie byłby pożyczki odmówił, a powtóre, widziała w jego żalu dowód dobrego serca. Żal było i jej Maszków, ale, nie wniósłszy mężowi prawie żadnego posagu, nie śmiała go wprost prosić, by przyszedł im w pomoc, więc tylko spytała:

— Czy myślisz, że to musiałyby być stracone?

— Może tak, może nie, odpowiedział Połaniecki.

Poczem dodał z pewną chępliwością:

— Odmówić to ja umiem. Bigiel ma miększe serce.

— Tylko nie mów! Tyś taki poczciwy! Najlepszy dowód, że ci to takie przykre.

— Naturalnie, że nie może być przyjemnie po-

myśleć, że człowiek, choćby obcy, wije się tam, jak wąż, z powodu kilku tysięcy rubli. Ja wiem, o co chodzi. Maszko dał ostateczny termin na jutro, przedtem szukał wszędzie pieniędzy, ale szukał ostrożnie, nie chcąc robić hałasu i przestraszać wierzycieli, a w ostateczności licząc na mnie. Otóż, widzisz, jutro nie zapłaci. Przypuszczam, że za kilka dni znajdzie jeszcze tyle, ile mu potrzeba, ale tymczasem opinia jego akuratności zachwieje się, a w położeniu, w jakim jest, wszystko może być dla niego zgubą.

Pani Marynia poczęła patrzeć na męża, wreszcie rzekła z pewną nieśmiałością:

— A tobie byłoby to naprawdę trudno?

— Jeśli chcesz prawdy, to wcale nie. Ja mam tu nawet ze sobą książeczkę czekową, a wziąłem ją dlatego, żebym mógł zaraz zadatkować, jeśli jakąś kolonijkę upatrzę.

Potem zaczął się śmiać:

— O! — rzekł — protekcyja i współczucie dla dawnego adoratora! Zaczyna mi to dawać do myślenia.

Pani Marynia również poczęła się śmiać, bo rada była, że rozjaśniła twarz męża, lecz przecząc swoją wdzięczną główką, rzekła:

— Nie! to nie współczucie dla adoratora, tylko brzydki egoizm, bo sobie myślę, czy te parę tysięcy rubli warte przykrości mojego Stacha.

Wówczas Połaniecki począł gładzić dłonią jej włosy.

— Ty jednak — rzekł — jesteś poczciwa kobieciną z kośćmi.

Poczem spytał:

— No, więc decyduj: raz, dwa, trzy! -- dać?

Ona nie odrzekła nic, tylko, jak rozpieszczone dziecko, poczęła mrugać oczami na znak, żeby dać. Obojgu uczyniło się naraz wesoło, jednakże Połaniecki jął udawać, że narzeka, i mruzczyć:

— Oto, co jest być pod pantoflem. Włóczę się tu człowieku po nocy i proś pana Maszki, żeby przyjął twoje pieniądze, dlatego, że tej oto rozpieszczonej figurze tak się podoba.

A jej serce zalewało się po prostu radością, że ją nazywał „rozpieszczoną figurą“. Wszystkie jej dawne smutki, wszelkie niepokoje znikły, jakby zaklęte temi słowami. Rozpromienione jej oczy patrzyły na męża z nieopisaną miłością.

Po chwili spytała:

— Czy to koniecznie zaraz musisz tam iść?

— Naturalnie. Maszko jutro o ósmej jedzie do miasta i będzie cały dzień latał.

— To każ sobie zaprządz biedkę Bigiela.

— Nie! Księżyc świeci i niedaleko. Pójdę piechotą...

To rzekłszy, pożegnał żonę i, zabrawszy ze sobą książeczkę z czekami, poszedł. Po drodze myślał:

— Jednakowoż tę Marynię możnaby do rany przyłożyć. To takie złote stworzenie, że choćby człowiek chciał czasem zrobić jakie szelmowstwo, po prostu nie ma serca. Dał mi Bóg taką żonę, jakich mało na świecie.

I czuł w tej chwili, że ją kochał naprawdę. Czuł również, że miłość sama w sobie, jako wzajemny pociąg istot odmiennej płci, nie jest jeszcze szczęściem, a źle

skierowana może być nawet niedolą; ale że natomiast nawet wyobraźnia ludzka nie potrafi wymarzyć większego szczęścia na świecie, jak wielka i zarazem prawa miłość w małżeństwie. — „Nad to nie masz nic — mówił Połaniecki — i pomyśleć, że to leży pod ręką, że to jest przystępne dla każdego, że to rzecz jedynie dobrej i uczciwej woli, a ludzie depcą po tym gotowym skarbie i poświęcają spokój dla targaniny, a cześć dla bezceci!“

Tak rozmyślając, doszedł do willi Maszków, której okna błyszczały, jak wielkie latarnie na ciemnym tle lasu. Wszedłszy przez furtkę na oświetlone księżycem podwórze i zbliżywszy się do ganku, ujrzał przez szyby przyległego do sieni pokoiku oboje Maszków, siedzących na niskiej skrzyconej w ósemkę kanapce, przy której znajdował się stolik z lampą. Maszko obejmował ramieniem stan żony, drugą zaś ręką trzymał jej dłoń, którą to podnosił do ust, to zniżał, jakby za coś dziękował. Nagle objął obu ramionami młodą kobietę, przyciągnął ją ku sobie i, przechyliwszy, począł namiętnie całować jej usta, ona zaś z rękoma, opuszczonemi bezwładnie na kolana, nie oddając mu pieśczoł, ale też nie broniąc się, poddawała im się tak biernie, jakby była istotą pozabawioną zarówno woli, jak krwi. Przez chwilę Połaniecki widział tylko wierzch głowy Maszki, jego długie faworyty, poruszające się od pocałunków — i na ten widok krew uderzyła mu do głowy. Oblał go taki sam ukrop żądz, jak wówczas, gdy szukał tasiemek do okrycia pani Osnowskiej — i tem bardziej palący, że spotęgowany całym szeregiem poprzednich pokus. Ten dzi-

wny dla samego Połanieckiego, czysto fizyczny pociąg, z którym od dawna walczył, odżył teraz z niepohamowaną siłą. Przez mgnienie oka zbudziły się w nim dzikie instynkta pierwotnego człowieka, który, na widok pożądanej kobiety w cudzem objęciu, wpada we wściekłość i gotów się o nią porwać za bary ze szczęśliwym współzawodnikiem. Wraz z żądzą, zapiekła go zazdrość, nieprawa, nędzna i najniższa ze wszystkich rodzajów zazdrości, bo czysto fizyczna, a jednak tak nieokiełznana, że on, który dopieroco rozumował, iż tylko uczciwa miłość do żony może być prawdziwem szczęściem, podeptałby w tej chwili to szczęście i tę miłość, byle móż podeptać Maszkę, a samemu chwycić w ramiona to wysmukłe ciało kobiece i pokrywać pocałunkami tę twarz lalki, bezmyślną i mniej piękną od twarzy jego własnej żony.

Tymczasem ów widok przez szyby nietylko wzburzył go, ale stał mu się nieznośnym, więc poskoczywszy do drzwi, pociągnął gorączkowo za dzwonek — i myśl, że ów dźwięk, który nagle rozległ się wśród ciszy, musiał przerwać małżeńskie pieszczoty, sprawiła mu jakąś dziką i złośliwą radość. Gdy służący otworzył drzwi, kazał się oznajmić, sam zaś usiłował uspokoić się i ułożyć jako tako to, co miał powiedzieć Maszce.

Po chwili Maszko wyszedł do niego, z twarzą nieco zdziwioną.

— Wybacz, że przychodzę tak późno — rzekł Połaniecki — ale żona zbureczała mnie za to, że ci odmówił usługi, że zaś wiem, iż wyjeżdżasz jutro rano, przyszedłem dziś jeszcze, by tę sprawę załatwić.

Na twarzy Maszki odbiła się tajemna radość. Domyślił się on od razu, że tak późne odwiedziny Połanieckiego mają jakiś związek z ich poprzednią rozmową, nie spodziewał się jednak, że rzecz od razu pójdzie tak gładko.

— Proszę cię — rzekł. — Żona moja jeszcze nie śpi.

I wprowadził go do tegoż samego pokoju, w którego wnętrzu Połaniecki spoglądał przed chwilą przez szyby. Pani Maszkowa, siedząc na tej samej kanapce, trzymała w ręku nóż do rozcinania kartek i książkę, którą widocznie przed chwilą wzięła ze stolika. Zgaszona jej twarz wydawała się spokojną, ale na policzkach widać było ślady świeżych pocałunków i usta miała wilgotne, a oczy mgliste. W Połanieckim znów zawrzała krew i, mimo wszelkich wysiłków, by zachować się obojętnie, ścisnął tak silnie podaną sobie rękę, że usta pani Maszkowej ściągnęły się, jakby z bólu.

Jego zaś, z chwilą gdy dotknął jej ręki, mrowie przebiegło od stóp do głów. Było w samym jej podaniu dłoni coś tak biernego, że mimowoli przeleciało mu przez głowę, że ta kobieta nie jest zdolną do żadnego oporu względem kogokolwiek, kto będzie miał odwagę i zuchwałość zdobyć się na prosty zamach.

Tymczasem Maszko zaczął mówić:

— Wyobraź sobie, żeśmy obaj dostali burę: ty, żeś mi usługi odmówił, a ja, żeś mi zażądał. Ty masz poczciwą żonę, ale i moja nie gorsza. Twoja wzięła mnie w obronę, a moja ciebie. Przyznałem jej się otwarcie do chwilowego kłopotu, a ona wyłajała mnie, żeś tego od razu nie uczynił. Oczywiście nie mówiła do mnie jak

prawnik, bo o tem nie ma pojęcia, ale koniec końcem powiedziała mi, że pan Połaniecki słusznie mi odmówił, że trzeba wierzycielowi dać jakąś pewność i że tę pewność ona gotowa jest dać na swoim dożywociu i wogóle na wszystkim, co jest jej... Właśnie dziękowałem jej za jej poczciwość w chwili, gdyś nadszedł.

Tu Maszko położył rękę na ramieniu Połanieckiego.

— Mój kochany — rzekł — zgodzę się z tobą, że twoja pani jest najlepsza w świecie istota, a zgodzę się tem bardziej, że mam świeży tego dowód, pod warunkiem jednak, iż mi przyznasz, że moja nie gorsza. Nie powinno cię też dziwić, że chowam przed nią moje kłopoty, bo dalibóg, dobrem gotów jestem się z takim kochanem stworzeniem zawsze podzielić, ale złe, tem bardziej chwilowe, zachowuję tylko dla siebie, i gdybyś ją znał, tak jak ja, tobyś się temu nie dziwił.

Połaniecki, który poza całą pokusą, jaką dla niego była pani Maszkowa, nie miał wcale o niej wygórowanego pojęcia i bynajmniej nie uważał jej za zdolną do ofiar, pomyślał:

— Albo to jest naprawdę dobra kobieta, i ja się myślę, albo Maszko okłamał ją tak, iż istotnie uważa jego położenie za świetne, a kłopot za zupełnie chwilowy.

I głośno rzekł do niej:

— Ja jestem człowiek ścisły w interesach, ale za kogo mnie pani ma, przypuszczając, że żądałbym jakiejś pewności na majątku pani. Odmówiłem jedynie przez lenistwo i ogromnie się wstydzę — odmówiłem dlatego, by w danym razie nie potrzebować jeździć do Warszawy po nowe zapasy. W lecie człowiek robi się leniuchem

i egoistą. Ale wogóle chodzi o małą rzecz, i ludziom, którzy, jak mąż pani, zajmują się interesami, takie kłopoty zdarzają się codziennie. Nieraz potrzebuje się pożyczki dlatego tylko, że własnych pieniędzy nie można na czas podnieść.

— I właśnie to mi się trafiło — rzekł Maszko, widocznie zadowolony, że Połaniecki tak przedstawia sprawę jego żonie.

— Mama zajmowała się interesami, więc ja się na tem nie znam — wtrąciła pani Maszkowa — ale dziękuję panu.

Połaniecki zaś począł się śmiać:

— Wreszcie, co mi po pani poręczeniu. Przypuszczam na chwilę, że zbankrutujecie, a przypuszczam właśnie dlatego, że nic podobnego państwu nie grozi: czy pani wyobraża sobie w takim razie *mnie*, procesującego panią i zabierającego jej dochody?

— Nie! — rzekła pani Maszkowa.

Połaniecki podniósł jej rękę do ust, ale przy wszelkich pozorach światowej grzeczności, wpił w nią usta ze wszystkich sił, a jednocześnie we wzroku, którym na nią patrzył, była taka namiętność, że żadne wyznanie słowami nie zdołałoby jej więcej powiedzieć.

Ona zaś nie chciała dać poznać, że to rozumie, chociaż rozumiała dobrze, że ów pozór grzeczności był dla męża, a moc pocałunku dla niej, rozumiała również, że się Połanieckiemu podoba, że jej piękność pociąga go — najlepiej jednak rozumiała, że w tej chwili tryumfuje nad Marynią, o której urodę była jeszcze, jako panna,

zazdrosna, więc czuła przede wszystkim głębokie zadowolenie miłości własnej.

Spostrzegła zresztą już od dawna, że Połaniecki płonie przy niej — nie była zaś naturą, ani tak uczciwą, ani tak delikatną, by to mogło ją urazić lub zabołec. Przeciwnie: budziła się w niej ciekawość, zajęcie i próżność. Instynkt ostrzegał ją wprawdzie, że to jest człowiek zuchwały, który w danym razie gotów jest posunąć się za daleko — i myśl ta przejmowała ją czasem obawą; ale gdy dotąd nie zdarzyło się jeszcze nic podobnego, sama nawet obawa miała dla niej pewien urok.

Tymczasem zaś rzekła Połanieckiemu:

— Mama zawsze mówiła o panu, jak o człowieku, któremu w każdym wypadku możnaby zaufać.

Mówiła to zwykłym sobie, wycudzonym głosem, co Połaniecki nieraz poprzednio wyśmiewał, ale teraz wszystko było w niej dla niego tem większą ponętą, więc, patrząc jej ciągle w oczy, rzekł:

— Niech i pani tak myśli o mnie.

— Ufajcież sobie nawzajem — wtrącił żartobliwie Maszko — a ja pójdę do siebie przygotować co potrzeba i za chwilę sprawę załatwimy.

Połaniecki i pani Maszkowa zostali sami. Na jej twarzy odbiło się pewne zakłopotanie, dla pokrycia którego poczęła poprawiać ciemnik na lampie, on zaś zbliżył się szybko do niej i począł mówić:

— Będę szczęśliwy, jeśli i pani zechce tak myśleć o mnie. Ja jestem człowiek bardzo pani oddany, bardzo!... Chciałbym mieć choć przyjaźń pani... Czy mogę na nią liczyć?

— Tak.

— Dziękuję.

To rzekłszy, wyciągnął ku niej rękę, bo zresztą wszystko to, co mówił, zmierzało tylko do tego, by opłamać jej dłoń. Jakoś pani Maszkowa nie śmiała mu jej odmówić, on zaś, chwyciwszy ją, oparł na niej usta po raz drugi, ale tym razem, nie poprzestając na jednym pocałunku, począł ją niemal pożerać. W oczach mu się zaćmiło. Chwila jeszcze, a byłby w zapamiętaniu chwycił i przyciągnął ku sobie tę pożądaną istotę — tymczasem jednak w przyległym pokoju ozwały się skrzypiące buty Maszki, co usłyszawszy pierwsza pani Maszkowa, począła mówić śpiesznie:

— Mój mąż wraca.

W tej chwili Maszko otworzył drzwi i rzekł:

— Proszę cię.

Poczem, zwróciwszy się do żony, dodał:

— Każ tymczasem przynieść herbaty, my zaraz wrócimy.

Jakoż sama sprawa nie zajęła wiele czasu. Połaniecki wypełnił czek i był koniec. Ale Maszko poczęstował Połanieckiego cygarem i poprosił siedzieć, gdyż miał ochotę pogawędzić.

— Znów walą się na mnie kłopoty — rzekł — wybrnę, bo wybrnę. Miałem nieraz do czynienia z większymi. Chodzi tylko o to, by słońce uprzedziło rosę i bym otworzył sobie jakiś nowy kredyt, lub jakieś nowe źródło dochodu przed ukończeniem sprawy i dla jej poparcia.

Połaniecki, cały wzburzony wewnątrz, słuchał tego początku zwierzeń z nieuwagą i żuł niecierpliwie cygareto.

Nagle przysłała mu jednak niegodziwa myśl, że gdyby Maszko zginął z kretezem, żona jego stałaby się łatwiejszym jeszcze łupem.

Więc spytał szorstko:

— Czyś ty pomyślał nad tem, co uczynisz, jeśli sprawę przegrasz?

— Nie przegram — rzekł Maszko.

— Wszystko się zdarza — i sam najlepiej o tem wiesz.

— Nie chcę o tem myśleć.

— A jednak powinienes — rzekł Połaniecki z akcentem pewnej radości, której Maszko nie zauważył. — Co w takim razie zrobisz?

Maszko wsparł dłonie na kolanach i patrząc ponuro w ziemię, rzekł:

— W takim razie muszę opuścić Warszawę.

Nastąpiła chwila milczenia. Twarz młodego adwokata stawała się coraz posępniejszą — wreszcie zamyślił się i począł mówić:

— Niegdyś, za moich najlepszych czasów, znałem w Paryżu barona Hirscha. Zetknęliśmy się kilkakrotnie i raz nawet wzięliśmy udział w jakiejś sprawie honorowej. Czasem teraz, gdy mnie opadną zwątpienia, przypominam go sobie, bo on pozornie wycofał się z interesów, a w gruncie rzeczy ma ich mnóstwo, zwłaszcza na Wschodzie. Znam takich, którzy porobili przy nim majątki, bo tam pole otwarte na każdym kroku.

— Myślisz więc, że mógłbyś się do niego udać?

— Tak. Ale prócz tego mogę sobie także w łeb strzelić...

Lecz Połaniecki nie wziął tej groźby poważnie. Z krótkiej tej rozmowy przekonał się o dwóch rzeczach: naprzód, że Maszko, mimo swej pozornej pewności, myśli często o możliwej ruinie, a powtóre, że na taki wypadek ma nawet plan, może fantastyczny, ale gotowy.

Lecz Maszko otrząsł się nagle z posępnych widzeń i rzekł:

— Moja siła zawsze leżała w tem, że nigdy nie myślał o dwóch rzeczach na raz. Dlatego myślę wyłącznie o sprawie. Wiem, że tamten łotr robi wszystko, żeby mnie zgubić w opinii, ale ja drwię z opinii i chodzi mi tylko o sądy. Gdybym się zarwał przedwcześnie, mogłoby to i na nie źle wpłynąć. Rozumiesz? Uważanoby wówczas całą sprawę za rozpaczliwy wysiłek tonącego, który się chwyta, czego może. Otóż tego nie chcę. Dlatego muszę uchodzić za człowieka, stojącego na silnych nogach. Jest to smutna konieczność, ale nie wolno mi być teraz nawet oszczędnym, nie wolno zinniejszyć skali życia. Jak mnie widzisz, mam kłopotów po uszy, zresztą któż o tem lepiej wie od ciebie, który mi dajesz pożyczkę. A jednak wczoraj jeszcze targowałem Wybórz, znaczny majątek w Rawskim, jedynie dlatego, by moim wierzycielom i przeciwnikom zasypać piaskiem oczy. Powiedz mi, ty znasz dobrze starego Zawilowskiego?

— Od niedawna. Poznałem go przez młodego.

— Aleś mu się podobał, bo on ogromnie podziwiał ludzi ze szlacheckimi nazwiskami, którzy robią majątki. Wiem, że on sam jest własnym plenipotentem, ale się starzeje i gnębi go pedogra. Ja mu podsunąłem kilka myśli — więc, gdyby ciebie o coś spytał — poleć mu mnie.

Rozumiesz, że nie chcę dobrać się do jego kasy, chociaż jako pełnomocnik miałbym jakieś dochody, ale głównie chodzi mi o to, by się rozgłosiło, że zostałem pełnomocnikiem takiego milionera. Czy prawda, że on dla młodego chce zrobić ordynację z majątków poznańskich?

— Tak opowiada pani Broniczowa.

— To byłby dowód, że to nieprawda, ale wszystko na świecie jest możliwe. W każdym razie i ten młody weźmie za żonę jakiś posąg, a jako poeta nie ma pewno najmniejszego pojęcia, jak się z takimi rzeczami obchodzić. Mógłbym mu również posłużyć radą i pomocą.

— Muszę ci w jego imieniu stanowczo odmówić, albowiem jego interesami przyrzekliśmy się zająć w przyszłości. my, to jest ja i Bigiel.

Maszko zmarszczył się nieznacznie i odrzekł:

— Mnie też nie chodzi o jego interesa, tylko o to, bym mógł ludziom powiedzieć, że jestem pełnomocnikiem Zawilowskiego, bo rozumiesz, że nim się wyjaśni, którego Zawilowskiego, mój kredyt może na tem tylko zyskać.

— Wiesz, że ja się nigdy nie wdaję w cudze sprawy, ale powiem ci szczerze, że dla mnie to byłaby straszna rzecz tak istnieć tylko kredytem.

— Spytaj się największych milionerów w świecie, czy porobili majątki na innej podstawie.

— A ty spytaj wszystkich bankrutów, czy się nie zarwali z takiejże przyczyny.

— Co do mnie — przyszłość to pokaże.

— Tak — rzekł wstając Połaniecki.

Maszko podziękował mu jeszcze za pożyczkę przeszli na herbatę do pani, która spytała:

— Cóż? sprawa już załatwiona?

A Połaniecki, którego znów wstrząsnął i który nagle przypomniał sobie, że przed chwilą działa mu: „Mąż wraca!“ jakby już współwinięty wiedział jej, nie zważając na Maszkę:

— Między mężem pani a mną już załatwiona, między nami dwojgiem — jeszcze nie.

Pani Maszkowa, jakkolwiek miała krew chłodną, zmieszała się jednak, jakby przestraszona jego zuchwalstwem, Maszko zaś spytał:

— Jakto?

— Takto — odpowiedział Połaniecki — że pani przypuszczała, iżbym był zdolny żądać poręczenia na jej majątku — i tego nie mogę jej dotąd darować.

Pani Maszkowa spojrzała na niego swymi niewyraźnymi, szaremi oczyma, jakby z pewnym podziwem. Zaimponowała jej jego śmiałość i przytomność umysłu, z jaką umiał nadać przyzwoity towarzyski obrót swym słowom. Wydał jej się przytem w tej chwili urodziwym mężczyzną, bez porównania urodziwszym od jej męża.

— Przepraszam — rzekła.

— To nie pójdzie łatwo. Ani pani wie, jaki ze mnie zawzięty człowiek.

Wówczas odpowiedziała z pewną kokieteryą, jak istota świadoma swego uroku i swej mocy:

— Nie wierzę.

On zaś siadł koło niej, i wzięwszy nieco niepewną ręką filiżankę, zaczął poruszać łyżeczką herbatę. Ogarniał



go coraz większy niepokój. Nieraz przedtem nazywał panią Maszkową, jeszcze za jej panięńskich czasów, rybą, a teraz czuł ciepło, bijące przez lekkie ubranie od jej ciała i doznawał takiego wrażenia, jakby go ktoś obsypał skrami. Znowu przypomniały mu się jej słowa: „Mąż wraca!” — i serce poczęło mu zapływać falami krwi, gdyż zdało mu się, że tak mogła ozwać się kobieta, już gotowa i przygotowana na wszystko. Jakiś głos mówił mu w duszy: „To jest tylko kwestya sposobności!” — i na tę myśl, rozkielznana jego żądza zmieniła się zarazem w jakąś rozkielznaną radość. Przestał do reszty nad sobą panować. Przez chwilę począł szukać stopą jej stopy, lecz nagle samemu wydało się to zbyt grubem i prostackiem. Powiedział sobie wreszcie, że gdy chodzi już tylko o czas i sposobność, trzeba umieć czekać. Przewidywał, że czas przyjdzie, sposobność się znajdzie — i w dreszczach, jakie go przejmowały na samą tę myśl, odnajdywał zapowiedź przyszłych palących uniesień.

Tymczasem było mu ciężko, musiał bowiem podtrzymywać rozmowę zupełnie niezgodną ze swym nastrojem i odpowiadać Maszce, który wypytywał o przyszłe zamiary Zawilowskiego, co do urzędzenia sobie życia i o rozmaite tym podobne rzeczy. Wreszcie począł się żegnać, ale przed odejściem, zwróciwszy się do Maszki, rzekł:

— Jakieś psy opadały mnie po drodze, a zapomniałem laski; pożycz mi swojej.

Żadne psy nie opadały go po drodze, ale chodziło mu o pozostanie choć przez minutę sam na sam z panią Maszkową, to też, gdy Maszko wyszedł, zbliżył się

do niej szybko i ozwał się jakimś przytłumionym, nieswoim głosem:

— Pani widzi, co się ze mną dzieje?

Ona widziała istotnie jego wzburzenie, jego świecące żądzą oczy i rozdęte nozdrza — ogarnął ją nagle niepokój i obawa, lecz on pamiętał tylko jej słowa: „Mąż wraca!“ i jedno tylko miał poczucie: niech się stanie co chce! — i ten sam człowiek, który przed chwilą mówił sobie, że trzeba umieć czekać, teraz, stawiając wszystko w mgnieniu oka na jedną kartę, szepnął:

— Ja panią kocham!

A ona stała przed nim ze spuszczonei oczyma, jakby ogłuszona i zmieniona w słup, pod wpływem tych słów, od których musiało się już zacząć proste przeniecierstwo, a zatem nowa epoka w jej życiu. Odwracała tylko nieco głowę, jakby pragnąc uniknąć jego wzroku. Nastąpiło milczenie; słychać było tylko zdyszany nieco oddech Połanieckiego. Lecz w przyległym pokoju ozwały się znów skrzypiące buty Maszki.

— Do jutra! — szepnął Połaniecki.

I w tym szepcie było niemal coś rozkazującego. Pani Maszkowa stała ciągle bez ruchu, ze spuszczonei oczyma, jak słup.

— Oto jest laska — rzekł Maszko. — Ja jutro rano wyjeżdżam do miasta i wrócę dopiero wieczorem. Jeśli będzie pogoda, to może państwo zechcecie odwiedzić moją pustelnicę.

— Dobranoc! — rzekł Połaniecki.

I po chwili znalazł się na pustej, oświeconej przez księżyc, drodze. Zdawało mu się, że wyskoczył z pło-

mieni. Cisza nocy i lasu była czemś tak sprzecznem z jego wzburzeniem, że uderzyła go jakby coś nadzwyczajnego. Pierwszem wrażeniem, jakie potrafił uświadomić, było poczucie, że skończyła się jego wewnętrzna walka, skończyły się wahania, że mosty już spalone i że stało się. Jakiś głos wewnętrzny począł mu krzyczeć w duszy, iż stało się przede wszystkim to, iż jest nędznikiem, ale właśnie w tej myśli tkwiła jakaś desperacka ulga, albowiem mówił sobie, że skoro tak jest, więc musi zgodzić się na siebie, jako na nędznika, a w takim razie „niech wszystko przepada i niech wszystko dyabli biorą!“ Nędznik nie potrzebuje przynajmniej walczyć ze sobą i może dać sobie folgę. Tak jest! stało się i mosty spalone! Sprzeniewierzy się Maryni, zdepcze jej serce, zdepcze uczciwość, zdepcze zasady, na których budował życie, ale wzamian będzie miał panią Maszkową! Teraz jedno z dwojga: albo ona oskarży go przed mężem i jutro nastąpi pojedynek — co jeśli się stanie, to niech się stanie! — albo będzie milczała, a w takim razie zostanie jego współniczką. Jutro Maszko wyjedzie, on zaś posiadzie wszystko, czego pragnie, choćby potem miał się świat zapaść. Ona, jeśli go nie oskarży, to lepiej jej nie próbować oporu. Wyobrażał też sobie, że go nie będzie próbowała, albo uczyni to tylko dla zachowania pozorów. I poczęło w nim wrzeć na nowo. Ta jej bezwładność, która budziła w nim niegdyś tyle pogardy, stała mu się teraz jedną więcej pojętą. Wyobrażał sobie dzień jutrzejszy i bierność tej kobiety. Mimo całego zamętu myśli, rozumiał doskonale że ona właśnie w tej bierności będzie później szukała

dla siebie wymówki, że powie sobie, iż nie przyłożyła się do winy, że ją do niej zmuszono — i w ten sposób będzie okłamywała własne sumienie, Boga, a w razie potrzeby męża. I tak myśląc, pogardzał nią tyle samo, ile jej pożądał, ale czuł jednocześnie, że on sam niewiele więcej wart, i że na mocy jakiegoś doboru, nie tylko naturalnego, ale i moralnego, powinni do siebie należeć.

Pojmował również, że dla niego zapóźno już cofać się z tej drogi, i że gdy raz te same jego usta, które zaprzysięgły wierność i miłość Maryni, powiedziały innej kobiecie: „kocham“ — to największe zło zostało spełnione. Reszta była już tylko prostą konsekwencją, której nie należało odrzucać, choćby dlatego, że była przynajmniej zarazem rozkoszą. Wyobrażał sobie, że tak muszą rozumować wszyscy, którzy, wyrzucając za okno uczciwość, decydują się na szelmstwo, ale samo rozumowanie wydało mu się równie słusznem, jak niemoralnem. I w miarę jak począł myśleć trzeźwiej, zdumiewał się nad własnem zepsuciem. Widywał dużo zła i brudu ukrytego w świecie pod pozorami poloru i ogłady, wiedział, że owo zepsucie wyrobiło sobie niejako, pod wpływem lichych książek, prawo obywatelstwa; ale pamiętał, że oburzał się tem, że chciał dla swego społeczeństwa prostoty i surowości obyczajów, w przekonaniu, że tylko na takich podstawach może rozwinać się społeczna tęgość i oporność. Nic nie wzbudzało w nim tyle obaw o przyszłość, ile to wykwintne zło zachodu, posiane na dziką słowiańską glebę i wyrastające na niej chorobliwym kwiatem dyletanty-

zmu, rozpusty, bezsilności i wiarołomstwa. Przypomniawsobie, że nieraz oskarżał o taki posiew, to wysokie sfery finansowe, to arystokrację rodu, i nieraz napadał na nie z tego powodu bez miłosierdzia. A teraz zrozumiał, że kto żyje w atmosferze przesyconej kwasem węglowym, ten musi się zacządzić. W czymże on był lepszy od innych? O ile raczej był gorszym od tych, którzy, pławiąc się w zepsuciu, jak kijanki w wodzie, nie bawili się przynajmniej w hipokryzję, nie oszukiwali samych siebie, nie przepisywali innym praw i nie stawiali ideału zdrowego duchowo człowieka, uczciwego męża, uczciwego ojca — jako obowiązującego wzoru. I prawie nie chciał wierzyć sobie, by był tym samym człowiekiem, który niegdyś umiał kochać idealną przyjaźnią panią Emilię, który szczerze przyrzekł Maryni uczciwość małżeńską, i który wreszcie uważał się za umysł jasny, a charakter bardziej prawy i silniejszy od innych.

On, silniejszy? Siła jego była tylko złudzeniem, płynącym z braku pokus. Jeśli kochał idealnym uczuciem brata panią Emilię, jeśli oparł się kokieteryi pani Osnowskiej, to tylko dlatego, że nie wzbudziły w nim tego zwierzęcego pociągu, jaki wzbudziła ta lalka z czerwonymi oczyma, którą odpychała jego dusza, a do której rwały się od dawna jego zmysły. Myślał też teraz, że jego uczucie dla Maryni nie było także nigdy uczciwym, bo w gruncie rzeczy nie było również czem innym, jak takim samym zwierzęcym pociągiem. Przyzwyczajenie stępiło go, więc powstrzymany prócz tego i przez stan Maryni, zwrócił się tam, dokąd mógł — i zwrócił się

bez żadnego hamulca, ni skrupułu, ledwie w pół roku po ślubie.

I Połaniecki, który, wyszedłszy od Maszków, miał poczucie, że jest nędznikiem, począł nagle miarkować, że jest większym nędznikiem, niż zrazu myślał, albowiem przypomniał sobie także, że ma zostać ojcem.

W domu, w oknach Maryni, światła nie były jeszcze pogaszone. Połaniecki byłby dał wiele za to, by ją zastać już śpiącą. Przyszło mu nawet na myśl pójść dalej i nie wrócić, póki w oknach nie będzie ciemno. Ale nagle zobaczył jej sylwetkę na szybie. Musiała go wyglądać i, ponieważ przed domem było jasno, musiała go dostrzedz. Pomiarkowawszy to, wszedł.

Przyjęła go już w białym nocnym kaftaniku i z rozwiązanymi włosami. Była w tych rozwiązanych włosach pewna umyślna kokieterya, bo wiedziała, że ma piękne i że on lubi się z nimi bawić.

— Czemuś ty się nie położyła? — spytał, wchodząc.

A ona zbliżyła się ku niemu senna, ale uśmiechnięta i rzekła:

— Czekałam na ciebie z pacierzem.

Od czasów pobytu w Rzymie odmawiali pacierz razem. Ale obecnie Połanieckiemu sama myśl o tem wydawała się nie do zniesienia.

Marynia tymczasem zaczęła pytać:

— Cóż, Stachu. kontent jesteś, żeś go poratował? Prawda, żeś kontent?

— Tak — odpowiedział Połaniecki.

— A ona, czy wie o jego położeniu?

— Wie i nie wie. Późno już. Pójdźmy spać.

— Dobranoc! Wiesz, o czym tu sama rozmyślałam: żeś ty taki pocziwy i dobry!

I wyciągnąwszy ku niemu twarz, objęła go za szyję, on zaś ucałował ją, czując jednocześnie i czystą prawosć tego pocałunku i swoją podłość i całe szeregi podłości, które przyjdzie mu spełnić następnie.

Jedną spełnił zaraz, klękąwszy do pacierza, który Marynia poczęła głośno odmawiać. Nie mógł tego nie uczynić, a czyniąc, odgrywał tylko nędzną komedię, bo nie mógł się modlić.

Po skończonym pacierzu i powtórnem dobranoc nie mógł również usnąć. Zdawało mu się, że, idąc od Maszków, objął myślą i swój postępek i wszelkie jego moralne wyniki. Tymczasem okazało się, że nie. Przyszło mu teraz do głowy, że w Boga można nie wierzyć, ale nie wolno z niego drwić. Spełnić naprzykład wiarołomstwo, wrócić jutro lub pojutrze, po dokonaniem cudzołóstwie, do domu i klęknąć do pacierza — to byłoby nadto. Czuł, że trzeba wybrać. Albo uczucie religijne i szczerą wiarą, albo pani Maszkowa! Godzić tego nie można. I nagle spostrzegł, że wszystko, co przez lata rozmyślań wyrobił i wypracował w sobie, że cały ten ogromny spokój, płynący z rozwiązania głównej zagadki życia, słowem to, co stanowiło istotę jego duchowego bytu, trzeba po prostu odepchnąć. Z drugiej strony rozumiał również, że od jutra trzeba będzie zacząć kłamać swoim zasadom społecznym, swemu uznaniu rodziny, jako podstawy społecznego bytu. Nie wolno również głosić takich zasad, a prywatnie — uwodzić cu-

dze żony. Trzeba także wybrać. Co do Maryni, kłamstwo w stosunku do niej już zostało spełnione. Tak więc za jednym zamachem szedł w ruinę jego stosunek do Boga, do społeczeństwa, do kobiety, słowem, pułap owego pracowicie dźwigniętego duchowego domu, w którym dotychczas mieszkał, walił mu się na głowę. I to zazębianie się złego przejęło go pewnem zdumieniem. Nie spodziewał się, żeby po przecięciu jednej nitki, cały szew pruł się tak nagle i z pewnem zdziwieniem począł sobie zadawać pytanie, jakim sposobem może istnieć na świecie tego rodzaju oportunizm, który wiarołomstwo godzi w życie z uczciwością i honorem? Bo jednak tak było. Znał wielu, tak zwanych porządných ludzi, żonatých, kochających żony, niby religijnych — i zarazem uganiających się za każdą spotkaną kobietą. Ci sami, którzyby żonom swoim wszelkie zboczenie z drogi obowiązku poczytywali za zbrodnię, pozwalali sobie na małżeńską niewiarę bez żadnego skrupułu. Przypomniał sobie, jak ktoś z jego znajomych, przyparty z tego powodu do muru, wykręcił się wesoło znanym brukowym dowcipem, iż nie jest szwedzką zapalką. Ostatecznie wiarołomstwo utarło się i między mężczyznami uchodziło za coś dozwolonego, niemal za zwyczaj. Połanieckiemu myśl ta przyniosła chwilę ulgi, ale krótką, był bowiem człowiekiem logicznym, jeśli nie w postępkach, to przynajmniej w rozumowaniu. Tak! Świat nie składa się z samych łotrów i hipokrytów, ale w znakomitej części składa się z ludzi lekkich i bezmyślnych — i ten oportunizm, godzący cudzołóstwo z pojęciem honoru i uczciwości, nie jest niczem innym, jak bezmyślnością. W czem

bowiem może rozgrzeszać zwyczaj człowieka, który uznaje niemoralność i głupotę tego zwyczaju? Dla durnia — myślał Połaniecki — wiarołomstwo może być wesołym wypadkiem; dla człowieka, umiejącego poważnie myśleć, jest lotrostwem, tak dobrze przeciwnem etyce, jak złodziejstwo, jak podpisywanie cudzych nazwisk na wekslach, jak łamanie przysięgi, jak łamanie słowa, jak oszustwo w handlu lub kartach. Religia może odpuszczać grzech cudzołóstwa, jako chwilowy upadek, ale cudzołóstwo, które się samo z góry rozgrzesza, wyłącza religię, wyłącza obywatelskość, wyłącza uczciwość, wyłącza honor. Połaniecki, który w rozumowaniach ze sobą był zawsze szczerym, a wogóle ogromnie bezwzględny, nie cofnął się i przed tym ostatecznym wnioskiem.

Natomiast zląkł się, jakby ujrzał przepaść. Jeśli się nie cofnie, skręci kark. Ale jednocześnie zaczął gryźć się własną słabością. Już znał się dostatecznie — i z żalem, a zarazem z pogardą dla tej własnej słabości z góry był przekonany, że gdy zobaczy panią Maszkową — zwierzę ludzkie weźmie w nim górę nad duszą. Cofnąć się? — wszak on powtarzał to sobie i postanawiał po każdej pokusie, a potem wobec każdej następnej namiętność unosiła na złamanie karku jego wolę, tak jak dziki koń unosi jeźdźca. Na samo to wspomnienie chciało mu się kłąć. Gdyby w domu był nieszczęśliwym, gdyby jego namiętność wyrosła na tle wielkiej miłości — miałby coś na jej usprawiedliwienie; ale on pani Maszkowej nie kochał, tylko jej pragnął. Z tego rozdwojenia natury ludzkiej nie umiał sobie nigdy zdać

sprawy, wiedział tylko, że pragnął i że będzie pragnął za każdym widzeniem. za każdą myślą o niej.

Więc pozostawałaby jedna rada: nie widywać jej — rada niemożliwa, nietylko ze względu na wszelkiego rodzaju stosunki znajomości, ale choćby ze względu na to, że w takim razie Marynia poczęłaby coś podejrzewać. Połaniecki ani przypuszczał, że to już miało miejsce i że ona ukryła tylko przed nim cierpienie — zdawał sobie jednak sprawę, że gdyby zdrada jego wyszła w jakikolwiek sposób na jaw, byłby to dla tej słodkiej i pełnej wiary kobiety cios wprost nad siły. I wyrzuty jego wzrosły jeszcze. Chwycił go ogromny żal i litość nad nią, a zarazem tem większa pogarda dla siebie. Mimo ciemności, krew przyplłynęła mu do twarzy na wspomnienie, iż Maszkowej powiedział: „kocham,“ że fatalne słowo już padło, że zawiódł i zdradził to poczciwe, prawe stworzenie i że byłby zdolny zawieść jej ufność i podeptać serce.

Przez chwilę wydało mu się to czystem niepodobieństwem, lecz sumienie odpowiedziało mu: Byłbyś zdolny! Jednakże w tym żalu i litości nad nią znalazł pewną pociechę, gdyż poznał, że uczucie jego dla niej było i jest czemś więcej, niż zwierzęcym pociąganiem, i że tkwiły w niem jakieś węzły, płynące ze wspólności pożycia, z wzajemnej przynależności, ze ślubu, ze stowarzyszenia się na złą i dobrą dolę, z wielkiego szacunku i z przywiązania, które w przyszłości miało być spotęgowane przez dziecko. Nigdy też nie kochał jej więcej, jak w tej chwili wewnętrznej rozterki, i nigdy nie budziła w nim większej tkliwości. Poczęło dzień. Przez

szpary okienicy wchodził brząsk i napelniał pokój bladem światłem, przy którym widać było niewyraźnie jej ciemną, wgłębioną w poduszki głowę; Połanieckiemu zaś serce przepelniło się poczuciem, że to jest jego jedyne i najwyższe dobro, że tam śpi jego bardzo kochana towarzyska, najlepsza przyjaciółka, żona i przyszła matka jego dziecka. I żadne wywody, żadne rozumowania nad religijną i społeczną niecznością cudzołóstwa nie napelniły go takim ku niemu i ku sobie obrzydzeniem, jak widok tej słodkiej, uśpionej twarzy. Światła przez szpary wchodziło coraz więcej i główka jej coraz wyraźniej wychylała się z cienia. Widać już było półkola jej ciemnych rzęs na policzkach — i Połaniecki, wpatrując się w nią, począł sobie mówić: „Twoja poczciwość mnie pomoże!“ Nagle lepsze uczucia wzięły w nim górę: zwierzę ustąpiło duszy — i ogarnęła go pewna otucha, pomyślał bowiem, że gdyby był takim nędznikiem, jak sobie wyobrażał, byłby z łżejszem sercem poszedł za głosem namiętności i nie przechodził takich zgrzyzot.

Nazajutrz zbudził się późno, zmęczony i nieco chory. Czuł jakieś zniechęcenie i wyczerpanie, którego przedtem nie doświadczał. Przy świetle dziennem a w dodatku przy świetle dnia dżdżystego i posępnego, cała sprawa przedstawiła mu się inaczej, trzeźwiej, pospoliciej — i ani przyszłość nie przedstawiła mu się tak groźną, ani wina tak wielką. Wszystko zmalowało w jego oczach. Począł teraz myśleć głównie nad tem, czy pani Maszkowa przyznała się do wszystkiego mężowi, czy nie. Chwilami przypuszczał, że tak, i na tę myśl doznawał takiego uczucia, jakiego doznaje człowiek, który niepo-

trzebnie zalazł w wielki i przykry kłopot. Zwolna jednak to uczucie zmieniało się w coraz większy i żywszy niepokój. „Położenie jest głupie — mówił sobie. — Maszce wszystko można zarzucić, ale nie jest ani niedołągą, ani tchórzem — i podobnej obelgi nie schowa do kieszeni. Więc wyjaśnienia, awantura — może pojedynek? Niechże to piorun trzaśnie! Co za fatalna historia, jeśli rzecz dojdzie do Maryni!“ I począł się złościć na cały świat. Oto dotąd miał zupełny spokój, o nikogo nie dbał, z nikim się nie liczył, dziś zaś obracał na wszystkie strony w głowie wyrazy: „powiedziała? — nie powiedziała?“ — i od rana nie mógł o niczem innem myśleć. Przyszło do tego, że wreszcie zadał sobie pytanie: „Co u licha, czy ja się Maszki boję? — ja?“ Ale on się nie Maszki bał, tylko Maryni, co było również dla niego czemś i nowem i zdumiewajacem, albowiem przed paroma jeszcze dniami byłby raczej wszystko przypuścił, niż to, że się jej będzie kiedykolwiek bał. I w miarę, jak zbliżało się południe, sprawa, która rano przedstawiła mu się w zmniejszonych rozmiarach, zaczęła znów rosnać w jego oczach. Chwilami pokrzepiał się nadzieją, że pani Maszkowa będzie milczała, chwilami ją tracił — i wówczas czuł, że nie tylko Maryni, ale nikomu nie będzie śmiał spojrzeć w oczy, i bał się także Bigiela, bał się Bigielowej, pani Emilii, Zawilowskiego, słowem wszystkich znajomych. „Oto, co jest nabroić!“ — myślał sobie. — „Ile jedno głupstwo kosztuje!“ Niepokój jego zwiększył się do tego stopnia, że wreszcie, pod pozorem odesłania laski, wysłał służącego chłopaka do pani Maszkowej z ukłonem i zapytaniem o zdrowie.

Służący wrócił w pół godziny. Połaniecki widział go przez okno, i zeszedłszy śpiesznie na jego spotkanie, dowiedział się, że przyniósł list od pani Maszkowej do Maryni. Odebrawszy list, oddał go Maryni i serce biło mu jeszcze niespokojniej, gdy śledził jej twarz, podczas gdy czytała.

Lecz Marynia, skończywszy, podniosła na niego swe spokojne oczy i rzekła:

— Prosi nas pani Maszkowa dziś na podwieczorek... i Bigielów także.

— Aa! — odpowiedział Połaniecki, odetchnąwszy pełną piersią.

I w duszy dodał:

— Nie powiedziała!

— Pójdziemy? prawda? — pytała Marynia.

— Jak chcesz... To jest... idź z Bigielami, ja po obiedzie muszę jechać do miasta. Muszę się widzieć ze Świrskim. Może go tu przywiozę.

— To może się wymówić?

— Nie, nie! idź z Bigielami. Może po drodze wstąpię do niej i wytłómaczę się. Ale i to nie! Ty mnie wytłómacz.

I wyszedł, bo potrzebował zostać sam ze swemi myślami.

— Nie powiedziała!

Połanieckiego ogarnęło uczucie ulgi i radości. Nie powiedziała mężowi, nie obraziła się, zaprosiła ich, zatem zgadza się na wszystko, gotowa iść dalej — i dojsć wszędzie, dokąd ją będzie chciał zaprowadzić. Czemże jest samo to zaproszenie, jeśli nie chęcią uspokojenia

go — jeśli nie odpowiedzią na jego: „do jutra!“ Teraz więc, wszystko zależy tylko od niego. I mrowie poczęło go znów przechodzić od stóp do głów. Niema już przeszkód, chyba w nim samym. Ryba połknęła haczyk. Pokusy opadły go z nową potęgą, bo nie hamowała już ich niepewność. Tak jest! ryba połknęła haczyk. Nie oparła się. Tu chwyciło go uczucie tryumfu i zadowolenia miłości własnej, a jednocześnie, myśląc o pani Maszkowej, począł ją niemal przeproszać w duszy, że chwilami mógł wątpić o niej i — poczytać ją choćby przez pięć minut za uczciwą kobietę... Teraz przynajmniej wiedział, co o niej sądzić i był jej za to wdzięczny. Po chwili począł się śmiać ze swoich poprzednich obaw. W ten sposób składał jej pierwszy przynależny hołd — pogardy. Przestała być dla niego czemś niedostępnem, czemś, o co się toczy walka między obawą a nadzieją. Mimowoli wyobrażał ją sobie teraz jak coś swego, jako rzecz własną, zawsze ponętną, ale tem samem mniej cenną. Sprawiała mu także przyjemność myśl, że jeśli się pokusie oprze, to będzie już czysto jego zasługa. Teraz, gdy drzwi stały otworem, spostrzegł ze zdziwieniem, że zwiększa się w nim chęć oporu. Raz jeszcze przeleciało mu przez myśl wszystko, co sobie o wiarołomstwie mówił w czasie bezsennej nocy — raz jeszcze serce przypomniało mu Marynię, jej prawość, uczciwość, blizkie macierzyństwo — i ten ogromny spokój, to jedyne prawdziwe szczęście, które tylko przy niej mógł znaleźć — i w końcu tych wszystkich rozmyślań postanowił jechać do miasta i nie być u pani Maszkowej.

Po obiedzie kazał zaprządz. Siedząc już na Bigie-

lowej bidce, przechylił się, uściskał Marynię i powiedział jej na pożegnanie: „baw się dobrze“ — pojechał. Poranne jego wyczerpanie minęło. Odzyskał nawet humor, czuł się bowiem zadowolony sam ze siebie. Wracała mu ufność we własne siły i własny charakter. Sprawiała mu przytem pewną drażniącą przyjemność myśl o zdziwieniu pani Maszkowej, gdy się dowie, że sobie pojechał i że nie ma zamiaru być u niej. Czuł jakąś potrzebę zemsty nad nią za to fizyczne wrażenie, które na nim wywierała. Od chwili tego listu z zaprosinami, który napisała do Maryni, pogarda jego dla niej zwiększyła się tak bardzo, iż po chwili zaczął przypuszczać, iż byłby w stanie wyjść zwycięsko nawet, gdyby teraz do niej wstąpił.

— A gdybym rzeczywiście wstąpił i nadał inne znaczenie wczorajszym słowom? — rzekł sobie.

Lecz zaraz pomyślał:

— Nie bądź oszustem przynajmniej względem siebie samego!

Był jednak pewny, że ona nie zdziwiłaby się jego przybyciem. Po tem, co jej wczoraj powiedział, mogła przypuszczać, że on znajdzie jakikolwiek powód do odwiedzenia jej przed przybyciem Maryni i Bigielów, lub do pozostania po ich wyjściu.

Natomiast, jeśli go zobaczy przejeżdżającego, pomyśli, że się jej boi, albo poczyta go za błazna i gbura.

— Niema wątpliwości — monologował dalej — że człowiek, który sam nie uważa się za błazna, lub ciemięgę, niezdolnego oprzeć się byle lalce, wstąpiłby i starał się naprawić jakimbądź sposobem wczorajsze głupstwo.

Lecz jednocześnie chwycił go strach.

Ten sam głos, który wczoraj wieczór krzyczał mu w duszy, że jest nędznikiem, począł mu to powtarzać z podwójną energią.

— Nie wstąpię — pomyślał Połaniecki. — Rozumieć, a umieć się powściągnąć, to dwie rzeczy różne.

Zdała widać już było willę pani Krasławskiej.

Nagle przyszło mu do głowy, że pani Maszkowa, w poczuciu zniewagi, przez obrażoną miłość własną, przez zemstę, może Maryni powiedzieć coś takiego, co jej otworzy oczy. Może to uczynić jednym słowem, jednym uśmiechem, dając choćby najdalej do zrozumienia, że jakieś zuchwałe jego nadzieje rozbiły się o uczciwość kobiecą — i w taki sposób objaśnić jego nieobecność. Kobiety rzadko kiedy odmawiają sobie podobnych małych zemst, a rzadziej jeszcze są jedna względem drugiej miłosierne.

— Gdybym miał odwagę wstąpić...

W tej chwili bryczka zrównała się z bramą willi.

— Zatrzymaj się — rzekł do powożącego chłopaka Połaniecki.

Na ganku zobaczył panią Maszkową, która jednak cofnęła się zaraz do wnętrza domu.

Połaniecki przeszedł dziedziniec; we drzwiach przyjął go służący.

— Pani na górze — rzekł.

Połaniecki czuł, że nogi drżą pod nim, gdy wchodził na piętro, tymczasem zaś przez głowę przelatowały mu następne myśli:

— Kto życie bierze lekko, ten może sobie na wszy-

stko pozwolić, ale ja go nie biorę lekko. Gdybym po tem wszystkim, com uświadomił, com przemyślał i com sobie powiedział, nie umiał nad sobą zapanować, byłbym ostatnim człowiekiem.

Tu, stanąwszy we drzwiach pokoju, który mu wskazał służący, spytał:

— Można?

— Proszę — ozwał się precedzony głosik.

I po chwili znalazł się w buduaru pani Maszkowej.

— Wstąpiłem — rzekł, podając jej rękę — by się wytłómaczyć, że nie mogę być na podwieczorku. Muszę jechać do miasta.

Pani Maszkowa zaś stała przed nim z pochyloną nieco głową, ze spuszczonei oczyma, zmieszana, pełna widocznej obawy, mając w postawie i wyrazie twarzy coś zrezygnowanej ofiary, która widzi, że stanowcza godzina nadeszła — i że nieszczęście stać się musi.

Nastrój ten ogarnął w jednej chwili i Połanieckiego, więc przysunąwszy się nagle, począł pytać stłumionym głosem:

— Pani się boi... Czemu pani się boi?

IX.

Nazajutrz pani Połaniecka odebrała list od męża, że tego dnia nie wróci, jedzie bowiem oglądać kolonię, położoną z drugiej strony miasta. Następnego za to dnia wrócił i przywiózł ze sobą Świrskiego, który od dawna był obiecał Bigielom i Połanieckim, że ich na letniem mieszkaniu odwiedzi.

— Wyobraź sobie — rzekł po przywitaniu się z żoną Połaniecki — że ten Buczynek, który oglądałem, leży o miedzę od Jaśmienia starego Zawilowskiego; dowiedziawszy się o tem, odwiedziłem staruszka, który ma się niedobrze — i niespodzianie znalazłem w Jaśmieniu pana Świrskiego. Pomógł mi oglądać Buczynek i dom bardzo mu się podobał. Jest też ładny ogród, duży staw i trochę lasu. Niegdyś był to znaczny majątek, ale grunta rozsprzedano, tak, że przy dworze mało się pozostało.

— Ładna, bardzo ładna rezydencya — rzekł Świrski. — Dużo cienia, dużo powietrza i dużo spokoju.

— Kupisz? — spytała Marynia.

— Być może. Tymczasem chciałbym nająć. Zamieszkalibyśmy tam przez resztę lata i przekonali się,

czy nam dobrze. Właściciel tak jest pewien, że nam się tam pobyt spodoba, iż zgadza się na wynajęcie. Bylbym mu zaraz dał zadatek, ale woliałem wiedzieć, co o tem myślisz.

Maryni żal było trochę towarzystwa Bigielów, ale, zauważywszy, że mąż patrzy pilnie w jej oczy i że ma widocznie ochotę zamieszkać przez resztę lata u siebie, oświadczyła, że zgadza się najchętniej.

Bigielowie poczuli się sprzeczać i kłaść veto, lecz gdy Połaniecki przedstawił im, że tu chodzi o wypróbowanie domu, w którym prawdopodobnie oboje z Marynią będą mieszkali każdego lata, do końca życia, musieli przyznać, że powód jest słuszny.

Połaniecki zaś rzekł:

— Jutro tedy najmę i co potrzeba jeszcze ze sprzętów przeniosę z Warszawy, a pojutrze będziemy się mogli przenieść.

— To zupełnie, jakby pan chciał stąd jak najprędzej uciec — odpowiedziała pani Bigielowa — po taki pośpiech?

Ostatecznie stało na tem, że państwo Połanieccy przeniosą się za cztery dni do Buczynka. Tymczasem podano obiad, w czasie którego Świrski począł opowiadać, jakim sposobem Połaniecki znalazł go w Jaśmieniu u Zawilowskich.

— Panna Helena chciała — rzekł — żebym malował portret ojca i życzyła sobie, żeby to mogło odbywać się w Jaśmieniu. Pojechałem, bo mi i tęskno za robotą, a przytem staruszek ma ciekawą głowę. Ale nie mogło z tego nic być. Oni tam we dworze mają dwu-

lokciowe mury, przez co w pokojach złe światło. W tych warunkach nie chciałem malować, a następnie znalazła się i druga przeszkoda, bo model dostał ataku pedogry. Doktor, którego wzięli ze sobą na wieś, mówił mi, że to stan nie jest dobry i że się może źle skończyć.

— Żal mi pana Zawilowskiego — rzekła Marynia — bóg to widocznie zacny człowiek. I panna Helena biedna. W razie jego śmierci zostanie zupełnie sama. A czy on zdaje sobie sprawę ze swego stanu?

— I zdaje i nie zdaje, jak to on: zawsze oryginał. Niech pani spyta męża, jak go przyjął.

Połaniecki uśmiechnął się i rzekł:

— Zwiedzając Buczynek, dowiedziałem się, że Jamień tuż, i postanowiłem tam pojechać. Panna Helena zaprowadziła mnie do ojca, ale on kończył sobie właśnie różaniec i nie przywitał się ze mną, póki nie odmówił ostatniej zdrowaśki. Potem zaczął mnie przeproszać i powiada tak: „Bo to tam matadory niebieskie swoją drogą, a z Nią człek śmielszy i po staremu, jak Ona się zmiłuje, to i dobrze, bo Jej niczego nie odmówią“.

— Co to za typ! — zawołał Świrski.

Bigielowie poczuli się śmiać, pani Marynia rzekła jednak, że jest w takiej ufności coś wzruszającego, na co Świrski zgodził się, Połaniecki zaś mówił dalej:

— Potem wspomniał mi, że mu czas myśleć o testamentie, a ja nie zaprzeczałem, jak się zwykle robi, bo mi chodziło o naszego Zawilka. Powiedziałem mu natomiast, że to jest kwestya czysto prawna, na którą nigdy nie zawczasie — i że nawet zupełnie młodzi ludzie powinni o tem myśleć.

— To i moje zdanie — wtrącił Bigiel.

— Mówiliśmy też i o młodym Zawilowskim — rzekł Połaniecki — starszek pokochał go serdecznie.

— Jakże! — zawołał Świrski. — Jak się dowiedział, że byłem w Przytułowie, zaraz zaczął się o niego dopytywać.

— To pan był w Przytułowie? — spytała pani Połaniecka.

— Cztery dni, pani — odrzekł malarz. — Ogromnie lubię Osnowskiego.

— A panią Osnowską?

— O niej wypowiedziałem moje zdanie w Rzymie i, o ile pamiętam, rozpuściłem język, jak bicz.

— Pamiętam i ja. Był pan bardzo niegodziwy. Cóż młoda para?

— A nic. Szczęśliwa. Ale jest tam panna Ratkowska: ogromnie miła panna! Bez mała. Żem się w niej nie zakochał.

— Masz tobie! A mówił mi Staś, że pan się we wszystkich kocha.

— Stale, pani. To jest: stale we wszystkich, a zatem stale.

Bigiel, usłyszawszy to, zastanowił się dobrze i rzekł:

— To jest sposób, żeby się nigdy nie ożenić.

— Niestety, drogi panie! — zawołał Świrski. — To też i jest.

Poczem, zwróciwszy się do Maryni, rzekł:

— To może pan Stanisław mówił pani i o dalszej naszej umowie? Jak mi pani powie: żeń się — żeń się! Taki był układ z pani mężem i dlatego chciał-

bym, żeby pani zobaczyła pannę Ratkowską. Jej na imię Stefania, to znaczy: Uwieńczona. Ładne imię, prawda? Ciche jakieś stworzenie, nieśmiałe, bojące się pani Anety i panny Castelli, ale widocznie pocziwe. Miałem tego dowód. Jak chodzi o jaką pannę, to wszystko uważam i notuję w pamięci. Przyszedł raz przy mnie do Przytułowa żebrak, z twarzą, jak jaki pustelnik z Tebaidy. Pani Osnowska i panna Castelli powypadały do niego z aparatami fotograficznymi i nuż go fotografować z boków, z przodu — ile włożyło, a staremu może się chciało jeść. Poddawał się w nadziei jałmużny, ale było mu widocznie przykro. Prości ludzie mają tego rodzaju pojęcia. Otóż żadna z tych pań tego nie spostrzegła, a przynajmniej na to nie zważała. Obchodziły się z nim, jak z rzeczą — i dopiero panna Ratkowska powiedziała im, że starego upokarzają i męczą. To mała rzecz, ale dowodzi serca i delikatnych uczuć. Kręci się tam koło niej ten piękny Kopowski, ale ona nie zachwyca się nim tak, jak te panie, które się nim bawią, malują go, wymyślają dla niego kostyummy, przebierają i nieledwie na rękę noszą, jak lalkę. Nie. Ona mi sama powiedziała, że ją Kopowski nudzi i to mi się także podoba, bo on ma tyle rozumu, ile gałka u laski.

— Pan Kopowski — rzekł Bigiel — potrzebuje, o ile słyszałem, pieniędzy, a panna Ratkowska niebogata. Wiem, że jej ojciec, umierając, został dłużny bankowi sumę, która z procentami wyniosłaby do dnia ostatniego ubiegłego miesiąca...

— Co nam do tego? — przerwała pani Bigielowa.

— Właściwie, to masz słusznosc; to nie nasza sprawa.

— A jak wyglada panna Ratkowska? — spytała Marynia.

— Panna Ratkowska? Ona nie jest piekna, ale ma slodką twarz, bladą cerę i ciemne oczy. Pani ją zobaczy, bo te panie mówiły, że mają chęć wpaść tu któregokolwiek dnia. A ja namawiałem, bo mi chodziło o to, żeby ją pani zobaczyła.

— Dobrze! — odpowiedziała, śmiejąc się, Marynia. — Zobaczę i wydam wyrok. Ale jeżeli będzie pomyslny?

— Oświadczam się, słowo daję! W najgorszym razie dostanę odkosza. Jeśli pani powie: „nie“ — to pojedę na kaczki! W końcu lipca można już strzelać...

— O to poważne zamiary! — rzekła pani Bigielowa — żona albo kaczki! Pan Zawilowski takby się nie wyraził.

— Bo i po co rozumować, skoro się kocha — rzekła Marynia.

— Ma pani słusznosc, to też ja mu zazdroszczę — nie panny Castelli, chociaż sam się w niej kochałem — o nie! — ale właśnie tego stanu, w którym się już nie rozumiem.

— A cóż pan ma przeciw pannie Castelli?

— Nic, pani. Winienem jej wdzięczność, bom dzięki jej miał swoją porę złudzeń. Dlatego nie będę o niej nigdy źle mówił, chyba mnie ktoś bardzo pociągnie za język — więc niech mnie panie nie ciągną.

— Ale owszem — rzekła pani Bigielowa. — Musi

nam pan o obojgu opowiadać. Proszę tylko na werandę, bo kazałam tam podać kawę.

I po chwili znaleźli się na werandzie. Bigieleta rozbiegły się różnokolorowem stadkiem między drzewami, kręcąc się naksztalt jasnych motyli. Bigiel częstował Świrskiego cygarami, Marynia zaś, korzystając z chwili, przysunęła się do męża, który stał nieco z boku, i podniósłszy na niego swoje dobre oczy, spytała:

— Coś ty taki milczący, Stachu?

— Zmęczony jestem — odpowiedział. — W mieście upał, a w naszym mieszkaniu można się udusić. Nie mogłem spać, bo i Buczynek zalazł mi do głowy.

— A ja ciekawam tego Buczynka — wiesz? naprawdę ciekawam. Dobrześ zrobił, żeś go zobaczył i najał — bardzo dobrze.

I patrzyła na niego z przymileniem, lecz, widząc, że wyglądał istotnie nie swój, rzekła:

— My tu zagadamy pana Świrskiego, a ty może pójdziesz trochę odpocząć.

— Nie... nie mógłbym zasnąć — odpowiedział Polaniecki.

Tymczasem Świrski mówił:

— Niema nic wiatru. Żadna gałązka ani się poruszy. Prawdziwy letni dzień! Czy państwo uważają, że w czasie upału i w chwilach takiej ciszy cały świat wydaje się jakby zamysłony. To, pamiętam, Bukacki zawsze mawiał, że jest w tem coś mistycznego — i że chciałby umierać w taki słoneczny dzień... ot, tak sobie: siedzieć w fotelu, potem zasnąć i wsiąknąć w światło...

— I nie umarł w lato — zauważył Bigiel.

— Ale na wiosnę... i w pogodę. Przytem na ogół biorąc, nie męczył się, a to nadewszystko.

Tu umilkł na chwilę, poczem dodał:

— Bo śmierć — z tem się można i trzeba pogodzić i to mnie nigdy nie oburzało — ale po co istnieje cierpienie, to dalibóg, przechodzi ludzkie pojęcie.

Nikt nie podniósł tej uwagi, więc Świrski, strzepnąwszy popiół z cygara, rzekł:

— Ale mniejsza z tem. Po obiedzie i przy czarnej kawie można znaleźć weselszy temat.

— O Zawilku, niech nam pan powiada o Zawilku! — zawołała pani Bigielowa.

— Zawilek podoba mi się. Widać we wszystkim, co on robi i mówi, lwi pazur — i wogóle to niepospolita organizacya... ogromnie bujna. Przez te parę dni w Przytułowie poznaliśmy się trochę bliżej i zaprzyjaźnili. Nie macie państwo pojęcia, jak Osnowski go pokochał. I z nim, z Osnowskim, mówiłem otwarcie, że się boję, czy taki Zawilek może być szczęśliwy z temi paniami.

— Ale dlaczego, panie? — spytała Marynia.

— To tak trudno określić, gdy się nie ma żadnych faktów. Ale to się czuje. Dlaczego?... Bo one to są natury zupełnie odmienne. Widzi pani, te wszystkie wyższe aspiracye, które dla Zawilowskiego są duszą życia, dla tych pań są tylko przyborem, czemś w rodzaju koronki przy sukni. To się wkłada od gości, a na codzien chodzi się w szlafroku — i to już jest ogromna różnica. Boję się, czy zamiast poszybować jego lotem, one nie będą chciały, by dreptał przy nich ich gęsim truchci-

kiem — i czy tego, co w nim jest, nie rozmienia na drobne dla opędzenia swoich codziennych towarzyskich wydatków. A przecież w nim coś jest! Nie przypuszczam, żeby miały nastąpić jakieś katastrofy, bo nie mam prawa odmawiać im zwykłej, zdawkowej uczciwości, ale może nie być szczęścia. Powiem państwu tylko tyle: znacie przecie wszyscy Zawilka i wiecie, że jest ogromnie prosty, a jednak, podług mnie, jego miłość jest dla Castelki za trudna i zanadto wyłączna. On kładzie w to całą duszę, a ona... cząsteczkę gotowa oddać — tak!... ale resztę radaby zachować na stosunki towarzyskie, na wygodę, na toalety, na bywanie, na luksus, na „five o'clocki“, na „lawn-tennisa“ z panem Kopowskim, słowem, na ów młynek, w którym się życie pytluje na otręby...

— To może się nie stosować do panny Castelli, i jeśli się nie stosuje, to tem lepiej dla Zawilowskiego — rzekł Bigiel — ale wogóle to jest trafne.

— Nie — odpowiedziała pani Bigielowa — to przede wszystkim jest niegodziwe: pan naprawdę nienawidzi kobiet.

— Ja nienawidzę kobiet! — zawołał Świrski, wznosząc obie ręce ku niebu.

— To chyba pan nie widzi, że pan z panny Castelli robi zwyczajną gąskę.

— Ja, pani, dawałem jej tylko lekcye malowania, ale wychowaniem jej nie zajmowałem się nigdy.

A pani Marynia, słysząc to wszystko, rzekła, pogroziwszy Świrskiemu:

— To aż dziwne, żeby taki dobry człowiek miał taki zły język.

— W tem jest pewna słusność — odpowiedział Świrski — ja sam to czuję i nieraz zadawałem sobie pytanie, czy ja naprawdę jestem dobry człowiek? Ale myślę, że jestem. Bo są ludzie, którzy obmawiają bliźnich przez zamięłowanie do grzebania w błocie — i to jest plugawe; są inni, którzy to czynią przez zazdrość — i to jest równie plugawe. Taki jednak Bukacyusz obgadawał dla konceptu, a ja... ja, naprzód jestem gadatywus, powtóre, człowiek, a zwłaszcza kobieta, zajmuje mnie więcej, niż wszystko inne, a nakoniec, lichota, płaskość i małe marności natury ludzkiej ogromnie mnie gryzą. I dalibóg, że to z tego idzie. Jabyłm chciał, żeby wszystkie kobiety miały skrzydła, więc, jak widzę, że niektóre mają tylko ogony, tak z samego zdziwienia poczynam krzyceć w niebogłoso.

— A czemu pan tak samo nie krzyczy na mężczyzn? — spytała pani Bigielowa.

— A niech ich tam! Co oni mnie obchodzą! Przyczem, mówiąc poważnie, może nam się należy więcej, niż paniom.

Tu i pani Bigielowa i Marynia napadły na niešťczęśliwego malarza, lecz on począł się bronić i mówił dalej:

— Niech panie wezmą takiego Zawilowskiego i taką pannę Castelli. On napracował się od dzieciństwa, namyslał się, dał już coś światu, a ona co? Czysty kanarek w klatce!... Dadzą mu wody, cukru, muchotrzepu i siemienia, a on ma tylko rozczesywać dziobkiem swoje żółte piórka i świegotać. Alboż tak nie jest? My ogromnie pracujemy, pani! Cywiliza-

cya, nauka, sztuka, chleb i wszystko, na czem świat stoi, to ostatecznie nasze dzieło. A to przecie bajeczny trud! O tem się łatwo mówi, ale się ciężko dźwiga. Czy to jest słuszne, albo naturalne, że was od tego odsuwają, nie wiem i w tej chwili nie o to mi chodzi, ale, na ogół biorąc, wam się został tylko jeden dział: kochać — więc: umiejcie przynajmniej kochać.

Tu smagła twarz jego przybrała wyraz wielkiej łagodności, a zarazem jakby melancholii.

— Ot, ja na przykład, pracuję niby dla tej naszej sztuki. Dwadzieścia pięć lat mażę tam i mażę tym pędzlistkiem po papierze, albo po płótnie, i Bóg jeden wie, com się napiłował, nimem z siebie coś wydobył; tymczasem czuję się samotny na świecie, jak palec. A czegoż chcę? Oto żeby mi Pan Bóg za całą tę pilę dał jakie poczciwe kobieciątko, któreby mnie trochę kochało i było wdzięczne za moją miłość!

— To czemuż się pan nie żeni?

— Czemu? — odparł z pewnym wybuchem Świrski — bo się boję, bo z was jedna na dziesięć umie kochać, choć nie macie nic innego do roboty.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Pławickiego z panią Maszkową, która w fularowej, ciemnoniebieskiej sukni, w białe kropki, wyglądała z daleka jak motyl. Pan Pławicki wyglądał jak drugi motyl i, zbliżwszy się do ganku, począł wołać:

— Porwałem, porwałem panią Maszkową i przyprowadzam. Dobry wieczór państwu, dobry wieczór, Maryniu! Jadę tu sobie do was doróżką, aż patrzę: pani

stoi na ganku — więc porwałem i przyszliliśmy piechotą. Dorózkę odprawilem, bo myśle, że mnie odesłecie.

Obecni poczęli witać panią Maszkową, ona zaś, zarumieniona przechadzką, poczęła tłómaczyć się wesoło, zdejmując kapelusz ze swych popielatych włosów, że istotnie pan Pławicki porwał ją niemal przemocą, gdwż, spodziewając się powrotu męża, nie chciała opuszczać domu. Pan Pławicki uspokajał ją, że mąż, nie znalazłszy jej w domu, domyśli się, gdzie jest, a za porwanie i za przechadzkę sam na sam nie będzie się gniewał, bo to przecie nie jest miasto, gdzie ludzie robią plotki z lada powodu — (tu począł pociągać swoją białą kamizelkę z miną człowieka, który nie dziwiłby się, gdyby robiono o nim plotki) — ale wieś, która ma swoje prawa i pozwala nie oglądać się na etykietę.

To rzekłszy, spojrział filuternie na panią Maszkową, zatarł ręce i dodał:

— He, he! wieś ma swoje prawa... Dobrzem powiedział: ma swoje prawa, tak! — i dlatego dla mnie niema jak wieś.

Pani Maszkowa śmiała się, czując, że jej z tem ładnie i że ktoś może ją podziwiać. Lecz Bigiel, który, sam będąc w rozumowaniu ścisłym, wymagał od wszystkich logiki, zwrócił się do Pławickiego i rzekł:

— Jeśli niema jak wieś, to czemu pan dobrodziej nie chce na lato z miasta wyruszyć?

— Jak pan powiada? — spytał pan Pławicki. — Czemu nie chcę wyruszyć? Chciałem się wybrać do Karlsbadu, ale...

Tu umilkł na chwilę i, zapomniawszy, że dopiero

co dawał do zrozumienia, iż mógłby jeszcze młodą kobietę narazić na złe języki ludzkie. spojrzal z posępną rezygnacją i dodał:

— Czy warto dbać o te parę lat życia, o które ani mnie, ani nikomu nie chodzi.

— Masz tobie! — zawołała wesoło Marynia. — Jeśli tatuś nie pojedzie do Karlsbadu, to będzie pił Millbrun u nas w Buczynku.

— W jakim Buczynku? — spytał Pławicki.

— Prawda, trzeba ogłosić „la grande nouvelle!“

I poczęła opowiadać, że Buczynek został wyszukany, najęty, że prawdopodobnie będzie kupiony i że za cztery dni oboje z mężem przenoszą się do tego Buczynka na całe lato.

Lecz pani Maszkowa, wysłuchawszy opowiadania, podniosła ze zdziwieniem swoje oczęta na Połanieckiego i, patrząc na niego, spytała:

— Więc państwo naprawdę nas opuszczają?

— Tak jest — odrzekł, jakby z pewną opryskliwością.

— Aa!

I przez chwilę patrzyła na niego wzrokiem osoby, która nie rozumie i która pyta, co to wszystko znaczy; lecz nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zwróciła się do Maryni i poczęła obojętną rozmowę.

Była tak wdrożona w formy światowe, że sam tylko Połaniecki mógł poznać, że wiadomość o Buczynku przenikła przez te pokłady, które tworząc jakby pokrowiec na jej mózgu, przytępiły jego czulość. Domysliła się jednak, że jej osoba może tu wchodzić w grę i że

te nagle przenosiny mogą stać z nią w związku. Z każdą minutą prawda ta przedstawiała jej się coraz jaśniej — i chłodna jej twarz przybrała wyraz jeszcze chłodniejszy. Stopniowo ogarniało ją uczucie upokorzenia. Zdawało się jej, że Połaniecki zrobił coś wprost przeciwnego temu, czego miała prawo od niego oczekiwać — i że uchybił ciężko nietylko jej, ale tym wszystkim względom, jakie człowiek pewnej sfery winien kobiecie. I cała jej dusza odmalowała się w tem, że zabolalo ją to mocniej, niż jego odjazd. W pewnych razach kobiety wymagają tem więcej względów, im mniej im się należy, i tem więcej czci, im mniej na nią zasługują, bo potrzeba im tego do oszukiwania samych siebie; a równie często zaślepienie, delikatność lub komedyanctwo mężczyzn przyznaje im wszystko, czego żądają — przynajmniej do czasu. Jednakże, w tym zamiarze przeprowadzenia się za kilka dni, we wprost przeciwną stronę miasta, była jakby godna gbura zapowiedź zerwania stosunku. Wiarołomstwo miewa swoje tego rodzaju *zapowiedzi* a posteriori — i miewa zawsze, albowiem niema w świecie przykładu, by stosunek, oparty na wiarołomstwie, ostał się. Ale tym razem grubiaństwo przeszło wszelką miarę i siejba wydała zbyt wczesnie właściwe żniwo. Mało lotna z natury myśl pani Maszkowej nie potrzebowała zbyt wielu wysiłków, by dojść do wniosku, że to, co ją spotkało, nazywa się po prostu pogardą.

A w tym samym czasie i Połaniecki myślał:

— Jak ona bajecznie musi mną pogardzać!

Oboje zaś nie zdawali sobie w tej chwili sprawy, że to, w najlepszym razie, była tylko kwestya czasu.

Lecz pani Maszkowa chwytła się jeszcze nadziei, że to może być jakieś nieporozumienie, jakiś chwilowy gniew, jakaś drażliwość fantasty, jakaś obraza, której nie umiała sobie wytłómaczyć, słowem, coś takiego, co może być mniej stanowczem, niż się pozornie wydaje. Jedna rozmowa, jedno słowo, rzucone odpowiednio, mogło jeszcze wszystko wyjaśnić. Sądząc, że i Połaniecki może odczuwa potrzebę takiej rozmowy, postanowiła mu ją ułatwić.

Więc po herbacie poobiedniej poczęła się zbierać do domu i, spojrzawszy na Połanieckiego, rzekła:

— A teraz muszę prosić którego z panów, by mnie odprowadził.

Połaniecki wstał. Zmęczona, a zarazem gniewna jego twarz, zdawała się mówić pani Maszkowej: „Jeśli chcesz szczerą prawdę, będziesz ją miała“, lecz niespodzianie Bigiel pomieszał im szyki, rzekłszy:

— Wieczór taki pogodny, że możemy wszyscy panią odprowadzić.

I tak się stało. Pan Pławicki, uważając się dziś za rycerza pani Maszkowej, podał jej z wielką galanterią rękę i przez całą drogę zabawiał ją rozmową, tak, że do Połanieckiego, który prowadził panią Bigielową, nie miała sposobności ani słowa przemówić, prócz „dobranoc“ przy bramie.

Temu „dobranoc“ towarzyszył uścisk ręki, który był nowem pytaniem — bez odpowiedzi. Połaniecki zresztą rad był, że nie potrzebuje dawać objaśnień. Mógł dać tylko mętne, a przedewszystkiem przykre. Pani Maszkowa już obecnie budziła w nim tyłeż duchowego

niesmaku, ile fizycznego pociągu i z obu tych przyczyn uważał, że pozostawszy w domu Bigielów, będzie ją miał zbyt blisko. Zresztą wyszukał Buczynek i wynajął go głównie z tego powodu, że natury sprężyste, naciśnięte zbyt silnie, instynktowo muszą coś przedsiębrać i działać, choćby owo działanie nie było w bezpośrednim związku z tem, co im dolega. Nie miał jednak bynajmniej poczucia, że ucieczka od niebezpieczeństwa równa się powrotowi na uczciwą drogę, lub nawet prowadzi do niej; w tej chwili zdawało mu się, że na to zapóźno, że to jest rzecz przepadła raz na zawsze. „Uciekać — mówił sobie — był na to czas. Obecnie jest to tylko egoizm zwierzęcia, które, zaniepokojone w jednym legowisku, szuka sobie drugiego“. Zdradziwszy oto poprzednio Marynię, zdradza teraz panią Maszkową, z obawy, by stosunek z nią nie stał się zbyt męczącym — i zdradza w sposób zarówno nędzny, jak gruby, depcąc po niej. To tylko nowa podłość, której dopuszcza się jak desperat, w przekonaniu, że, jakkolwiekby się wysiłał, stoczy się zawsze w przepaść.

Na dnie tych myśli kryło się jednak niezmiernie zdumienie. Gdyby to wszystko zdarzyło się komu innemu, biorącemu życie lekko, taki mógłby machnąć ręką i uważać, że spotkał go jeden więcej wesoły wypadek. Połaniecki rozumiał, że wielu patrzyłoby na sprawę w ten właśnie sposób. Ale on wyrobił był w sobie zasady, miał je — i spadł z całej ich wysokości, zatem jego upadek był tem większy. „Więc — myślał sobie — to, com zdobył, do czego doszedł, ostatecznie od niczego nie broni. Mając to, kręci się kark, tak jakby się niczego nie

miało“. I rzecz ta wydawała mu się wprost nie do pojęcia. Dlaczego? z jakiej przyczyny? Na to pytanie nie umiał sobie odpowiedzieć i, zwątpiwszy poprzednio o swej uczciwości i honorze, począł teraz wątpić o rozumie, czuł bowiem, że nie może tu czegoś uchwycić i uświadomić.

Wogóle zaś czuł się człowiekiem strąconym w jakąś duchową pustkę, który nie może niczego odnaleźć, nawet przywiązania do żony. Wydało mu się, że, zatraciwszy w sobie wszystkie ludzkie strony, zatracił zarazem zdolność i prawo do kochania jej. Z niemniejszym też zdziwieniem spostrzegł, że w głębi serca żywi jakby urazę do niej za swój własny upadek. Dotychczas nie skrzywdził nikogo w życiu, nie mógł więc wiedzieć, że zwykle czuje się urazę, a nawet nienawiść, do tego, komu się czyni krzywdę.

Tymczasem towarzystwo, po pożegnaniu pani Maszkowej, wracało do domu. Marynia szła teraz obok męża, ale, przypuszczając, że jest zajęty obliczeniami, tyczącami kupna kolonii, i pamiętając, że w takich razach nie lubił, gdy mu przeszkadzano, nie przerywała milczenia. Wieczór był tak ciepły, że po powrocie zostali jeszcze na ganku. Bigiel począł zatrzymywać Świrskiego na noc, żartując przytem, że taki Herkules nie pomieści się w jego bryczuszcze obok pana Pławickiego. Połaniecki, któremu obecność kogoś obcego była na rękę, poparł nalegania Bigiela.

— Niech pan zostanie — rzekł — ja jutro rano jadę do miasta, więc zabierzemy się razem.

— Pilno mi tylko do malowania — odpowiedział

Świrski. — Jutro chciałem się zabrać od rana do roboty, a w ten sposób będzie marudztwo.

— Czy pan ma jaką terminową robotę? — spytała Marynia.

— Nie, pani, ale ręka wychodzi z wprawy. To jest tego rodzaju rzemiosło, że w niem nigdy nie wolno odpoczywać; straciłem już tyle dni na włóczędzie, to do Przytułowa, to do państwa, a farby tymczasem schną.

Obie panie poczęły się śmiać, że to mówi sławny mistrz, który przecie powinien być wolny od obawy, że zapomni malować. Lecz Świrski odrzekł:

— To się tak zdaje, że gdy się dojdzie do pewnej doskonałości, to się ją posiada. To dziwna rzecz ten ludzki organizm, który ma tylko do wyboru: albo iść na przód, albo się cofać. Nie wiem, czy tak we wszystkim, ale w artyzmie nie wolno powiedzieć sobie: „już dobrze!“ — nie wolno stanąć. Jak przez tydzień nie maluję, nietylko tracę biegłość łapy, ale nie czuję się w mocy. Ręka tępieje — to jeszcze rozumiem! — ale przytem tępieje i zmysł artystyczny, tępieje po prostu talent. Myślałem, że to tak jest tylko w moim zawodzie, bo w nim ogromnie dużo znaczy technika; ale dacie państwo wiarę, że ten Śniatyński, który pisuje do teatru, mówił mi to samo. A w takiej literaturze na czymże polega technika? Na tem chyba, żeby jej nie mieć, albo przynajmniej, żeby jej nie było widać. Jednak i tamten gadał, że nie może stanąć, że cofa się lub postępuje w miarę wysilen. Służba sztuce! — to ładnie brzmi. Ach, co za psia służba, w której nigdy niema spoczynku i nigdy spokoju! Nie, tylko mozól i strach! Czy to już prze-

znaczenie całego ludzkiego pogłowia, czy tylko my jesteśmy takie zamęczone figury.

Świrski wprawdzie nie wyglądał wcale na zamęczoną figurę, nie wpadał też w ton patetyczny, narzekając na swoje rzemiosło; ale w rozmachanych słowach jego była jakaś szczerłość, która czyniła je zajmującymi. Po chwili podniósł pięść i, wygrażając nią księżycowi, który właśnie ukazał się nad lasem, zawołał nawpół wesoło, nawpół ze złością:

— Ot, taka pyza! Jak raz nauczyła się kręcić koło ziemi, tak już jest pewna swojej sztuki. Żeby choć jedną taką chwilę mieć w życiu!

Pani Marynia poczęła się śmiać i, podniósłszy mimowoli oczy w kierunku ręki Świrskiego, rzekła:

— Niech pan nie narzeka. To nie tylko artystom nie wolno stanąć. Czy się pracuje nad obrazem, czy nad samym sobą, to wszystko jedno, a pracować trzeba, każdej godziny, bo inaczej byłoby źle.

— Ogromnie trzeba pracować! — przerwał z westchnieniem pan Pławicki.

Lecz ona mówiła dalej, szukając z pewnem wysiłeniem jakiegoś porównania i podnosząc przytem brwi:

— I widzi pan, gdyby ktoś choć na chwilę powiedział sobie: jestem dostatecznie mądry i dość dobry, to już to samo nie byłoby ani mądre, ani dobre. Oto mnie się wydaje, że my wszyscy płyniemy przez jakąś głębinę, gdzieś do lepszego brzegu, ale kto tylko chce odpocząć i przestanie poruszać rękoma, tego zaraz własny ciężar ciągnie na dno.

— Frazesy! — rzekł nagle Połaniecki.

Ona zaś, rada z trafności porównania, odpowiedziała:

— Nie, Stachu! jak ciebie Kocham, tak to nie frazesy!

— Dałby Bóg tylko zawsze takie słyszeć — rzekł żywo Świrski. — Pani ma zupełną słuszość.

Lecz Połaniecki w gruncie rzeczy również był przekonany, że ona ma słuszość — i, co więcej, w tych ciemnościach, które go otaczały, poczęło coś błyszczeć nakształt światelka. Oto on właśnie powiedział był sobie: jestem dostatecznie mądry, dostatecznie dobry — i mogę odpocząć — oto on właśnie zapomniał o konieczności ciągłego wysiłku, on zaprzestał poruszać rękoma na głębinie i wnet własny ciężar pociągnął go na dno. Tak było! Wszystkie te wysokie religijne i moralne zasady, które zdobył, zamknął w swej duszy tak, jak zamykał w kasie pieniądze — i uczynił z nich martwy kapitał. Miał je, ale jakby na składzie. Wpadł w zaślepienie skąpca, który cieszy się nagromadzonem złotem, ale żyje, jak nędzarz. Miał je, ale z nich nie żył — i zaufawszy swemu bogactwu, wyobraził sobie, że jego życiowe rachunki są zakończone i że może spocząć. A teraz poczynił się jakby brzask wśród tej nocy, która zalegała jego umysł, i z cienia poczęła się wychylać ku niemu mglista jeszcze i niewyraźna prawda, że tego rodzaju rachunki nie mogą być nigdy zamknięte — i że to jest ogromna, codzienna i nieustanna praca, która, jak mówi Marynia, kończy się dopiero tam, gdzieś, na drugim, lepszym świecie...

X.

— Mój drogi panie, czemu pan się tak nie ubiera, jak pan Kopowski? — mówiła do Zawilowskiego pani Broniczowa. — Naturalnie, że Niteczka ceni więcej pańskie poezye, niż wszelkie na świecie ubrania, ale pan nie uwierzy, jaki to malec estetyczny i jak ona się doskonale zna nawet na takich rzeczach. Wczoraj biedactwo przyszło do mnie i pyta z taką śliczną minką, że gdyby ją pan widział, toby się pan rozplynał: „Ciociu — pyta — czemu pan Ignaś nie ma na rano białego flanelowego kostyumu? Wszystkim panom tak ładnie w tych kostyumach“. Niech pan sobie coś podobnego sprawi, ona będzie rada. Widzi pan, że i Józio Osnowski ma flanelowy kostyum — on nawet ma kilka, przez kokieterę względem Anetki. To są małe rzeczy — wiem! — ale kobiety to ogromnie ujmuje, gdy się zważa na ich wymagania. Pan nie ma pojęcia, jak ona wszystko widzi. W Scheveningen wszyscy do południa chodzą w takich kostyumach i jej byłoby przykro, gdyby ktoś pomyślał, że pan nie należy do towarzystwa, które wie, jak się ubierać. Pan taki dobry, pan sobie kupi taki kostyum —

prawda? Pan to dla niej zrobi — i nie weźmie mi za złe, że ja mówię o tem, co Niteczka lubi?

— Ach, pani — rzekł Zawilowski — najchętniej!

— Jaki pan pocziwy! Ale! co to jeszcze chciałam powiedzieć?... Aha! — i ładny nécessaire podróżny z złotej skóry? — dobrze? — mój drogi panie! Niteczka ogromnie lubi ładne sakwojaże u panów; a za granicą, jak kogo widzą, tak go piszą... Wczoraj — (powiem panu w sekrecie) — oglądałyśmy nécessaire pana Kopowskiego! Bardzo ładny i w dobrym guście... kupiony w Dreźnie. Niteczce bardzo się podobał. Niech go pan zobaczy i niech pan sobie kupi coś w tym rodzaju. Przepraszam, że ja się w to wdaję, ale to bagatela. Widzi pan, ja znam i kobiety wogóle, i Niteczkę. Z nią niema lepszej metody, jak ustępstwa w małych rzeczach. Gdy chodzi o wielkie rzeczy, ona się potrafi wszystkiego wyrzec. Przecie pan słyszał, jakie ona miała partye do wyboru, a jednak wybrała pana. Niechże jej pan za to okazuje wdzięczność choć w drobiazgach. Czy pan, jako psycholog, nie zauważył, że natury, zdolne do wielkich poświęceń, zachowują się właśnie na wyjątkowe okazy, a w życiu codziennem lubią, żeby im dogadzano?

— Być może, pani; dotąd jakoś nie zastanawiałem się nad tem.

— O, z pewnością tak jest i taka jest właśnie natura Niteczki. Pan nie jest jeszcze w stanie ocenić, co to za natura, choć powinienby pan ocenić, przez to samo, że pana wybrała. Ale wy, mężczyźni, nie umiecie odczuć tylu odcieni! Jakby przyszło co do czego, zobaczyłby pan dopiero, jak w niej nic niema egoizmu. Niech ją Pan

Bóg ochroni od wszelkich prób, ale, gdyby przyszło co do czego, zobaczyłby pan!

— Pani — odparł z pewną żywością Zawilowski — wiem, że pani ceni pannę Niteczkę, ale jednak i pani nie myśli o niej tyle dobrego, ile ja.

— Ach! jak ja pana kocham, gdy pan takie rzeczy mówi — zawołała z radością pani Broniczowa. — Mój drogi panie! Ale jeśli tak, to mama jeszcze coś szepnie panu do ucha: oto ona pasyami lubi u panów czarne jedwabne pończoszki, ale jedwabne! Niech pan zapamięta! Jej dość spojrzeć, żeby odróżnić, co jedwab', a co fil d'Ecosse! Mój Boże! niech mnie pan nie posądza, że ja się do wszystkiego chcę mieszać. Nikt się tak nie potrafi usuwać, jak ja, tylko chodzi o to, by Niteczka nigdy nie pomyślała, że pan pod jakimkolwiek względem nie dorównywa innym. Co pan chce! Bierze pan prawdziwą artystkę, która lubi, żeby wszystko, co ją otacza, było ładne. I doprawdy, ona przecie wcale nie będzie tak biedna, żeby nie miała do tego prawa. Cóż, panie?

Zawilowski wy dobył książeczkę do notatek i rzekł:

— Zapiszę sobie zlecenia pani, żebym czego nie zapomniał.

W słowach jego był odcień ironii. Pani Broniczowa swym nadmiarem słów, sposobem mówienia, a zwłaszcza swym zbyt widocznym zamiłowaniem w rzeczach powierzchniowego zbytku, niecierpliwiła go częstokroć. Zawilowskiego raziło w niej jakby pewne parweniuszowstwo natury. Ponieważ nie wiedział, jakie gmachy pobudowała już na majątku starego pana Zawilowskiego, nie mógł wprost zrozumieć, jak kobieta delikatna mogła

tak mało kępować się z nim w wymaganiach dla Niteczki, gdy szło o skalę ich przyszłego życia. Sądził przedtem, że będzie wprost przeciwnie, że te panie będą okazywały aż nazbyt wiele skrupułów i delikatności — i to było pierwsze jego rozczarowanie. Z drugiej strony bolał go zły smak, z jakim niemal codziennie pani Broniczowa wspominała o wielkich partyach, jakie Niteczka mogła porobić, i o wyrzeczeniach się, które dla niego uczyniła. Te *wyrzeczenia się* jeszcze nie miały miejsca. Zawilowski nie był zarozumialcem, ale też nie nosił niższej głowy, niż było trzeba — i z tem, co w nim było, uważał się nie za gorszą, ale za lepszą partycję od takich Kopowskich lub od rozmaitych Colimaçaów, Kanafaropulosów i tym podobnych zakazanych operetkowych figur. Wzburzała go sama myśl, że go śmiano z nimi porównywać, zwłaszcza na jego niekorzyść. Mając w duszy miłość i poezję, sądził, że ma to, czem i księżęta tej ziemi nie zawsze rozporządzają. Jakie będzie praktyczne ich życie z Niteczką, o tem niewiele dotąd myślał, lub myślał tylko ogólnie, ale, czując w sobie siłę i gotowość do wzięcia się za czuby z wszelkim losem, ufał, że będzie bujne. Targować się o ową bujność nie miał zamiaru i, gdy pani Broniczowa zdradzała podobne chęci, musiał się powstrzymać, by jej nie powiedzieć, że wydaje mu się to płaskiem.

Świrski, bawiąc w Przytułowie, wypowiedział raz dziwne zdanie, że miłość nie jest całkowicie ślepą, ale cierpi na daltonizm. Zawilowski sądził, że malarz, mówiąc to, miał na myśli Osnowskiego, nie przypuszczał zaś, że i sam jest doskonałym okazem człowieka, pod-

ległego temu cierpieniu. Oślepił jednak tylko w stosunku do panny Linety — poza nią widział wszystko i dostrzegał wszystko z większą jeszcze niż zazwyczaj bystrością. I niektóre spostrzeżenia przejmowały go zdziwieniem. Nie licząc obserwacyi nad panią Anetą, jej Józkiem i Kopowskim, zauważył naprzykład, że jego własny stosunek do pani Broniczowej poczyna się zmieniać — i że od czasu, jak stał się jej blizkim, jak oswajała się i spoufalała z nim, jako z przyszłym krewnym i przyszłym mężem Niteczki, poczynała mniej cenić jego osobę, jego dzieła, jego talent. Było to może dla zwykłego oka niewidoczne, ale dla Zawilowskiego wyraźne — nie umiał zaś odpowiedzieć sobie, dlaczego tak jest. Przyszłość dopiero miała go nauczyć, że pospolite natury, zetknąwszy się z ludźmi lub rzeczami wyższymi, przez samo spoufalenie się, tracą dla nich szacunek, jakby okazując mimowoli, że to, co stało się im blizkiem, musiało tem samem zarazić się płaskością i lichotą i tem samem nie mogło pozostać wysokiem. Tymczasem pani Broniczowa rozczarowywała go coraz bardziej. Niecierpliwił go ów „wygodny“ Teodor, mający w danym wypadku osłonić swą zagrobową powagą wszelki postęp. Zdumiewała go jakaś ptasia ruchliwość tego umysłu, który, chwytając wszystko w lot z dziedziny dobra i piękności, zmieniał zarazem wszystko w nieobowiązujące i puste słowa.

Dziwiła go nakoniec jej ogromna nieżyczliwość dla ludzi. Pani Broniczowa, niemal pokorna wobec starego Zawilowskiego, poufnie mówiła o nim z niechęcią; panny Heleny wprost nie lubiła; o pani Krasławskiej i pani Maszkowej odzywała się z wiecznym przekąsem, o Bi-

gielach z lekceważeniem, szczególnie zaś solą w oku była jej pani Połaniecka. Pochwał, oddawanych Maryni przez Świrskiego, Zawilowskiego i Osnowskiego słuchała z taką niecierpliwością, jakby były one zarazem ujmą dla panny Castelli. Zawilowski przekonał się, że naprawdę pani Broniczowa nie lubi nikogo na świecie, prócz „Niteczki“.

Ale to właśnie wynagradzało w jego pojęciu wszystkie jej ujemne właściwości. Nie pojął dotąd, że takie uczucia zawistne i wyłączne, które, zamiast rozszerzać serce dla ludzi, czynią je ciasnym i oschłym, są tylko dwugłowym egoizmem, i że taki egoizm może być równie grubym i nieużyтым, jak jednogłowy. Sam, kochając z całej duszy Linetę i czując się, od czasu, jak ją pokochał, lepszym i pobłażliwszym, sądził, że istota, która kocha prawdziwie, nie może być w gruncie rzeczy złą — i w imię wspólnej miłości, przebaczał pani Broniczowej wszelkie jej braki.

Natomiast, w stosunku do panny Linety, bystry ten obserwator nie umiał niczego dostrzedz. Potężniejsze dusze męskie czynią dlatego tyle nieszczęsnych omyłek w miłości, że przybierają kochane kobiety we wszystkie swoje promienie, nie zdając sobie następnie sprawy, że ten blask, od którego olśniewają, jest ich własny. Tak było i z Zawilowskim. Panna Lineta oswajała się codzien więcej i z nim, i ze swoją rolą narzeczonej. Ta myśl, że on ją wyróżnił, przeniósł nad inne, wybrał i pokochał, będąca niegdyś nieustannem żywym źródłem zadowolenia miłości własnej i dumy, poczyniała tracić dla niej urok nowości i powszednieć. Wszystko, co było z niej można

wydobyć na chwałę własną, już z pomocą pani Broniczowej wydobyła. Podziw ludzki został również, jak się wyraził Świrski — „zeskamotowany”, a posąg był teraz tak blisko jej oczu, że, zamiast ogarniać jego całość, jąła wykrywać skazy na marmurze. Chwilami jeszcze, pod wpływem cudzych zdań, lub cudzych podziwów, odzyskiwała pamięć i świadomość jego miary, ale wówczas ogarniało ją jakby zdziwienie, że ten, pełen prostoty, rozkochany, patrzący w jej oczy i powolny na każde jej skinienie człowiek, jest owym Zawilowskim, nad którym nawet Świrski kręci głową, a którego taki Osnowski uważa za jakąś cenną własność publiczną. Ona przecie mogła go posłać w każdej chwili naprzykład po świeże truskawki, albo po włóczkę. I poczucie to sprawiało jej pewną przyjemność, a tem samem czyniło go jeszcze potrzebnym. Podziwiała w nim własną moc i czasem spowiadała mu się z tego rodzaju wrażeń bardzo szczerze.

Raz, gdy zaszli na wilgotne łąki, Zawilowski wrócił się dla niej po kalosze. Następnie, klękawszy przy olsze, nakładał je jej na nogi, które przytem całował. Wówczas ona, spoglądając na tę schyloną do swych stóp głowę, rzekła:

— Pana mają za wielkiego człowieka, a pan mi kalosze nakłada!

Zawilowski zaś podniósł na nią oczy i, rozbawiony zestawieniem, odpowiedział wesoło, nie wstając z klęczek:

— Bo ogromnie kocham!

— To dobrze, ale ciekawam, co by też ludzie na to powiedzieli?

I ta ostatnia kwestya zdawała się ją najbardziej

zajmować. Zawilowski jednak począł z nią w tej chwili kłótnię za to, że powiedziała mu: pan — i nie zauważył, że w tem jej „To dobrze!“ było jakby pewne roz-targnienie, z jakim się pomija rzeczy mniejszej wagi, lub zbyt znane. Z podobnem też półbaczeniem słuchała tego, co mówił dalej, że nie będąc zarozumialcem, uważa się za zwykłego człowieka, ale szanuje swój zawód i że za największe szczęście poczytuje właśnie takie życie, w którem można służyć wysoko, a kochać po prostu. W poczuciu tego szczęścia otoczył jej stan ramieniem, tak, aby to swoje proste kochanie mieć jak najbliżej piersi. Ale gdy przytem wystająca jego broda wysunęła się jeszcze bardziej naprzód, co zdarzało się zawsze, ile-kroć mówił z uniesieniem, Castelka poczęła go prosić, by się od tego odzwyczaił, bo mu to nadaje surowy wyraz, a ona lubi koło siebie wesołe twarze. Za jedną drogą przypomniała mu także, że wczoraj, wożąc ją po stawie i zmęczony się wiosłowaniem, oddychał przy niej bardzo głośno. Nie chciała mu tylko od razu powiedzieć, jak jej to „dawało na nerwy“. Jej byle co „daje na nerwy“ — ale nie tak, jak gdy kto przy niej zmęczy się i głośno oddycha.

To mówiąc, zdjęła kapelusz i poczęła wachlować twarz. Powiew podnosił jej jasne włosy i w zielonawym cieniu olch, obrzucona tu i owdzie słońcem, wdzierającym się przez liście, wyglądała jak zjawisko. Zawilowski poił nią oczy, a w słowach jej podziwiał przedewszystkiem wdzięk rozpieszczonego dziecka. Było może w nich coś więcej, ale on niczego więcej nie szukał i nie zna-

laż, właśnie dlatego, że miłość jego była, przy całej swej mocy, prosta.

Prostota jednak nie wyłącza lotu. Panna Niteczka przyczepiła się istotnie jak pajęczyna do skrzydeł ptaka, który też mimowoli unosił ją na wysokości, gdzie każdy ruch serca trzeba odczuć, wszystko odgadnąć, wszystko zrozumieć, i gdzie myśl nawet musi się natężyć, aby dać wyraz uczuciu. A z panny Niteczki był „taki leniuszek!“ Sama to niegdyś mówiła swemu Latawcowi, który teraz ani domyślał się, że owe wyżyny sprawiają jej tylko zawrót głowy i zmęczenie.

Zdarzało się teraz coraz częściej, iż, budząc się rano i myśląc o tem, że trzeba będzie spotkać się z narzeczonym i nastroić się od rana na jego wysoką nutę, doznawała takiego uczucia, jak dziecko, na które czeka trudna lekcya. Ona już tę lekcję wydała; już wypowiedziała mniej więcej wszystko, czego ją nauczono, i sądziła, że narzeczeństwo powinno jej przynieść wakacye. Miała nakoniec dosyć tych wszystkich swoich i cudzych niepospolitości, tych oryginalnych określeń, tych trafnych odezwań się, któremi wojowała dotąd na świecie. Czula zresztą, że zapas wyczerpywał się i że w studni już dno widać. Pozostawały jej tylko jeszcze jakieś odczuwania artystyczne i ten nieznośny „pan Ignas“ mógł przecie poprzestać na tem, że od czasu do czasu pokazywała mu to jakąś rozległą łąkę, to kawałek lasu, to skrawek pola z płowem, jakby rozpierzchnę w świetle, zbożem, i mówiła: „Ładne! ładne!“ To było łatwiejsze! On wprawdzie nie umiał znaleźć dość słów i podziwu, ile głębokiej artystycznej duszy kryje się w takim jednym wy-

razie: „ładne“ — ale jeśli tak, to czegoż chciał więcej — i dlaczego w rozmowie, w uczuciu, w sposobie kochania, zmuszał ją do jakichś niepotrzebnych wysileń? Jeśli zaś nie zmuszał, jeśli to przychodziło bez jego wiedzy, to tem gorzej dla niego, że, będąc z natury takim stromym, jeszcze w dodatku o tem nie wiedział. — Niech sobie w takim razie gada ze Stefcią Ratkowską!

Z „Koposiem“ natomiast nie potrzeba było żadnych wysileń, to też towarzystwo jego było prawdziwym dla panny Castelli wypoczynkiem. Sam jego widok rozweselał ją, wywoływał uśmiech na jej twarzy i usposabiał do żartów. Taki Połaniecki był wprawdzie raz w życiu zazdrosny o Kopowskiego, ale Zawilowskiemu, jako człowiekowi, który żył daleko wyłącznie życiem umysłowem, a zatem i mierzył wszystko miarą czysto umysłową, ani przez myśl nie przeszło, by dziewczyna, tak „uduchowiona“ i tak „mądra,“ jak Niteczka, mogła choć przez chwilę patrzeć inaczej na Kopowskiego, jak na przedmiot do wesółych żartów, na jakie sobie ustawicznie pozwalała. Czyż sama pani Broniczowa, pomimo całej powierzchowności swego umysłu, nie oburzała się na samo przypuszczenie oddania Niteczki Kopowskiemu? To, co Zawilowski widział między nim a panią Anetą, nie było dla niego żadną nauką, uważał bowiem swoją Niteczkę za przeciwległy biegun Anety. Niteczka przecie wybrała jego, on zaś był znów antytezą Koposia. To jedno usuwało wszelką wątpliwość. Niteczka bawiła się Koposiem, malowała go, prowadziła z nim takie rozmowy, że Zawilowski wydziwić się nie mógł, jak przy nich mogła nie usnąć, żartowała z niego, wodziła za nim

rozwéselonym wzrokiem — ale tylko dlatego, że była jeszcze dzieckiem, które potrzebowało mieć swe chwile zabawy, a nawet i pustoty. Natomiast nikt lepiej od niej nie widział całej jego bezdennej głupoty — i nikt tak często o niej nie mówił. Ileż razy wyśmiewała się z niej przed Zawilowskim!...

Nie wszystkie jednak oczy patrzyły na tę zabawkę jednakowo — a przedewszystkiem patrzyła inaczej pani Aneta, która od czasu do czasu mówiła wprost mężowi, że Castelka kokietuje Kopowskiego. „Józiowi“ wydawało się również niekiedy, że tak jest, i miał ochotę wyprawić grzecznie Koposia z Przytułowa, na to jednak pani Aneta nie chciała zezwolić. — „Skoro stara się o Stefcię, to nie mamy prawa zawiązywać tak biednej dziewczynie losu.“ — Osnowskiemu żal było tej słodkiej Stefci dla Koposia, ale, ponieważ rzeczywiście nie miała żadnego majątku i ponieważ Anetka życzyła sobie, żeby to przyszło do skutku, więc nie śmiał się przeciwzić.

Ale za to nie posiadał się ze zdziwienia i oburzenia na Castelkę: „Mając takiego Ignasia, kokietować takiego durnia — na to trzeba chyba być zupełnie bezduszną lalką.“ Z początku nie chciało mu się to w głowie pomieścić. W przypuszczeniu, że jednak Anetka chyba się musiała omylić, począł pilniej przypatrywać się młodej dziewczynie — i ponieważ, poza osobistym swym stosunkiem do żony, nie był wcale człowiekiem głupim, dostrzegł mnóstwo rozmaitych rzeczy, które go, ze względu na przyjaźń, jaką miał dla Zawilowskiego, mocno zaniepokoiły. Nie przypuszczał wprawdzie, by zdarzył się jakikolwiek wypadek, mogący zmienić położenie, ale za-

dawał sobie pytanie, jaka będzie przyszłość Ignasia z kobietą, tak mało umiejącą go ocenić i tak mało duchowo rozwiniętą, że nietylko znajdowała upodobanie w towarzystwie takiego bezgłowego piękniśia, ale pozwalala sobie pociągać go i bałamucić. „Anetka sądzi wszystkich po sobie (myślał Osnowski) — i rzeczywiście omyliła się, przypisując Castelce jakieś głębsze poczucia: to marynetka, na którą, jeśli nie wpłynęły podobne dusze, jak Anetka i Ignas, to już jej nic nie rozbudzi.“ W ten sposób ów nieszczęsny, chory na daltonizm miłości człowiek, odkrywając z jednej strony prawdę, z drugiej popadał w błąd coraz grubszy. Na „Castelkę“ za to patrzył z każdym dniem trafniej i nie potrzebował zbytnich wysileń, by dojść do pewności, że w stosunku tej „idealnej“ Niteczki do Koposia są wprawdzie żarty, jest dużo przekory, drażnienia się, nawet drwin, ale jest i taka nieprzeparta słabość, i taki pociąg, jaki kobiety z duszami modniarek czują do ładnych i ładnie ubranych chłopców. Fenomenalna głupota Kopuskiego zdawała się jeszcze wzrastać na świeżem powietrzu, ale za to słońce pozłociło jego delikatną cerę, przez co oczy stały się wyrazistsze, zęby bielsze, zarost na twarzy pojaśniał i lśnił się jak jedwab'. Rzeczywiście, że blask bił nietylko od jego młodości i urody, ale od jego bielizny, krawatów, od jego wyszukanych a zarazem prostych kostyumów. Rano, przybrany do lawn-tennisa w angielskie flanele, miał w sobie jakąś świeżość poranku i rozmarzenie snu. Wysmukłe a zarazem wytoczone jego kształty rysowały się jakby pieszczotliwie przez miękkie tkaniny — i gdzie ten kościsty Za-

wiłowski mógł się porównać w oczach tych pań, razem ze swoją zuchwałą wagnerowską szczęką i długimi nogami, z tym „mignonem,” przypominającym jednocześnie bogi greckie i żurnale mód, jednocześnie włoskie glyptoteki i tabldoty Biarritz lub Ostendy. Trzeba było być takim cudakiem, jak ta cicha woda, Stefcia Ratkowska, żeby utrzymywać (chyba na złość), że to jest nieznośna lala. Castelka śmiała się wprawdzie, gdy Świrski wyraził się kiedyś, iż Kopowski, zwłaszcza zapytany o coś zniecka, miewa takie spojrzenia, w których widać szesnaście „quartiers“ głupoty po mieczu i po kądzieli. Rzeczywiście on miewał trochę nieprzytomne spojrzenia i zwykle nie od razu mógł pojąć, czego od niego chcą. Ale za to taki był wesoły, taki wydawał się łagodny i, mimo niezbyt lotnej myśli, tak dobrze wychowany, a wreszcie taki śliczny i wyświeżony, że wszystko można mu było przebaczyć.

Zawiłowski mylił się, sądząc, że tylko pani Broniczowa przepada za rzeczami powierzchownego zbytku i że jego narzeczona nie wie o tych wszystkich żądaniach, z którymi ciocia występuje. Castelka wiedziała o nich. Straciwszy nadzieję, by „pan Ignasz” mógł kiedykolwiek dorównać Kopowskiemu, chciała, żeby przynajmniej się do niego zbliżył. Do rzeczy powierzchownego zbytku miała wrodzony pociąg — i „ciocia,” prosząc Zawiłowskiego, by sobie kupił to lub owo, spełniała tylko jej żądania. Dla niej, rzeczywiście, dość było spojrzeć, żeby odróżnić jedwab od fil d'Ecosse, i cała jej dusza instynktownie rwała się do jedwabiu. Kopowski był zaś dla niej tem wśród ludzi, czem jedwab wśród tkanin.

Gdyby nie pani Aneta, która powstrzymywała młodego człowieka, i gdyby nie rozmaite górne uczucia, które wzmówiła w Castelkę, Castelka byłaby niechybnie za niego wyszła. Osnowski, nie wiedząc o tem wszystkim, dziwił się nawet, że się tak nie stało, doszedł bowiem w końcu swych spostrzeżeń do wniosku, że i dla Linety, i dla Zawilowskiego, byłoby tak może lepiej.

I któregoś dnia zwierzył się z tych myśli żonie, lecz ona rozgniewała się i odrzekła z wielką żywością:

— Nie stało się, bo się stać nie mogło. Nikt nie jest obowiązany stosować się do Józia pomysłów. Ja pierwsza spostrzegłam, że Castelka kokietuje Kopowskiego. Któż mógł wiedzieć, że to taka natura. Być narzeczoną i już kokietować innych — to przechodzi ludzkie pojęcie. Ale ona to robi przez próżność, na złość Stefici Ratkowskiej, a może dlatego, by wzbudzić zazdrość w Zawilowskim. Kto ją tam wie! Łatwo teraz Józiowi mówić i zwałać całą winę na mnie, że to ja zrobiłam to małżeństwo; niech sobie Józio lepiej przypomni, ile razy sam zachwycał się Castelką, ile razy mówił, że to niezwykła natura i że taka właśnie uszczęśliwiłaby pana Ignasia! Ładnie niezwykła natura!! Teraz kokietuje Kopowskiego, a gdyby była jego narzeczoną, toby kokietowała Zawilowskiego. Jak ktoś jest próżny, to pozostanie zawsze próżny. Józio mówi, że ona byłaby odpowiedniejsza dla Kopowskiego. Trzeba było mieć pierwej ten rozum, nie dopiero wówczas, gdy ona jest narzeczoną Zawilowskiego. Ale Józio umyślnie tak mówi, dlatego tylko — żeby mi pokazać, jakie głupstwo zrobiłam, pomagając panu Ignasiowi.

I cała sprawa została obrócona w ten sposób, iż Zawilowski i Castelka zeszli na drugi plan, na pierwszy zaś wystąpiło okrucieństwo i złośliwość Józia. Ale Osnowski począł się usprawiedliwiać i, rozłożywszy ręce, mówił:

— Anetko! Jak ty możesz nawet przypuścić, że ja ci chciałem zrobić przykrość? Przecie ja wiem, jakież ty poczciwe miała chęci; tylko widzisz, mnie strach bierze o przyszłość Ignasia, bo go kocham. Chciałbym z duszy serca, żeby mu Bóg dał taką istotę, jak ty jesteś. Moja ptaszynko najdroższa, ty wiesz, że jabym wolał język stracić, niż powiedzieć ci coś przykrego. Przyszędłem, ot tak, pogadać z tobą i naradzić się, bo wiem, że w tej kochanej główce zawsze znajdzie się na wszystko sposób.

To rzekłszy, począł całować jej ręce, a następnie ramiona i twarz, z ogromną miłością i coraz większem uniesieniem, lecz ona odwracała głowę, wykręcając się od pocałunków i mówiąc:

— Ach, jaki Józio spocony!

On zaś rzeczywiście był niemal zawsze spocony, bo po całych dniach grywał w tenisa, jeździł konno, wiosłował, włóczył się po polach i lasach, byle schudnąć do miary jej wymagań.

— Powiedz tylko, że się nie gniewasz! — rzekł, puszczać jej rękę i patrząc z tkliwością w oczy.

— No, nie! — Ale jakąż ja mogę dać radę. Oto niech sobie jadą jak najprędzej do tego Scheveningen, a Kopowski niech tu zostanie ze Stefcją.

— Widzisz, że znalazłaś sposób. Niech jadą z początkiem sierpnia. Ale czy ty zauważyłaś, że Stefcia ja-

koś niebardzo... jakoś jej Koposio nie przypadł dotąd do serca?

— Stefcia skryta, jak mało kto. Józio nie zna kobiet.

— Pewno masz i w tem słusność. A nawet widzę, że ona nie lubi Castelki. Może też gniewa się w duszy i na Kopowskiego.

— Albo co? — spytała żywo pani Aneta. — Czy Józio widział coś takiego z jego strony względem Castelki?

— Koposio, jak to Koposio. Śmieje się do niej, bo ma ładne zęby, ale gdybyni coś zobaczył, jużby go nie było w Przytułowie. Może też i Castelka kokietuje go dlatego tylko, że taka jej natura... sans le savoir... Już to samo jest złe, ale żeby aż było coś do podpatrywania — tego nie przypuszczam.

— Trzeba jednak wybadać Kopowskiego, co do Stefci. Wie Józio co? Oto dziś zaraz pojedę z nim konno ku Leśniczówce i pomówię trochę seryo... Wy sobie jedźcie w inną stronę.

— Dobrze dziecinko. Patrz, że jednak główka zaczyna radzić!

I począł zbierać się do wyjścia, lecz w proggu stanął, pomyślał chwilę i rzekł:

— Jakie to jednak dziwne i niepojęte: ten Ignas, zdaje się, wszystko w lot chwyta — a tymczasem uwielbia tę Castelkę, jak jakie bóstwo i nie a nie nie widzi.

Po południu zaś, gdy Kopowski z panią Anetą odjeżdżali cienistym gościńcem do leśnego domku, Zawilowski, odprowadzając ją oczyma i patrząc na jej po-

stać, rysującą się na koniu w obcisłej amazonce nakształt wysmukłego dzbanka, myślał:

--- Jaka ona jednak zgrabna i ponętna! Jest w tem jakaś ironia życia, że ten poczciwy i serdeczny Ośnowski niczego się nie domyśla!

I była rzeczywiście w tem ironia życia — ale nie-tylko w tem.

XI.

Od czasu wspólnej wycieczki pani Anety i Kopowskiego do Leśniczówki, coś się zmieniło w towarzyskim nastroju mieszkańców Przytułowa. Zawilowski patrzył wprawdzie po dawnemu w oczy narzeczonej i zachwycał się nią bez miary, natomiast w obejściu się jej z nim i z innymi, był jakiś leciuchny odcień złego humoru. Kopowski czuł się jakby skrępowany; na Castelkę spoglądał tylko ukradkiem, zbliżał się do niej skwapliwie, ale tylko w nieobecności pani Anety, a natomiast przysiadł się częściej do panny Ratkowskiej, z którą rozmawiał jakby w roztargnieniu. Pani Aneta była jeszcze rezolutniejsza niż zwykle i ku wielkiemu zadowoleniu „Józia“ rozciągnęła teraz tak baczną opiekę nad wszelkimi sprawami w Przytułowie, że dwukrotnie jeszcze brała Kopowskiego na osobną rozmowę. Wzrok Castelki nie gonił za Koposiem z taką pół wesołą, pół ironiczną swobodą, jak dawniej — natomiast chmurne oczy panny Ratkowskiej zwracały się na Zawilowskiego z pewnem współczuciem, słowem: coś się zmieniło zarówno w spojrzeniach, jak w stosunkach.

Były to jednak zmiany, dostrzegalne chyba dla oka bardzo bystrego i przywykłego patrzeć w tego rodzaju życie, w którym, w braku większych celów i tęgiej codziennej pracy, najmniejsze odcienia uczuć, najbardziej subtelne ruchy myśli, a nawet usposobień, nietylko przybierają pozory doniosłych wypadków, ale częstokroć kryją w sobie rzeczywiste ich zarody. Zewnętrznie, życie to pozostało tem, co było, to jest jakby codziennem świętowaniem, majówką, wiejskim wywczasem, splecionym z miłości, estetycznych wrażeń, mniej więcej subtelnych rozmów i wreszcie zabaw. Ułożenie całego szeregu tych zabaw, tak, aby dzień został zapełniony, było jedynem zadaniem obciążającym umysły, a i to, największą jego część brał na siebie, jako gospodarz, pan Osnowski.

Pewnego jednak poranku, jednostajną pogodę tego życia przerwał grom, pod postacią dwóch listów z czarnemi obwódkami pod adresem Osnowskiego i Zawilowskiego. W chwili, gdy je przyniesiono, całe towarzystwo było przy poobiedniej kawie — i oczy pań zwróciły się z ciekawością i niepokojem na czytających, którzy, wydobywszy karty z otwartych kopert, zawołali niemal jednocześnie:

— Pan Zawilowski umarł!

Wiadomość uczyniła wielkie wrażenie. Pani Broniczowa, jako osoba dawnej szkoły, paniętająca czasy, w których przybycie sztafety na wieś obowiązywało tkliwsze istoty do zemdlenia, zanim nawet pokazało się, co sztafeta przywiozła — wpadła w rodzaj odrętwienia, połączonego z utratą mowy; panna Ratkowska, która czas jakiś spędziła w domu Zawilowskich i miała dla nich

wielką przyjaźń, pobladła naprawdę; panna Castelli, chwyciwszy rękę pani Broniczowej, starała się przypro-
wadzić ją do przytomności, szepcząc półgłosem: „Voyons,
chère, tu n'es pas raisonnable!“ Pani Aneta zaś, jakby
chcąc sprawdzić własnymi oczyma treść zawiadomienia,
wyjęła je z rąk męża i poczęła czytać:

— Ś. p. Eustachy Zawilowski rozstał się z tym
światem w dniu 25 lipca etc. Pograżona w żalu córka
zaprasza krewnych i przyjaciół na pogrzeb w kościele
parafialnym w Jaśmieniu, w dniu 28 b. m., etc.

Poczem nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał
pierwszy Zawilowski:

— Mało go znałem — rzekł — i niegdyś byłem
do niego uprzedzony, ale teraz szczerze mi go żal, bom
się przekonał, że to był z gruntu zacny człowiek.

— I on cię też szczerze pokochał — odpowiedział
Osnowski. — Miałem tego dowody.

Pani Broniczowa, która przez ten czas przysłała do
siebie, oświadczyła, iż dowody teraz dopiero mogą po-
kazać się w całej pełni i że serce pana Eustachego
prawdopodobnie okaże się jeszcze większe, niż przypu-
szczają. „Pan Eustachy zawsze bardzo kochał Niteczkę,
a taki człowiek nie mógł być zły“. Jej, to jest pani Bro-
niczowej, chwilami przypominał Teodora, i dlatego tak
się do niego przywiązała. Był wprawdzie czasem o tyle
szorstki, o ile Teodor był zawsze łagodny, ale obaj mieli
jednaką prawość duszy, którą Pan Bóg najlepiej potrafi
osądzić.

Poczem zwróciła się do Niteczki, przypominając jej,
że najmniejsze wzruszenie nabawia ją ściskania w dołku,

i prosząc, żeby się tym razem starała nie poddać wrodzonej tkliwości. Zawilowski też w poczuciu, że i jego, i Niteczkę, po raz pierwszy dotknął jakiś wspólny smutek, począł całować jej ręce. Nastrój ów przerwał dopiero Kopowski, który rzekł, jakby w zamyśleniu nad znikomością rzeczy ludzkich:

— Ciekawym, co panna Helena zrobi z fajkami po panu Zawilowskim?

Rzeczywiście stary szlachcic miał słynny na całe miasto zbiór fajek i w swoim czasie, przez niechęć do papierosów i cygar, urządzał nawet u siebie zebrania dla miłośników cybucha. Troska Kopowskiego o te fajki nie została jednak zaspokojona, raz dlatego, że Zawilowskiemu przynieśli w tej chwili list od Połanieckiego, zawierający również wiadomość o śmierci staruszka i wezwanie na pogrzeb, a powtóre z tej przyczyny, że Osnowski począł naradzać się z żoną nad wyjazdem do Jaśmienia.

Stało na tem, że wszyscy wyruszą zaraz do miasta, gdzie panie zdążą jeszcze pokupować rozmaite żałobne drobiazgi, a nazajutrz, w dzień pogrzebu, będą w Jaśmieniu. Tak się też i stało. Zawilowski, zaraz po przyjeździe wstąpił do siebie, by odwieźć rzeczy i przygotować na jutro czarne ubranie, a następnie poszedł do Połanieckich, w przypuszczeniu, że może i oni przyjechali od Bigielów. Służący powiedział mu, że wczoraj był tylko pan, ale zaraz odjechał do Jaśmienia, koło którego państwo od dwóch tygodni wynajęli, czy nawet kupili, dom.

Usłysawszy to, wrócił do willi Osnowskich, by

wieczór spędzić z narzeczoną. W przedpokoju zdziwiły go dochodzące z głębi domu tony Strausowskiego walca, więc spotkawszy w następnym saloniku pannę Ratkowską, począł ją wypytywać, kto gra.

— Niteczka gra z panem Kopowskim — odrzekła panna Ratkowska.

— To pan Kopowski już tu jest?

— Przyszedł przed kwadransem.

— A państwo Osnowscy?

— Jeszcze nie wrócili z miasta. Anetka robi sprawunki.

Zawiłowski po raz pierwszy w życiu uczuł pewne niezadowolenie z Niteczki. Rozumiał, że stary zmarły szlachcic nie był jej niczem, niemniej jednak chwila do grania walca na cztery ręce z Kopowskim, wydała mu się nieodpowiednią. Miał poczucie, że tkwi w tem jakiś brak smaku. I pani Broniczowa, której nie brakło światowej domyślności, odgadła widocznie to wrażenie z jego twarzy.

— Niteczka była ogromnie i wzruszona i zmęczona — rzekła na wstępie — a jej nic tak nie uspakaja, jak muzyka. Zaniepokoiłam się też bardzo, bo już ją zaczęło ścisnąć w dołku, więc, gdy nadszedł pan Kopowski, sama zaproponowałam, żeby coś zagrali.

Oni jednak przestali grać — i niemiłe wrażenie Zawiłowskiego poczęło się zwolna rozpraszać. W tej willi było dla niego mnóstwo świeżych, drogich wspomnień. O zmroku począł chodzić z Niteczką pod rękę po pokojach i zatrzymując się w różnych miejscach, co chwila coś sobie przypominał.

— Pamiętasz? — mówił w pracowni — tu przy malowaniu wzięłaś mnie za skronie, by mi odwrócić głowę, a ja pierwszy raz w życiu pocałowałem cię w rękę. Jakaś powiedziała: „niech pan pomówi z ciocią“ — straciłem nietylko przytomność ale oddech... Moja ty wybrana, moja najdroższa...

Ona zaś odpowiedziała:

— A jakiś ty był wtenczas blady!

— Trudno nie być bladym, jak komuś serce zamiera ze wzruszenia. Przecie ja już cię kochałem bez pamięci.

Panna Castelli podniosła oczy w górę i po chwili rzekła:

— Jakie to wszystko dziwne!

— Co, Niteczko?

— Że to się tak jakoś zaczyna i zaczyna, jak jakieś próbowanie, jak jakaś gra... potem się coraz bardziej w to wchodzi — i nagle: klamka zapada.

Zawiłowski począł przyciskać jej ramię do piersi i odrzekł:

— A tak! klamka zapadła! Mam moją jasną dziewczynę i nie puszczę.

Potem, chodząc ciągle pod rękę, przeszli do wielkiego salonu. Zawiłowski wskazał na oszklone drzwi i rzekł:

— Nasz balkon i nasza akacya.

Mroczyło się coraz bardziej. Przedmioty w pokoju pogrążyły się w cień; gdzieniegdzie tylko na złoczonych ramach obrazów połyskiwały światełka, jakby jakieś oczy, podglądające młodą parę.

— Kochasz ty mnie? — spytał nagle Zawilowski.

— Ty wiesz!

— Powiedz: tak!

— Tak.

Wówczas przycisnął jeszcze silniej jej ramię i począł mówić zmienionym przez wzbierające uczucie głosem:

— Ty po prostu nie masz pojęcia, ile w tobie jest szczęścia. Słowo ci daję: nie masz pojęcia! Ty nie wiesz, jak ja cię kocham. Jabym za ciebie życie oddał. Jabym świat oddał za twój jeden włoszek! Tyś mój świat, moje życie, moje wszystko! Jabym bez ciebie teraz umarł.

— Siądźmy — szepnęła panna Castelli. — Takam zmęczona.

I siedli, wsparci o siebie ramionami, ukryci w mroku. Nastąpiła chwila milczenia.

— Co tobie? Ty cały drżysz? — szepnęła panna Lineta.

Lecz i sama, czy to rozkołysana wspomnieniami, czy porwana jego uczuciem, lub bliskością, poczęła oddychać śpieszniej, i przymknąwszy oczy, pierwsza podsunęła mu usta.

A tymczasem Kopowski nudził się widocznie w przyległym pokoju z panną Ratkowską i panią Broniczową, albowiem w tejsze chwili rozległy się tony tego walca, którego przedtem grali z Linetą.

Zawilowskiemu, gdy wrócił do siebie, własne kawalerskie mieszkanie wydało się obrazem pustki i smutku, jakimś bezcelowem koczowiskiem, po którym nie zostaje nawet wspomnienie — i pomyślał, iż ta złota Ni-

teczka już tak obwinęła mu się koło serca, że naprawdę żyćby bez niej nie chciał i nie mógł.

Pogrzeb pana Zawilowskiego odbył się nazajutrz niezbyt tłumnie. Majątki okoliczne, jako leżące bliżej miasta, należały po większej części do ludzi zamożnych, którzy lato spędzali za granicą, a z tej samej przyczyny niewielu znajomych pana Zawilowskiego pozostało i w mieście. Naddciągnęły tylko liczne gromady włościan, które, tłocząc się w kościele, spoglądały na trumnę, jakby ze zdziwieniem, że pan tak możny, mający w bród gruntów, pieniędzy i statku, idzie do ziemi, jak pierwszy lepszy chłop, siedzący gdzieś na komornem na wyczołkach. Inni patrzyli z zazdrością na pannę, na którą „tyle dobra“ spaść miało. I taka jest natura ludzka, że nie tylko chłopci, ale i ludzie wykwintni, dalsi lub bliżsi znajomi pana Zawilowskiego, nie mogli nawet w czasie samej ceremonii pogrzebowej powstrzymać się od rozmyślenia, co też panna Helena uczyni z temi milionami, które jej pozostaną do otarcia łez. Byli i tacy, którzy, odgadując w młodym Zawilowskim, jako w ostatnim krewnym tegoż nazwiska, spadkobiercę znacznej części majątku, zadawali sobie po cichu pytanie, czy ten szczęśliwy poeta, a jutro może milioner, nie przestanie wierszy pisywać. I myśleli, jakby z pewnem niewytlómaczonym zadowoleniem, że prawdopodobnie przestanie.

Główną jednak uwagę zwracała panna Helena. Podziwiano powszechnie poddanie się, z jakim zniosła tę stratę, tem boleśniejszą, że po śmierci ojca pozostawała sama jedna na świecie, bez bliższych krewnych, jak młody poeta — i nawet bez przyjaciół, o których przestała się

od dawna starać. Szła za trumną z twarzą, po której spływały łzy, ale spokojną, tym zwykłym u niej, trochę martwym i kamiennym spokojem, wróciwszy zaś z pogrzebu, opowiadała o śmierci ojca tak, jakby od niej upłynęło przynajmniej kilka miesięcy. Panie z Przytułowa nie mogły zrozumieć, że mówi przez nią ogromna wiara, i że, na mocy owej wiary, śmierć ta, wobec innej, którą przeżyła i która poszarpała jej duszę, wydała jej się czemś smutnem wprawdzie, ale zarazem błogosławionem, wyciskającym łzy żalu, ale nie rozpaczy. Jakoż stary pan Zawilowski umarł bardzo pobożnie, choć prawie nagle. Od czasu przybycia do Jaśmienia, miał zwyczaj spowiadać się dwa razy na tydzień, więc nie brakło mu pociechy religijnej. Umarł z różańcem w ręku, na swoim fotelu, zasnąwszy poprzednio lekkim snem, bez żadnych cierpień, gdyż codzienne jego dolegliwości opuściły go na kilka dni przedtem, tak, że już począł nabierać nadziei zupełnego wyzdrowienia. Panna Helena, opowiadając o tem swym zaciszonym i monotonnym głosem, zwróciła się wreszcie do Zawilowskiego i rzekła:

— O panu też wspominał bardzo często. Może na godzinę jeszcze przed śmiercią mówił, że jeśli pan przyjedzie do Buczynka do państwa Połanieckich, żeby mu zaraz dać znać, bo się chce koniecznie z panem widzieć. Ojciec bardzo, bardzo pana kochał i cenił.

— Droga pani — rzekł Zawilowski, podnosząc do ust jej rękę — żałuję go też serdecznie razem z panią.

Było coś szlachetnego i szczerzego zarówno w jego tonie, jak w słowach, więc oczy panny Heleny zaszczyły łzami, płacz zaś pani Broniczowej rozległ się tak głośno,

że, gdyby nie flakonik z solami, podany przez pannę Castelli, byłby prawdopodobnie przeszedł w atak nerwowy.

Lecz panna Zawilowska, jakby nie słysząc tych lkań, poczęła dziękować Połanieckiemu za pomoc, jakiej od niego doznała, on bowiem zajął się pogrzebem i tymi kłopotami, jakimi śmierć blizkich obarcza, w dodatku do nieszczęścia, tych, którzy blizkich tracą. On zaś wziął to wszystko na siebie i przez uczynność, i dlatego, że obecnie chwycił każdą sposobność, by się czemś zająć, zagłuszyć i wyjść z męczącego koła rozmyślań.

Marynia nie była na pogrzebie, gdyż mąż nie życzył sobie, by się narażała na tłok i zmęczenie, natomiast dotrzymywała pannie Zawilowskiej towarzystwa w domu, niosąc jej pociechę, jaką było można. Obecnie chciała ją zabrać wraz z przytułowskiemi paniami do Buczynka, a nawet zatrzymać u siebie kilka dni. Połaniecki popierał jej prośbę, ale panna Helena, mając w domu starą swą nauczycielkę, odmówiła, zapewniając panią Marynię, że w Jaśmieniu nie będzie jej wcale przykro i że, zwłaszcza w pierwszych dniach, nie chciałaby go porzucać.

Zato panie z Przytułowa, które i tak za namową Świrskiego miały zamiar odwiedzić Połanieckich, pojechały chętnie wraz ze znajomymi panami do Buczynka — tem bardziej, że pani Broniczowa czuła ochotę dowiedzieć się od Połanieckiego bliższych szczegółów o ostatnich chwilach zmarłego. Pani Marynia, która z wielką ciekawością przypatrywała się pannie Ratkowskiej, zabrała ją teraz do swego powozu — i stało się to, co

się czasem zdarza na świecie: oto obie młode kobiety od razu poczuły ku sobie nieprzeparty pociąg. W smutnych oczach panny Ratkowskiej, w jej wyrazie, w jej twarzy „zacziszonej“, wedle wyrażenia Świrskiego, było coś takiego, że pani Marynia niemal od pierwszego wejścia odgadła naturę nieśmiałą, przywykłą do zamykania się w sobie, ale delikatną i tkliwą. Z drugiej strony panna Ratkowska tyle nasłuchiwała się od młodego Zawilowskiego o Maryni (a nasłuchiwała się dlatego, że inne panie w Przytułowie nie rade podawały ucha pochwałom bliźnich), iż widząc w jej oczach zajęcie i sympatyę, do których w swem ubóstwie i samotności nie przywykła, przyłgnęła do niej całym sercem. W ten sposób przyjechały do Buczynka, jako dobre przyjaciółki, i Świrski, który wraz z Połanieckim, Osnowskim i Kopowskim, przybył tuż za nimi, nie potrzebował wielkiej domyślności, by odgadnąć, że sąd Maryni będzie dla panny Stefci pochlebny.

Chciał jednak go usłyszeć. Marynia poczęła pokazywać gościom swoją nową rezydencję, która miała zostać jej własnością. Połaniecki bowiem już był postanowił kupić Buczynek. Oglądano zwłaszcza ogród, w którym rosły nadzwyczaj stare białodrzewy. Świrski, korzystając z tej przechadzki, podał rękę Maryni i w powrotnej drodze do domu, gdy towarzystwo rozproszyło się nieco po wszystkich alejach, spytał z wielkim impetem:

— Cóż pani? jakie pierwsze wrażenie?

— Jak najlepsze. Ach, jakie to musi być dobre i tklive dziecko! Niech pan stara się ją poznać.

— Ja? A to na co? Ja się dziś oświadczam. Czy

pani myśli, że tego nie zrobię? Pod słowem, że dziś jeszcze — i to w Buczynku. Ja już nie mam czasu na przypatrywania się i namysły. W tych rzeczach musi być trochę hazardu. Dziś się oświadczam, tak, jak tu przed panią stoję.

Pani Połaniecka poczęła się śmiać, sądząc, że żartuje, on zaś odpowiedział:

— Ja się także śmieję, bo w tem niema nic smutnego. Nic nie szkodzi, że to w dzień pogrzebu: nie jestem przesądny. A raczej owszem! jestem — i wierzę, że z pani ręki nie może być źle.

— Ależ to nie z mojej ręki. Ja ją przecie dziś dopiero poznałam.

— Wszystko mi jedno. Całe życie bałam się kobiet, a tej jakoś nic a nic! To po prostu nie może być niewdzięczne serce.

— Nie. I ja myślę, że nie.

— A widzi pani. Na mnie ostatni czas. Przyjmie mnie, to będę ją całe życie, ot, tu nosił! — (tu wsunął rękę w zanadrze surduta) — a nie, to...

— To co?

— To się zamknę i będę jaki tydzień od rana do wieczora malował. Mówiłem, że pojedę na kaczkę — ale nie! To poważniejsza rzecz, niż pani myśli. Sądzę jednak, że powinna mnie przyjąć. Wiem, że ona tego damskiego papilota, tego Koposia, nie kocha; jest na świecie sama i sierota, a mnie robi dobrodziejstwo, za które potrafię być jej wdzięczny przez całe życie, bo ze mnie w gruncie rzeczy dobry człowiek — a boję się, żebym nie zgorzkniał.

Marynia teraz dopiero spostrzegła się, że Świrski może mówić poważnie — i odrzekła:

— Pan naprawdę dobry człowiek, więc pan nigdy nie zgorzknieje.

On zaś odrzekł z wielkiem ożywieniem:

— Owszem. Mogłoby się na tem skończyć. Z panią będę szczery. Czy pani myśli, że ja jestem tak szczęśliwy, jak się wydaję. Dalibóg, że nie! Zdobyłem trochę pieniędzy i sławy — prawda. Ale może nie było pomiędzy mężczyznami drugiego, któryby tak wyciągał ręce do jakiegoś kobiecego ideału, jak ja. I co? Spotkałem panią, spotkałem panią Bigielową, może jeszcze dwie, trzy — zacne, prawe, rozumne, czyste jak lzy... Niech pani pozwoli! Ja nie chcę mówić pani grzecznostek, a w tem, co powiem następnie, nie chcę wygłaszać krytyki, tylko odkrywam mój ból: widziałem między naszymi kobietami tyle sychu, tyle płaskich i płytkich natur, taki egoizm, tyle mielizn, tyle niewdzięcznych serc, tyle lalek z kartonu, tyle nieszczerých aspiracyi, że od tego widoku mogło zgorzknieć dziesięciu takich jak ja.

Po chwili zaś dodał:

— To dziecko wydaje się inne: ciche, słodkie i bardzo uczciwe. Dajże Boże, żeby taka była — i żeby mnie chciała.

Tymczasem pani Broniczowa, wzięwszy otwarcie Połanieckiego na bok, mówiła z wzniesionemi oczyma:

— O tak! on mi przypominał moje młode lata — i jak pan widzi, pomimo tego, że przez dłuższy czas stosunki między nami były zerwane, dochowałam mu do końca życia przyjazni. Pan musiał słyszeć... Ale nie! nie

mógł pan słyseć, bom nigdy nikomu o tem nie wspominała, że odemnie tylko zależało zostać... matką Helenki. Teraz już niema potrzeby tajemnicy. Dwukrotnie oświadczał się o moją rękę i dwukrotnie mu odmówiłam. Szanowałam i lubiłam go zawsze, ale pan zrozumie, że gdy się jest młodym, szuka się czego innego, szuka się tego, co znalazłam w moim Teodorze... O tak! Raz było to w Ischii, a drugi raz w Warszawie. Cierpiał bardzo — ale cóż ja mogłam poradzić? Czy pan w mojem położeniu postąpiłby inaczej? Niech pan szczerze powie?

Połaniecki, nie mając najmniejszej chęci odpowiadać ani szczerze, ani nieszczerze, jakby postąpił w położeniu pani Broniczowej, rzekł:

— Pani życzyła sobie o coś mnie zapytać?

— Tak! o tak! Chciałam pana zapytać o jego ostatnie chwile. Helenka mówiła, że on umarł nagle, ale pan, mieszkając tak blisko, musiał go odwiedzać, więc może pan pamięta, co on mówił, może wie, jakie były jego ostatnie zamiary i myśli? Osobiście nie mam w tem przecie najmniejszego interesu. Mój Boże! chyba trudno było postępować bezinteresowniej. Pan Niteczki nie zna! Ale pan Zawilowski dał mi słowo, że zapisze panu Ignasiowi swoje poznańskie majątki. Jeśli słowa nie dotrzymał, lub nie zdążył dotrzymać, niech mu to Pan Bóg przebaczy, tak jak ja przebaczam. Majątek! — zapewne! to nic nie stanowi! Któż dał lepszy od Niteczki przykład nieoglądania się na majątek? Gdyby było przeciwnie, nie byłaby odrzuciła takich partyi, jak markiz Jao Colimaçao, lub pan Kanafaropulos. Pan musiał słyseć także

o panu Ufińskim? (To ten, co za swoje sławne sylwetki kupił już sobie pałac w Wenecyi. Ostatnim razem wycinał księcia Walii). Jeszcze tego roku oświadczał mi się o Niteczkę. Och tak, drogi panie! jeśli kto szukał majątku — to chyba nie my. Ale nie chciałabym, żeby Niteczka kiedykolwiek mogła pomyśleć, że zrobiła ofiarę — bo jednak... między nami, ona robi ofiarę, a biorąc po światowemu — wielką ofiarę!

Na to Połaniecki, który był człowiek żywy, i którego rozgniewały ostatnie słowa pani Broniczowej, odrzekł:

— Nie znałem ani markiza Jao Colimação, ani pana Kanafaropulosa, ale na tutejszym gruncie to są nazwiska trochę... dziwne. Przypuszczam też, że panna Castelli wychodzi za Zawilowskiego z miłości, a w takim razie wszelka ofiara jest wykluczoną. Ja, pani, jestem człowiek otwarty i mówię to, co myślę. Czy Zawilowski jest człowiekiem praktycznym, to inna rzecz, ale Zawilowski nie wie i nie chce pytać, co przynosi mu panna Castelli; panie zaś doskonale wiedzą, co on przynosi, nawet pod względem światowym.

— Ach, to pan, widzę, nie słyszał, że Castellowie pochodzą od Marino Falieri...

— Właśnie pani, żem nie słyszał, ani ja, ani nikt inny. Przypuśćmy, że dla mnie i dla pani takie względy nie mają znaczenia, skoro jednak pani pierwsza wspomniała, że, biorąc po światowemu, panna Lineta robi wielką ofiarę — ośmielę się temu zaprzeczyć i powiedzieć, że, nie mówiąc już o talencie Zawilowskiego i jego stanowisku — partye są równe.

Z jego tonu i twarzy widać było, że jeśli pani

Broniczowa nie poprzestanie na tem, co powiedział, to gotów mówić jeszcze otwarciej; ale pani Broniczowa, mając widocznie niejedną strzałę w swoim kołczanie, chwyciła rękę Połanieckiego i wstrząsając nią silnie, zawołała:

— Ach, jaki pan poczciwy, że pan tak gorąco ujmuje się za Ignasiem, i jak ja pana za to kocham! Ale przeciw mnie nie trzeba go bronić, bo i ja jego pokochałam, jak własnego syna. Kogóż ja mam na świecie, jeśli nie tych dwoje, i jeśli wypytuję, czy pan czego nie wie o jakim rozporządzeniu pana Zawilowskiego, to jedynie przez miłość dla Ignasia. Wiem, że starzy ludzie lubią odkładać i odkładać, tak jakby przez to i śmierć dała się odłożyć. Ach, panie, śmierć nie da się odłożyć!... nie! nie! Ale Helence nic po tych wszystkich milionach, a Ignas... mógłby dopiero prawdziwie rozwinąć skrzydła... Mnie i Niteczce chodzi przedewszystkiem o jego talent. Ale gdyby przyszło co do czego...

— Cóż ja pani mogę powiedzieć — odrzekł Połaniecki. — Że pan Zawilowski myślał o Ignasiu, to dla mnie rzecz niewątpliwa i powiem pani dlaczego. Z jakie dziesięć dni temu kazał przynieść jakieś stare bronie, żeby mi je pokazać, przyczem zwrócił się do córki i słyszałem, jak do niej mówił tak: „Tego nie warto w testamentie wyliczać, ale po mojej śmierci oddaj to Ignasiowi, bo tobie nic po tem“. Z tego wnoszę, że albo już był zrobił jakiś zapis dla Ignasia, albo o nim myślał. Więcej nic nie wiem — bom go o nic nie pytał. Jeśli jakiś nowy testament jest, to za parę dni będzie wiadomo, a panna Helena z pewnością go nie ukryje...

— Czy pan zna dobrze tę poczciwą Helenkę? Ale tak! tak! Pan jej nie zna tak, jak ja — a ja za nią mogę ręczyć. Niech pan jej nigdy przy mnie nie podejrzewa! Helenka miałaby ukrywać testament? — nigdy, mój panie!

— Zechciej pani łaskawie nie przypisywać mi myśli, których nie miałem i przed którymi się zastrzegam. Testamentu w żadnym razie nie można ukryć, bo się go robi przy świadkach.

— A widzi pan, że tego nawet nie można ukryć, bo się to robi przy świadkach. Byłam pewna, że tego nie można ukryć. Zresztą pan Zawilowski tak kochał Niteczkę, że choćby przez wzgląd na nią, nie mógł zapomnieć o Ignasiu. On ją na rękę nosił, jeszcze jak była taka, ot...

Tu pani Broniczowa umieściła jedną dłoń powyżej drugiej, by w ten sposób dać Połanieckiemu pojęcie, jaką mogła być wówczas Niteczka, po chwili jednak rzekła:

— A może nawet i nie była taka!

Poczem wrócili do reszty towarzystwa, które skończywszy oglądać ogród, zabierało się do śniadania. Połaniecki, patrząc na wdzięczną twarz panny Castelli, pomyślał, że wówczas, gdy stary pan Zawilowski nosił ją na rękę, mogła być istotnie ślicznem i miłym dzieckiem. Nagle przypomniała mu się Litka, którą on także na rękę nosił i zapytał:

— Więc to pani tak dawna znajoma nieboszczyka?

— O tak! — odpowiedziała panna Niteczka. — Bę-

dzie temu ze cztery... lata... Ciociu, jak to dawno poznaliśmy pana Zawilowskiego?

— O czym ta zakochana główka myśli! — zawołała pani Broniczowa. — Ach, mój dobry panie! Co to za szczęśliwy wiek i co za szczęśliwa epoka!

Tymczasem Świrski, siedząc przy panie Ratkowskiej, czuł, że nie tak łatwo będzie mu wywiązać się z obietnicy danej Maryni, jak się zdawało. Przeszkadzali mu świadkowie, a jeszcze bardziej jakaś niespokojność koło serca, w połączeniu z utratą zwykłej przytomności i swobody. „Pomyśleć — mówił sobie — że ja jestem większy tchórz, niż przypuszczałem!“ I nie szło mu. Chciał przynajmniej przygotować grunt, a mówił o czym innym, niż sobie życzył. Zauważył teraz, że panna Ratkowska ma ładną szyję, z perłowymi tonami koło uszu, i bardzo ładny dźwięk głosu — lecz zauważył z pewnem zdziwieniem, że to onieśmiela go jeszcze bardziej. Po śniadaniu, całe towarzystwo trzymało się, jakby naprzekór, razem. Panie były pomęczone pogrzebem, a gdy w godzinę później pani Aneta oświadczyła, że trzeba wracać, doznał razem uczucia przykrości i ulgi. „Nie moja wina (pomyślał), ja miałem stanowczy zamiar“.

Lecz gdy panie były już na wsiadanem, uczucie ulgi zmieniło się w nim w żal nad samym sobą. Pomyślał o swej samotności, o tem, że nie ma komu oddać ani sławy, ani dostatku; pomyślał o swoim współczuciu dla panny Ratkowskiej, o ufności, jaką w nim budziła, o szczerej sympatii, którą od pierwszego wejrzenia dla niej powziął — i w ostatniej chwili zdobył się na odwagę.

Podawszy więc panience ramię do powozu, rzekł:

— Prosił mnie pan Józef, żebym znów wpadł kiedy do Przytułowa — i dobrze! Wpadnę, ale z paletą i pędzlami. Ja tak chciałbym mieć pani głowę!...

I uciał, szukając w jaki sposób przejść od tego, co powiedział, do tego, o co mu chodziło, a zarazem czując, że trzeba się ogromnie spieszyć, bo niema czasu. Lecz panna Ratkowska, widocznie nieprzyzwyczajona, by ktoś się nią zajmował, spytała z nieudanem zdziwieniem:

— Moją?

Na to Świrski rzekł prędko, nieco przyciszonym głosem:

— Niech mi pani pozwoli być echem i powtórzyć ten wyraz.

Panna Ratkowska spojrzała na niego, jakby nie rozumiejąc o co chodzi, ale w tej chwili pani Aneta zawołała ją do powozu, tak, że Świrski miał zaledwie czas ścisnąć jej rękę i rzec:

— Do widzenia.

Powóz ruszył. Rozpięte parasolki wnet przysłoniły twarz panny Ratkowskiej, malarz powiódł wzrokiem za odjeżdżającymi i wreszcie zadał sobie samemu pytanie:

— Czym ja się oświadczył, czy nie?

Był jednak pewny, że panna Ratkowska będzie teraz myśleć przez całą drogę o tem, co jej powiedział. Mówił sobie również, że znalazł się zręcznie i że dobrze skorzystał z jej pytania; pod tym względem był z siebie zadowolony, ale jednocześnie dziwił się, że nie doznaje ani wielkiej radości, ani niepokoju, i że ma jakieś głuche poczucie, jakby w tem wszystkim czegoś brakło.

Zdawało mu się, że, jak na chwilę tak doniosłą,

jest za mało wzruszony. I w zamyśleniu zawrócił od bramy ku domowi. Pani Połanieckiej, która widziała z daleka pożegnanie, uszki czerwieniły się z ciekawości, pomimo jednak, że męża nie było w tej chwili w pokoju, nie śmiała pierwsza pytać, lecz za to Świrski w oczach jej wyczytał tak wyraźnie pytanie: „czy się pan oświadczył?“ że uśmiechnął się i odrzekł, tak jakby je zadała:

— Tak pani!... prawie. Niezupełnie... Nie było sposobności do obszerniejszej rozmowy, więc nie mogłem mieć odpowiedzi; nie wiem nawet, czy zostałem rozumiany.

Marynia, nie widząc w nim tego ożywienia, z jakim mówił z nią przedtem, i przypisując to niepokoju, chciała mu dodać otuchy, lecz przeszkodziło jej wejście Połanieckiego. Świrski też począł się zaraz żegnać, ale, pragnąc widocznie zaspokoić dokładniej przed wyjazdem jej ciekawość, rzekł, nie zważając na obecność Połanieckiego:

— W każdym razie jutro będę w Przytułowie, albo napiszę list: mam nadzieję, że odpowiedź będzie pomyślna.

Poczem ucałował z wielką przyjaźnią jej rękę i po chwili znalazł się sam w swojej dorożce, pogrążony w kłębach płowej kurzawy i we własnych myślach.

Jako malarz, tak był przyzwyczajony do chwytania po malarsku rozmaitych nasuwających się oczom szczegółów, że czynił to nawet i teraz, ale mimowoli, bez należytego uświadomienia, jakby tylko powierzchwnią mózgu. W głębi zaś zastanawiał się nad wszystkim, co zaszło.

— Co u diabła, Świrsiu! — mówił sobie. — Co się

z tobą dzieje? Czyś się nie rozpędzał dwadzieścia pięć lat, żeby przeskoczyć ten rów? Czy nie stało się to, do czego piałeś jeszcze dziś rano? Gdzie twój impet? Gdzie twoja radość? Czemu nie krzyczysz: nareszcie! Żenisz się! — rozumiesz, stary dziku? Nareszcie! nareszcie!

Ale było to próżne podniecanie się. Człowiek wewnętrzny pozostał chłodny: rozumiał, że to, co go spotkało, powinno być szczęściem, ale tego nie odczuwał.

Poczęło go ogarniać coraz większe zdziwienie. Postąpił, zdaje się, z wszelką świadomością i wolą. Nie był dzieckiem, ani lekkoduchem, ani historykiem, który sam nie wie, czego chce. Wyrozumowawszy raz, że tak będzie dobrze — nie zmienił zdania. Panna Ratkowska była przecie zawsze tą samą słodką, „zaciszoną“, bardzo pewną istotą — czemuż myśl, że ona zostanie tem jego upragnionem od dawna „kobieciątkiem“, nie rozgrzewała go silniej? Dlaczego nadzieja, zmieniona już niemal w pewność, nie zmieniała się zarazem w radość, a na dnie duszy zostało mu poczucie jakby jakiegoś zawodu?

— To, co jej powiedziałem — pomyślał — mogło być zgręczne, ale było suche. Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli to nie było suche, a przytem i niezupełne. Po prostu nie mam jeszcze pewności i nie odczuwam rzeczy, jakby już spełnionej.

Tu wrażenia malarskie przerwały mu wątek myśli. Owce, rozproszone na przyległej pochyłej łące, przesłonięte oddaleniem i zarazem skąpane w słońcu, wydawały się na zielonem tle, jak jasne plamy, z odcieniem mocno błękitnym, obramowane złotem.

— Te owce są niebieskie; impresyoniści mają tro-

chę racyi — mruknął Świrski — ale niech ich dyabli porwą! Ja żenię się!

I wrócił do swoich rozmyślań. Tak!... Skutek nie odpowiedział nadziei i oczekiwaniom. Bywają różne myśli, których człowiek nie chce sobie wypowiedzieć, ale bywają i poczucia, których nie chce zmienić w wyraźne myśli. Tak było ze Świrskim. Nie kochał panny Ratkowskiej — i oto była gotowa, prosta odpowiedź na wszystkie pytania, które sobie zadawał. Ale on ją omijał, póki mógł. Nie chciał przyznać, że bierze tę dziewczynę tylko dlatego, że ma ogromną ochotę się żenić. Pragnął wytłumaczyć sobie, że nie odczuwa rzeczy, jako już spełnionej, co było wykrętem. Nie kochał! Inni przez kobietę dochodzili do miłości, on zaś do swojej ogólnej, wewnętrznej potrzeby kochania chciał dostosować kobietę, to jest, poszedł drogą wprost od zwykłej odmienną. Inni, mając bóstwo, budowali dla niego kościół, on, mając gotowy kościół, wprowadzał sobie do niego bóstwo, nie dlatego, że je poprzednio z całej mocy uwielbił, ale że mu się wydało niezłe do architektury świątyni dopasowaniem. I teraz zrozumiał, czemu jeszcze dziś rano okazywał tyle zapału i stanowczości, a teraz pozostał taki chłodny. Tem tłumaczył się i ów ogromny impet w przeprowadzeniu zamiaru, i ów brak duchowego „alleluja.“ po jego przeprowadzeniu.

Zdziwienie Świrskiego poczęło przechodzić w smutek. Pomyślał, że byłby może lepiej zrobił, gdyby, zamiast tyle rozmyślać o kobiecie, zamiast tworzyć teorie, jaką kobieta być winna, złapał za pierwszą lepszą dziewczynę, któraby mu przypadła do serca i zmysłów. Teraz pojął,

że kocha się tę kobietę, którą się kocha i nie dopasowywa się do niej żadnych z góry powziętych pojęć o miłości, bo te pojęcia — jak dzieci — dopiero z kobiety mogą się rodzić. Wszystko to było mu tem dotkliwsze, że jednak czuł, iż mógłby ogromnie kochać i uświadamiał coraz dokładniej, że nie kocha, jakby mógł. Przypomniawszy sobie, co mu w swoim czasie opowiadał jeszcze w Rzymie Połaniecki o jakimś młodym lekarzu, który podeptany przez jakąś bezmyślną lalkę, mówił: „Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę duszy od niej oderwać“ — Oto była miłość moena jak śmierć — oto ten kochał!... Nie wiadomo, dlaczego naraz przyszła Świrskiemu na myśl panna Castelli i Zawilowski? Przypomniawszy sobie również jego zapatrzoną i jakby wniebowziętą twarz, którą widywał w Przytułowie.

I znów zbudził się w nim artysta, który wskutek całych lat nawyknienia, podstawił się w człowieka nawet wówczas, gdy człowiek myślał o rzeczach najbardziej osobistych. Na chwilę zapomniał o sobie, o panie Ratkowskiej, a począł myśleć o twarzy Zawilowskiego i o tem, co właściwie stanowiło najistotniejszy jej wyraz? Jakaś skupiona egzaltacja? — tak! — ale było i coś innego — coś jeszcze istotniejszego.

I nagle drgnął:

— Dziwna rzecz — pomyślał — to jest głowa tragiczna!

XII.

W kilka dni później Zawilowski, wezwany przez Połanieckiego, pojechał do miasta. Młodemu człowiekowi bardzo nie chciało się opuszczać Przytułowa, ale panna Helena życzyła sobie, by koniecznie był obecny przy otwarciu testamentu ojca. Obaj z Połanieckim i z prawnikiem starego pana Zawilowskiego, adwokatem Kononowiczem, udali się w tym celu do Jaśmienia. Gdy jednak przez dwa następne dni, w listach do „Niteczki“, Zawilowski wylewał tylko swoje uczucia na papier, nie czynił zaś najmniejszej wzmianki o testamencie, pani Broniczowa, którą przedtem wprowadzały w zachwyt te wylewy, wyznała teraz pod sekretem pani Anecie, że po pierwsze: jest to głupi sposób pisywania do narzeczonej, a powtóre, że jest „quelque chose de louche“ w takim, jakby umyślnem, milczeniu. Wprawdzie, pierwszy z tych listów pisany był z miasta, drugi natychmiast po przyjeździe do Jaśmienia; stara dama twierdziła jednak, że w każdym razie Zawilowski powinien był w nich wspomnieć przynajmniej o swoich nadziejach, milcząc bowiem, okazywał „Niteczce“ brak zaufania i po prostu ją obrażał.

Osnowski twierdził przeciwnie, że Zawilowski zamilczał o swych nadziejach przez delikatność względem panny Linety i z tego powodu przyszło do małej sprzeczki między nim a panią Broniczową, która przy tej sposobności wygłosiła pewnik psychologiczny, że mężczyźni wogóle mają nader słabe pojęcie o dwóch rzeczach, mianowicie: o logice i delikatności. „Och, tak! -- i o logice! może nie wasza wina, że tacy jesteście, ale tacy jesteście, mój Józiu, wszyscy!“ Nie mogąc jednak usiedzieć na miejscu. po dwóch dniach, pod pierwszym lepszym pozorem, wyjechała do miasta, aby zasięgnąć w sprawie testamentu języka.

Wróciwszy nazajutrz, przywozła ze sobą naprzód panią Maszkową, z którą spotkała się na przytułowskiej stacyi, a która chciała już od dawna „tę kochaną Anetkę“ odwiedzić, a powtóre, wiadomość, że nie znaleziono żadnego nowego testamentu pana Zawilowskiego i że jedyną i wyłączną spadkobierczynią ogromnego majątku została panna Helena Zawilowska. Wiadomość znaną już była w Przytułowie z trzeciego listu pana Ignasia, który przez ten czas odebrała panna Lineta, niemniej jednak potwierdzenie jej przez panią Broniczową sprawiło nadzwyczajne wrażenie, tak, iż przyjazd pani Maszkowej przeszedł, jak niepostrzeżony. Było to wszystko ogromnie dziwne. Zawilowskiego poznały te panie, jako człowieka bez majątku. Panna Lineta została jego narzeczoną wówczas, gdy nie było jeszcze żadnych wido-ków na testament. Stało się to naprzód pod wpływem pani Anety, która „palila pod kotłami, tak, iż trzeba było jechać i jechać prędko;“ stało się tak pod wpły-

wem ogólnego zapału, jaki wzbudziły poezye Zawilowskiego, pod wpływem jego sławy; przez miłość własną panny Linety i pani Broniczowej, która to miłość własna czuła się nietylko zadowoloną, ale porwaną tem, że ów sławny i rozgłośny Zawilowski, zwracający na siebie wszystkie oczy, klęknął u nóg, nie żadnej innej — tylko „Niteczki“. Stało się wreszcie dla opinii ludzkiej, która mogła tylko wysławić pannę, szukającą nie majątku, ale takich bogactw, jakie posiadał Zawilowski. Prawda, że rozpoczynszy się w ten sposób, wszystko poszło dalej także i siłą tego życiowego pędu, który, raz porwawszy ludzi, niesie ich tak, jak fale rzek niosą porwane przez się przedmioty — mimo ich woli. Bądźco bądź, jednak panna Castelli została narzeczoną człowieka bez majątku — i gdyby nie owe nadzieje, które otworzyły się później, ani ona sama, ani pani Broniczowa, ani nikt inny nie mógłby brać i nie brałby Zawilowskiemu za złe braku dziedzicznej fortuny. Ale taka jest natura ludzka, iż właśnie dlatego, że te nadzieje powstały i, powstawszy, uczyniły z Zawilowskiego nadomiar wszystkiego znakomitą partyę — teraz, gdy rozwiał je wiatr rzeczywistości, nikt nie mógł oprzeć się poczuciu pewnego zawodu. Jedni martwili się tem szczerze, drudzy, jak Kopowski i pani Maszkowa (która sama nie wiedziała dlaczego), czuli pewne zadowolenie z takiego obrotu rzeczy, ale poczuciu pewnego zawodu nie mógł się oprzeć nawet tak serdeczny przyjaciel Zawilowskiego, jak Osnowski.

Zawilowski, w ostatnim liście do panny Linety, pisał między innymi: „Chciałbym być jak najbogatszy — dla ciebie, ale co mi tam to wszystko znaczy wobec ciebie.

Szczerze ci mówię, żem przestał o tem myśleć, a wiem, że ty, która nie chodzisz po ziemi, mogłabyś się zmartwić tem tylko o tyle, o ile jabym się zmartwił. A ja nie! jak ciebie Kocham! To wielkie zakłęcie, ogromnie dla mnie święte, więc powinnaś mi wierzyć. Ludziom grożą w życiu rozmaite braki i niedostatki, ale ja ci po prostu mówię, że cię nie dam żadnemu. Moja ty złota! moja jedyna dziecino i pani — i t. d. Panna „Niteczka“ pokazała ten list pani Anecie, pannie Ratkowskiej, a po przyjeździe cioci — oczywiście i cioci. Jakoż Zawilowski nie mylił się co do niej, przynajmniej pod tym względem, że gdy w całym Przytułowie nie było mowy o czem innem, jak tylko o testamencie starego pana Zawilowskiego, panna Lineta wśród tych rozmów milczała. Może tylko oczy jej przybrały do pewnego stopnia dawniejszy senny wyraz, może przy samych kącikach jej ust, gdy mówiono o Zawilowskim, zbierało się coś naksztalt małej pogardliwej fałdki, może wreszcie rozmawiała wieczorami bardzo obszernie z „ciocią“, gdy po ogólnem dobranoc odchodziły do siebie; nigdy jednak, prawdziwie jak istota, która „nie chodzi po ziemi“, nie zabrała głosu w tej sprawie przy ludziach.

„Koposio“ raz w chwili, gdy na minutę zostawiono ich sam na sam, począł z nią o tem mówić, ale ona naprzód położyła paluszek na własnych ustach, a potem odwróciła go z daleka ku jego ustom, na znak, że sobie tego nie życzy. Co więcej, nawet pani Broniczowa odzywała się przy niej o swoich zawodach mało i ostrożnie. Natomiast, gdy jej nie było w pokoju, nie mogła zatamować przyływu do ust nagromadzonej w sercu goryczy,

który to przyплыw uniósł ją kilkakrotnie tak dalece, że o mało nie pokłócili się z Osnowskim.

Osnowski bowiem, wyrzucając sobie w duchu owo poczucie zawodu, od którego i on nie mógł się obronić, starał się teraz wszelkimi siłami zmniejszyć znaczenie katastrofy i dowieść, że Ignas jest wogóle wyjątkową partyą, a nawet i pod względem finansowym wcale niezłą.

— Nie myślę — mówił — że byłby przestał pisać, odziedziczywszy po starym panu Zawilowskim, ale sama administracya tak ogromnego majątku byłaby mu zajęła tyle czasu, że jego talent mógłby na tem ucierpieć. Jak chodzi o Ignasia, to, widzi ciocia, mimowoli przypomina się, co Henryk VIII powiedział, gdy któryś z książąt zagroził Holbeinowi: „Z dziesięciu chłopów zrobię, gdy mi przyjdzie fantazyja, dziesięciu lordów, ale z dziesięciu lordów nie zrobię jednego Holbeina“. Ignas jest wyjątkowy człowiek. Niech mi ciocia wierzy, że zawsze uważał Niteczkę za urocze i pocziwe dziecko i zawszem ją lubił, ale prawdziwie dopiero urosła w moich oczach od czasu, jak potrafiła się poznać na Ignasiu... Być czemś w życiu takiego człowieka, to przecie jest zadanie, którego każda kobieta mogłaby jej pozazdrościć. Prawda Anetko?

— Naturalnie — odrzekła pani Osnowska — że kobiecie jest przyjemniej, gdy należy do człowieka, który jest czemś.

Osnowski zaś odrzekł, wpół śmiejąc się, wpół poważnie:

— A myślisz, że mnie to nieraz nie trapi, że taka istota, jak ty, należy do takiego zera, jak pan Józef

Osnowski. Ale trudna rada! stało się! A przytem to zero bardzo kocha...

Poczem zwrócił się do pani Broniczowej:

— Niech też ciocia pomyśli — rzekł — że Ignas ma kilkanaście tysięcy rubli swoich, a przytem po śmierci ojca weźmie to, co mu stary pan Zawilowski zapewnił. Biedny on nie będzie...

Pani Broniczowa ruszyła pogardliwie głową:

— Ach, naturalnie — odrzekła. — Niteczka, zgrodziwszy się na pana Zawilowskiego, nie szukała przecie pieniędzy, bo, gdyby była szukała pieniędzy, dość nam było ręką kiwnąć na pana Kanafaropulosa...

— Ciociu! litości! — zawołała, śmiejąc się, pani Aneta.

— A więc nic się nie stało — rzekł Osnowski. — Panna Helena z pewnością za mąż nie pójdzie, więc i tak majątek kiedyś przejdzie, jeśli nie na Ignasia, to na jego dzieci — ot i cała rzecz!

Widząc jednak pogiębioną ciągle twarz pani Broniczowej, po chwili dodał:

— No, ciociu! więcej zgody na wolę Boską! więcej pogody! Ignas ani na cal nie mniejszy!...

— Ach, naturalnie — odrzekła z odcieniem złego humoru. — Naturalnie, że to wszystko nic nie zmieni. Zawilowski swoją drogą ma talent, a swoją drogą, każdy musi przyznać, że robi partyę nad swoje spodziewanie. O tak! o tem nie może być dwóch zdań. Naturalnie, że mniejsza o ten majątek, tem bardziej, że ludzie różnie mówią o sposobach, jakimi go pan Zawilowski tak bardzo powiększył. Niech mu tam Bóg będzie łaskaw i niech

mu przebaczy, że mnie zwiódł, nie wiadomo dlaczego... Jeszcze dziś modliłyśmy się z Niteczką za niego... Trudna rada!... Naturalnie wolałabym, żeby nie miał tej skłonności do mówienia nieprawdy, bo to może być familijne; wolałybyśmy także obie z Niteczką, żeby pan Ignacy mniej był dawał do zrozumienia, że zostanie spadkobiercą pana Zawilowskiego...

— Przepraszam najmocniej!—przerwał żywo Osnowski — nigdy nie dawał!... Pozwoli ciocia! to już nadto! Nie chciał tam iść, ciocia go sama przy mnie wyprawiała.

Lecz pani Broniczowa była już w biegu i nic jej nie mogło zatrzymać, więc odrzekła ze wzrastającym rozdrażnieniem:

— To Józiowi nie dawał, a mnie dawał. Niteczka może zaświadczyć. Powiedziałam zresztą Józiowi, że mniej-sza z tem. Naturalnie, że nic się nie zmieni, i jeżeli mam trochę zmartwienia, to bynajmniej nie z tego powodu. Józio nie był nigdy matką i, jako mężczyzna, nie potrafi zrozumieć, ilu my, matki, doznajemy obaw w ostatnich chwilach przed oddaniem dziecka w obce ręce. Dowiedziałam się dopiero teraz oto, że Zawilowski, przy wszystkich swych przymiotach, ma gwałtowny charakter... I ma! Ja go zawsze o coś podobnego podejrzewałam... A jeśli tak jest, to byłaby to wprost śmierć dla Niteczki... Sam pan Połaniecki nie zaprzeczył, że on ma gwałtowny charakter... Sam Połaniecki, niby jego przyjaciel (o ile mężczyźni zdolni są do przyjaźni) dał do zrozumienia, że ojciec jego miał także gwałtowny charakter i że wskutek tego dostał pomieszania zmysłów, które może być dziedziczne. Wiem, że pan Ignacy niby Niteczkę kocha (o ile

mężczyźni zdolni są naprawdę kogoś kochać), ale czy to na długo będzie tej miłości? Że on jest trochę egoista — temu sam Józio nie zaprzeczy (zresztą, wy wszyscy jesteście egoiści); więc niechże Józio nie dziwi się, że mnie w ostatnich chwilach strach bierze, gdy pomyślę, że moja dziecinka może się dostać w ręce okrutnika, waryata i egoisty...

— Nie! — zawołał Osnowski, zwracając się do żony — jak ciebie kocham, tak po prostu uszy więdną! Po prostu można głowę stracić!

Lecz pani Aneta zdawała się bawić tą rozmową, jak w teatrze. Sprzeczki pani Broniczowej z mężem bawiły ją zawsze, teraz zaś zanosilo się na większą, niż zwykle, albowiem pani Broniczowa, spojrzawszy na Osnowskiego, jakby z politowaniem, mówiła dalej:

— Przytem ta sfera!... Ci wszyscy Świrscy, Połanieccy, Bigiele! Wszyscyśmy byli i jesteśmy zaślepieni w Zawilowskim, ale, prawdę mówiąc, czy to sfera odpowiednia dla Niteczki?... To trudno! różnice między ludźmi sam Pan Bóg postanowił i stąd płyną różnice w wychowaniu. Józio może nie zdaje sobie dokładnie z tego sprawy, (bo wogóle mężczyźni z takich rzeczy nie umieją sobie zdać sprawy), ale ja Józiovi powiem, że są odcienia i odcienia, które w życiu mogą ogromnie dużo stanowić. Józio chyba zapomniał, kto jest Niteczka, i że jeśli taką Niteczkę raz coś zaboli, coś zrazi, to może to życiem przypłacić. Niech Józio pomyśli, kto są, między nami mówiąc, tacy Połanieccy, taki Świrski i cała ta kompania, z którą żyje Zawilowski i z którą będzie może zmuszał żyć Niteczkę!

— A! z tego stanowiska rzecz bierzemy? — przerwał Osnowski. — Dobrze! Niech będzie z tego! Przedewszystkiem tedy, kto był stary pan Zawilowski, to ciocia wie dobrze, choćby ze względu na swój własny do niego stosunek. Jeśli ciocia chodzi o sferę, to mam zaszczyt powiedzieć, że my wszyscy, w stosunku do takich Połanieckich, jesteśmy parweniuszami, i że to my poufalimy się z nimi. Ja się nigdy w żadne rodowody nie wdaję, ale skoro ciocia ich chce, to niechże je ciocia ma. O Świrskich musiała ciocia słyszeć, że są kniaziami. Ta linia, która przeniosła się do Wielkopolski, porzuciła tytuł, ale prawo do niego posiada. Oto, czem są oni. A co do nas, mój dziad był plenipotentem na Ukrainie i tego nie myślę się wypierać, skąd zaś wyrosli Broniczowie, ciocia wie lepiej odemnie. Ja nie poruszałem tej materyi, ale ponieważ jesteśmy sami, więc możemy mówić otwarcie. O Castellich także ciocia wie.

— Castellowie pochodzą od Marino Falieri!... — zawołała z uniesieniem pani Broniczowa.

— Kochana ciociu! przypominam, że jesteśmy sami.

— Ale od Niteczki tylko zależało zostać margrabiną Colimação.

— „La vie parisienne!“ — odpowiedział Osnowski. — Zna ciocia tę operetkę? Jest w niej także admirał szwajcarski.

Pani Aneta bawiła się doskonale, Osnowskiemu jednak uczyniło się nagle przykro, że we własnym domu poruszył niemiłe dla pani Broniczowej wspomnienia, więc dodał:

— Ale na co to wszystko? Ciocia przecie wie, jak ja Niteczkę zawsze kochałem i jak z duszy serca chciałbym, żeby się okazała godną Ignasia.

Lecz było to tylko dolaniem oliwy do ognia, pani Broniczowa bowiem, usłyszawszy bluźnierstwo, straciła do reszty zimną krew i zawołała z nowym wybuchem:

— Niteczka?... żeby się okazała godną Ignasia?... takiego...

Na szczęście, wejście pani Maszkowej przerwało dalszą rozmowę. Ciocia Broniczowa umilkła, jak gdyby oburzenie uwięziło jej słowa w ustach, pani Aneta zaś poczęła zaraz wypytywać panią Maszkową, co się dzieje z resztą towarzystwa i gdzie ich zostawiła.

— Pan Kopowski, Niteczka i Stefcia zostali w oranżeryi — odpowiedziała pani Maszkowa — one obie rysują storczyki, a pan Kopowski nas bawił.

— Czem? — spytał Osnowski.

— Rozmową... i uśmiealiśmy się serdecznie. Opowiadał nam, że jego znajomy, pan Wyż, który podobno jest wielkim heraldykiem, zaręczał mu zupełnie poważnie, że jedna rodzina w Polsce jest herbu „Stołowe nogi.“

— Czy jedna?... — mruknął wesoło Osnowski — rodzina Kopowskich z pewnością!

— A Stefcia została także w oranżeryi? — zapytała pani Aneta.

— Tak. Razem rysują.

— Chcesz iść do nich?

— Dobrze.

Lecz w tej chwili służący przyniósł listy, które

pan Osnowski, odebrawszy od niego, przeglądał i oddawał. „Dla Anetki, dla Anetki! — mówił — ta mała literatka ma zawsze ogromną korespondencyę... Dla pani (dodał, zwracając się do pani Maszkowej), dla cioci... a to do Stefci... Znajomy jakiś charakter... całkiem znajomy... Panie pozwolą, że jej odniosę ten list.“

— Owszem, idź tam — rzekła żywo pani Aneta — My tymczasem przeczytamy nasze.

Osnowski wziął list i poszedł w stronę cieplarni, przypatrując mu się i powtarzając przez drogę:

— Skądś znam ten charakter... to jakby... Wiem, że już widział to pismo!

W cieplarni znalazł troje młodych ludzi, siedzących pod wielkim arumem, przy żelaznym żółtym stoliku, na którym stał storczyk. Obie panny przerysowywały go w malarskich albumach. Kopowski zaś, nieco za nimi, przybrany we flanelowy biały kostyum i czarne pończochy, zaglądał przez ramiona pańienek do albumów, paląc przytem cieniutkiego papierosa, którego przed chwilą wydobyl z wykwintnej, leżącej koło doniczki, papierosnicy.

— Dzień dobry! — rzekł Osnowski. — Cóż moje storczyki? Pyszne, prawda? Co to za osobliwe kwiaty! Stefciu, jest tu do ciebie list... Przeprós tych państwa i przeczytaj, bo mi się zdaje, że znam charakter, a nie mogę sobie żadną miarą przypomnieć, czyjby mógł być.

Panna Ratkowska otworzyła list i poczęła czytać. Po chwili zmieniła się na twarzy, po czole jej przeszedł płomień, potem bladeść i znów płomień. Osnowski patrzył na nią z zaciekawieniem, ona zaś, skończywszy

czytać, pokazała mu podpis i rzekła trochę drżącym głosem:

— Oto od kogo list...

— A!... — rzekł Osnowski, który nagle wszystko zrozumiał.

— Czy mogę cię prosić o chwilę rozmowy?

— Natychmiast, moje dziecko — odrzekł jakby z pewnem rozrzewnieniem Osnowski. — Służę ci.

I wyszli z cieplarni.

— A nas to przecie zostawili choć raz samych! — ozwał się naiwnie Kopowski.

Panna Lineta nie odpowiedziała nic, tylko wzięwszy leżącą na stole irchową papierośnicę Kopowskiego, poczęła się nią gładzić zlekka po twarzy. On zaś patrzył na tę piękną twarz swemi cudnemi oczyma, pod którymi po prostu tajała... Panna Lineta wiedziała od dawna, co o nim sądzić, jego bezgraniczna głupota nie miała już dla niej tajemnic, a jednak wykwintność i niezrównana uroda tego głuptaka wprawiała w jakiś niezwykły ruch jej nawpół włoską krew. Każdy włos w jego brodzie miał dla niej jakiś dziwny i nieprzeparty urok.

— Bo czy pani uważa, że nas, to od jakiegoś czasu tak doglądają, jak nie wiem kogo? — mówił dalej Kopowski.

A ona, udając, że nie słyszy, ciągle gładziła papierośnicą swoją delikatną twarz, i zbliżając ją coraz bardziej ku ustom, rzekła:

— Jaka ta ircha przyjemna w dotknięciu! Niech pan zobaczy, jakie to przyjemne...

Kopowski wziął papierośnicę, ale przyłożył ją do

ust i począł całować zlekka miejsce, które przed chwilą dotykało twarzy Linety.

Wówczas nastąpiło między nimi milczenie.

— Musimy stąd odejść — rzekła panna Castelli.

I wzięwszy doniczkę ze storczykiem, chciała ją założyć na ciepłarniane schodki, czego jednak, z powodu ich pochyłości, nie mogła uczynić.

— Niech pani pozwoli — rzekł Kopowski.

— Nie, nie! — odpowiedziała — upadnie i rozbije się. Założę z drugiej strony.

I to rzekłszy, z doniczką w ręku obeszła schodki i udała się na drugą ich stronę, gdzie między niemi a ścianą był wązki korytarzyk. Kopowski udał się za nią.

Tam, wstąpiwszy na kupkę cegieł, założyła doniczkę na najwyższy schodek, lecz w chwili, gdy chciała zejść, cegły poruszyły się pod jej stopami, tak, iż poczęła się chwiać. W tej również chwili, stojący za nią Kopowski chwycił ją wpół.

— Co pan robi... to źle! — poczęła szeptać z falującą pierśią, oblewając go gorącym oddechem.

On zaś, zamiast odpowiedzieć, wpił wąsy w jej usta. Nagle ramiona jej objęły namiętym ruchem jego ramię i bez tchu poczęła mu zapamiętałe oddawać polunki.

I w uniesieniu nie spostrzegli oboje, że Osnowski, ciwszy przez otwarte drzwi ciepłarni, przeszedł po kim piasku na schodki i patrzył na nich z twarzą białą i bladą ze wzruszenia, jak płótno.

XIII.

Zawiłowski bawił tymczasem między Warszawą a Buczynkiem, przejeżdżając codziennie i bawiąc po kilka godzin to tu, to tam, w miarę, jak nakazywały mu jego sprawy i zajęcia. Ponieważ ślub jego miał nastąpić jesienią, zaraz po powrocie ze Scheveningen — Połaniecki powiedział mu, że czas już wyszukać mieszkanie i urządzić je choć jako tako. Obaj z Bigielem obiecali w tej sprawie wszelką pomoc, pani Bigielowa zaś miała się zająć gospodarską częścią urzędzenia. W Buczynku obecność Zawiłowskiego była również potrzebna ze względu na stosunki z panną Heleną. Ta, jakkolwiek datowany z przed roku testament ojca uczynił ją jedyną spadkobierczynią całego ogromnego majątku, nie ukrywała bynajmniej, iż wie, że ojciec nie zrobił innego testamentu tylko dlatego, że, albo nie przewidywał tak prędkiej śmierci, albo, zwyczajem starych ludzi, z dnia na dzień odkładał. Nie miała jednak najmniejszej wątpliwości, iż ojciec chciał coś uczynić dla imiennika i krewnego — i mówiła otwarcie, że poczytuje sobie za obowiązek sumienia spełnić ojcowską wolę. Nikt nie umiał wprowadzić

przewidzieć, w jakiej mierze postanawia to uczynić, i jej samej, przed spisaniem dokładnego inwentarza wszystkich majątków i kapitałów, trudnoby było na podobne pytanie odpowiedzieć; tymczasem jednak poczęła obdarzać Zawilowskiego tem wszystkim, co, wedle jej mniemania, powinni byli męscy spadkobiercy dziedziczyć. W ten sposób oddała mu część kredensu po nieboszczyku, znaczny i cenny zbiór broni, w której zmarły się kochał, zbytkowne, umiłowane przez staruszka konie, które Połaniecki wziął w komis — i następnie ową kolekcję fajek, o której losy tak w swoim czasie troszczył się Kopowski.

Zimna i pozornie obojętna dla wszystkich, onieśmielająca ludzi surowym i skupionym wyrazem twarzy, miała dla jednego tylko Zawilowskiego jakieś matczyne niemal odcienie w głosie i spojrzeniu, jakby razem z majątkiem odziedziczyła po starym ojcu i przychylność dla młodego człowieka. Jakoż i rzeczywiście był on jedyną na świecie istotą, z którą łączyły ją pewne węzły krwi, a przynajmniej tożsamość nazwiska. Dowiedziawszy się od Połanieckich o zachodach Zawilowskiego co do urządzenia mieszkania, prosiła Połanieckiego, by na wydatki tegoż urządzenia złożył od niej w banku sporą sumę na imię „pana Ignasia“, prosząc jednak, by mu od razu o tem nie wspominał.

Zawilowski, który miał młode i wdzięczne serce, przywiązał się do niej prędko — jak do starszej siostry — i ona to czuła doskonale. Była to wzajemna sympatya dwóch natur, które życzą sobie dobra i mają do siebie ufność. Czas przeradza zwykle tego rodzaju początkowe

sympatyę w ogromnie trwałą przyjaźń, która w złych zmianach życia może być również ogromnem oparciem. Ale w tej chwili Zawilowski mógł jej poświęcić drobniuchną zaledwie cząstkę duszy, gdyż i duszę, i serce, i wszystkie siły włożył z całą wyłącznością fanatyka w miłość dla ubóstwianej coraz bardziej „Niteczki“.

Tymczasem zaś kręcił się, jak mucha w ukropie, i między Buczynkiem a miastem czynił nawet nowe znajomości. Jedną z nich był profesor Waskowski, który wrócił ze swej pielgrzymki między „najmłodszych z Aryów“. Zwiedził wszystkie pobraża morza Adryatyckiego i cały półwysep Bałkański, ale stan jego zdrowia tak był opłakany, że Połanieccy zabrali go na stałe do Buczyna, by ochronić go od wyzyskiwania i dać mu odpowiednią opiekę, której w swoim osamotnieniu byłby gdzieindziej nie znalazł. Zawilowski, który sam był człowiekiem egzaltowanym i gotowym odczuć wszelką szerszą ideę, choćby wydawała się wszystkim rozsądnym głupcom niedorzeczną, pokochał od pierwszego dnia starego profesora, razem z jego teorią historycznej misji, przeznaczonej najmłodszym z Aryów. O teorii tej słyszał już poprzednio niejednokrotnie od Świrskiego i Połanieckich — i uważał ją za wspaniałe marzenie. Lecz i jego, i Świrskiego, i Połanieckich uderzyło teraz to, że profesor po powrocie ze swej podróży prawie o niej nie wspominał. Gdy go zapytywano o jego książkę i podróż, odpowiadał tylko: „Nikt nie może się uchylić od służby, którą mu Chrystus przeznaczył“ — poczem wlepił przed siebie swoje mistyczne oczy, jakby czegoś szukał, lub czegoś upatrywał w nieskończoności — i stara twarz jego przybierała

wyraz tak głębokiego smutku, a nawet takiego bólu, że nikt nie miał serca poruszać szczegółowiej tej kwestyi. Wezwany przez Połanieckich lekarz oświadczył, że zbyt tłusta kuchnia najmłodszych z Aryów nabawiła starego człowieka ciężkiego kataru żołądka, do czego przyłączył się „marasmus senilis“. I profesor rzeczywiście miał ciężki katar żołądka, ale Zawilowski odgadywał w nim jeszcze co innego, mianowicie rozpaczliwą walkę między tem, w co wierzył i czemu, jak prawdziwy idealista-maniak, poświęcił całe życie, a zwątpieniem. Jeden Zawilowski rozumiał całą tragedję takiego końcowego: „ergo erravi“ — i wzruszał się nią podwójnie, bo jako człowiek z sercem i jako poeta, który widział natychmiast temat do poematu: obraz starca, siedzącego w słońcu przed domem, na ruinie życia, wierzeń i czekającego ze słowami: „marność marności“ na śmierć, której krok słychać z oddalenia.

Z profesorem jednak może jeszcze nie było tak źle, jak sobie wyobrażał Zawilowski. „Najmłodszy z Aryów“ mogli go wprawdzie zawieść, ale pozostała wiara, że chrześcijaństwo nie wypowiedziało jeszcze ostatniego swego słowa i że następna epoka w życiu ludzkości nie będzie czem innym, jeno rozszerzeniem ducha Chrystusowego i przeniesieniem go ze stosunków między jednostkami na stosunki ogólnoludzkie. „Chrystus w dziejach“ nie przestał być dla niego widzeniem przyszłości. Wierzył nawet zawsze, że misya wprowadzenia miłości do dziejów przeznaczona została najmłodszym z Aryów — tylko od czasu podróży ogarnął go głęboki smutek, zrozumiał bowiem, że przedtem jeszcze nietylko on, ale całe poko-

lenia muszą pomrzeć na katar żołądka, spowodowany niestrawną kuchnią księstw naddunajskich.

Tymczasem zamknął się w sobie i w milczeniu, które miało raczej pozory goryczy życiowej, niż było nią rzeczywiście. O swojej „idei“ wprost prawie nie mówił, widać jednak było, że, jak wskazówki zegara, zatrzymane na jednej godzinie, zawsze pokazują tylko tę jedną, tak i wskazówka jego umysłu nie schodziła z owej idei; na rozmaite bowiem pytania odpowiadał słowami, które były raczej w związku z nią, niż z rzeczą, o którą go pytano. Ilekroć chciano przywołać go do rzeczywistości, trzeba go było budzić! Zaniedbał się też do reszty w ubraniu i codziennie więcej zdawał się zapominać, że naprzykład guziki przy kamizelce służą do tego, by było na co ją zapiąć. Ze swoim wiecznym roztargnieniem, ze swemi oczyma zarazem krótkowidza i dziecka, odbijającemi niejako mechanicznie wrażenia zewnętrzne, z twarzą zamysłoną, na której wypieki stały się wskutek złego trawienia jeszcze silniejsze, nakoniec w zaniedbanem ubraniu i dziwacznych pantalonach, które, niewiadomo dlaczego, nosił dwa razy tak szerokie jak wszyscy, budził w obcych wesołość i stawał się często przedmiotem mniej lub więcej złośliwych żartów. Zdaje się, że podobne uczucia budził przedewszystkiem w „najmłodszych z Aryów“. Wogóle poczytywano go za człowieka, którego klepkom w głowie brak obręczy. Niektórzy okazywali mu nawet politowanie. Wyraz „nieszkodliwy“ odbijał się często w jego uszach, ale on zdawał się go nie słyszeć.

Czuł jednak, że u Połanieckich jest mu dobrze, że nikt nie wyśmiewa się z niego, ani też nie okazuje mu

takiej litości, jaką okazuje się idyocie. Zresztą, ani zbyt tłusta kuchnia „najmłodszych z Aryów,“ ani katar żołądka nie odjęły mu jego niezmiernej wyrozumiałości i przychylności dla ludzi. Był to zawsze ten sam stary profesorzyśko, który zapominał o sobie, ale odzyskiwał przytomność, gdy chodziło o innych. Po staremu kochał Marynię Połaniecką, Połanieckiego, panią Emilię, Świrskiego, Bigielów, nawet Maszkę, słowem wszystkich, z którymi zbliżyło go życie. W ogólności miał o ludziach jakieś dziwne pojęcie, że wszyscy, czy chcą, czy nie chcą, czemuś służą, i że są jakby pionkami, które posuwa ręka Boża w wiadomych sobie celach. Artystów takich, jakim był Świrski, uważał za posłanników, którzy „przejednywają.“

W taki sam sposób patrzył na Zawilowskiego, którego poezye czytał poprzednio. Poznawszy ich autora, przypatrywał mu się tak ciekawie, jakby jakiejś osobliwości, nazajutrz zaś, gdy młody człowiek odjechał do miasta i gdy przy herbacie poczęto o nim mówić, podniósł palec i, zwróciwszy się do Maryni, rzekł z tajemniczą miną:

— O! to Boży ptak! Ani on wie, co mu Bóg na głowie napisał i do czego go przeznaczył.

Marynia poczęła mu opowiadać o blizkiem małżeństwie Zawilowskiego, o jego uczuciu dla panny Linety i o niej samej, wychwalając jej dobroć i piękność.

— Tak! — rzekł, wysłuchawszy, profesor. — Wiesz? I ona ma swoją misję i ona „wybrana.“ Bóg jej kazał czuwać nad takim płomieniem, a skoro zo-

stała wybrana, to trzeba ją czcić, jak wybraną... Wiesz? Łaska jest nad nią.

Poczem zamyślił się i dodał:

— Wszystko to jest dla ludzkości droga w przyszłość.

Połaniecki spojrział na żonę, jakby jej chcąc powiedzieć wzrokiem, że profesor marzy bez związku, lecz on przymrużył nieco oczy i, patrząc przed siebie, mówił dalej:

— Bo jest na niebie droga mleczna, i jak Bogu potrzeba, to bierze z niej kurzawę i tworzy nowe światy. A widzicie, ja myślę, że jest taka sama droga mleczna duchowa, złożona ze wszystkiego, co ludzie myśleli i czuli. Wszystko w niej jest: i to, co zrobili geniusze, i dzieła talentów, i wysiłki myśli męskiej, i uczciwość kobiecych serc, i ludzka dobroć, i ludzkie bóle: nic nie ginie, choć wszystko się w pył obraca, bo z tego pyłu, za wolą Boską, tworzą się nowe duchowe światy dla ludzi.

Tu ją mrugać oczyma, rozważając to, co powiedział — poczem, jakby przebudziwszy się, począł szukać guzików u kamizelki i dodał:

— A ta panienska musi mieć duszkę czystą, jak lza, skoro Bóg wskazał ją palcem i przeznaczył jej być stróżem tego ognia.

Przyjazd Świrskiego przerwał dalszą rozmowę. Dla Maryni nie był on niespodzianką, albowiem malarz zapowiedział jej, że albo sam przyjedzie, albo do niej napisze, jaki obrót wzięła jego sprawa. Marynia, ujrawszy go teraz przez okno, była prawie pewna, że wszystko skończyło się pomyślnie, lecz on, wszedłszy do pokoju

i powitawszy się ze wszystkimi, spoglądał na nią z miną tak dziwną, że nie wiedziała, co z niej wywróżyć.

Widocznie chciało mu się mówić o sprawie i to zaraz, nie chciał jednak tego czynić przy Połanieckim i Waskowskim. Połaniecki też, przed którym Marynia wygadała się o co idzie, przyszedł mu w pomoc i, wskazawszy na żonę, rzekł:

— Jej trzeba dużo chodzić; niech ją pan weźmie do ogrodu, bo wiem, że macie ze sobą do pomówienia.

I po chwili oboje znaleźli się w alei wśród białodrzewów. Czas jakiś szli w milczeniu, on, kołyszając się na swych szerokich biodrach atlety i szukając od czegoś zacząć, ona, podana nieco naprzód, z twarzą dobrą i rozciekawioną. Obojgu pilno było do rozmowy, jednakże Świrski zaczął od czegoś innego.

— Pani powiedziała wszystko mężowi? — spytał nagle.

Marynia zaczerwieniła się, jakby złapana na występku, i odrzekła:

— ...Bo Stać taki dla pana życzliwy i ja nie chcę mieć dla niego tajemnic.

Świrski ucałował jej rękę.

— Ale owszem! dobrze! Ja się tego nie wstydzę, również jak i tego, że dostał kosza.

— Nie może być! Pan żartuje — rzekła, zatrzymując się, Marynia.

— Słowo pani daję!

I widząc przykrość, jaką jej sprawiła nowina, począł mówić, jakby z troskliwością:

— Tylko niech pani nie bierze tego do serca wię-

cej odemnie. Stało się, co się miało stać. Ot, przyjechałem tu, stoję przed panią, nie strzeliłem sobie w łeb i nie myślę tego robić, ale swoją drogą, com dostał kosa, tom dostał.

— Ale dlaczego? co panu odpowiedziała?

— Dlaczego? co mi odpowiedziała? — powtórzył Świrski. — Widzi pani, w tem właśnie jest coś, od czego mi trochę gorzko w ustach. Ja przyznam się pani szczerze, że w panie Ratkowskiej bardzo się nie kochałem. Podobała mi się (one mi się wszystkie podobają), myślałem, że to będzie wdzięczne i poczciwe serce i dlatego się niby tu oświadczył. Ale więcej przez rozum — i że mi czas! Potem miałem nawet trochę zgagi. Była nawet chwila, żem sobie powiedział: „Twoje oświadczyły w Buczynku nie były zbyt wyraźne, lepiej puść — że to jeszcze kantem.“ Ale zrobiło mi się wstyd. Co u licha, myślę sobie, przestąpiłeś próg jedną nogą, przestąpże i drugą. I napisałem do niej list, tym razem już zupełnie wyraźny, a ot, co mi odpisano!

To rzekłszy, wyjął z kieszeni surduta list, lecz nim zaczął go czytać, rzekł jeszcze:

— Z początku są zwykle komunały... Jak to pani wie! Szanuje mnie ogromnie, byłaby dumna i szczęśliwa (ale woli nie być), żywi dla mnie szczerą sympatyę (jeśli tak będzie żywić męża, jak tę sympatyę, to nie będzie tłusty), w końcu zaś powiada tak:

„Nie jestem w możności oddać panu serca z taką radością, na jaką pan zasługuje. Wybrałam inaczej — i jeśli nie będę nigdy szczęśliwa, nie chcę przynajmniej wyrzucać sobie później, że byłam nieszczera. Wobec

tego, co u nas zaszło, nie mogę pisać dłużej; niech mi pan jednak wierzy, że będę mu całe życie wdzięczna za zaufanie i że od dziś zacznę codziennie prosić Boga, by panu pozwolił znaleźć godne pana serce i w całym życiu błogosławił...“

Oto wszystko!

Nastąpiła chwila milczenia, potem Świrski rzekł:

— To są, co się mnie tyczy, puste słowa, ale to znaczy: kocham innego.

— Zdaje się, że tak jest — odrzekła ze smutkiem Marynia. — Biedna dziewczyna, bo to jednak pocziwy list.

— Pocziwy list! pocziwy list! — zawołał Świrski. — One wszystkie także pocziwe! Oto dlaczego trochę mi gorzko. Nie chce mnie? dobrze! To każdej wolno. Kocha się? To także każdej wolno. Ale w kimże się kocha? Przecie nie w Osnowskim, ani w Zawilowskim, więc w kim? Oto w tej gałce od łaski, w tej kukielce, w tym piękniśiu, w tym modelu krawieckim, w tym ideale panien służących. Widziała pani takich ślicznych panów na sztukach perkalów? — to zupełnie on! Gdyby stał w oknie u fryzjera, to panny wygniotłyby szybę. Pamięta pani, com o nim powiedział: damski hurys! I to jest gorzkie! i to jest niesmaczne — (mówił z coraz większem rozdrażnieniem, akcentując ze szczególniejszą siłą wyraz: jest) — i to źle mówi o kobietach, bo, bądźże tu człowieku Newtonem, Rafaelem, Napoleonem — i chciej za całą nagrodę jednego serca, jednej kobiecej głowy. Nieprawda! Ona woli jakiegoś lukrowanego Bibisia. Ot, jakie one są!

— Nie wszystkie, panie, nie wszystkie! Zresztą pan, jako artysta, powinien wiedzieć, co to jest uczucie. Padnie coś na człowieka i skończyło się wszelkie rozumowanie.

— Nie — rzekł spokojniej Świrski — ja wiem, że nie wszystkie. A co do miłości, pani mówi: „Padnie coś i skończyło się.“ Może! To niby jak choroba... Ale istnieją choroby, na które szlachetniejsze gatunki istot nie chorują. Istnieje np. choroba racic. Pozwoli pani powiedzieć, że trzeba mieć racice, żeby jej dostać. Nie było jednak chyba wypadku, żeby gołębicą zakochała się w dudku, choć to bardzo ładny ptak. Widzi pani, — na gołębicę to nie padnie... W dudkach kochają się dudkówny. I niech się sobie kochają, byle nie udawały gołębic. Mnie tylko o to chodzi... Niech pani sobie przypomni, jak kiedyś u państwa Bigielów wygadywałem na pannę Castelli. A jednak ta wołała ostatecznie Zawilowskiego. Mnie chodzi o te fałszywe aspiracje, o tę nieszczerłość, o ten frazes. Skoro jesteś dudkówną — miejże odwagę do tego się przyznać. Nie udawaj, nie kłam, nie zwodź. Przecie ja, człowiek doświadczony szyjębym był oddał za to, że taka panna Ratkowska nie jest po prostu w stanie zakochać się w takim Kopusiu, a jednak tak jest! Ja się pocieszę, tu mnie nie o siebie chodzi, tylko o tę komedię, o to konwencyonalne kłamstwo — i nie o pannę Ratkowską, ale o to, że taki typ, jak Koposia, zwycięża.

— Tak — rzekła Marynia. — Trzebaby tylko wiedzieć, dlaczego wszystko tak się jakoś poplątało.

Lecz Świrski machnął ręką:

— Właściwie mówiąc — rzekł — to się raczej rozplątało. Gdyby była za mnie wyszła, byłbym ją pewno w końcu na ręku nosił. Daję pani słowo!... We mnie się nagromadziło ogromnie dużo tkliwości. Byłbym dla niej dobry i byłoby nam dobrze. Tego mi też trochę żal. Ale przecie nie ona jedna na świecie. Pani mi znajdzie jaką poczciwą duszę, która mnie zechce. I prędko, moja droga pani, bo doprawdy, że czasem już nie mogę wytrzymać. Dobrze?

Marynia poczęła się rozweselać, widząc, że sam Świrski nie bardzo bierze do serca utratę panny Ratkowskiej. Lecz, zastanawiając się teraz spokojniej nad jej listem, przypomniała sobie jeden jego frazes, na który z początku, cała zajęta sprawą odmowy, nie zwróciła uwagi — i zaniepokoiła się nim.

— Czy pan zauważył — spytała — że ona w jednym miejscu mówi: „Po tem, co się u nas stało, nie mogę pisać dłużej.“ Czy pan nie domyśla się, co się tam mogło stać?

— Może Kopusio już się oświadczył.

— Nie. W takim razie napisałaby to wyraźnie. Jeśli ona przywiązała się do niego, to naprawdę biedna dziewczyna, bo ona podobno nie ma żadnego majątku, a pan Kopowski także jakoby niebogaty, więc wątpliwa rzecz, czy się zdecyduje.

— Prawda — rzekł Świrski. — Wie pani, że mnie samemu przychodziło to na myśl. Ona się w nim kocha, to nie ulega kwestyi, ale on się z nią nie ożeni.

Nagle zatrzymał się i rzekł:

— W takim jednak razie, po co on tam siedzi?

— Bawią się nim i on się bawi — odpowiedziała pospiesznie Marynia, odwracając przytem nieco twarz, aby Świrski nie dostrzegł jej zmieszania.

I odpowiedziała nieszczerze. Od czasu, jak Połaniecki podzielił się z nią swemi spostrzeżeniami co do stosunku Kopowskiego z panią Osnowską, myślała o tem często i pobyt młodzieńca w Przytułowie jej samej wydawał się nieraz podejrzanym, a upozorowanie go za pomocą panny Ratkowskiej niegodziwością. Niegodziwość stała się tem większą, jeśli panna Ratkowska naprawdę zakochała się w Kopowskim. Ale wszystkie te intrygi mogły jedna chwila wyjść na wierzch i Marynia rozmyślała teraz z niepokojem, czy słowa panny Ratkowskiej: „po tem, co się u nas stało“ — nie mają takiego właśnie znaczenia. W takim razie byłoby to prawdziwą katastrofą, i dla tego poczciwego pana Osnowskiego i dla panny Stefcy.

Istotnie, wszystko mogło się poplątać w tragiczny sposób.

— Ja jutro wybieram się do Przytułowa — rzekł Świrski. — Chcę umyślnie być u Osnowskich, żeby pokazać, iż nie żywię do nikogo urazy. Jeśli tam się co naprawdę stało, albo jeśli ktoś zachorował, to będę wiedział i dam państwu znać. Zawilka tam przecie w tej chwili niema.

— Nie, pan Ignas bawi w mieście. Jutro albo pojutrze pewnie wpadnie tu, albo do Jaśmienia. Stach dziś także wybiera się do miasta. Moja przyjaciółka, siostra Aniela, bardzo jest niezdrowa i chcemy ją do nas ściągnąć, a że ja nie mogę jechać, więc jedzie Stas.

— Siostra Aniela? To ta, którą mąż pani nazywa panią Emilią... Fra Angelico!... twarz zupełnie świętej. Śliczna twarz! Widziałem ją coś dwa razy u państwa. Ot, żeby taka nie była zakonnica...

— I chore biedactwo. Prawie już nie może chodzić... Dostała ze zbytnej pracy choroby krzyża.

— Oj, to bieda — rzekł Świrski. — Będą państwo mieli profesora i tę biedaczkę... Jacy wy jednak jesteście dobrzy ludzie!

— To Stach! — odpowiedziała Marynia.

W tej chwili na końcu alei pojawił się Połaniecki — i spiesznym krokiem podszedł ku nim.

— Słyszałem, że pan dziś jedzie? — rzekł Świrski — zabierzemy się razem.

— Dobrze.

I zwróciwszy się do żony, rzekł:

— Maryniu, a czy nie dosyć chodziłaś? Chcesz się na mnie oprzeć?

Marynia wzięła go pod ramię i razem podeszli do werandy, poczem weszła do pokoju, by kazać podać południową herbatę.

Połaniecki zaś zbliżył się żywo do Świrskiego:

— Odebrałem dziwną depeszę — rzekł — której nie chciałem pokazać przy żonie. Osnowski pyta mnie, gdzie jest Ignas i wzywa, bym w jego sprawie przyjechał jutro do miasta. Co to może być?

— To dziwna rzecz — odpowiedział Świrski. — Mnie panna Ratkowska pisała, że tam się coś stało.

— Czyby kto zachorował?

— Toby wezwano wprost Zawilowskiego... Gdy-

by panna Castelli, albo pani Broniczowa... **wezwanoby**
go natychmiast...

— A gdyby go Osnowski nie chciał przestraszać,
toby do mnie zatelegrafował.

I obaj poczęli patrzeć sobie z niepokojem w oczy.

XIV.

Nazajutrz, w pół godziny po przyjeździe Połanieckiego, zadzwonił do niego Osnowski. Połaniecki, na odgłos dzwonka, poszedł sam otworzyć. Od wczoraj żył w wielkim niepokoju. Przypuszczał od dawna, że w Przytułowie może lada dzień bomba wybuchnąć, ale napróżno bił się z myślami, jaki związek może mieć jej wybuch z Zawilowskim.

Osnowski uścisnął mu rękę na powitanie ze szczególniejszą siłą, jak się czyni w wyjątkowych okolicznościach życia, a gdy Połaniecki poprosił go do swego gabinetu, po drodze spytał:

— Pani bawi w Buczynku?

— Tak jest — odpowiedział Połaniecki — jesteśmy zupełnie sami.

W gabinecie, Osnowski, usiadłszy na wskazanem krześle, schylił głowę i przez chwilę milczał, oddychając przytem śpiesznie, albowiem, wskutek nadmiernego trenowania się, cierpiał trochę na rozedmę płuc, teraz zaś wzruszenie i schody zatamowały mu jeszcze bardziej oddech. Połaniecki czekał jakiś czas cierpliwie, wreszcie wrodzona mu żywość przemogła i spytał:

— Co się stało, panie!

— Stało się nieszczęście — odrzekł z głębokim smutkiem Osnowski. — Małżeństwo Ignasia zerwane.

— Małżeństwo zerwane? Dlaczego?

— Są to rzeczy tak przykre, że lepiej dla Ignasia nie wiedzieć powodów. Czas jakiś wahałem się nawet, czy o nich nie zamilczeć, ale nie!... Trzeba, żeby się o wszystkim dowiedział, bo tu chodzi o coś ważniejszego, niż jego miłość własna. Może oburzenie i wstręt dopomogą mu do zniesienia nieszczęścia. Małżeństwo jest zerwane, bo panna Castelli nie jest warta ręki takiego, jak on, człowieka — i gdyby dziś jeszcze mogła być mowa o naprawieniu tego stosunku, ja pierwszy położyłbym stanowcze veto.

Tu pan Osnowski począł znów łowić oddech, Połaniecki zaś, który słuchał dotąd, jak wryty, jego słów, wybuchnął nagle:

— Ale na miły Bóg, co takiego zaszło?

— Zaszło to, że te panie od trzech już dni wyjechały za granicę z Kopowskim, jako narzeczonym panny Castelli.

Połaniecki, który przed chwilą zerwał się był z krzesła, siadł teraz napowrót. Na twarzy jego, przy całym wzruszeniu i niepokoju, odbiło się niewypowiedziane zdumienie. Czas jakiś patrzył na Osnowskiego, poczem, jakby nie mogąc zebrać myśli, rzekł:

— Kopowski?... także i z panną Castelli?...

Lecz Osnowski zbyt był zajęty samą sprawą, by mógł zwrócić uwagę na szczególną formę pytania Połanieckiego.

— Niestety! — rzekł — pan przecie wiesz, że ja jestem w pokrewieństwie z temi paniami; matka moja była cioteczną siostrą pani Broniczowej, a zatem także matki Linety, i czas jakiś chowały się razem. Rozumiesz pan, że raczej pragnąłbym je oszczędzić. Ale mniejsza z tem. Stosunki nasze są zerwane, a przytem choćby panna Castelli była moją rodzoną siostrą, powiedziałbym panu o niej to samo, co teraz powiem. Co do Zawilowskiego, ponieważ oboje z żoną wyjeżdżamy także — i to dziś, mogę go nie znaleźć. Powiem nawet otwarcie, że mi brak odwagi z nim mówić, ale panu powtórzę wszystko, com widział. Pan, jako bliższy jego przyjaciel, może potrafisz złagodzić cios; trzeba jednak, żeby Ignas wiedział o wszystkim, bo na tego rodzaju nieszczęścia niema lepszego lekarstwa, jak obrzydzenie.

Tu począł opowiadać Połanieckiemu, co widział w cieplarni, wzruszając się przytem, tracąc chwilami oddech, a zarazem nie mogąc się oprzeć pewnemu zdziwieniu na widok gorączki, z jaką go słuchał Połaniecki. Spodziewał się po nim więcej zimnej krwi, nie mógł zaś się domyślić, że Połaniecki ma osobiste powody, dla których tego rodzaju opowiadanie gra silniej na jego nerwach, niż mogłaby to uczynić nawet wiadomość o śmierci Zawilowskiego, lub panny Castelli.

— W pierwszej chwili straciłem głowę — mówił dalej Osnowski — nie jestem człowiekiem gwałtownym, ale jakim sposobem nie połamałem mu kości, nie wiem. Możem pamiętać, że jest moim gościem, może, że tu chodzi o rzeczy ważniejsze, niż on, może pomyślałem o Ignasiu, może nie myślałem o niczem. Straciłem głowę

i wyszedłem. Po chwili, wróciwszy, powiedziałem mu, żeby poszedł za mną. Widziałem, że był blady, ale zdecydowany. U siebie powiedziałem mu, że postąpił niegodnie, że nadużył gościnności uczciwego domu i że Lineta jest nędnicą, dla której nie mam dość słów pogardy, że małżeństwo jej z Zawilowskim jest tem samym zerwane, ale że jego zmuszę do ożenienia się z nią, choćbym miał się uciec do wszelkich ostateczności... Tu się pokazało, że oni musieli się już naradzić przez ten czas, w którym zostawiłem ich samych, odpowiedział mi bowiem, że się od dawna w Linecie kocha i że gotów jest w każdej chwili z nią się ożenić. Co do Zawilowskiego — czułem, że Kopowski powtarza słowa, które mu podyktowała Lineta, gdyż powiedział mi to, na coby się sam nie zdobył: że gotów jest dać Zawilowskiemu wszelką satysfakcyę, ale że nie potrzebował się z nim liczyć, bo nie ma dla niego żadnych obowiązków... „Że panna Lineta wybrała ostatecznie mnie, to — (powiada) — tem gorzej dla niego, ale to jej rzecz...“ Co się tymczasem działo między ciotką a Linetą, nie wiem, dość, że nim skończyłem z Kopowskim, ciotka Broniczowa wpadła do mnie, jak furja, z wyrzutami, że to my oboje z żoną nie pozwoliliśmy Linecie pójść za naturalnym popędem serca, że narzuciliśmy jej Zawilowskiego, którego nigdy nie kochała, że Lineta płakała po całych nocach, że przyplaciłaby to małżeństwo życiem, że to wszystko, co się stało, było wyraźną wolą boską... i tak z godzinę!... My winni, Zawilowski winien, tylko one bez skazy!

Tu Osnowski począł trzeć ręką czoło i rzekł:

— Ach, panie! Mam trzydziesty szósty rok i anim sobie wyobrażał, co to jest kobieca przewrotność. Wie pan, że taka niepojęta zdolność odwracania rzeczy na wierzch podszewką dotąd nie chce mi się w głowie pomieścić. Rozumiem przecie, jaka była sytuacja. Rozumiem, że pojęły, iż z Zawilowskim wszystko skończone, choćby dlatego, że ja przeszkodzę, i że nie pozostaje im nic — tylko Kopowski. Ale ta łatwość robienia czarnego białem, a białego czarnem!... ten brak zmysłu moralnego, zmysłu prawdy i sprawiedliwości... ten egoizm bez dna i miary!... Lichoby je wreszcie pobrało, gdyby nie to, że chodzi o Ignasia!... Byłby z nimi najnieszczęśliwszy, ale dla człowieka tak egzaltowanego i tak zakochanego, co to za cios!... co to za zawód!... A i ta Lineta!... Ktoby był przypuścił!... Taki dureń! taki dureń!... I to dziewczyna niby pełna porywów, która przed kilku tygodniami zamieniła pierścionki, dała słowo!... i to narzeczona takiego Zawilowskiego!... Dalibóg, można zmysły stracić!

— Można zmysły stracić — powtórzył jak echo Połaniecki.

Nastąpiła chwila milczenia.

— I to dawno się stało? — spytał wreszcie Połaniecki.

— Trzy dni, jak wyjechali razem do Scheveningen. Wyjechali zaś zaraz tego samego dnia. Kopowski miał paszport ze sobą. Patrz pan, jak największy osieł zdobędzie się jednak na chytrność! On miał gotowy paszport, bo udawał, że się stara o moją kuzynkę, Ratkowską, i zamierzał niby jechać razem z nami za granicę.

Udawał, że się o tamtą starał, żeby tę mógł bałamucić. Aj, biedny ten Ignas, biedny! Daję panu słowo, że gdyby był moim bratem, nie miałbym dla niego więcej współczucia... Lepiej!... lepiej, że się nie związał z taką... Linetą, z taką półwłoszką, ale co to za rozdarcie!...

Tu Osnowski wydobył chustkę i począł nią przecierać binokle, mrugając przytem oczyma, z twarzą strapioną i bezradną; Połaniecki zaś spytał:

— Czemu pan pierwaj nie dał znać?

— Czemu pierwaj nie dałem znać? Bo mi żona zachorowała. Ataki nerwowe... Bóg wie co!... Pan nie uwierzy, jak ona to do serca wzięła. I nic dziwnego!... Taka kobieta — i że to w naszym domu! Przy jej wrażliwości, to i dla niej był cios, bo i zawód ze strony Linety, którą tak kochała, i żal Ignasia, i to zetknięcie się ze złem, i obrzydzenie!... Na taką czystą i uczciwą naturę, to więcej, niż trzeba... W pierwszych chwilach myślałem, że mi ciężko zachoruje, a i teraz jeszcze mówię: daj Boże, żeby się to nie odbiło zgubnie na jej nerwach! My nie umiemy sobie po prostu zdać sprawy, co się dzieje w takiej duszy na sam widok złego.

Połaniecki popatrzył uważnie na Osnowskiego, przygryzł wąsy i milczał. Ten zaś po chwili mówił dalej:

— Posłałem po doktora i drugi raz straciłem głowę. Na szczęście była Stefcia Ratkowska i ta poczciwa pani Maszkowa. Obie tak się serdecznie zajęły Anetką, że im będę całe życie wdzięczny. Pani Maszkowa na pozór zdaje się zimna, a to takie serdeczne stworzenie!...

— Ja sądzę wprost — rzekł Połaniecki, chcąc odwrócić rozmowę od pani Maszkowej — że gdyby stary

Zawiłowski zostawił był Ignasiowi jaki majątek, toby to wszystko nie miało miejsca.

— Być może — odpowiedział Osnowski — ale dla mnie nie ulega wątpliwości, że gdyby Lineta wyszła za Ignasia, to choćby w dodatku posiadał jeszcze cały majątek pana Zawiłowskiego, niemniej instynkt jej ciągnąłby ją w stronę wszystkich takich Kopowskich, jakichby jej przyszło w życiu spotkać. To tego rodzaju dusza. Ja jednak niektóre rzeczy rozumiem. Powiedziałem, że można zmysły stracić na myśl, że tak jest, jak jest, ale częściowo zdaję sobie sprawę z tego, co zaszło. To za płaska natura, by mogła pokochać naprawdę takiego Zawiłowskiego. Jej potrzeba Kopowskich. Ale wmawiano w nią rozmaite wyższe porywy, a w końcu i ona sama wmówiła w siebie to, czego nie było. Ignasia pociągnęły przez próżność, przez miłość własną, dla opinii ludzkiej i przez nieznaną sobie samych. Ale co jest nie-szczere, to i nie może trwać. Z chwilą, gdy ich próżność została zadowolona, Ignas przestał im wystarczać. Potem zlekły się, że może z nim nie będzie takiego życia, jakie one jedynie cenią, może obie począł utrudzać jego za wysoki dla nich nastrój. Dodaj pan do tego tę historię testamentu, która nie będąc zapewne główną przyczyną katastrofy, zmniejszyła jednak Ignasia w ich oczach, dodaj przedewszystkiem instynkty Linety, dodaj Kopowskiego, a będziesz miał na wszystko odpowiedź. Są kobiety, takie jak pańska żona, albo jak moja Anetka, a są i takie, jak one!...

Tu pan Osnowski zamilkł znów na chwilę, potem rzekł:

— Widzę już i zmartwienie i oburzenie pańskiej żony, a żałuję, żeś pan nie widział, jak to przyjęła moja... albo nawet taka pani Maszkowa. Tak! są kobiety i kobiety... Aj, panie, panie! powinniśmy codzień na kolanach Bogu dziękować, że nam dał takie, jakie mamy!

I aż głos zadrgał mu wzruszeniem.

Połaniecki zaś, pomimo, iż na razie chodziło mu głównie o Zawilowskiego, wprost zdumiewał się, jakim sposobem człowiek ten, który przed kilku minutami rozumował tak trafnie i głęboko, mógł być zarazem tak naiwnym. Brał go też gorzki śmiech na wzmiankę Osnowskiego o oburzeniu Maszkowej. Wogóle ogarnęło go poczucie jakiejś przygniatającej ironii życia, której całego bezmiaru nigdy dotąd nie widział tak jasno.

— Pan nie będziesz widział Zawilowskiego? — spytał po chwili.

— Powtarzam panu otwarcie, że nie czuję w sobie dość odwagi; dziś wracam do Przytułowa i dziś z naszej stacyi wyjeżdżamy. Żonę muszę wywieźć, raz dlatego, że sama mnie o to ze łzami prosiła, a powtóre, że od zmiany wrażeń może zależeć jej zdrowie. Pojeździemy gdzieś nad morze, byle nie do Scheveningen, tam, gdzie pojechały one z Kopowskim. Ale mam do pana jedną wielką prośbę. Pan wie, jak ja Ignasia kocham i cenię. Niech mi pan napisze, jak on biedaczysko to przyjmie i co się z nim będzie działo. Prosiłbym o to Świrskiego, ale może go nie zobaczę.

Tu zakrył twarz i rzekł:

— Aj! jakie to wszystko smutne! jakie smutne!

— Dobrze — rzekł Połaniecki. — Przyślij mi pan adres, a ja doniosę panu, jak się rzeczy obróca. Skoro jednak na mnie spada ta ciężka misya powiedzenia Zawilowskiemu co się stało, zechciej mi ją pan ułatwić. Trzeba, żeby miał wiadomość nie od osoby trzeciej lub czwartej, ale od kogoś, co na wszystko patrzył. Usłyszawszy o zajściu odemnie, mógłby przypuścić, że rzecz przedstawiam niedokładnie. W takich razach człowiek chwytą się za każdy cień nadziei. Siądź pan i napisz do niego. Oddam mu pański list, na poparcie tego, co powiem. Inaczej, gotówby może polecieć za niemi do Scheveningen. Uważam taki list za rzecz absolutnie potrzebną.

— Czy on tu tymczasem nie nadejdzie?

— Nie. Ojciec jego jest chory i on jest z nim razem. Mojego przyjazdu spodziewa się dopiero po południu. Napisz pan koniecznie.

— Masz pan słusność, zupełną słusność — rzekł Osnowski.

I siadł przy biurku.

— Ironia życia! ironia życia! — myślał tymczasem Połaniecki, chodząc w zburzeniu po przyległym pokoju. — Czemże, jeśli nie krwawą ironią jest to, co spotkało Zawilowskiego?.. Czem jest taka panna Castelli ze swoją postacią łabędzia, a instynktami pokojówki, ta „wybranka boża,“ jak jeszcze wczoraj mówił Waskowski? Czem jest pani Broniczowa, i Osnowski ze swoją wiarą w żonę, i ataki nerwowe tej żony, spowodowane samem zetknięciem się ze złem *tak czystej* duszy i oburzenie pani Maszkowej?... Nic, tylko śmieszna komedia ludzka, w której jedni oszukują drugich, drudzy oszukują samych siebie;

nic, tylko oszukani i oszukujący; nic, tylko pomyłki, zaślepienie, błędy, życiowe kłamstwa, ofiary pomyłek, ofiary oszustwa, ofiary złudzeń, płatanina bez wyjścia; pocieszna i zarazem rozpaczliwa ironia, pokrywająca ludzkie uczucia, namiętności, nadzieje, tak jak śnieg pokrywa zimą pola — i oto życie!

I myśli te były dla Połanieckiego tem cięższe że, powstając na podkładzie czysto osobistym, stawały się zarazem rodzajem obrachunku z własnym sumieniem. Był na to dość egoistą, by przystosowywać wszystko do siebie, a nie był dość głupim, by nie wiedzieć, że w tej przeironicznej komedyi ludzkiej odegrał rolę ogromnie nędzną. Położenie było tego rodzaju, że chciałby całą siłą tchu wygwizdać taką pannę Castelli, a jednocześnie rozumiał, że jeśli komu, to jemu, nie wolno nawet jej sądzić. W czymże on był lepszy? w czym mniej ohydny? Ona zdradziła człowieka dla durnia — on zdradził żonę dla bezmyślnej lalki. Ona poszła za swymi instynktami modniarki, on za swymi — pawiana. Ale ona zdeptała tylko sztuczne frazesy, którymi oszukiwała siebie i drugich, on zdeptał zasady. Ona zawiodła ufność, ale zła mała tylko słowo — on zawiódł tak samo ufność a zła mał więcej niż słowo, bo przysięgę. A wobec tego co? Czy on ma prawo ją potępić? Jeśli zaś nie ma możliwości jej usprawiedliwić, jeśli gotów uznać, że byłoby rzeczą niesprawiedliwą i oburzającą, żeby taka istota została żoną Zawilowskiego, to jakim prawem on jest mężem Maryni? Jeśli znajdzie choć jedno słowo potępienia dla panny Castelli (a niepodobna przecie go nie znaleźć), to w takim razie, chcąc być konsekwentnym, powinienby

rozłączyć się z Marynią, czego jednak nie uczyni nigdy i nie byłby w stanie uczynić. Oto koło błędne! Połaniecki nieraz już przechodził przez gorzkie chwile, z powodu swego *sukcesu*, ale ta była tak ciężka, że aż przejęła go zdziwieniem. Stopniowo stawała się wprost męką. W końcu przez prosty instynkt zachowawczy począł szukać czegoś, coby mu przyniosło choćby doraźną ulgę. Ale próżno mówił sobie, że naprzykład tacy ludzie, jak Kopowski, nie braliby tak, w jego położeniu, rzeczy do serca. Byłoby mu taką samą pociechą, gdyby był pomyślał, że nie brałby tego także do serca kot, albo koń. Próżno przypomniał sobie słowa Balzaka: „Wiarołomstwo, gdy się nie wyda, jest niczem, gdy się wyda — błahostką“. „Kłamstwo! — powtarzał, zaciskając zęby — dobre mi *nic*, które tak piecze!“ Rozumiał wprawdzie, że poza samym faktem może być coś, co sam fakt robi więcej, albo mniej występny; ale rozumiał również, iż w jego wypadku wszystkie okoliczności są takie, że winę czynią niezmierną i nieodpuszczalną. „Oto już teraz — (myślał) — odejmuje mi ona prawo sądu, prawo posługiwania się sumieniem! Człowieka wyższego poświęcono dla durnia, zdeptano go, wepchnięto go w nieszczęście, w tragedię, która może go złamać; uczyniono to w sposób nędzny i płaski — a mnie zasię! nawet w duszy napiętnować taką pannę Castelli!“ I nigdy dotąd nie stała mu się tak niemal dotykana ta prawda, że, jak za pewne występki można zostać pozbawionym udziału w życiu społecznem, tak on został pozbawiony udziału w życiu moralnem. Miał już dość zgryzot, ale teraz spostrzegł nowe jeszcze spustoszenia, których zrazu nie widział. W miarę,

jak zastanawiał się nad tragedią Zawilowskiego i jak coraz lepiej ogarniał jej ogrom, poczynął go obejmować głuchy niepokój, podobny do przeczucia, że na mocy jakiejś wyższej, tajemniczej logiki, i w jego losach musi zdarzyć się coś strasznego. Kto nosi w sobie zaród śmiertelnej choroby, dla tego śmierć jest tylko kwestyą czasu.

Nakoniec jednak znalazł tę ulgę, że myśli jego zwróciły się wyłącznie do chwili obecnej i do Zawilowskiego. Jak on to przyjmie? jak przeniesie? Wobec egzaltacji Zawilowskiego, wobec jego głębokiej, zaślepionej wiary w narzeczoną i miłości, jaką dla niej czuł, były to pytania wprost groźne. „Wszystko się w nim podrze i wszystko usunie mu się od razu z pod nóg“ -- myślał Połaniecki. Wydało mu się, iż jest coś wstrętnego i potwornego w tem, że nawet takie stosunki życiowe, które nie noszą w sobie zarodków tragedyi i które powinny się kończyć pomyślnie, kończą się bez dobrej przyczyny źle, i że życie jest jakby lasem, w którym nieszczęścia tropią człowieka, gorzej niż psy zwierza, bo tropią milczkiem. Połaniecki poczuł nagle, że prócz wiary w samego siebie, którą stracił od dawna, mogą się w nim zachwiać i rozmaite inne rzeczy, jeszcze ważniejsze, bo bardziej podstawowe. W tej chwili jednak myślał więcej o Zawilowskim, niż o czemkolwiek innem. Miał dobre serce i Zawilowski był mu blizkim, więc się szczerze wzruszał jego niedolą. „A tamten pisze mu po prostu jakby wyrok — myślał, słysząc z przyległego pokoju skrzypienie pióra Osnowskiego. -- Biedne chłopczyko!... I takie to wszystko niezasłużone!“

Osnowski skończył wreszcie list — i otworzywszy drzwi, rzekł:

— Pisałem ogłędnie, ale napisałem całą prawdę. Niech mu teraz Bóg doda sił! Czy ja się spodziewałem, że taką muszę mu zwiastować nowinę!

Ale pod jego szczerym smutkiem widać było jakby pewne zadowolenie z własnej roboty. Widocznie sądził, że się potrafił wypisać lepiej, niż się sam po sobie spodziewał.

— A teraz raz jeszcze powtarzam gorącą prośbę — rzekł — byś mi pan doniósł choć parę słów o Ignasiu. Ach, gdyby to nie było tak irréparable! — dodał, wyciągając do Połanieckiego rękę — do widzenia! do widzenia!... Napiszę i do Ignasia, ale teraz muszę jechać, bo mnie żona czeka... Daj Boże zobaczyć się nam w szczęśliwszych czasach. Do widzenia! Pani najserdeczniejsze pozdrowienie.

I wyszedł.

— Co robić? — myślał Połaniecki. — Czy poprzestać na posłaniu listu Zawilowskiemu do jego mieszkania, czy szukać go, czy czekać tu? W takich chwilach warty go nie zostawiać samego, ale ja wieczór muszę wracać do Maryni, więc i tak zostanie sam. Zresztą, kto mu zabroni schować się przed ludźmi. Jabym się także na jego miejscu schował... Muszę być u pani Emilii...

Czuł się tak zmęczony i tą niespodziewaną tragedią, i myślami o sobie, i myślą o ciężkiej roli, jaką mu wypadnie odegrać z Zawilowskim, że z pewnem zadowoleniem przypomniał sobie o tem, że musi być u pani Emilii, a następnie odwieźć ją do Buczynka. Przez chwilę

miał pokusę odłożyć widzenie się z Zawilowskim i oddanie mu listu do następnego dnia, pomiarkował jednak, że Zawilowski, nie zastawszy go w domu, mógłby wybrać się do Buczynka.

-- Niech się lepiej dowie wszystkiego tu — rzekł sobie — wobec stanu Maryni, trzeba zachować przed nią zupełną tajemnicę i o tem, co się stało, i o tem, co się stać może. Trzeba również uprzedzić wszystkich, by milczeli. Zawilowski najlepiejby zrobił, wyjeżdżając za granicę. Maryni powiedziałbym, że jest w Scheveningen, a później, że się tam rozmyślili i rozeszli.

Tu znów począł chodzić szerokimi krokami po pokoju i powtarzać:

— Ironia życia! ironia życia!

Poczem gorycz i wyrzuty przyplęły mu nową falą do duszy. Ogarniało go dziwne uczucie, jakby jakiejś odpowiedzialności za to, co się stało. „Co u licha — powtarzał sobie — przecie ja w tem przynajmniej nie zawiniłem!“ Lecz po chwili przyszło mu do głowy, że jeśli osobiście nie zawinił, to w każdym razie jest drzewem z tego samego lasu, co i panna Castelli, i że tacy, jak on, wytworzyli tę społeczno-moralną atmosferę, w której podobne kwiatki mogą wschodzić, rozwijać się i kwitnąć. Na myśl o tem porywała go dzika złość.

Tymczasem w przedpokoju ozwał się dzwonek. Polaniecki był człowiekiem odważnym, jednakże na odgłos tego dzwonka czuł, że serce poczyna mu bić niespokojnie. Zapomniał, że umówił się ze Świrskim, iż razem pójdą na śniadanie, i w pierwszej chwili był pewien, że nadchodzi Zawilowski. Ochłonął dopiero, usłyszawszy

w przedpokoju głos malarza, lecz tak był z mordowany, iż przybycie jego sprawiło mu przykrość.

— Ten dopiero rozpuści język! — pomyślał z niechęcią — ten będzie gadał!

Postanowił jednak powiedzieć mu wszystko, bo rzecz i tak nie mogła utrzymać się w tajemnicy. Chodziło mu zaś o to, by Świrski, na wypadek przyjazdu do Buczynka, wiedział, jak zachować się względem Maryni. Omylił się zresztą, przypuszczając, że Świrski będzie go dobijał teoryjami o niewdzięcznych sercach. Malarz wziął rzecz nie od strony ogólnych wywodów, ale od strony Zawilowskiego. Na wywody miał przyjść czas później; obecnie słuchając Połanieckiego, powtarzał tylko: „A nieszczęście! a niech Bóg broni“ — chwilami zaś: „Niechże to piorun trzaśnie!...“ — przyczem jego herculesowe pięście zaciskały się z gniewu.

Połaniecki zaś unosił się stosunkowo i napadał na pannę Castelli bez miłosierdzia, zapominając, że tem samem wydaje wyrok i na siebie. Wogóle jednak rozmowa uczyniła mu ulgę. Odzyskał wreszcie i zwykłą zaradność. Pomyślał, że Zawilowskiego nie można jednak w takiej chwili opuszczać, począł więc prosić Świrskiego, by w zastępstwie odwiózł panią Emilię do Buczynka i wytłómaczył Maryni jego nieobecność powodami biurowymi. Świrski, który już nie miał po co jechać do Przytułowa, zgodził się najchętniej i gdy zamówiony przez Połanieckiego powóz nadszedł, obaj udali się do pani Emilii.

Praca, nie będąca w żadnym stosunku do jej sił, którą jako Siostra miłosierdzia musiała spełniać, sprawdziła na nią chorobę krzyża. Znaleźli ją wychudłą i zmie-

nioną, z twarzą przezroczystą i nawpół opadniętymi powiekami. Chodziła jeszcze, ale wspierając się na dwóch laskach i nie władając dokładnie ruchami nóg. Jak dawniej praca zbliżyła ją do życia, tak teraz choroba poczęła ją znów od niego oddalać. Żyła tylko w kole swych myśli i wspomnień, patrząc na sprawy ludzkie trochę jak przez sen, trochę już jakby z drugiego brzegu. Cierpiała bardzo mało, co lekarze uważali za zły znak; ale ona, poznawszy nieco jako Siostra miłosierdzia różne choroby, wiedziała, że niema dla niej ratunku, a przynajmniej, że ratunek nie w mocy ludzkiej i pozostała spokojna. Zapytana też przez Połanieckiego o zdrowie, odrzekła, podnosząc z wysileniem powieki:

— Źle chodzę, ale tak mi jest dobrze!

I było jej dobrze. Dokuczał jej jeden tylko moralny skrupuł. W duszy wierzyła najgłębiej, że gdyby pojechała do Lourdes, odzyskałaby z pewnością zdrowie, nie chciała zaś tego czynić i ze względu na odległość Lourdes od grobu Litki, i ze względu na swoją nostalgię za śmiercią. Nie wiedziała jednak, czy ma prawo poniechać czegokolwiek dla podtrzymania danego jej życia, a zwłaszcza, czy ma prawo przeszkadzać lasce i cudom — i niepokoiła się tem.

Obecnie uśmiechała się jej jednak myśl zobaczenia Maryni i była już gotowa do drogi; Świrski miał przyjechać po nią o piątej, tymczasem zaś obaj z Połanieckim poszli na umówiony obiad, Świrski bowiem, mimo całego przejęcia się sprawą Zawilowskiego, czuł się głodny jak wilk. Przyszedszy, czas jakiś siedzieli w milczeniu, wreszcie Połaniecki rzekł:

— Chciałem pana prosić jeszcze o jedno, mianowicie: byś dał znać panie Helenie o wszystkim, co zaszło, i zarazem powiedział jej, by nic nie mówiła mojej żonie.

— Dobrze — rzekł Świrski — pójdę jeszcze dziś do Jaśmienia, niby spacerem, i postaram się ją zobaczyć. Jeśli mnie nie przyjmie, napiszę jej na bilecie, że chodzi o Zawilowskiego. Jeśli będzie chciała przyjechać tu, to ją odwiezę, bo ja w każdym razie dziś jeszcze wrócę.

Po chwili zaś spytał:

— Nie mówił też panu Osnowski, czy panna Ratkowska jedzie z nimi, czy też zostaje w Przytułowie?

— Nie mówił nic — odrzekł Połaniecki — panna Ratkowska mieszka zwykle u swojej starszej krewnej, pani Mielnickiej. Jeśli pojedzie, to chyba dla towarzystwa pani Osnowskiej, której anielska natura dostała palpitacyi serca na widok tego, co się stało.

— Aa!! — rzekł Świrski.

— Tak. Innej racyi niema. Panna Ratkowska bawiła u Osnowskich dlatego, że niby Kopowski miał się o nią starać, a skoro Kopowski wystarał się o inną, więc dalszy jej pobyt nie miałby racyi bytu.

— Dalibóg, tak to coś bajecznego! — rzekł Świrski — to, z wyjątkiem Osnowskiej, one tam wszystkie kochały się w tym dudku!

Połaniecki uśmiechnął się ironicznie i kiwnął głową; na ustach uwieżyły mu słowa: „bez wyjątku! bez wyjątku!...”

Lecz Świrski rozpoczął teraz swoje wywody o kobiecie, od których dotąd się powstrzymywał.

— Ot, widzisz pan! ot, widzisz pan! — mówił. — Ja znam Niemki, Francuzki, a zwłaszcza Włoszki; Włoszki na ogół mniej mają porywów, mniej wykształcenia, więcej temperamentu, ale są szczerze i prostsze. Niech tego makaronu nie dojem, jeśliś widział gdzie tyle fałszywych aspiracy i taką niezgodność między naturą, która jest płaska, a frazesem, który jest wysoki. Żebyś pan wiedział, co taka panna Ratkowska mówiła mi o Koppowskim! Albo weź pan tę „Topólkę,” tę „Kolumienkę,” tę „Niteczkę,” tę pannę Castelli. Lilia — co? byłbyś pan przysiągł? Mimoza — co? artystka? Sybilla? złotowłosa i czarnooki ideał na długich nogach? — co? A ot, masz ją pan! Pokazało się! Wybrała nie człowieka, ale mydłko, nie mężczyznę, ale lalę. Jak przyszło co do czego, Sybilla zmieniła się w garderobianę. A ja panu powiadam, że one wszystkie palpitują do modnych mydłków — i niechże je piorun zapali!

Tu Świrski złożył swoją olbrzymią pięść i chciał uderzyć nią w stół, lecz Połaniecki zatrzymał ją w drodze i rzekł:

— Pozwolisz pan, że stało się jednak coś wyjątkowego!

Świrski począł się sprzeczać i utrzymywać, że „one wszystkie takie” — i że wszystkie wolą krawiecką miarę od fidyaszowskiej; stopniowo jednak począł przychodzić do równowagi i przyznał, że panna Castelli może być wyjątkiem.

— Pamiętasz pan, co panu mówiłem, kiedyś pytałeś o Broniczów? — rzekł — ni zasad, ni charakterów, parweniuszostwo duchowe — nic więcej! On był dureń,

a ją pan znasz... Bóg mnie ustrzegł, bo gdyby oni byli wówczas wiedzieli, że ja mam te jakieś głupie szpargały, których im brak, to nie byłoby mi robili min i mogłem się ładnie ubrać! Niechby mnie był las ogarnął!... Jak mnie pan widzisz, tak jadę z Zawilowskim za granicę, bo mam tego dość.

Zapłacili i wyszli. Na ulicy Świrski spytał:

— Co pan teraz robisz?

— Idę szukać Zawilowskiego.

— Gdzie go pan znajdziesz?

— Myślę, że u waryatów, u ojca, a jeśli nie, to będę na niego czekał w domu u siebie.

Lecz Zawilowski zbliżał się właśnie w tej chwili do restauracyi. Świrski spostrzegł go pierwszy z daleka.

— A ot, idzie! — rzekł.

— Gdzie?

— Po drugiej stronie ulicy. Jąbym go o wiorstę poznał po jego szczęce. Powiesz mu pan wszystko zaraz? Jeśli tak, to odchodzę. Nie potrzeba wam świadków.

— Dobrze — rzekł Połaniecki.

Zawilowski, spostrzegłszy ich również, przyspieszył kroku i stanął przed nimi, ubrany wykwintnie, prawie strojny, i z twarzą wesołą.

— Ojciec mój ma się lepiej! — zawołał nieco zdyszczanym głosem, podając im ręce — mam czas i wpadłam dziś do Przytułowa.

Lecz Świrski, uściskawszy silnie jego rękę, odszedł w milczeniu. Młody człowiek popatrzył za nim ze zdziwieniem i rzekł:

— Czy pan Świrski obraził się czem?

I spojrzawszy na Połanieckiego, spostrzegł dopiero, że i jego twarz ma jakiś poważny, niemal surowy wyraz.

— Co to znaczy? — spytał — czy co się stało?

Połaniecki zaś, wzięwszy go za rękę, rzekł głosem wzruszonym i serdecznym:

— Mój panie Ignasiu, uważałem pana zawsze nie tylko za wyjątkowy talent, ale i za wyjątkowy charakter. Mam panu oznajmić bardzo złe nowiny, ale jestem pewny, że znajdziesz w sobie dość siły i nie poddasz się nieszczęściu.

— Co się stało? — spytał, zmieniawszy się w jednej chwili na twarzy, Zawilowski.

Połaniecki skinął na dorożkę i rzekł:

— Siadaj pan! ...Na most! — zawołał, zwracając się do woźnicy.

Poczem wydobyl list Osnowskiego i oddał go Zawilowskiemu.

Młody człowiek rozerwał pośpiesznie kopertę i zaczął czytać. Połaniecki z wielką tkliwością otoczył go ręką w pól, nie spuszczać oczu z jego twarzy, na której w miarę czytania odbijało się zdumienie, niewiara w to, co czytał, ogłuszenie, a przede wszystkim przestach bez granic. Policzki pobierały mu jak płótno, widać jednak było, że, odczuwając nieszczęście, nie ogarnia go jeszcze i nie rozumie dokładnie, spojrzal bowiem na Połanieckiego, jakby bezmyślnie, i spytał zająklywym, cichym głosem:

— Jakże?... jakże ona mogła?...

Następnie, zdjawszy kapelusz, poczał wodzić ręką po włosach.

Połaniecki zaś rzekł:

— Nie wiem, co panu napisał Osnowski, ale tak jest!... Tu niema już co umniejszać rzeczy. Miej pan odwagę powiedzieć sobie, że to się stało i stało niepowrotnie. Pana było dla niej szkoda — boś wart więcej, niż to wszystko. Są ludzie, którzy pana prawdziwie cenią i kochają. Ja wiem, że to jest ogromne nieszczęście — i rodzony brat nie bolałby nad panem więcej, niż ja. Ale stało się!... Mój drogi panie Ignasiu! Oni pojechali. Bóg wie gdzie. Osnowscy także. W Przytułowie nikogo niema. Ja rozumiem, co się w panu musi dziać, ale pan masz przed sobą lepszą przyszłość, niż z panną Castelli. Bóg pana do większych rzeczy przeznaczył — i z pewnością dał panu większą niż innym siłę. Pan jesteś solą ziemi. Pan masz wyjątkowe obowiązki i względem siebie i względem ludzi... Ja wiem, że trudno jest machnąć od razu ręką na to, co się kochało — i tego od pana nie wymagam, ale panu nie wolno poddawać się, jak pierwszemu lepszemu, rozpaczy. Mój drogi, biedny panie!

Połaniecki mówił jeszcze długo i mówił z siłą, bo sam się wzruszył. Wypowiadał nawet w dalszym ciągu rzeczy nietylko serdeczne, ale i rozumne: że nieszczęście ma to do siebie, iż stoi, a człowiek czy chce, czy nie chce, musi iść w przyszłość, więc odchodzi od niego coraz dalej. Wlecz się wprawdzie za człowiekiem nic bólu i pamięci, ale coraz cieńsza, albowiem siła rzeczy jest taka, że żyje się jutrem. Wszystko to było prawdą, ale drugą, daleko bliższą, daleko realniejszą i bardziej dotykającą było to, o czem mówił list Osnowskiego. Poza

tym faktem istniały tylko puste dźwięki, odbijające się zewnętrznie o uszy, ale tak niezrozumiałe i — dla Zawilowskiego tak pozbawione wszelkiego sensu, jak turkot lub jak oddźwięk żelaznych krat mostu, przez który przejeżdżali obecnie z Połanieckim. Zawilowski mógł czuć i myśleć tylko w sposób ogromnie mętny, miał jednak poczucie, naprzód, że to, co się stało, jest wprost niemożliwym, a jednak jest, powtóre zaś, że on się żadną miarą na to zgodzić nie może i nigdy nie zgodzi — co jednak nie ma najmniejszego znaczenia. Na nic innego nie było w jego głowie miejsca. Nie umiał nawet uświadomić ani tego wszystkiego, co tracił, oprócz panny Linety, ani swego bólu, ani żalu, ani ruiny, ani pustki, ani utraty wszystkich podstaw życia; wiedział tylko, że panny Linety już nie ma, że go nie kochała, że go opuściła, że wyjechała z Kopowskim, że małżeństwo jego zerwane, że został sam, że to wszystko już się stało — i że on tego nie chce, jako rzeczy nieprawdopodobnej, niemożliwej i strasznej.

A jednak to się stało.

Dorożka poczęła jechać za mostem wolno, wymijali bowiem stado wołów pędzonych do miasta, a wśród ich ociężałego tupotu Połaniecki mówił dalej. O uszy Zawilowskiego odbijały się słowa: „Świrski, zagranica, Włochy, sztuka;“ ale on nie rozumiał, że Świrski, to znaczy znajomy człowiek, zagranica — wyjazd, a Włochy — kraj... On teraz mówił pannie Linecie: „To dobrze, ale cóż ze mną będzie? Jak ty mogłaś o tem nie pomyśleć, że ja cię tak ogromnie kocham?“ I przez chwilę wydało mu się, że gdyby ją zobaczył, że gdyby

mógł jej powiedzieć, że z ludzkim bólem trzeba się liczyć, toby się rozplakała i rzuciła mu się na szyję. „Nas jednak tyle rzeczy łączy — mówił jej — przecie ja jestem ten sam, twój...” I nagle wystająca szczeka poczęła mu drgać, na czole ukazały się żyły, a oczy zaszyły mgłą lez. Polaniecki, który miał nadzwyczaj dobre serce, i który prócz tego sądził, że potrafił go wzruszyć, objął go nagle za szyję i, sam wzruszony, począł go całować w policzek. Lecz rozrzewnienie Zawilowskiego nie trwało długo, albowiem wrócił do poczucia rzeczywistości. „Ja jej tego nie powiem — pomyślał — bo jej nie zobaczę, gdyż odjechała ze swoim narzeczonym — z Kopowskim.” I na tę myśl twarz skamieniała mu na nowo. Począł teraz lepiej uświadamiać całą doniosłość swego nieszczęścia. Uderzyła go po raz pierwszy myśl, że gdyby Lineta umarła, strata jego byłaby mniejszą. Otchłań śmierci zostawia wierzącym nadzieję wspólnego życia na drugim brzegu, niewierzącym — wspólność nicości, a zatem nadzieję jakiegoś wspólnego losu i połączenia się. Przytem śmierć jest bezsilną wobec kochania, które idzie za grób; może drogą duszę zabrać, ale nie może nam zabronić jej kochać i nie może jej skazić — owszem, przebóstwia ją i czyni nie tylko kochaną, ale i świętą. A Lineta, odejmując Zawilowskiemu siebie, to jest najdroższą duszę, odjęła razem i nadzieję, i prawo kochania, i prawo żalu, i prawo tęsknoty, i prawo czci; odchodząc sama, zostawiła nadomiar skażoną pamięć. Zawilowski uczył teraz jasno, że jeśli nie potrafi przestać jej kochać, to tem samem będzie nędznikiem, a czuł, że nie potrafi! I z tą dopiero

chwilą ogarnął cały ogrom spustoszenia, ruiny, męki. Z tą chwilą zrozumiał, że to jest więcej, niż można znieść.

Połaniecki zaś mówił:

— Jedź ze Świrskim do Włoch, przebolej, mój drogi, przecierp!... Inaczej nie może być. Ale świat jest szeroki! Tyle rzeczy do widzenia, do kochania! Przed tobą wszystko otworem. I przed nikim tak, jak przed tobą. Światu się od ciebie dużo należy, ale i tobie dużo od świata. Mój drogi! Jedź — życie jest naokoło, życie jest wszędzie; przyjdą nowe wrażenia, którym się nie oprzesz, i zajmą ci myśl, złagodzą ból. Nie będziesz się kręcił koło jednego wspomnienia. Świrski pokaże ci Włochy. Zobaczysz, co to za towarzysz i jakie ci horyzonty otworzy. Przytem powiem ci, że człowiek, jak ty, powinien mieć tę siłę, którą ma muszla perłowa, i wszystko zmieniać po prostu w perły. A teraz słuchaj, co ci mówi prawdziwy przyjaciel. Jedź i to zaraz. Przrzecz mi, że pojedziesz. Da Bóg mojej żonie szczęśliwie przebyć słabość, to może i my się tam na wiosnę wybierzemy. Obaczysz, jak nam będzie doskonale. Cóż, Ignasiu, przrzeczysz mi — dobrze?

— Dobrze — odpowiedział Zawilowski, usłyszawszy ostatni wyraz, a wogóle nie wiedząc, o co chodzi.

— No, to chwalić Boga! — zawołał Połaniecki. — Wrócimy teraz do miasta i spędzimy wieczór razem. Ja mam coś do roboty w biurze i wybrałem się na dwa dni.

To rzekłszy, kazał zawrócić, bo zresztą i słońce miało się pod zachód. Był śliczny dzień, taki, jakie zdarzają się w końcu lata. Nad miastem unosił się złotawy,

delikatny pył; dachy, a zwłaszcza kościelne wieże, połyskiwały po brzegach jakby odbłaskiem bursztynu i, rysując się czysto w przezroczym powietrzu, zdawały się w niem lubować. Czas jakiś jechali w milczeniu.

— Gdzie wolisz zajechać, do mnie czy do siebie? — spytał Połaniecki, gdy wjechali do miasta.

Ruch miejski zdawał się Zawiłowskiego otrzeźwiać, spojrział bowiem zupełnie przytomnie na Połanieckiego i rzekł:

— Od wczoraj nie byłem w domu, bom nocował u ojca. Może tam są jakie listy, więc jedźmy do mnie.

I Zawiłowski dobrze przewidział, w mieszkaniu bowiem czekał go list od pani Broniczowej z Berlina. Zawiłowski gorączkowo rozerwał kopertę i począł czytać, Połaniecki zaś, patrząc na mieniącą się jego twarz, pomyślał:

— I powiedzieć, że w nim tai się jeszcze coś nadziei.

Tu przyszedł mu nagle na pamięć ów młody doktor, który w swoim czasie mówił mu o pannie Krawskiej:

— Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy odedrzeć...

Zawiłowski skończył czytanie i, wsparłszy głowę na rękę, począł patrzeć bezmyślnie na stół i leżące na nim papiery. Wreszcie, ocknąwszy się, podał list Połanieckiemu.

— Czytaj pan — rzekł.

Połaniecki wziął list i czytał, co następuje:

„Wiem, że pan wierzył naprawdę w swoje uczu-

cie dla Niteczki, i że w pierwszej chwili, to, co się stało, wyda się panu nieszczęściem; niech mi pan też wierzy, że i mnie, i jej, nie łatwo przyszło zdobyć się na krok stanowczy. Pan może nie potrafił dobrze ocenić Niteczki (mężczyźni tylu rzeczy nie umieją ocenić), ale powinien ją pan był poznać przynajmniej o tyle, żeby wiedzieć, ile ją kosztuje, gdy musi wyrzucić najmniejszą przykrość, nawet komuś obcemu. Ale trudno! taka jest wola boska, której grzech nie słuchać. Czynimy obie to, co nam sumienie nakazuje — i Niteczka zbyt jest prawa, żeby mogła oddać panu rękę, bez prawdziwego przywiązania. To, co się stało, stało się nietylko zgodnie z wolą boską, ale zgodnie z dobrem pana i jej; gdyby bowiem, nie kochając pana dostatecznie, została pańską żoną, jakżeby mogła oprzeć się pokusom, na które taka istota z pewnością będzie wobec światowego zepsucia narażona? Prócz tego, pan ma swój talent, więc pan ma coś, Niteczka zaś tylko serce, które przymus zламаłby w jednej chwili — i jeżeli się panu zdaje, że ona pana zawiodła, niech pan sumiennie pomyśli, czyja wina jest większa? Pan wiele złego wyrządził Niteczce, bo pan opętał jej wolę i nie pozwolił pójść za naturalnym popędem serca, a tem samem poświęcił pan, lub gotów był poświęcić przez egoizm jej szczęście, a nawet życie, jestem bowiem przekonana, że w takich warunkach nie przeżyłaby jednego roku. Niech to panu jednak Bóg przebaczy, tak jak my obie przebaczymy — i niech pan wie, że dziś jeszcze modliłyśmy się za pana, na umyślnie zamówionej na pańską intencję mszy u św. Jadwigi.

„Pierścionek zechciej pan odesłać do willi Osnowskich; pański, ponieważ Osnowscy także mieli zaraz wyjechać, dojdzie pana przez ręce panny Ratkowskiej. Raz jeszcze, niech panu Bóg wszystko przebaczy i zachowa go w swojej opiece.“

— To jest coś niesłychanego! — rzekł Połaniecki.

A Zawilowski odrzekł z rozdzierającym smutkiem:

— To widać z prawdy można toż samo zrobić, co z miłości, a jam się tego nie domyślał.

— Słuchaj mnie Ignasiu — odpowiedział Połaniecki, który pod wpływem współczucia począł mówić Zawilowskiemu *ty* — to już kwestya nietylko twojego nieszczęścia, ale twojej godności. Cierp, ile chcesz, ale powinienes znaleźć siłę do okazania, że o to wszystko nie dbasz.

Nastało długie milczenie. Tylko Połaniecki, przypominając sobie list, powtarzał od czasu do czasu:

— To przechodzi ludzkie pojęcie!

Wreszcie zwrócił się do Zawilowskiego:

— Świrski wraca dziś jeszcze z Buczynka i późnym wieczorem wpadnie do mnie. Chodź i ty. Spędzimy wieczór razem i pogadacie o podróży.

— Nie — rzekł Zawilowski — ja po powrocie z Przytułowa miałem spędzić noc u ojca — i muszę do niego iść. Jutro rano przyjdę do pana i zobaczę się ze Świrskim.

Mówił zaś tak, ponieważ chciał zostać sam. Połaniecki nie sprzeciwił się jego zamiarowi spędzenia nocy w zakładzie, sądził bowiem, że zajęcie przy chorym i opieka nad nim zajmą umysł Zawilowskiego, przytem

zaś przyjdzie znużenie i potrzeba snu. Postanowił jednak odprowadzić go aż do zakładu.

Jakoż pożegnali się dopiero przy bramie. Zawilowski jednak, zabawiwszy kilka minut w zakładzie i wypytawszy się dozorcey o ojca, wyszedł i ukradkiem wrócił do domu.

Zapaliwszy świecę, odczytał raz jeszcze list pani Broniczowej, i zakrywszy twarz rękoma, począł rozmyślać. Mimo listu Osnowskiego i mimo wszystkiego, co mu powiedział Połaniecki, jakaś wątpliwość i jakaś nadzieja tały się istotnie w jego duszy. Wiedział, że *stało się*, ale chwilami miał takie uczucie, jakby to nie była rzeczywistość, tylko zły sen. Dopiero list pani Broniczowej dotarł do tego jakiegoś kącika duszy, który jeszcze nie chciał wierzyć — i wypalił w nim resztę złudzenia. Tak! nie było już Linety, nie było przyszłości, nie było szczęścia! Posiadł to wszystko Kopowski, jemu zaś została tylko samotność, upokorzenie i okropna nicość. Zostało mu także wrażenie, że gdyby „Niteczka“ mogła mu wydrzeć i talent, o którym wspominała pani Broniczowa, to byłaby wydarła i oddała Kopowskiemu. Czemże on był dla niej wobec Kopowskiego!? „Tego ja wprawdzie nigdy nie zrozumieć — pomyślał — ale tak jest!...“ I począł się zastanawiać, co w nim jest tak nędznego, żeby go tak poświęcić bez miłosierdzia, bez najmniejszej uwagi, żeby się mniej liczyć z nim, niż z najlichszym robakiem. „Czemu ona kocha Kopowskiego, nie mnie, któremu mówiła, że kocha?“ I przypomniał sobie, jak mu kiedyś drżała w ramionach, gdy po zaręczynowym wieczorze oddawał jej dobranoc. A teraz drży tak samo w ramio-

nach Kopowskiego. I na tę myśl, porwawszy chustkę, począł ją ścisnąć w zębach, żeby nie krzyknąć z bólu i wściekłości. „Co to jest? dlaczego się to stało!“ Był przecie czas, że on jej nie kochał, dlaczego wówczas nie wyszła za Kopowskiego? Co ona mogła mieć w tem, by go tak podeptać bez żadnej potrzeby?

I znów porwał za list pani Broniczowej, jakby spodziewając się znaleźć w nim odpowiedź na te straszne pytania. Przeczytał raz jeszcze ustęp o woli boskiej i o tem, że to on był winien, że on wyrządził wiele złego „Niteczce“ — i o tem, że ona mu przebacza, i o mszy, która się odprawiła na jego intencję u św. Jadwigi, a skończywszy, począł patrzeć w świecę, mrugać oczyma i mówić:

— Jakto?... więc to tak można?... Co ja właściwie zawiniłem?...

I nagle uczuł, że poczyna go opuszczać pojęcie, co jest prawda a co fałsz, co krzywda a co dobro, co słuszność a co niesłuszność. Odeszła od niego Lineta, zabrała mu siebie, zabrała przyszłość, a teraz zaczęły się usuwać, jedna po drugiej, wszystkie podstawy życia — i rozum, i zmysły, i samo życie... Wiedział jeszcze, że on tę swoją Niteczkę zawsze kochał nad życie i że żadną miarą nie mógł chcieć jej krzywdy, ale poza tem wrażeniem, wszystko, co stanowi istotę myślącą, kruszyło się w nim na proch i jak proch rozlatywało się w tym ogromnym wietrze nieszczęścia.

Jednakże kochał. Lineta rozdawała mu się teraz na dzisiejszą i dawną. Począł sobie przypominać jej głos, twarz, jasno-złote włosy, jej czarne oczy i usta, jej wy-

soką postać, ręce i to ciepło, które tylekroć wyczuwał od nich ustami. Potężna jego wyobraźnia odtworzyła ją niemal dotykalnie i poznał, że nie tylko tę swoją dawną kochał, ale kocha dotąd, że bez żadnej miary tęskni za nią i bez miary cierpi po jej stracie.

A poznawszy to, jął znów do niej mówić:

— Jakże ty mogłaś przypuszczać, że ja to potrafię przenieść?

W tej chwili nie miał też najmniejszej wątpliwości, że, na przykład, Bóg wie to bardzo dobrze. Długo czas przesiedział jeszcze w milczeniu i świeca była niemal do połowy wypalona, gdy się ocknął.

Ale wówczas stało się w nim coś nadzwyczajnego.

Miał takie wrażenie, jakby odbijał statkiem od lądu — i zdawało mu się, co wówczas zawsze się zdaje, że to nie on się oddala, ale że od niego odsuwa się ten brzeg, na którym dotąd przebywał. Wszystko, co było nim i wogóle jego życiem, wszystkie myśli, nadzieje i ambicje, cele, zamiary, nawet miłość, nawet panna Lineta, nawet jej strata — i te koła błędne, i te męki, przez jakie przeszedł, wydały mu się nie tylko już od niego oddzielone, ale jakby obce i wyłącznie do tamtego lądu należące. I stopniowo nikły, stopniowo topniały — coraz mniejsze, coraz bardziej widziadłowe, coraz podobniejsze do snu; a on oddalał się, czując, że do tej obczyzny wrócić już nie chce, nie może — i że wszystko, co z niego zostało, należy do tego przestworu, który brał go w siebie i otwierał się przed nim — niezmierny i tajemniczy...

XV.

W cztery dni później, w dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny, który był zarazem dniem imienin pani Połanieckiej, Bigielowie i Świrski przyjechali do Buczynka. Maryni nie zastali w domu, była bowiem wraz z panią Emilią na nieszporach w jaśmieńskim kościele. Pani Bigielowa, dowiedziawszy się o tem, udała się z całą gromadką Bigieląt za niemi. Mężczyźni, pozostawszy sami, rozmawiali o wypadku, o którym od kilku dni rozmawiało całe miasto, to jest o usiłowanem samobójstwie Zawilowskiego.

— Byłem u niego dziś trzeci raz — rzekł Bigiel — ale służba panny Heleny Zawilowskiej ma rozkaz niedopuszczania nikogo, prócz lekarzy.

— I mnie — rzekł Połaniecki; -- dziś pierwszy raz nie mogłem go odwiedzić, ale poprzednich dni spędzałem codzien u niego po kilka godzin. Żonie mówię, że przesiaduję w biurze dla interesów.

— Powiedz mi, jak to się stało? — spytał Bigiel, który chciał wiedzieć wszystkie szczegóły, by je potem dokładnie po swojemu rozważyć.

— Stało się tak — odrzekł Połaniecki — że Ignas powiedział mi, iż idzie do zakładu obłąkanych do ojca. Byłem z tego rad, bom sądził, że go to oderwie od rozmyślań. Odprowadziłem go jednak aż do bramy i obiecał mi, że nazajutrz do mnie przyjdzie. Tymczasem pokazało się, że chciał się mnie pozbyć, by sobie spokojnie w łeb strzelić.

— Więc ty nie pierwszy go znalazłeś?

— Nie. Nie przypuszczałem nic podobnego i byłbym go czekał do jutra. Na szczęście, panna Helena przyjechała na samą wieść o zerwaniu małżeństwa...

— Ja jej dałem o tem znać — przerwał Świrski — i tak to wzięła do serca, że ażem się zdumiał — jakby przeczuwała co się stanie!

— To dziwna istota — rzekł Połaniecki. — Nie mogłem się wywieźć, jak to było, dość, że ona pierwsza go znalazła, ona pierwsza dała mu ratunek, ona pierwsza wezwała całą czeredę doktorów — i wreszcie kazała go przenieść do siebie.

— Ale lekarze utrzymują, że będzie żył?

— Właściwie nic dotychczas nie wiedzą. On musiał przy strzale pochylić broń, tak, że kula, przebiwszy czoło, poszła ku górze i zatrzymała się pod czaszką. Znaleźli i wyjęli ją dość łatwo, ale czy będzie żył — a jeśli będzie, to czy umysł jego ocaleje — nie wiadomo. Jeden z lekarzy obawia się zaburzeń w mowie, ale teraz chodzi jeszcze o życie.

Wypadek, jakkolwiek ogólnie już znany i opisywany dotychczas codziennie przez gazety, czynił zawsze wrażenie tak wielkie, iż czas jakiś trwało milczenie.

Świrski, który przy swych muskułach atlety miał kobiecą wrażliwość, przybladł nieco i wybuchnął:

— Przez takie — kabotenki!

Lecz siedzący obok profesor Waskowski rzekł z cicha:

— Zostaw je pan bożemu miłosierdziu.

— Proszę cię — rzekł Bigiel, zwracając się do Połanieckiego — a ty nie podejrzewałeś?

— Ani mi do głowy nie przyszło, żeby miał sobie w łeb strzelić. Oczywiście, widziałem, że się ze sobą łąmie. Przez chwilę, gdyśmy jechali, poczęła mu się broda trząść, jakby chciał wybuchnąć płaczem, ale to harda dusza. Pohamował się zaraz i pozornie uspokoił. Głównie zwiódł mnie obietnicą, że nazajutrz przyjdzie.

Po chwili zaś mówił dalej:

— Wiecie, co mi się zdaje? Oto, że taką ostatnią kroplą, która przelała naczynie, był list Broniczowej. Ignas dał mi go do czytania: napisała mu, że to wola boska, a wina po jego stronie, że był egoistą, one zaś idą za głosem sumienia i prawości, że mu przebaczą i proszą Boga, żeby mu także przebaczył, słowem: niesłychane rzeczy! Widziałem, że to zrobiło na nim rozpaczliwe wrażenie — i wyobrażam sobie, co się musiało dziać z człowiekiem, tak skrzywdzonym i tak egzaltowanym, gdy w dodatku zobaczył, że to jemu przypisują krzywdę, gdy zrozumiał, że wszystko można sponiewierać, odwrócić, że można podeptać rozum, prawdę, najprostsze zasady słuszności — i zasłonić się Panem Bogiem. Mnie to przecie nie tyczyło, a gdy obaczył ten cynizm, czy też ten brak moralnego zmysłu, dalibóg,

zadalem sobie pytanie, czy ja zwaryowalem, czy tez na swiecie prawda i uczciwosc sa tylko zlodzeniem.

Tu Polaniecki poczal targac goraczkowo brode, tak wzburzalo go samo wspomnienie listu pani Broniczowej, Świrski zaś rzekł:

— Rozumiem, że gdy nawet jest się człowiekiem wierzącym, w takich chwilach można plunąć na życie.

Lecz Waskowski poczał trzeć ręką czoło i następnie ozwał się, jakby sam do siebie:

— Tak. Widziałem i takich... Bo są ludzie, którzy wierzą nie z miłości, ale jakby tylko dlatego, że ateizm zbankrutował... jakby z rozpacz. Kto sobie wyobraża, że tam gdzieś, za zjawiskami, jest, nie Ojciec miłosierny, który kładzie rękę na każdej nieszczęsnej głowie, ale jakiś On, niedostępny, niezbadany i obojętny — wtedy wszystko jedno, czyby się powiedziało: absolut, nirwana — wtedy On jest tylko pojęciem, nie miłością — i nie można go kochać, a gdy przyjdzie nieszczęście, to się pluje na życie.

— To dobrze — odpowiedział opryskliwie Świrski — ale tymczasem Zawilowski leży z rozbitą czaszką, a one pojechały sobie gdzieś nad morze i dobrze im.

— Skąd pan wie, że im dobrze? — spytał Waskowski.

— Pal je licho!

— A ja panu mówię, że to są nieszczęśliwe kobiety. Niewolno bezkarnie deptać prawdy. One będą wmawiały jedna w drugą różne rzeczy, ale jednej wmówić nie potrafią, to jest szacunku dla siebie; poczną sobą po cichu pogardzać — i w końcu nawet to przy-

wiązanie, jakie do siebie mają, zmieni się w skrytą niechęć. To musi nastąpić.

— Pal je licho! — powtórzył Świrski.

— Miłosierdzie boże jest dla złych, nie dla dobrych — zakończył Waskowski.

Tymczasem Bigiel rozmawiał z Połanieckim, podziwiając dobroć i odwagę panny Heleny Zawiłowskiej.

— Bo to z tego będą ludzkie gadania, bajeczne — rzekł.

— Ona o to nie dba — odpowiedział Połaniecki. — Ze światem się nie liczy, bo nic od niego nie chce. To także harda dusza. Zawiłowskiemu okazywała zawsze wyjątkowe przywiązanie, a jego postępek musiał ją okropnie wstrząsnąć. Wiecie?... Historia Płoszowskiego?..

— Znałem go osobiście — rzekł Świrski. — Ojciec jego przepowiedział mi pierwszy w Rzymie, że wypłynę... O panie Helenie mówiono bogdaj, że była narzeczoną Płoszowskiego.

— Nigdy nią nie była, ale podobno w skrytości serca kochała go ogromnie. Takie już miał szczęście... To pewna, że od jego śmierci zupełnie stała się inną. Dla kobiety, tak wierzącej, jego samobójstwo istotnie musiało być strasznym ciosem, bo co to jest, nie móż się nawet modlić za człowieka, którego się kochało!... A teraz znów Zawiłowski!... Jeśli kto, to ona, zrobi wszystko, żeby go uratować. Wczoraj, jak tam byłem, wyszła do mnie ledwie żywa — blada, zmęczona, niewyspana. A tam przecie jest komu go pilnować. Panna Ratkowska mówiła mi o niej, że od czterech dni spała może godzinę.

— Panna Ratkowska? — zapytał żywo Świrski.

— Tak! Zapomniałem powiedzieć: dowiedziała się z gazet o wypadku i tego samego dnia przeniosła się do panny Heleny, żeby czuwać nad Zawilowskim. Biedactwo, także podobniejsze do cienia, niż do człowieka.

— Panna Ratkowska!... — powtórzył Świrski.

I począł mechanicznie szukać ręką w kieszeni od surduta pugilaresu, w którym nosił jej bilet.

Przypomniał sobie teraz jej słowa: „*Wybrałam inaczej — i jeżeli nigdy nie będę szczęśliwa, nie chcę przynajmniej wyrzucać sobie później, że byłam nieszczerą*“. Teraz dopiero zrozumiał i znaczenie, i rzeczywistą tragedję tych słów. Oto, wbrew wszelkim światowym względom, nie dbając na języki ludzkie, ta młoda dziewczyna poszła teraz pilnować tego samobójcy. Cóż to mogło znaczyć? Rzecz była jasna, jak słońce. Wprawdzie Kopowski wyjechał z inną, ale ona mówiła zawsze otwarcie, co myśli o Kopowskim, a gdyby Zawilowski był jej obojętny, nie szłaby teraz przecie czuwać u jego łóżka.

— Zdaje się, że ja jestem osieł! — mruknął Świrski.

Lecz nie był to jedyny wniosek, do którego po dojrzałszej rozwadze doszedł. Nagle objęła go tęsknota za panną Ratkowską, żal, że się to nie stało, co się mogło stać, i wielka, bezgraniczna litość nad nią: „Spudłowałeś znów, stary dziku — mówił sobie dalej — i dobrze ci tak! Ale dobry człowiek byłby czuł litość, a ty począłeś zgrzytać; posądzałeś ją o miłość dla durnia, o udawanie aspiracyi, o płaską naturę; obgadywałeś ją przed panią Połaniecką i przed nim; krzywdziłeś słodkie i nieszczęsne stworzenie, nie dlatego, by cię jej odmowa

zbyt bolała, ale przez miłość własną. Dobrze ci tak! dobrze! Jesteś osieł, jesteś jej nie wart i będziesz się kotalał sam do śmierci, jak mandryl za kratą w menażeryi“.

Była w tych zarzutach część prawdy. Świrski nie kochał się na dobre w pannie Ratkowskiej, ale jej odmowa ubodła go głębiej, niż sam przyznawał — i nie umiając zapanować nad swą goryczą, wdawał się w ogólne wywody o kobietach, cytując pannę Ratkowską, jako przykład — z ujmą dla niej.

Teraz zaś poznał całą czczość podobnych wywodów. — „Te głupie syntezy gubiły mnie zawsze — myślał. — Kobiety są to indywidua, jak wszyscy ludzie — i pojęcie ogólne: kobieta, nic nie objaśnia. Jest taka panna Castelli, jest taka pani Osnowska, w której przypuszczam rozmaite szelmowstwa, nie mając zresztą na to dowodów; ale z drugiej strony, jest pani Połaniecka, pani Bigielowa, jest siostra Aniela i panna Helena, i panna Stefcia. Biedne dziecko — i dobrze mi tak! Ona się tam po cichu martwiła, a jam zgrzytał. Jeżeli taka dziewczyna nie jest dziesięć razy więcej warta ode mnie, to to słońce nie jest warte mojej fajki. Miała świętą rację, dawszy odkosza takiemu bawołowi. Pojadę sobie na Wschód i basta! Takiego światła, jak w Egipcie, niema na świecie!... I co to jest uczciwa kobieta! Przecie ona zrobiła mi dobrze nawet swoją odmową, bom się przez nią przekonał, że moje teorye o kobietach można psu o grzbiet potłuc. Ale żeby panna Zawilowska postawiła cały pułk dragonów przed drzwiami, to muszę tamtę biedaczkę zobaczyć i powiedzieć jej, co o niej myślę.

Jakoż nazajutrz udał się do domu panny Heleny.

Nie chciano go wpuścić, ale nastawał tak, że wreszcie został przyjęty. Panna Helena, sądząc, że powoduje nim wyłącznie przyjaźń i troskliwość, wprowadziła go nawet do pokoju, w którym leżał ranny. Tam, w mroku zapuszczonych rolet, ujrzał Zawilowskiego, od którego bił zdala zapach jodoformu, z obwiązaną głową i z wystającą szczęką, a przy nim te dwie kobiety wymęczone, z gorączką od bezsenności w twarzach, i rzeczywiście do dwóch cieniów podobne. Zawilowski leżał z otwartymi ustami, zmieniony, nic do siebie niepodobny, jakby bez porównania starszy, z opuchliną na powiekach, wychylających się z pod bandażu. Świrski polubił go był bardzo — i przy swej wrażliwości miał dla niego nie mniej współczucia od Połanieckiego lub Osnowskiego — jednakowoż uderzyła go teraz jego szpetność. — „Ten się dopiero urządził“ — pomyślał, poczem, zwróciwszy się do panny Heleny, spytał półgłosem:

— Nie odzyskał przytomności?

— Nie — odpowiedziała szeptem.

— Cóż doktor mówi?

Panna Helena poruszyła swemi wychudłemi dłońmi, na znak, że wszystko jeszcze niepewne, poczem szepnęła znowu:

— Dziś piąty dzień...

— I gorączka mniejsza — dodała panna Ratkowska.

Świrski chciał ofiarować swoje usługi do pilnowania chorego, ale panna Zawilowska wskazała mu oczyma młodego lekarza, którego zrazu nie mógł w mroku dostrzedz, a który, siedząc w fotelu obok stołu z miednicą

i stosami jodoformowej waty, drzemał ze zmęczenia, czekając, póki drugi go nie zmieni.

— Mamy dwóch — szeptała panna Ratkowska — a prócz nich, ludzi z domu zdrowia, którzy umieją obchodzić się z chorym.

— Panie ogromnie się jednak męczą.

— Tu chodzi o chorego!... — odpowiedziała, spoglądając w stronę łóżka.

Świrski poszedł za jej wzrokiem. Oczy jego przyzwyczyły się już lepiej do mroku i dojrzał teraz wyraźnie twarz Zawilowskiego, nieruchomą, z wargami prawie czarnymi. Długie jego ciało było również nieruchome, tylko palce wychudłej ręki, leżącej na koldrze, poruszały się jednostajnym ruchem, jakby ją drapiąc.

— Wywiozą go za parę dni, jak Bóg na niebie! — pomyślał, wspominając swego kolegę, owego „Słowianina“, z którym droczył się swego czasu Bukacki, a który, strzeliwszy sobie w głowę, zmarł dopiero po dwóch tygodniach męki.

Chcąc jednak dodać otuchy kobietom, rzekł wbrew temu, czego był pewien:

— Tego rodzaju rany, albo zaraz są śmiertelne, albo się leczą.

Panna Helena nie odpowiedziała nic, tylko twarz ściągnęła się jej kurczowo i usta pobladły. Widocznie w jej duszy tała się straszna myśl, że on *także* może umrzeć, a nie chciała jej dopuścić. Miała dość jednego tamtego samobójstwa — i zarazem chodziło jej o coś więcej, niż o uratowanie Zawilowskiemu życia.

Świrski począł się żegnać. Wchodził tu z przysto-

waną przemową do panny Ratkowskiej, której postanowił się przyznać, że ją niesłusznie posądzał, wyrazić całą cześć, jaką dla niej żywił, i prosić o przyjaźń, ale wobec rzeczywistej tragedii tych dwóch kobiet, wobec tej grozy śmierci i tego pół-trupa, uznał natychmiast, że wszystko, co miał zamiar powiedzieć, było liche, małe, i że tu na takie marne, osobiste rzeczy nie pora.

Przycisnął tylko do ust w milczeniu rękę panny Heleny, a następnie panny Ratkowskiej — i wyszedłszy z tego pokoju przesyconego nieszczęściem i jodoformem, odetchnął głęboko.

W jego malarskiej wyobraźni przedstawił się teraz wyraźnie Zawilowski, zmieniony, o dziesięć lat starszy, z obwiązaną głową i czarnymi wargami.

I pomimo całego współczucia, jakie dla niego miał, chwyciło go nagle oburzenie.

— Przedziurawił sobie czaszkę — mruknął — przedziurawił talent — i ani dba! A tamte, niebogi, dusze z siebie wywłóczą i trzęsą się jak liście.

Poczem ogarnęło go jakby uczucie zazdrości, jakby żal nad samym sobą i jął monologować:

— Cóż, stary! A gdybyś ty naprzykład zapakował sobie w swój talent kawałek ołowiu, niktby przy tobie nie chodził tak na palcach!

Dalsze rozmyślania przerwał pan Pławicki, który, spotkawszy go na skrócie ulicy, zatrzymał i zaczął rozmawiać.

— Ja dopiero z Karlsbadu — rzekł. — Panie! ile przystojnych kobietek! Dziś jadę do Buczynka... Widzia-

łem już Połanieckiego i wiem, że córka zdrowa; ale on się jakoś ściągnął.

— Bo miał zmartwienie. Słyszał pan o Zawilowskim?

— Słyszałem! słyszałem! A cóż panie? — co pan na to?

— Nieszczęście!

— Nieszczęście, ale i to, że dziś niema zasad. Wszystko to te nowe wymysły, te wasze ateizmy, hipnotyzmy, socjalizmy. Młodzież nie ma zasad — ot, co!...

XVI.

Połaniecki, pod wrażeniem katastrofy, zapomniał zupełnie o obietnicy uczynionej Osnowskiemu, że napisze mu, jak Zawilowski przeniósł zerwanie małżeństwa i odjazd panny Castelli. Osnowski jednak, dowiedziawszy się o wypadku z gazet, począł codziennie wypytywać depeszami o stan chorego — i niepokoił się nim ogromnie. W prasie i publiczności krążyły najsprzeczniesze wieści. Niektóre pisma donosiły, iż stan ów jest bez nadziei, inne przepowiadały rychłe wyzdrowienie. Połaniecki przez długi czas nie mógł też donieść nic pewnego, i dopiero po dwóch tygodniach przesłał depeszę, że chory przestał się wahać między życiem a śmiercią — i że lekarze ręką już stanowczo za jego ocalenie.

Osnowski odpowiedział obszernym listem, w którym donosił zarazem rozmaite nowiny z Ostendy.

— „Bóg panu zapłać za dobrą wiadomość. Więc to już stanowczo wszelkie niebezpieczeństwo minęło? Nie umiem panu wypowiedzieć, jaki ciężar spadł z serca nam obojgu. Powiedz pan Ignasiowi, że nietylko ja, ale i moja żona przyjęła ze łzami nowinę o jego ocaleniu.

Ona a nikim innym teraz nie mówi i nie myśli, tylko o nim. Ach panie, co to są kobiety! — możnaby tomy o tem pisać! Anetka, to przecie wyjątek, a da pan wiarę, że, pomimo całego przerażenia, żalu i współczucia, Ignas urósł jeszcze w jej oczach przez ten nieszczęsny postęp. One szukają zawsze strony romantycznej, tak dalece, że nawet i w Kopowskim, Anetka, która zna całą jego głupotę, widzi teraz, jako w sprawcy nieszczęścia, coś demonicznego. Ale przedewszystkiem, chwała Bogu za ocalenie Ignasia! Niech żyje na chwałę naszego społeczeństwa i niech znajdzie godną siebie istotę. Z depeszy pańskiej wnoszę, że jest pod opieką panny Heleny. Niech i jej da Bóg wszystko dobre za takie poczciwe serce. Ona istotnie nie ma nikogo bliższego na świecie — i wyobrażam sobie, że Ignas przez wspomnienie Płoszowskiego jest jej jeszcze droższy.

„Teraz gdy mnie pan już uspokoił o jego życie, mogę wam przesłać kilka wiadomości o ciotce Broniczowej i o Linecie. Może pan już słyszał, że one tu są, wraz z Kopowskim. Pojechały naprzód do Scheveningen, ale dowiedziały się, że tam ospa, więc uciekły do Ostendy, nie przypuszczając, że i my tu jesteśmy. Spotkaliśmy się kilkakrotnie w Kursalu — i udawaliśmy, że się nie znamy. Kopowski zostawił nawet u nas bilety, ale go nie rewizytowałem, pomimo, iż, jak słusznie mówi moja żona, on w tem wszystkiem daleko mniej winien od nich. Dopiero po otrzymaniu tej depeszy, w której mi pan donosisz, że Ignas stanowczo uratowany, zdawało mi się, że sama ludzkość nakazuje im ją posłać — i tak zrobiłem. Im się i tak tu źle dzieje, bo znajomi odsu-

wają się od nich — chciałem więc, by przynajmniej to wiedziały, iż nie mają życia ludzkiego na sumieniu, tem bardziej, że Lineta jakoby jednak odczuła postępek Ignasia. Jakoż tego samego dnia były u nas z wizytą, i żona moja je przyjęła. Ona słusznie mówi, że zło jest chorobą moralną, a w chorobie nie godzi się krewnych opuszczać. Wogóle to pierwsze zetknięcie się było i ciężkie i kłopotliwe dla obu stron. O Ignasiu nie mówiliśmy ani słowa. Kopowski występuje tu jako narzeczony Linety, ale nie wydają się zbyt uszczęśliwieni, choć, co prawda, to ona stosowniejsza dla niego, niż dla Ignasia, i pod tym przynajmniej względem wszystko, co zaszło, można uważać za zrządzenie boże. Wiem też od osób postronnych, że tak przedstawia rzecz i ciotka Broniczowa. Nie potrzebuję panu mówić, jak mnie złości to nadużywanie imienia boskiego. Wiem, że niektórym z bawiących tu znajomych próbowała wmówić, iż zerwały z Ignasiem z powodu jego braku uczuć religijnych; innym opowiadała historye o jego despotyzmie i niezgodności usposobień z Linetą. Wszystko to jest oszukiwanie, nietylko świata, ale i siebie. Ciotka, przez ciągle wmawianie sobie i innym, sama w końcu uwierzyła w podniosły charakter Linety — i pod tym względem doznała ogromnego zawodu. Poczująca się wprawdzie do obowiązku osłaniania jej, wymyśla Bóg wie co na jej obronę i miota się, jak szalona, ale poczucie zawodu w niej tkwi i myślę, że się tem gryzie, bo zmizerniała mocno. Chodzi też im widocznie o stosunki z nami; myślą, że je to niejako zwiąże napowrót ze światem, ale chociaż żona moja je przyjęła, oczywiście, stosunki nasze

nie mogą powrócić do dawnej normy. Ja pierwszy nie mógłbym na to pozwolić, ze względu na mój obowiązek dobierania dla żony odpowiedniego towarzystwa. Ślub Linety z Kopowskim ma się odbyć podobno za dwa miesiące w Paryżu. Naturalnie, że nie będziemy. Żona moja zresztą patrzy na to bardzo sceptycznie. Rozpisałem się obszernie, w nadziei, że w ten sposób zobowiązę pana do równie obszernej odpowiedzi ze wszelkimi szczegółami o Ignasiu. Gdy stan zdrowia jego na to pozwoli, niech go pan uściska odemnie i niech [mu pan powie, że ma i zawsze będzie miał we mnie najserdeczniejszego, duszą i sercem oddanego mu przyjaciela.“

Pani Marynia, mimo spóźnionej pory, mieszkała jeszcze w Buczynku, więc Połaniecki, odebrawszy ten list w biurze, pokazał go najpierw Bigielom, u których był na obiedzie.

— Z jednej rzeczy się cieszę — rzekła, przeczytawszy list, pani Bigielowa — oto, że ona wychodzi sobie zaraz za tego Kopowskiego. Inaczej bałabym się, że w Ignasiu znów się coś odezwie i że, wyzdrowiawszy, gotówby do niej powrócić.

— Nie. Zawilowski ma dużo charakteru i myślę, że nie wróciłby w żadnym razie — rzekł Bigiel. — Jak myślisz, Stachu?

Bigiel tak był przyzwyczajony pytać w każdym wypadku o zdanie współnika, że i w tym nie umiał się bez niego obejść.

— Ja myślę, że one, gdy się rozpatrzą, co zrobiły, prędzejby gotowe były wrócić, a co do niego, żyłem już

tyle lat i widziałem tyle nieprawdopodobnych rzeczy, że za nikogo nie ręczę.

W tej chwili Połanieckiemu znów przypomniały się słowa: „Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy odedrzeć.“

— A tybyś wrócił na jego miejscu? — spytał Bigiel.

— Myślę, że nie, ale nie zaręczam i za siebie. Przedewszystkiem nie byłbym sobie w łeb strzelał. Zresztą, nic nie wiem.

I mówił to z wielkiem zniechęceniem, pomyślał bowiem, że jeśli kto, to on, nie miał prawa za siebie ręczyć.

Lecz pani Bigielowa poczęła mówić:

— Dałabym nie wiem co, żeby Ignasia zobaczyć, ale doprawdy, że łatwiej fortecę zdobyć, niż się do niego dostać. I nie rozumiem, dlaczego panna Helena tak go broni przed ludźmi, nawet tak życzliwymi, jak my.

— Ona go broni przed ludźmi, bo mu doktor nakazał bezwzględny spokój. Zresztą jemu, od czasu jak odzyskał pamięć, widok ludzi, choćby najżyczliwszych, jest ogromnie przykry. I to się rozumie. Nie może przecie z nimi mówić o swoim postępku, a widzi, że każdy, kto się do niego zbliża, myśli nie o czem innym, tylko o tem.

— A pan bywa u niego codzień!

— Mnie dopuszczają, bo ja należałem poniekąd do sprawy od początku. Pierwszy przecie doniosłem mu o zerwaniu małżeństwa — i niby to go pilnowałem.

— Czy on tę dziewczynę jeszcze wspomina?

— Pytałem o to panny Heleny i panny Ratkowskiej: powiedziały mi, że nigdy. Sam przesiadując także

przy nim godzinami i nie słyszałem nigdy nic. To jest dziwna rzecz: on jest przytomny, wie że jest ranny, wie że chory, ale zdaje się przytem nic nie pamiętać rzeczy przeszłych, tak jakby przeszłość wcale nie istniała. Lekarze mówią, że rany w głowę powodują różne takie najszczególniejsze objawy. Zresztą poznaje każdego, kto się do niego zbliży; okazuje ogromną wdzięczność panie Helenie i panie Ratkowskiej. Szczególniej lubi pannę Ratkowską i widocznie tęskni za nią, gdy na chwilę od niego odejdzie. Ale też one obie — dalibóg! — słów na to niema — jakie pocziwe.

— Mnie szczególnie wrusza panna Ratkowska — rzekła pani Bigielowa.

Bigiel zaś wtrącił:

— Ja, zastanowiwszy się dobrze nad wszystkim, doszedłem do wniosku, że ona musiała się w nim kochać.

— Niepotrzebnieś tracił czas na namysł — odpowiedział Połaniecki — bo to jasna rzecz, jak słońce. Biedactwo chowało w sobie uczucie, póki nie przyszło nieszczęście. Dlatego odrzuciła taką partyę, jak Świrski. Nie robię z tego tajemnicy, bo sam Świrski rozpowiada to na wszystkie strony. Jemu się zdaje, że winien jej zadośćuczynienie za to, iż posądził ją o miłość do Kopowskiego. Gdy Zawilowski strzelił do siebie, ona była po odjeździe Osnowskich u swojej krewnej, pani Mielnickiej, ale dowiedziawszy się, że panna Helena zabrała Ignasia, przyszła do niej i uprosiła ją, by jej pozwoliła zostać. Wszyscy doskonale wiedzą, jak to rozumieć, ale ona się z takimi względami nie liczy, również jak i panna Helena.

Tu Połaniecki zwrócił się do pani Bigielowej:

— Ach pani! panią najbardziej wzrusza panna Ratkowska, ale niech pani pomyśli, co to za, dalibóg, tragiczna postać taka panna Helena. Zawilowski przynajmniej żyje, a Płoszowski lepiej wymierzył. I wedle jej pojęć, niema dla niego miłosierdzia nawet na tamtym świecie. A ona go kocha. Oto położenie! Wreszcie po takim jednym samobójstwie przychodzi to drugie, rozdziera wszystkie rany, odświeża wszystkie wspomnienia. Panna Ratkowska może być sobie wzruszająca, ale tamta ma życie złamane raz na zawsze, żadnej nadziei, tylko rozpacz.

— Prawda, prawda! Ale ona musiała przywiązać się do Ignasia, skoro nim się tak opiekuje...

— Ja rozumiem, dlaczego ona to robi. Oto za ratunek Zawilowskiego chce wyprosić u Pana Boga miłosierdzie dla tamtego.

— To być może — rzekł Bigiel. — A Zawilowski, kto wie, czy nie ożeni się z panną Ratkowską, jak wyzdrowieje.

— Jeśli zapomni o tamtej, jeśli się nie złamie i jeśli wyzdrowieje.

— Jakto, jeśli wyzdrowieje? Sam przecie mówiłeś, że to już niewątpliwe.

— Niewątpliwe, że będzie żył, ale pytanie, czy będzie dawnym Zawilowskim. Choćby sobie był w głowę nie strzelał, to i wówczas trudnoby było orzec, czyby takie przejście nie złamało człowieka, tak egzaltowanego. A dodaj jeszcze rozbitą głowę! Za to się przecie płaci. Kto tam wie, co będzie dalej, ale teraz, na przykład, niby

to przytomny, niby mówi z sensem, a czasem utnie i nie może sobie przypomnieć najprostszego wyrazu. Dawniej się nigdy nie zaciął. I to dziwne, że nazwy rzeczy pamięta dobrze, ale jak chodzi o jaką czynność, najczęściej staje — i albo sobie przypomni z wysileniem, albo wcale.

— A cóż doktor?

— W Bogu nadzieja, że to przejdzie — i doktor też jej nie traci. Jednak wczoraj jeszcze, jakem tylko wszedł, powiedział: „Pani...” i uciał. Widocznie chodziło mu o Marynię, którą sobie nagle przypomniał — ale nie umiał o nią spytać. Z każdym dniem więcej mówi — to prawda, tylko, nim przyjdzie do siebie, może jeszcze dużo czasu upłynąć, a jakieś ślady mogą na zawsze pozostać.

— A Marynia wie już o wszystkim?

— Póki nie było pewności, że będzie żył, trzymałem wszystko w tajemnicy, ale potem wolałem jej powiedzieć. Oczywiście zachowałem wszelkie ostrożności. Całkowitego sekretu trudno było dłużej utrzymać. Znadto ludzie o tem mówią i bałem się, żeby nie dowiedziała się z boku. Powiedziałem jej zresztą, że jest lekko ranny i że nic mu nie grozi, ale że lekarze zakazują go odwiedzać. I tak zmartwiła się ogromnie.

— Kiedy ją pan zabierze do miasta?

— Póki pogoda, wolę, żeby siedziała na wsi.

Dalszą rozmowę przerwał list, który Połanieckiemu oddał służący. List był od Maszki i zawierał następujące słowa:

— „W twoim własnym interesie chcę się z tobą widzieć. Będę cię czekał u siebie do piątej.“

— Ciekawym, czego ten chce? — rzekł Połaniecki.

— Kto taki?

— Maszko. Chce się ze mną zobaczyć.

— Interesa i interesa! — rzekł Bigiel. — Ten ma ich wyżej uszu. Czasem doprawdy dziwię się, skąd mu starczy sił i głowy na to wszystko. Czy wiesz, że pani Krasławska przyjechała i że całkiem straciła oczy? Nic już nie widzi — ale to, co się zowie — nic! Byliśmy u tych pań przed wyjazdem ze wsi. Gdzie się obrócić — bieda ludzka, aż litość bierze patrzeć.

— Ale też w nieszczęściu każdy się pokazuje tem, czem jest — odrzekła pani Bigielowa. — Pamięta pan, żeśmy uważali panią Maszkową za charakter trochę oschły, a tymczasem nie uwierzy pan, jaka ona jest dobra dla matki. Nie pozwala się służącej do niej zbliżyć, sama ją wszędzie oprowadza, posługuje jej, czyta. Prawdziwie, że mi sprawiła miłą niespodziankę, a raczej obie, bo i pani Krasławska straciła całkiem dawną fanaberyę. Przyjemnie patrzeć, jak się te kobiety kochają. Pokazuje się, że w pani Maszkowej było jednak coś, na czem nie umieliśmy się poznać.

— Obie też ogromnie oburzały się postępkami panny Castelli — dodał Bigiel. — Pani Krasławska powiedziała nam: „Gdyby moja Terka tak postąpiła, to, jak jestem ślepa i potrzebująca opieki, takbym się jej wyparła.“ Ale pani Maszkowa jaka jest taka jest, a takby nie postąpiła, bo to inny gatunek kobiety.

Połaniecki wypił swoją filiżankę czarnej kawy i począł się żegnać. Wszelką rozmowa o pani Maszko-

wej stała mu się od pewnego czasu nieznośną, a oprócz tego wydało mu się, że znów słyszy jakiś ustęp z tej dziwnej komedyi ludzkiej, która rozgrywała się koło niego i w której on odgrywał także swą marną rolę. Nie przyszło mu na myśl, że natura ludzka jest tak złożona, iż nawet w najlichszej mogą się jeszcze znaleźć jakieś pierwiastki dobre, i że pani Maszkowa, mimo wszystkiego, może być jednak kochającą córką. Wogóle wolał o tem nie myśleć, a natomiast począł się zastanawiać nad pytaniem, czego może od niego chcieć Maszko. Zapomniawszy, iż Maszko napisał w liście, iż chce go widzieć, nie w swoim, ale w jego własnym interesie, przypuszczał z pewnym niepokojem, że znowu zechce od niego pieniędzy.

— A ja — pomyślał — teraz mu ich nie odmówię.

I przyszło mu do głowy, że życie jest podobne do maszyneryi zegarka. Gdy w jednym kółku coś się zwichnie, wszystkie poczynają działać nieprawidłowo. Co za związek mógł istnieć między jego zajściem z panią Maszkową, a jego interesami, jego kasą i jego kupiectwem? A jednak poczuł, że nawet jako kupiec nie ma — przynajmniej względem Maszki — takiej swobody, jaką miał dawniej.

Jednakże przypuszczenia jego okazały się mylne. Maszko nie przyszedł żądać pieniędzy.

— Szukałem cię w biurze i w domu — rzekł — wreszcie domyśliłem się, że musisz być u Bigielow i posłałem tam kartkę. Chcę z tobą pomówić w twojej własnej sprawie.

— Czem ci mogę służyć? — spytał Połaniecki.

— Przedewszystkiem, proszę cię, by to, co powiem, zostało między nami.

— Dobrze. Słucham cię.

Maszko patrzył przez chwilę w milczeniu na Połanieckiego, jakby chcąc go przygotować tem milczeniem do jakiejś ważnej wiadomości, wreszcie rzekł z dziwnym spokojem, odmierzając każdy wyraz:

— Chciałem ci powiedzieć, że jestem zgubiony bez ratunku.

— Przegrałeś sprawę?

— Nie. Sprawa przyjdzie dopiero za parę tygodni, ale wiem, że ją przegram.

— Skąd masz tę pewność?

— Pamiętasz, com ci kiedyś mówił, że sprawy o zwalenie testamentów prawie zawsze się wygrywa dlatego, że atak jest zwykle energiczniejszy, niż obrona, że na zwaleniu zwykle osobiście komuś zależy, a na utrzymaniu, nie. Na świecie do wszystkiego można się przyczepić, bo choć co jest zgodne z duchem prawa, zawsze niemal, w mniejszym lub większym stopniu, nie czyni zadość jego literze, a sądy muszą trzymać się litery.

— Tak. To wszystko mówiłeś.

— Otóż tak jest i z tą sprawą, której ja się podjąłem. Nie była ona tak awanturniczą, jak się zdaje. Mnie wszystko zależało na tem, żeby zwalić testament — i byłbym może potrafił wykazać pewne jego niezgodności z literą prawa, gdyby nie to, że ktoś, równie namiętnie, usiłuje wykazać, że ich niema. Długo ci o tem nie będę rozповідаł, dość, żebyś wiedział, iż mam do

czynienia nietylko z przeciwnikiem adwokatem — i to z kutym na cztery nogi, ale z osobistym nieprzyjacielem, któremu chodzi nietylko o sprawę, ale o to, by mnie zgubić. Niedgdyś sponiewierałem go i teraz się mści.

— Ja wogóle nie rozumiem, jakim sposobem nie masz do czynienia wyłącznie z prokuratoryą?

— Bo są i zapisy prywatne, w których obronie strona przeciwna udała się do tego Śledzia. Zresztą mniejsza z tem. Sprawę muszę przegrać, bo jest w tych warunkach do przegrania, i gdybym był Śledziem, to bym ją wygrał, tak jak ją wygra on. Z góry to wiem — i nie luję się. Dość już tego wszystkiego.

— To pójdziesz dalej; będziesz apelował.

— Nie, mój kochany. Ja już nie mogę iść dalej.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mam długów więcej niż włosów na głowie, że po pierwszej przegranej wierzyciele rzucają się na mnie — i że (tu Maszko zniżył głos) ja muszę wyjechać...

Nastało milczenie. Maszko wsparł łokieć na kolanie, głowę na dłoni i czas jakiś siedział pochylony — po chwili zaś, nie podnosząc głowy, począł znów mówić, jakby sam do siebie:

— Urwało się. Wiązałem rozpaczliwie, póki mi ręce nie ustały; każdemu zbrakłoby sił, a ja jeszcze wiązałem. Ale już nie mogę! Bóg widzi, już nie mam sił. Każda rzecz musi mieć swój koniec — i niech się to raz skończy.

Tu odetchnął, jak człowiek ogromnie zmęczony. Poczem podniósł głowę i rzekł:

— To jednak tylko moja sprawa, a ja przyszedłem, by mówić o twoich. Słuchaj! Według kontraktu zawartego przy sprzedaży Krzemienia, miałem po rozparcelowaniu Magierówki spłacić twoją żonę; ty masz prywatnie u mnie kilka tysięcy rubli. Twojemu teściowi mam wypłacać dożywotnią rentę. Otóż przychodzę ci powiedzieć, że nie za tydzień, to za dwa, uciekam za granicę, jako bankrut — i że grosza z tego nie będziecie widzieli.

I Maszko, powiedziawszy to wszystko z całą dobitnością i zuchwalstwem człowieka, który nie ma już nic do stracenia, począł patrzeć w oczy Połanieckiego, jakby szukając burzy.

Lecz zawiódł się najzupełniej. Połanieckiego twarz pociemniała wprawdzie na jedno mgnienie oka, jakby z tłumionego gniewu, ale po chwili uspokoił się i rzekł:

— Ja się zawsze spodziewałem, że się to tak skończy.

Maszko, który, wiedząc z kim ma do czynienia, przypuszczał raczej, że Połaniecki chwyci go za kołnierz, popatrzył na niego ze zdziwieniem, jak gdyby chciał go spytać, co mu się stało?

A Połaniecki w tejże chwili pomyślał:

— Gdyby chciał jeszcze ode mnie na drogę — to bym mu nie mógł odmówić.

Głośno zaś powtórzył:

— Tak! to było do przewidzenia.

— Nie! — odrzekł Maszko, z namiętnością człowieka, który nie chce rozstać się z myślą, że wszystkiemu winien tylko zbieg wyjątkowych okoliczności —

tego nie masz prawa mówić. Ja, na godzinę przed śmiercią, gotówem powtórzyć, że mogło pójść inaczej.

A Połaniecki spytał, jakby z odcieniem niecierpliwości:

— Mój kochany, czego ty właściwie ode mnie chcesz? Maszko ochłonął i odrzekł:

— Ja od ciebie niczego nie chcę, Przyszedłem tylko, jako do człowieka, który mi zawsze okazywał życzliwość i u którego, prócz długów pieniężnych, zaciągnąłem jeszcze dług wdzięczności — żeby ci wyznać otwarcie, jak rzeczy stoją i zarazem powiedzieć: ratuj co można i ile można.

Połaniecki zacisnął zęby. Sądził, że nawet w tej ironii życia, której zgrzyt słyszał ciągle od pewnego czasu wokół siebie, powinna być pewna miara. Tymczasem słowa Maszki o przyjaźni i długu wdzięczności wydały mu się czemś po prostu przechodzącym tę miarę: „Niech dyabli wezmą pieniądze i ciebie — byleś raz sobie poszedł!” — pomyślał w duchu.

Lecz, potłumiwszy w sobie chęć wypowiedzenia tego głośno, rzekł:

— Nie widzę sposobu.

— Jest tylko jeden — odpowiedział Maszko. — Póki jeszcze ludziom niewiadomo, że muszę się załamać, póki ze sprawą testamentu wiążą się nadzieje, póki moje nazwisko i mój podpis coś znaczą — możesz sprzedać sumę swojej żony. Powiesz nabywcy, że chcesz skapitalizować cały majątek, lub coś podobnego. O pozór łatwo. Nabywca znajdzie się zawsze, zwłaszcza, gdy zdecydujesz się sprzedać ze znacznem ustępstwem. W wi-

dokach zysku, kupi ją byle żyd. Wolę, żeby kto inny stracił, niż ty; a tobie wolno było nie słyszeć tego, com ci powiedział o mojem przyszłym bankructwie i wolno ci mieć nadzieję, że sprawę wygram. Możesz być przytem pewny, że ten, kto od ciebie tę sumę kupi, sprzedałby ci ją bez żadnego skrupułu, choćby wiedział, że jutro nie będzie warta złamanego szeląga. Świat jest giełdą, a na giełdzie większość interesów robi się wedle tej normy. To się nazywa zrzeczność.

Na to Połaniecki odpowiedział:

— Nie. To się nazywa inaczej. Wspomniałeś żydów: otóż istnieją pewne interesa, które oni określają jednym wyrazem: „schmutzig!“ — Sumę mojej żony będę ratował w inny sposób.

— Jak wola twoja. Ja, mój kochany, wiem także, co wart mój sposób, tylko widzisz, mimo wszystkiego, powiedziałem sobie, że ci go powinienem podać. Jest to może uczciwość przyszłego bankruta — ale ja już nie mogę mieć innej. Łatwo się domyślisz, jak mi lekko to mówić. Wiedziałem zresztą z góry, że się na to nie zgodzisz, więc chodziło mi tylko o to, by zrobić swoje. A teraz daj mi filiżankę herbaty i kieliszek koniaku, bo ledwie żyję.

Połaniecki zadzwonił o herbatę i koniak, Maszko zaś mówił dalej:

— Pewną ilość ludzi muszę zarwać — na to niema rady — więc wolę zarwać obojętnych, niż tych, którzy mi oddali jakąś usługę. Są położenia, w których trzeba być oportunistą względem własnego sumienia.

Tu Maszko uśmiechnął się z goryczą:

— Ja sam o tem nie wiedziałem — mówił dalej — ale teraz otworzyły się przede mną nowe horyzonty. Człowiek uczy się do śmierci. My, bankruci, mamy także pewien punkt honoru. Co do mnie, mniej mi chodzi o takich, którzyby mnie także w danym razie zarwali, niż o blizkich, którym winienem wdzięczność. Jest to może moralność Rinaldiniego, ale swego rodzaju moralność.

Tymczasem służący wniósł herbatę. Maszko, potrzebując się widocznie pokrzepić, dolał do swej filiżanki przez pół koniaku i ostudziwszy w ten sposób wrzątek, wypił jednym tchem.

Połaniecki zaś rzekł:

— Mój kochany, położenie znasz lepiej ode mnie. Wszystko, co mógłbym ci powiedzieć przeciw ucieczce, a za pozostaniem i za układem z wierzycielami, zapewne powiedziałeś sobie sam; więc wolę się spytać o co innego: Masz ty o co ręce zaczepić? masz ty choć na wyjazd?

— Mam. Czy się bankrutuje na sto tysięcy, czy na sto dziesięć — to wszystko jedno, ale dziękuję ci za pytanie.

Tu Maszko dolał znów koniaku do drugiej filiżanki herbaty — i rzekł:

— Nie myśl, że zaczynam pić z rozpacz, ale od rana dziś nie usiadłem — i jestem ogromnie zmęczony. Ach, jak mi to dobrze zrobiło! Powiem ci teraz otwarcie, że nie dałem jeszcze za wygraną. Widzisz, że nie strzeliłem sobie w łeb. To melodramat, to się już zużyło. Wiem wprawdzie, że tu wszystko dla mnie skoń-

zione, ale na tym gruncie i tak nie mógłbym wypłynąć. Tu są po prostu za małe interesa — i niema pola. Weź taki zachód, taki Paryż! Ot, tam ludzie robią fortuny, tam przewracają się i podnoszą. Co tu gadać, kiedy to tak jest. Czy ty wiesz, że taki Hirsch nie miał może trzystu franków, wychodząc z kraju. Wiem! wiem! ze stanowiska tutejszej stęchlizny i tutejszego safandulstwa to się wyda marzeniem, gorączką bankruta... A jednak tam gorsi ode mnie robią miliony — gorsi!... Przegram, albo wygram, ale jeśli tu kiedyś wrócę...

I widocznie herbata z koniakiem poczęła go podniecać, bo zacisnąwszy dłonie dodał:

— Obaczysz!...

Lecz Połaniecki ozwał się z większą jeszcze niż poprzednio niecierpliwością:

— Jeśli to nie są marzenia, to jest przyszłość. A teraz co?

— Teraz — rzekł po chwili Maszko — będą mnie mieli za szuję — nikt zaś nie pomyśli, że są upadki i upadki... Tobie powiem naprzykład, że nie wziął od mojej żony ani jednego podpisu, ani jednego zaręczenia i że ona będzie miała to wszystko, co miała, nim za mnie wyszła... Wyjeżdżam teraz sam i póki się nie ustalę, ona zostanie tu z matką. Nie wiem, czyś słyszał, że pani Krasławska straciła wzrok. Nie mogę ich teraz zabierać, bo nie jestem nawet pewny, gdzie będę mieszkał... może w Paryżu, może w Antwerpii... Ale mam nadzieję, że nasze rozłączenie długo nie potrwa... One jeszcze nie wiedzą o niczem... Ot, w czym tkwi dramat, ot, co mnie męczy...

I Maszko położył dłoń na wierzchu głowy, zmrużywszy przytem jakby z bólu oczy.

— Kiedy ty wyjeżdżasz? — spytał Połaniecki.

— Nie wiem, dam ci znać. Tyś mi widocznie chciał ofiarować pomoc — i możesz mi ją dać, chociaż nie pieniężną. Od mojej żony będą się ludzie z początku odsuwali. Przygarnijcie ją trochę — weź ty ją w opiekę. Zgoda? — Tyś był prawdziwie dla mnie życzliwy, a wiem, że i dla niej jesteś życzliwy.

— Dalibóg, można zwaryować! — pomyślał Połaniecki.

Lecz głośno rzekł:

— Zgoda.

— Dziękuję ci z duszy serca. I jeszcze jedna prośba. Ty masz na obie te panie dużo wpływu. One wierzą wszystkiemu, co powiesz. Brońże mnie trochę w pierwszych czasach wobec mojej żony. Wytlómacz jej, że co innego jest nieuczciwość, a co innego nieszczęście. Ja, dalibóg, nie jestem taki lotr, za jakiego mnie ludzie będą mieli. Ot widzisz — mogłem i żonę moją pociągnąć do ruiny, a jednak tego nie uczyniłem; mogłem z ciebie wydobyć jeszcze z jakie parę tysięcy rubli — a jednak wolę tego nie zrobić. Ty jej to wszystko potrafiśz przedstawić — i ona ci uwierzy. Zgoda?

— Zgoda — powtórzył Połaniecki.

A Maszko raz jeszcze objął dłońmi głowę i jął powtarzać, że ściągniętą jakby od fizycznego bólu twarzą:

— Oto w czem prawdziwa ruina! ot, co najwięcej boli!

I po chwili począł się żegnać, a przytem ponownie

dziękować za życzliwość dla żony i przyszłą nad nią opiekę.

Połaniecki wyszedł z nim razem, wsiadł do powozu i ruszył do Buczynka.

Po drodze myślał o Maszce, o jego losach, ale zarazem powtarzał sobie: „Ja także jestem bankrut!” — I była to prawda. Prócz tego, od pewnego czasu dręczył go jakiś ogólny, niewyrozumowany niepokój, z którym nie mógł sobie dać rady. Naokół widział zawody, klęski, ruiny — i nie mógł się oprzeć poczuciu, że to wszystko jest i dla niego jakby jakąś zapowiedzią i groźbą na przyszłość. Dowodził sobie wprawdzie, że podobne obawy nie dadzą się logicznie usprawiedliwić, niemniej jednak obawy nie przestawały mu tkwić gdzieś na dnie duszy. I kiedyindziej mówił znów sobie: „Dlaczego ja jedynie miałbym stanowić wyjątek?” Wówczas serce ścisnęło mu się przecuciem nieszczęścia. Było to jeszcze gorsze od tych szpilek, które mimowoli wbijali w niego, byle słowem, ludzie nawet najżyczliwsi. Wogóle nerwy jego ucierpiały w ostatnich czasach, tak, że stał się prawie przesądny. Codziennie wracał do Buczynka z niepokojem, czy podczas jego niebytności nie stało się w domu co złego.

Tym razem powrócił z powodu Maszki później niż zwykle i zajechał o zupełnym już mroku. Wsiadłszy przed gankiem na piaszczystej drodze, która tłumiała turkot powozu, ujrzał przez okno Marynię, panią Emilię i profesora, siedzących przy stole w środku saloniku. Marynia układała pasyans i widocznie tłumaczyła go pani Emilii, miała bowiem zwróconą ku niej głowę i palec

na karcie. Połaniecki na widok jej pomyślał to, co od niejakiego czasu ciągle sobie powtarzał i co napelniało go zarazem i uczuciem szczęścia i jeszcze większej dla siebie goryczy: „To jest najczystsza dusza, jaką w życiu spotkałem!“ — I z tą myślą wszedł do pokoju.

— Spóźniłeś się dzisiaj — rzekła Marynia, gdy przy powitaniu podnosił jej rękę do ust — ale czekamy cię z kolacją.

— Maszko mnie zatrzymał — odpowiedział Połaniecki. — Co tu słyhać?

— Jak zawsze. Wszystko dobrze.

— A ty jak się czujesz?

— Jak ryba — odpowiedziała wesoło, podając mu czoło do pocałunku.

Następnie poczęła wypytywać o Zawilowskiego. Połaniecki, po przykrej rozmowie z Maszką, po raz pierwszy odetchnął swobodniej. „Zdrowa jest i wszystko dobrze!“ — pomyślał, jakby ze zdziwieniem. I rzeczywiście było mu dobrze w tym jasnym saloniku, w tym ogromnym spokoju, wśród życzliwych dusz i obok tej najbliższej istoty, tak dobrej i pewnej. Czuł, że tu było wszystko, czego potrzeba do szczęścia, ale jednocześnie czuł, że on to szczęście dobrowolnie popsuł, że wniósł do czystej atmosfery domowej pierwiastki zepsucia i złego — i że pod takim dachem mieszka bezprawnie.

XVII.

W połowie września dni nastaly tak zimne, że państwo Połanieccy przenieśli się z Buczynka do swego miejskiego mieszkania. Połaniecki na przybycie żony odświeżył je i przyozdobił kwiatami. Zdawało mu się wprawdzie, że stracił prawo do kochania jej, ale on stracił tylko dawną swoją względem niej swobodę; natomiast może właśnie wskutek tego, stał się z nią daleko bardziej uważnym i uprzedzającym. Prawa do kochania nikt nie daje i nie może go odebrać. Inna rzecz, że człowiek w upadku i wobec duszy nierównie szlachetniejszej może nie czuć się jej godnym. Wówczas kocha z pokorą i swego uczucia nie śmie nazwać właściwem mianem. Co Połaniecki stracił rzeczywiście, to swoją pewność siebie, swoją zamaszystość i swoją dawną bezceremonialność w stosunku z żoną. Teraz były czasem w jego obejściu się z nią takie odcienia, jakby ona była jeszcze panną Pławicką, a on niepewnym swego losu pretendentem.

Jednakże ta jego niepewność wyglądała niekiedy na chłód. Ostatecznie stosunek ich, mimo większej uwagi

i staranności ze strony Połanieckiego, stał się dalszym, niż był przedtem. „Nie mam prawa!“ — oto, co powtarzał sobie Połaniecki przy każdym żywszem poruszeniu serca. I Marynia w końcu spostrzegła, że oni żyją teraz ze sobą jakoś inaczej, ale tłómaczyła sobie to rozmaitymi powodami.

Naprzód, w domu byli goście, przy których, bądź-cobądź, swoboda pożycia musiała się zmniejszyć. Powtóre, przyszło owo nieszczęście z Zawilowskim, które Połanieckim mogło wstrząsnąć i oderwać jego myśl w inną stronę, a wreszcie Marynia przywykła już do rozmaitych zmian w usposobieniu „Stacha“ i przestała przywiązywać do nich tyle znaczenia, ile przywiązywała poprzednio.

Przeszedłszy przez długie godziny smutku i rozmyślań, doszła nakoniec do przekonania, że w pierwszych czasach, póki się pewne nierówności i zagięcia charakterów nie ułożą do jednej wspólnej linii, takie różne zmiany i odcienia w pożyciu są rzeczą konieczną, ale przejściową. Dopomógł jej także do wykrycia tej prawdy zdrowy rozsądek pani Bigielowej, która, gdy raz Marynia poczęła podnosić jej doskonały stosunek z mężem, rzekła:

— Ej, nie od razu do tego przyszło. Z początku kochaliśmy się niby to zapalczywiej, ale byliśmy daleko mniej dopasowani; czasem jedno ciągnęło w jedną, a drugie w drugą stronę. Tylko, że oboje mieliśmy uczciwość i dobrą wolę. Pan Bóg to widział i pobłogosławił. Po pierwszym dziecku wszystko poszło od razu jak najlepiej — i dziś nie oddałabym mojego starego kociska za

wszystkie skarby świata, chociaż mi tyje, a jak namawiam na Karlsbad, to nie chce słuchać.

— Po pierwszym dziecku? — spytała z wielkiem zajęciem Marynia. — Aha! zarazbym była zgadła, że to przyszło po pierwszym dziecku.

Pani Bigielowa poczęła się śmiać:

— A jaki on był zabawny, jak nam się pierwszy chłopak urodził! Bo przez pierwsze dni nie mówił nic a nic, tylko podnosił na czoło okulary, przypatrywał mu się, jak jakiemuś zamorskiemu dziwu, a potem szedł do mnie i całował mnie po rękach.

Nadzieja dziecka była także powodem, dla którego Marynia nie brała zbyt do serca tej nowej zmiany w Stachu. Naprzód obiecywała sobie oczarować go z krete sem — i dzieckiem (o którym była z góry przekonana, że będzie czemś po prostu fenomenalnym) — i swoją po słabości urodą, a powtóre sądziła, że teraz nie wolno jej myśleć o sobie, ani nawet wyłącznie o Stachu. Teraz była zajęta przygotowaniem miejsca dla przyszłego gościa, zarówno w domu, jak w duszy. Czuliła, że trzeba obwinąć taką figurę nietylko w pieluszki, ale i w miłość. Więc gromadziła odpowiednie zapasy. Mówiła sobie zarazem, że życie we dwoje może być zmienne, ale we troje nie może być czem innym, jak szczęściem i wypełnieniem się owego oczekiwanego miłosierdzia i łaski bożej.

Wogóle patrzyła w przyszłość nadzwyczaj raźnie. Jeśli wreszcie Połaniecki był dla niej jakiś inny, jakby bardziej etykietalny i jakby dalszy, miewał natomiast takie delikatności, jakich nie okazywał dawniej. Troskę

i zmęczenie, które widywała na jego twarzy, przypisywała przywiązaniu do Zawilowskiego, o którego zdrowie nie było już wprawdzie obawy, ale którego nieszczęście sama odczuwała kobiecym sercem, rozumiejąc, że może ono trwać póty, póki i życie. Rozumienie tego dało niejedną chwilę smutku i jej, i Bigielom, i wszystkim, którym Zawilowski stał się blizkim.

Przytem, wkrótce po przybyciu Połanieckich do miasta, nadeszły nagle z Ostendy wiadomości, grożące nowymi na przyszłość powikłaniami. Pewnego poranku Świrski wpadł jak bomba do biura i, wzięwszy Bigiela i Połanieckiego do osobnego pokoju, rzekł im z tajemniczą miną:

— Wiecie co się stało? Był u mnie Kresowski, który wczoraj wrócił z Ostendy. Osnowski rozstał się z żoną i połamał kości Kopowskiemu. Skandal bajeczny! Cała Ostenda nie mówi o niczem innem.

Oni obaj umilkli pod wrażeniem wieści, wreszcie Połaniecki rzekł:

— To prędzej czy później musiało przyjść. Osnowski był ślepy.

— A ja nic nie rozumiem — dodał Bigiel.

— Niesłychana historia! — rzekł Świrski. — Ktoby coś podobnego przypuścił!

— Cóż mówi Kresowski?

— Kresowski opowiada, że Osnowski umówił się kiedyś z jakimiś Anglikami, że pojedzie z nimi do Blackenberga na strzelanie delfinów. Tymczasem spóźnił się na kolej, czy też na tramwaj. Mając przed sobą godzinę czasu, wrócił do domu i zastał u siebie Kopowskiego.

Wyobraźcie sobie, co musiał zobaczyć, skoro człowiek tak łagodny uniósł się i stracił głowę do tego stopnia, że, bez pamięci na skandal, wygrzmocił Kopowskiego tak, że Kopowski leży.

— On tak był w żonie zakochany, że mógł nawet oszaleć, lub ją zabić — rzekł Bigiel. — Co za nieszczęście dla człowieka!

— Oto, co są kobiety! — zawołał Świrski.

Połaniecki milczał. Bigiel, któremu ogromnie żal było Osnowskiego, począł chodzić po pokoju. Nakoniec stanął przed Świrskim i, wsadziwszy ręce w kieszeń, rzekł:

— A jednak, ja nic nie rozumiem.

Świrski zaś, nie odpowiadając wprost, rzekł, zwróciwszy się do Połanieckiego:

— A pamiętasz pan, co ja o niej w Rzymie mówiłem — wtedy, gdym malował portret pańskiej żony? Stary Zawilowski nazywał Osnowską dzierlatką. Teraz rozumiem, jak to było słuszne; bo dzierlatka ma jeszcze drugą nazwę: „śmieciucha!“ Co za kobieta! Wiedziałem, że niewiele warta, ale nie przypuszczałem, żeby mogła pójść tak daleko... I to z takim Kopowskim!... Teraz widzę jaśniej rozmaite rzeczy! Kopowski tam przecie ciągle przesiadywał; niby to starał się o pannę Castelli, potem niby o pannę Ratkowską, a widocznie porozumieli się z panią i wynajdywali na wspólnkę pozory. Co za wesoly chłopcy! Castelka na obiad, a Osnowska na deser! Takiemu dobrze!... Między temi obiema musiała też być rywalizacya. Jedna przez drugą czyniły ustępstwa, żeby go do siebie pociągnąć. Myślicie, że tam miłość własna kobiecą mało znaczyła?

— Masz pan zupełną słuszość — rzekł Polaniecki. — Osnowska była zawsze najprzeciwiejsza małżeństwu Kopowskiego z Castelli i dlatego prawdopodobnie tak gorliwie swatała ją Ignasiowi. Gdy tamci, mimo wszystkiego, potrafili się porozumieć, posunęła się do ostateczności, by Kopowskiego przy sobie zatrzymać. Stosunek ich, to stara historia.

— Trochę zaczynam rozumieć — rzekł Bigiel — ale jakie to smutne!

— Smutne?... — spytał Świrski. — Przeciwnie! Kopowskiemu było wesoło!... Chociaż — nie! „Mile złego początki, lecz koniec żaloszny!“ Niema mu czego zazdrościć. Wiecie wy, że Osnowski mało co słabszy ode mnie, bo on się bał utyc przez kokieteryę dla żony i od rana do wieczora uprawiał wszelkie możliwe sporty. Ach, jak on ją kochał! jaki to dobry człowiek — i jak mi go żał! Wszystko ta kobieta w nim miała: serce, majątek, psie przywiązanie — i wszystko podeptała. Taka Castelli nie była przynajmniej jeszcze żoną.

— I oni się naprawdę rozstali?

— Tak dalece naprawdę, że ona już wyjechała. Co tam musiało być, skoro taki Osnowski ją opuścił — dalibóg, ciężko myśleć.

Lecz Bigiel, który lubił brać rzeczy ze strony praktycznej, rzekł:

— I ciekawym, co ona zrobi? Bo cały majątek jego.

-- Jeśli jej od razu nie zabił, to pewno nie da jej z głodu umrzeć. To nie tego rodzaju człowiek. Kresowski mówił mi, że on został w Ostendzie, i że chce Kopowskiego jeszcze wyzwać. Ale Kopowski z tydzień

podobno musi poleżeć. Będzie i pojedynek. Pani Broniczowa z panną Castelli wyjechały także do Paryża.

— A małżeństwo z Kopowskim?

— Jakże pan chcesz? Samo się przez się rozumie, że wobec tak jawnej zdrady oblubieńca — zerwane. Zło nie płuży. Osiadły i one na koszu. Ha! Niechże szukają za granicą jakiego księcia Crapulescu, bo po tem, co zrobiły z Ignasiem, tu mógłby taką Castelkę wziąć chyba szuja, albo dureń. Zawilowski przecie do niej nie wróci.

— Ja to samo mówiłem Połanieckiemu — rzekł Bigiel — a on mi na to odpowiedział: „kto wie!“

— E? — rzekł Świrski — czy pan naprawdę przypuszczasz?...

— Nie wiem! nic nie wiem! — odpowiedział jakby z wybuchem Połaniecki — za nic nie ręczę, za nikogo nie ręczę i za siebie nie ręczę!

Świrski spojrział na niego z pewnem zdziwieniem.

— Ha, może to i racya! — rzekł po chwili. — Gdyby mi kto był wczoraj powiedział, że Osnowscy kiedykolwiek rozstaną się ze sobą, miałbym go za bzika.

I poczał się żegnać, bo mu pilno było do roboty, a przytem, chcąc raz jeszcze usłyszeć o katastrofie Osnowskich ze wszelkimi szczegółami, umówił się z Kresowskim na obiad. Bigiel i Połaniecki zostali sami.

— Zło trzeba zawsze przyplacić — rzekł po namyśle Bigiel. — A wiesz, co mnie zastanawia? Oto, jak jednak u nas poziom moralny się obniża. Weź taką Broniczową, taką Castelli, taką Osnowską... Jakie to nieuczciwe, jakie popsute i jakie w dodatku głupie! Ja-

kaś mieszanina, licho wie czego, jakieś pretensye bez granic, a zarazem natury pokojówek! Aż ckliwo myśleć — prawda? I tacy ludzie, jak Ignaś, lub Osnowski, płacą za to.

— I tej logiki się nie rozumie — odpowiedział posepnie Połaniecki.

Bigiel począł znów chodzić po pokoju, cmokać i kręcić głową — nagle stanął przed Połanieckim z rozjaśnioną twarzą i klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— No, mój stary! ty i ja możemy sobie powiedzieć, żeśmy na loteryi życia wyciągnęli wielkie losy. Nie byliśmy także święci, ale może Pan Bóg dlatego nam poszczęścił, żeśmy się nie podkopywali po złodziejsku pod cudze domy.

Połaniecki nie odrzekł nic, tylko począł zbierać się do wyjścia.

Tak się już złożyły warunki, że wszystko, co się naokół działo, i wszystko, co naokół słyszał, tworzyło jakby piłę, która szarpała jego nerwy. W dodatku miał poczucie, że to nietylko jest okrutnie męczące i bolesne, ale poczyna być i śmieszne. Chwilami przychodziło mu do głowy zabrać Marynię i zakopać się z nią gdzieś na jakiej zapadłej wsi, byle daleko od tej nieznośnej komedyi życia, która zarazem stawiała się coraz więcej plugawą. Wiedział jednak, że tego nie robi, choćby z tej przyczyny, że stoi temu na przeszkodzie stan Maryni. Zerwał wszelako skończone już prawie układy o Buczynek, dlatego, by sobie upatrzeć jakąś dalszą i mniej przystępną letnią siedzibę. Wogóle stosunki z ludźmi poczęły mu ogromnie ciężać, czuł zaś, że jest

w wirze i że się z niego nie wydobędzie. Chwilami budził się w nim dawny, pełen energii i trzeźwości człowiek, który pytał sam siebie ze zdziwieniem: „Co u diabła! czemu mi taka wina, jakich ludzie dopuszczają się codzień tysiące, tak narasta bez żadnej miary?” Ale zmysł prawdy odpowiadał mu wówczas, że jak w medycynie niemasz chorób, tylko są chorzy, tak w świecie moralnym niemasz win, tylko są winni. Co jeden łatwo znosi, to drugi przypłaca życiem. I próżno usiłował się osłonić. Wina jego, jako człowieka zasad, jako człowieka, który poślubił zaledwie przed pół rokiem taką kobietę, jak Marynia, jako człowieka, którego wkrótce czekało ojcowstwo, była bez miary — i tak niezem nieusprawiedliwiona, tak niesłychana, że czasem aż zdumiewał się, jak ją mógł spełnić. Teraz, wracając do domu pod wrażeniem nieszczęścia Osnowskiego, i obracając je w głowie na wszystkie strony, miał znów poczucie, jakby pewna część odpowiedzialności za to, co się stało, ciążyła i na nim. „Bo ja — mówił sobie — jestem akcyonaryuszem w tej fabryce, która wytwarza takie stosunki i takie kobiety, jak Castelli lub Osnowska.“ Poczem przyszło mu do głowy, że Bigiel miał słuszność, mówiąc, iż poziom moralny się obniża — i że nastrój ogólny, który nie wyłącza możliwości podobnych postępów, jest wprost niebezpieczny. Rozumiał bowiem, że to wszystko nie płynęło ani z wyjątkowych nieszczęść, ani z nadzwyczajnych namiętności, ani ze zbytnej wybujałości natur, ale ze społecznej swawoli, i że imię podobnych zbrodni jest: legion. „Ot — pomyślał — tylko w kółku moich znajomych jest Maszkowa, jest

Osnowska, jest panna Castelli — a przeciw nim, kogo postawię? — jedną moją Marynię!“ — I w tej chwili nie przyszło mu na myśl, że obok Maryni jest w jego kółku jeszcze i pani Emilia, i pani Bigielowa, i panna Helena Zawilowska, i panna Ratkowska. Natomiast Marynia przedstawiła mu się na tem tle zepsucia i lekko-myślności tak do tamtych niepodobna, tak czysta i tak pewna, że wzruszył się do głębi duszy na samo jej wspomnienie. „To inny świat, to inny gatunek!“ — pomyślał. — Na chwilę przypomniał sobie, że i Osnowski nazywał swoją żonę wyjątkiem, ale wnet odrzucił precz od siebie tę złą myśl: — „To Osnowski się mylił, a ja się nie myślę.“ — I uczuł, że sceptycyzm, któryby się nie cofnął przed Marynią, byłby nietylko głupim, ale i nędznym. W niej nie było wprost miejsca na zło. Na błocie siadać może tylko ptactwo błotne. — Sam on mówił jej niegdyś żartując, że gdyby nosiła korki, toby ze zgrzyoty, że oszukuje świat, dostała zapalenia sumienia. I w tym żarcie była prawda. Widział ją teraz oto przed sobą tak wyraźnie, jak się zawsze widzi osobę, o której się rozmyśla ze skupionem uczuciem, widział jej zmienioną postać i zmienioną twarz, w której pozostały jednak zawsze te same śliczne, nieco za szerokie usta, i te same przeczyste oczy — i wzruszał się coraz bardziej. „Ja naprawdę wygrałem wielki los na loteryi życia — myślał — alem nie umiał tego szczęścia ocenić.“ — „Zło trzeba zawsze przyplacić“ — mówił Bigiel. — I Połaniecki, któremu nieraz już przychodziła podobna myśl, uczuł teraz przed nią zabobonny strach. Jest — myślał — jakaś logika, z mocy której zło, jak

fala odbita od brzegu, wraca się, musi więc wrócić i moje. I nagle wydało mu się zupełnem niepodobieństwem, żeby on mógł posiadać spokojnie taką kobietę i takie szczęście. Nie byłoby w tem właśnie tej logiki, która nakazuje wracać się fali złego. A zatem co? Zatem Marynia może naprzykład umrzeć przy słabości. Pani Maszkowa może przez zemstę nad nim powiedzieć jakieś słowo, które utkwi w Maryni— a wobec jej stanu wyjdzie potem pod postacią gorączki. Nie potrzeba nawet na to całej prawdy. Owszem, pani Maszkowa może się przytem nawet pochwalić, że oparła się jego zamachom, a kto wie — mówił sobie Połaniecki — czy w tej chwili Maszkowa nie jest z wizytą u Maryni, a w takim razie pierwsza lepsza rozmowa o mężczyznach — i kilka żartobliwych słów — wystarczy...

Tak rozmyślając, czuł, że mu czapka gore na głowie i przyszedł do domu z uczuciem trwogi. Ale w domu nie zastał pani Maszkowej, natomiast Marynia oddała mu kartkę od panny Heleny Zawilowskiej, proszącą, by po obiedzie przyszedł do niej.

— Boję się, czy panu Ignasiowi nie jest gorzej — rzekła Marynia.

— Nie. Ja tam wpadłem na minutę rano. Panna Helena była na jakiejś konferencji z prawnikiem Kononowiczem, ale widziałem i pannę Ratkowską i Zawilowskiego. Miał się zupełnie dobrze i rozmawiał ze mną prawie wesoło.

Przy obiedzie Połaniecki postanowił powiedzieć Maryni o nowinach, które słyszał, wiedział bowiem, że

i tak nie ukryją się przed nią, a nie chciał, by doniesiono jej o nich zbyt nagle i nieostrożnie.

Więc gdy spytała go, co słyhać w biurze i na mieście — odrzekł:

— W biurze nic nowego, a na mieście mówią o jakichś nieporozumieniach między Osnowskimi.

— Między Osnowskimi?

— Tak. Coś tam zaszło w Ostendzie. Podobno powodem wszystkiego jest Kopowski.

Marynia zaczerwieniła się i rzekła:

— Co też ty Stachu mówisz?

— Mówię, co słyszałem. Pamiętasz moje uwagi na wieczorze zaręczynowym Zawilowskiego? Pokazuje się, że miałem słusność! Krótko ci powiem, że była jakaś awantura i że wogóle jest źle.

— Ale przecie mówileś, że Kopowski jest narzeczoną panny Castelli?

— Jest, albo przestał nim być. Tam się mogło wszystko pozrywać.

Na Maryni wiadomość sprawiła wielkie wrażenie. Chciała jeszcze dopytywać, ale gdy Połaniecki powiedział jej, że nic więcej nie wie, i że prawdopodobnie dopiero za kilka dni nadejdą dokładniejsze wieści, poczęła biadać nad dolą Osnowskiego, którego zawsze bardzo lubiła, i oburzać się na panią Anetę.

— Ja myślałam — mówiła — że on ją przejeżdżna i pociągnie swoim przywiązaniem, ale ona jego nie warta, i pan Świrski ma słusność w tem, co o kobietach mówi.

Lecz dalszą rozmowę przerwał pan Pławicki, który

po wczesnym restauracyjnym obiedzie przyszedł, by powiedzieć „wielką nowinę“, o której także już słyszał, bo mówiło o niej całe miasto. Połaniecki pomyślał teraz, że dobrze zrobił, przygotowawszy do niej żonę, albowiem już w opowiadaniu pana Pławickiego rzecz przybrała barwy nader jaskrawe. Pan Pławicki wspominał wprawdzie w ciągu opowiadania o zasadach i o „dawnych matronach“, widocznie był jednak zadowolony, że zdarzyło się coś tak budzącego zajęcie — i widocznie brał także rzecz ze strony komicznej, bo w końcu rzekł:

— No! ale to rezolutna kobietka! to figlarka! Co na placu, to nieprzyjaciel! Nikomu nie przepuściła, nikomu, nikomu!... Biedny Osnosio, ale ona nikomu nie przepuściła!

Tu podniósł do góry brwi, a potem spojrzął na Marynię i Połanieckiego, jakby chcąc sprawdzić, czy pojęli, co miało znaczyć „nikomu.“ Ale na twarzy Maryni odbił się niesmak.

— Fe! Stachu — rzekła — jakie to wszystko nie tylko niegodziwe, ale brzydkie.

XVIII.

Po obiedzie Połaniecki udał się do panny Heleny. Zawilowski nosił jeszcze na czole czarną przepaskę, z szerszym wpośrodku plastrem, zakrywającym ranę, zacinał się i, patrząc, nieco zezował, ale wogóle przychodził coraz bardziej do siebie i uważał się już za zdrowego, lekarz zaś zapewniał, że i te objawy, jakie jeszcze pozostały wskutek rany, miną bez śladu. W chwili, gdy Połaniecki wszedł, młody człowiek siedział przy stole, w głębokim fotelu, w którym niegdyś siadywał stary pan Zawilowski, i słuchał z przymkniętymi oczyma wierszy, które mu czytała panna Ratkowska.

Lecz ona na widok gościa złożyła książkę.

— Dobry wieczór pani! — rzekł Połaniecki. — Jak się masz Ignasiu? Widzę, że przerwałem czytanie. W czym państwo się tak zaczytujecie?

Panna Ratkowska zwróciła ku książce swą krótko ostrzyżoną głowę (miała dawniej przepyszne włosy, ale ostrzygła je, by jej nie zabierały czasu, potrzebnego przy chorym) i odrzekła:

— To są wiersze pana Zawilowskiego.

— Swoich własnych wierszy słuchasz? — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki — no, i jak ci się podobają?

A Zawilowski odrzekł:

— Słucham, jak nie swoich.

Po chwili zaś dodał, mówiąc zwolna i trochę się zacinając:

— Ale ja znów będę pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie...

I widać było, że ta myśl bardzo go zajmuje, i że nieraz musiał już o tem mówić, bo panna Ratkowska rzekła, jakby mu chcąc dodać otuchy:

— I takie same śliczne. i już niezadługo.

A on uśmiechnął się do niej z wdzięcznością — i umilkł.

Lecz w tej chwili weszła do pokoju panna Helena i, uściskawszy rękę Połanieckiego, rzekła:

— Jak to dobrze, że pan przyszedł; chciałam się pana poradzić...

— Służę pani.

— Nie. Proszę pana do siebie.

I przeprowadziwszy go do drugiego pokoju, wskazała na krzesło, poczem siadłszy naprzeciw, milczała jakby zbierając myśli.

Połaniecki, patrząc na nią pod światło, pierwszy raz dostrzegł kilka srebrnych nitek w jej jasnych włosach — i pomyślał, że ta kobieta nie ma jeszcze trzydziestu lat.

Ona zaś zaczęła mówić swoim głosem zimnym i stanowczym.

— To właściwie nie jest prośba o radę, ale o po-

moc dla mego krewnego. Wiem, że pan jest jego prawdziwym przyjacielem, a przytem i mnie okazał pan tyle serca przy śmierci ojca, że na resztę życia zachowam wdzięczność, a teraz będę mówiła z panem otwarcej, niżbym mówiła z kim innym... Z powodów osobistych, których nie chcę dotykać, a o których mogę panu tylko powiedzieć, że są bardzo bolesne, postanowiłam stworzyć sobie inne warunki życia, dla mnie znośniejsze. Byłabym to zrobiła dawniej, ale póki ojciec żył — nie mogłam. Potem przyszło to nieszczęście! Zdawało mi się, że moim obowiązkiem jest nie opuszczać ostatniego krewnego, noszącego nasze nazwisko, dla którego przytem miałam szczerą i serdeczną przyjaźń. Ale teraz on, Bogu dzięki, uratowany. Lekarze odpowiadają za jego życie i jeśli Bóg dał mu wyjątkowe zdolności i przeznaczył go do wielkich rzeczy, nie nie staje na przeszkodzie jego przeznaczeniu.

Tu przerwała, jakby zamyśliwszy się nagle nad czemś przyszłym, poczem, zbudziwszy się, mówiła dalej:

— Ale tem samem moje ostatnie zadanie skończone i wolno mi wrócić do poprzednich zamiarów. Pozostaje tylko majątek, który mój ojciec pozostawił znaczny, a który mi jest do mojego przyszłego życia zupełnie niepotrzebny. Gdybym mogła uważać go za swoją osobistą własność, rozporządziłabym nim może inaczej; ponieważ jednak jest to majątek rodzinny, uważam, że nie mam prawa przekazywać go na inne cele, póki żyje ktoś z rodziny, noszący to samo nazwisko. Nie ukrywam panu, że powoduje mną i przywiązanie do mego kuzyna; sądząc jednak, że przedewszystkiem robię to, co mi sumienie

nakazuje, a przytem spełniam wolę ojca, który jej spisać nie zdążył, ale który (wiem z wszelką pewnością) część majątku chciał Ignasiowi zostawić. Ja wyposażam siebie sama, nie w tym stopniu, jak ojciec myślał, ale biorę jednak więcej, niż mi potrzeba. Resztę niech dziedziczy Ignasz. Akt darowizny spisał już, według wszelkich przepisów prawnych, pan Kononowicz. Obejmuje on ten dom, Jaśmień, majątek w Kutnowskim, majątki poznańskie i kapitały, z wyjątkiem tej części, którą sama siebie wyposażam, i jakiejś części, którą przeznaczam dla panny Ratkowskiej. Chodzi tylko o to, by ów akt Ignasiowi wręczyć. Pytałam dwóch lekarzy, czy to nie jest zawcześnie i czy wstrząśnienie nie mogłoby mu zaszkodzić. Zaręczają mi, że nie, i wszelka pomyślna nowina może tylko pomyślnie wpłynąć na jego zdrowie, co jeśli tak jest, chcę to zaraz uczynić, bo mi pilno.

Tu uśmiechnęła się blado. Połaniecki zaś, uściśnięwszy jej rękę, spytał z niekłamanem wzruszeniem:

— Droga pani, ja nie przez ciekawość pytam. Co pani zamierza?

Ona zaś, nie chcąc widocznie odpowiedzieć wprost, rzekła:

— Człowiek ma zawsze prawo schronić się pod opiekę boską. Co do Ignasia — on ma poczciwe serce i szlachetny charakter, który się nie popsuje majątkiem; ale to majątek jest bardzo znaczny, a on jest młody, niedoświadczony, zacznie życie w zupełnie zmienionych warunkach, więc chciałam pana, jako zacnego człowieka i jako jego przyjaciela, prosić o opiekę nad nim. Niech go pan strzeże, niech go pan ochrania przed złymi ludź-

mi, ale przede wszystkim niech mu pan przypomina, że obowiązkiem jego jest pisać i pracować dalej. Mnie chodziło nietylko o uratowanie jego życia, ale i o uratowanie jego zdolności. Niech pisze, niech się wypłaci społeczeństwu nietylko za siebie, ale i za tych, których Bóg stworzył na chwałę i pomoc ludziom, a którzy zgubili i siebie i swoje zdolności.

Tu nagle wargi jej pobladły, ręce zacisnęły się i głos uwiązł w gardle. Zdawać się mogło, że nagromadzona w tej duszy rozpacz zerwie naraz wszystkie tamy; po chwili opanowała się jednak i tylko zacisnięte ręce świadczyły, z jakim jej to przyszło wysileniem.

Połaniecki, widząc jej mękę, sądził, że w tym razie najlepiej będzie zwrócić jej myśl w inną stronę, do rzeczy praktycznych i bieżących, dlatego też rzekł:

— Oczywiście, będzie to niesłychana zmiana w życiu Ignasia; spodziewam się jednak i ja, że mu wyjdzie tylko na dobre... Znając go, trudno przypuścić inaczej. Czyby jednak pani nie mogła odłożyć tej darowizny na rok, lub przynajmniej pół roku?

— Dlaczego?

— Dla przyczyn, które nie leżą w samym Ignasiu, ale które mogą mieć z nim związek. Nie wiem, czy doszła panią wiadomość, że małżeństwo panny Castelli z Kopowskim jest zerwane i że położenie tych pań jest wskutek tego ogromnie przykre. Przez zerwanie z Ignasiem oburzyły na siebie opinię, a teraz znów nazwiska ich są na językach ludzkich. Byłoby dla nich doskonałym wyjściem wrócić do Ignasia — i można przypuścić, że, dowiedziawszy się o darowiznie pani, będą z pew-

nością usiłowały to uczynić, a Ignas, zwłaszcza po tak krótkim czasie i tak osłabiony, jak zawsze jest — niewiedomo, czy nie da się pociągnąć...

Panna Helena patrzyła na Połanieckiego ze ściągniętymi z natężenia uwagi brwiami, poczem, zastanowiwszy się nad tem, co powiedział, odrzekła:

— Nie. Ja sędzę, że Ignas wybierze inaczej.

— Odgaduję pani myśl, ale niech pani pomyśli, że on do tamtej był przywiązany nad wszelką miarę, tak, że nie chciał przeżyć jej straty.

I tu stało się coś, czego Połaniecki nie spodziewał się, albowiem panna Helena, tak władnąca sobą i niemal surowa, rozłożyła bezradnie swoje wychudłe ręce i rzekła:

— Ha! gdyby tak było... gdyby dla niego nie było innego szczęścia, tylko w niej... Och, panie, ja przecie wiem, że on nie powinien tego uczynić, ale są rzeczy od człowieka mocniejsze, i są takie, których koniecznie do życia potrzeba, a przytem...

Połaniecki spoglądał na nią ze zdziwieniem, ona zaś po chwili dodała:

— Przytem człowiek zawsze może wstąpić na lepszą drogę — póki żyje.

— Nie przypuszczałem, że coś podobnego od niej usłyszę — pomyślał Połaniecki.

I głośno rzekł:

— W takim razie pójdźmy do Ignasia.

Zawiłowski przyjął wiadomość naprzód ze zdumieniem, a potem z radością, ale była to radość, jakby tylko zewnętrzna. Można było przypuścić, że za pomocą

mózgu rozumie, że spotyka go coś ogromnie pomyślnego, i mówi sobie, że trzeba się z tego cieszyć, ale tego sercem nie odczuwa. Serce to objawiło się tylko w trosce i zajęciu, z jakimi począł się wypytywać panny Heleny, co ona zamierza i co się z nią stanie. Panna Helena nie chciała mu odpowiedzieć i, wspomniawszy ogólnikowo, że zamierza usunąć się od życia i że postanowienie jej jest niezachwiane, zaklinała go o to, o co widocznie najwięcej jej chodziło, to jest, żeby nie zgubił swych zdolności i nie zawiódł przywiązanych do siebie ludzi. Mówiła do niego, jak matka, on zaś, powtarzając: „Będę znów pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie“ — całował jej ręce i miał łzy w oczach. Niewiadomo jednak było, czy były to łzy współczucia dla niej, czy żal dziecka, którego opuszcza dobra i słodka opiekunka; albowiem panna Helena powiedziała mu, że od tej chwili uważa się za jego gościa w tym domu i że za dwa dni zamysła się usunąć.

Zawiłowski nie chciał się jednak na to zgodzić i wymógł na niej, że zostanie jeszcze przez tydzień, na co wreszcie przystała z obawy, by go nie drażnić i nie zaszkodzić jego zdrowiu. Wówczas, uspokoiwszy się, wpadł w wesołość małego chłopca, którego prośbie uczyniono zadość. W końcu wieczora zamyślił się jednak, jakby coś sobie przypominając, poczem powiódłszy zdziwionemi oczyma po obecnych, rzekł:

— Dziwna rzecz, ale tak mi się zdaje, jakby to wszystko już niegdys się zdarzyło.

Połaniecki zaś, chcąc wprowadzić weselszy ton do rozmowy, spytał, śmiejąc się:

— Za poprzednich istnień, na innych planetach? Prawda?

— Tak, to już wszystko niegdyś było — powtórzył Zawilowski.

— I te same wiersze już pisałeś — na księżycu?...

On zaś podniósł leżącą na stole książkę, popatrzył na nią, zamyslił się — i w końcu rzekł:

— Ja znów będę pisał — tylko całkiem przyjdę do siebie.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł. Tegoż jeszcze wieczora panna Ratkowska przeniosła się do swojego pokoiku u pani Mielnickiej.

XIX.

Rozejście się Osnowskich, którzy w życiu towarzyskiem zajmowali dość wybitne stanowisko, i wielka fortuna, która nagle spadła na Zawilowskiego, były to najważniejsze nowiny, któremi zajmowało się całe miasto. Ludzie, którzy przypuszczali, że panna Helena wzięła do siebie młodego krewnego dlatego, by się za niego wydać, osłupieli z podziwu. Powstały nowe plotki i przypuszczenia: poczęto szeptać sobie do uszu, iż Zawilowski był synem starego bogacza i że zagroził siostrze procesem o ukrycie testamentu, która też wolała rzec się wszystkiego i wyjechać za granicę, niż narazić się na skandaliczny proces. Inni wszelako twierdzili, że powodem jej wyjazdu była panna Ratkowska i że między temi paniami miały miejsce niesłychane i oburzające rzeczy, wskutek których szanujące się domy nie puszczają przez próg panny Ratkowskiej. Byli wreszcie i tacy, którzy, występując w imię publicznego dobra, odmawiali wprost pannie Helenie prawa do rozporządzania w ten sposób majątkiem, dając przytem do zrozumienia, że

sami, w danym razie, rozporządziliby nim inaczej i zgodnie z pożytkiem powszechności.

Słowem, mówiono wszystko, na co się może zdobyć plotkarstwo, wścibstwo, lekkomyślność i niecna złośliwość. Wkrótce atoli ciekawości ogólnej przybył nowy pokarm pod postacią wieści o pojedynku Osnowskiego z Kopowskim, w którym Osnowski został ranny. Kopowski wrócił też niebawem do miasta ze sławą bohatera nadzwyczajnych przygód miłosnych i orężnych — głupszy niż kiedykolwiek, ale zarazem piękniejszy niż kiedykolwiek i wogóle tak uroczy, że na sam jego widok młodsze i starsze serca poczynały bić przyspieszonym tętnem.

Osnowski, raniony dość lekko, leczyl się w Brukseli. Świrski otrzymał od niego krótką wiadomość wkrótce po pojedynku, że ma się dobrze, że w połowie zimy wybiera się do Egiptu, ale, że przedtem wróci do Przytułowa. Z wiadomością tą przyszedł do Połanieckiego, wyrażając przytem obawę, czy Osnowski nie powróci tylko dlatego, by znów poszukiwać swej krzywdy na Kopowskim.

— Bo tego jestem pewny — rzekł — że jeśli on został ranny. to dlatego, że na to pozwolił. Podług mnie, on chciał po prostu zginąć. Ja się z nim nastrzelałem niemało u Brufiniego i wiem, jak on strzela. Widziałem go, jak zbijał zapalki — i jestem przekonany, że gdyby był chciał Koposia zdmuchnąć, to tylebyśmy go dziś widzieli.

— Być może — odpowiedział Połaniecki — ale skoro mówi o podróży do Egiptu. to widocznie nie ma

zamiaru dać się zabić. Owszem, niech jedzie i niech zabierze ze sobą Zawilowskiego.

— Prawda, że i Zawilowski powinien trochę światła zobaczyć. Chciałbym stąd do niego zajrzeć. Jak on się ma?

— Pójdę razem z panem, bom go dziś nie widział. On się dobrze ma, ale jest jakiś dziwny. Pamiętasz pan, jaka to była harda i zamknięta w sobie dusza? Otóż teraz niby zdrow, ale zrobiło się z niego małe dziecko: przy najmniejszej przykrości łzy ma w oczach.

Po chwili wyszli razem. Po drodze Świrski spytał:

— Panna Helena jest jeszcze przy Zawilowskim?...

— Jest. On tak do serca bierze jej odjazd, że jej go żal. Miała wyjechać za tydzień, a teraz, jak pan widzisz, minął już i drugi.

— Co ona właściwie chce ze sobą zrobić?

— Nikomu wyraźnie nie mówi. Prawdopodobnie wstąpi do jakiego zakonu i będzie się całe życie modliła za Płoszowskiego.

— A panna Ratkowska?

— Panna Ratkowska jest u pani Mielnickiej.

— Czy bardzo Zawilek po niej tęsknił?

— Przez pierwsze dni. Potem jakby zapomniał.

— Jeśli w ciągu roku nie ożeni się z nią, to ja powtarzam swoje oświadczenie. Jak Boga kocham! Taka kobieta, jak raz zostanie żoną, to się do człowieka przywiąże.

— Wiem, że panna Helena w duszyby sobie tego życzyła, żeby on się z Ratkowską ożenił. Ale kto wie, jak się to obróci.

— E! jestem pewny, że się ożeni, a to, co ja

mówię, to są marzenia głowy ściętej. Ja się już nie ożenię.

— Żona mi wspominała, że jej to pan wczoraj mówił; ale ona się śmiała z tej groźby.

— To nie groźba, tylko, że nie mam szczęścia.

Dalszą rozmowę przerwał im widok powozu, w którym siedziała pani Krasławska z panią Maszkową. Jechały w kierunku alei, chcąc widocznie zażyć powietrza. Dzień był jasny, ale chłodny — i pani Maszkowa tak była zajęta naciąganiem na matkę ciepłego płaszczyka, że nie spostrzegła ich i nie oddała im ukłonu.

— Byłem u nich onegdaj — rzekł Świrski — to dobra kobiecina!

— Słyszę, że jest bardzo dobrą córką — odpowiedział Połaniecki.

— To to i ja spostrzegłem, będąc u nich, ale — jak to zwykle staremu sceptykowi — zaraz mi przyszło do głowy, że ona znajduje zarazem upodobanie w roli troskliwej córki. Czyś pan nie zauważył, że kobiety częstokroć robią coś dobrego dlatego, że myślą, iż im z tem ładnie?

I Świrski nie mylił się. Pani Maszkowa znalazła istotnie upodobanie w roli poświęcającej się córki, ale było to już bardzo wiele, bo takie upodobanie wypłynęło jednak z rzeczywistego jej przywiązania do matki i z tego, że na widok jej nieszczęścia coś w niej zbudziło się i zadrgało. Przytem Świrski nie chciał, czy nie umiał uczynić ze swej myśli tego dalszego wyводу, że jak w zakresie tualety kobieta do nowego kapelusza potrzebuje nowego okrycia, nowej sukni i nowych rękaw-

wiczek, tak i w zakresie dobra, raz coś posiadłszy, lubi być także od stóp do głów na nowo odziana. W ten sposób odrodzenie się kobiety nie jest nigdy zupełnie niemożliwym.

Ale tymczasem doszli do Zawilowskiego, który przyjął ich z radością, albowiem od niejakiego czasu, jak zwykle powracającym do życia chorym, widok ludzi czynił mu przyjemność. Dowiedziawszy się od Świrskiego, że ten jedzie wkrótce do Włoch, począł się napierać, by go ze sobą zabrał.

— Aha — pomyślał Świrski — więc ci jakoś panna Ratkowska nie w głowie?

Zawilowski począł dowodzić, że od dawna marzył o Włoszech i że czuje, iż nigdzieby mu się tak nie pisało, jak tam, pod temi wrażeniami sztuki i tych wieków, rozsypujących się w ruiny, obwinięte w bluszcz. Śmiał się do tej myśli i unosił, więc poczciwy Świrski zgodził się bez trudności.

— Ale — rzekł — ja teraz tam długo nie zabawię, bo mam tu do roboty kilka portretów, a przytem obiecałem panu Połanieckiemu wrócić na chrzciny.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— No, cóż nareszcie: na chrzciny syna, czy córki?

A Połaniecki odrzekł:

— Niech już będzie co chce, byle Bóg dał szczęśliwie.

I gdy tamci poczęli układać plan podróży, pożegnał się i poszedł do biura. Miał do przejrzenia całą pocztę z dnia zeszłego, więc, zamknąwszy się w swym gabinecie, począł czytać listy i zapisywać do skorowidza

te, które dotyczyły spraw, wymagających natychmiastowego załatwienia. Po niejakiem jednak czasie, przerwał mu robotę świeżo przyjęty do biura woźny, który, wszedłszy, oświadczył, że jakaś pani chce się z nim widzieć.

Połaniecki zaniepokoił się. Przyszło mu niewiadomo dlaczego na myśl, że to nie może być kto inny, jak pani Maszkowa. I w przewidywaniu jakichś wyjaśnień i scen, serce poczęło mu bić niespokojnie.

Tymczasem we drzwiach ukazała mu się najnie spodziewanej uśmiechnięta, wesoła twarz Maryni.

— A co? zrobiłam ci niespodziankę? — rzekła.

Połaniecki zerwał się na jej widok z uczuciem nagłej i ogromnej radości i, chwyciwszy jej rękę, począł je kolejno całować.

— A moja droga! To rzeczywiście niespodzianka! — rzekł. — Skądże ci przyszło do głowy tu zajrzeć?

I tak mówiąc, począł przysuwać jej fotel i usadzać ją, jak miłego, a zarazem znakomitego gościa. Z rozpromienionej jego twarzy widać było, jaką jej obecność czyni mu przyjemność.

— Mam ci coś ciekawego do pokazania — rzekła Marynia — a że trzeba mi i tak dużo chodzić, więc tu zaszłam. A ty co myślałeś? że to kto? przyznaj mi się zaraz!

To rzekłszy, poczęła mu przegrażać, śmiejąc się, on zaś odrzekł:

— Tu się tyle interesów załatwia. W każdym razie nie myślałem, że to ty. Co masz mi do pokazania?

— Patrz, jaki list odebrałam.

Połaniecki wziął list i począł czytać:

„Droga i kochana pani! Zdziwi to może panią, że się do niej udaję, ale pani, która masz zostać wkrótce matką, jedna na świecie zrozumiesz, co musi się dzieć w sercu matki (choćby była tylko ciotką), która widzi nieszczęście swego dziecka. Niech mi pani wierzy, że nie chodzi mi o nic innego, jak o przyniesienie chwilowej chociaż ulgi nieszczęśliwemu dziecku, a chodzi mi o to tembardziej, że w tem wszystkim, co się stało, ja sama głównie zawiniłam. Może i te słowa panią zdziwią, ale tak jest! Ja zawiniłam, bo że zły i zepsuty człowiek, w chwili, gdy Niteczce zrobiło się źle i gdy straciła przytomność, ośmielił się dotknąć jej swojemi niegodziwymi ustami, to nie powinnam była z tego powodu głowy tracić i z dziecka czynić ofiary. Winien wprowadzić i Józio Osnowski, który kwestyę małżeństwa postawił na ostrzu noża — i, jeśli, podejrzewając już coś, chciał w ten sposób pozbyć się z domu Kopowskiego, to niech mu to Bóg przebaczy, bo nie godzi się bronić siebie kosztem cudzego szczęścia i życia. Ach, pani! mnie w pierwszej chwili także się zdawało, że jedynem wyjściem jest małżeństwo z tym niegodziwcem i że Niteczka nie ma już prawa zostać żoną Ignasia. Pisałam nawet umyślnie do niego, że ona poszła za popędem serca i że oddaje tamtemu rękę z przywiązania, bo myślałam, że w ten sposób Ignas przeniesie łatwiej jej stratę i chciałam zmniejszyć jego boleść... Niteczka dla Kopowskiego! Bóg miłościwy tego nie dopuścił, a gdy i ja spostrzegłam, że byłoby to śmiercią dla Niteczki, obie myślałyśmy już tylko o tem, jak się uwolnić z tych więzów.

Dziś nie chodzi też już o powrót do dawnych stosunków, bo i Niteczka tak straciła wiarę w ludzi i życie, że prawdopodobnie nigdyby się na to nie chciała zgodzić. Ona nawet nie wie, że piszę ten list. Gdyby kochana pani widziała, jak ona przyplącała to wszystko zdrowiem i jak okropnie odczuła postępek pana Zawilowskiego, miałyby pani nad nią litość. On nie powinien był tego robić, choćby ze względu na nią; niestety! — mężczyźni, jak prawdziwi egoiści, w takich rzeczach liczą się tylko z własną wolą. Ona tyle w tem wszystkim winna, ile nowonarodzone dziecko, ale ja patrzę na to, jak mi niknie w oczach i jak od rana do wieczora gryzie się tem, że stała się mimowolną przyczyną jego nieszczęścia i że mu mogła złamać życie. Wczoraj ze łzami w oczach prosiła mnie, bym, w razie jej śmierci, była matką dla Ignasia i opiekowała się nim, jak własnym synem. Codzień mówi o tem, że on musi ją przeklinać, a mnie serce pęka, bo doktor powiedział, że za nic nie ręczy, jeśli taki stan potrwa. Bóg miłosierny! Ale niech i pani przyjdzie z pomocą rozpaczy matki: niech pani chociaż od czasu do czasu doniesie mi coś o Ignasiu, a raczej, niech pani napisze mi, że jest zdrow, spokojny, że o niej zapomniał i że jej nie przeklina, żebym mogła pokazać jej ten list i przynieść choć trochę ulgi w cierpieniu. Ja czuję, że piszę nawpół przytomnie, ale pani zrozumie, co się we mnie dzieje, jak patrzę na tę nieszczęśliwą ofiarę. Bóg to pani wynagrodzi, a ja się będę codziennie modliła, aby córka pani, jeśli Bóg da wam córkę, była szczęśliwsza od mojej biednej Niteczki“.

— Cóż ty o tem myślisz? — spytała Marynia.

— Ja myślę — rzekł Połaniecki — że wieść o zmianach w losie Zawilowskiego rozeszła się dostatecznie szeroko, a powtóre, myślę, iż ten list, przesłany pod twoim adresem, przeznaczony jest rzeczywiście dla Ignasia.

— To być może. To nie jest szczyry list. Ale one jednak mogą być bardzo nieszczęśliwe.

— Pewno, że nie musi im być wesoło. Osnowski miał słuszość, pisząc, że w tem wszystkim jest jeszcze i dla Broniczowej ogromny zawód, i że ona napróżno chce samą siebie oszukać. A co do panny Castelli, wiesz, co mi powiedział Świrski? Nie powtórzę ci jego dosadnych słów, ale powiedział, że teraz może ją wziąć chyba albo głupiec, albo człowiek bez moralnej wartości. One same to rozumieją i pewno, że im nie wesoło. Być może, że i sumienie się odzywa, ale patrz jednak, ile w tym liście wykretów. Nie pokazuj go Ignasiowi.

— Nie. Nie pokażę — odpowiedziała Marynia, której najgorętsze życzenia były po stronie panny Ratkowskiej.

A Połaniecki, idąc za myślą, która go nurtowała od dawna, powtórzył jej niemal dosłownie to, co powtórzał sobie samemu:

— Jest jakaś logika, która karze, i one zbierają to, co posiały. Zło, jak fala, odbija się od brzegu i wraca.

Na to Marynia poczęła kreslić parasolką figury po podłodze, jakby się nad czemś namyślając, potem zaś, podniósłszy na męża swoje jasne oczy, rzekła:

— Prawda, mój Stachu, że zło wraca, ale może także wrócić jako zgryzota i jako żal, a wówczas Pan Bóg poprzestaje na takiej pokucie i więcej nie karze.

Gdyby Marynia, wiedząc nawet, co mu dolega, chciała złagodzić jego udręczenia i dodać mu otuchy, nie potrafiłaby wynaleźć nic lepszego nad tych kilka prostych słów. Połaniecki żył od niejakiego czasu pod przecuciem, że musi go spotkać jakieś nieszczęście, i pod ustawicznym przed niem strachem. Dopiero od niej dowiedział się, że ową powracającą falą może być sama jego zgryzota i żal. Tak! nagryzł się niemało i żalu w nim nie brakło, a czuł również, że gdyby to mogło być zadośćuczynieniem, byłby gotów przecierpieć jeszcze dwakroć mocniej. Tymczasem brała go ochota porwać w ramiona tę pełną prostoty i prawości kobietę, od której płynęło na niego tylko dobro — i jeśli tego nie uczynił, to jedynie z obawy wzruszeń dla niej, ze względu na jej stan i ową nieśmiałość, która go w stosunku do niej krępowała. Natomiast podniósł do ust jej rękę i rzekł:

— Ty masz słuszność — i jesteś bardzo dobra.

A ona, rada z pochwały, uśmiechnęła się do niego i poczęła zbierać się do domu.

Gdy wyszła, Połaniecki zbliżył się do okna i odprowadzał ją oczyma. Z daleka widział jej przegiętą postać, posuwającą się ociężałym krokiem, oraz ciemne włosy, wyglądające z pod kapelusza — i w tej chwili odczuł z nową, większą niż kiedykolwiek siłą, że to jest jego najdroższa w świecie istota — i że ją jedną kocha i będzie kochał do śmierci.

XX.

W dwa dni później Połaniecki odebrał od Maszki kartkę, zawierającą parę słów pożegnania. „Wyjeżdżam dziś — pisał Maszko. — Będę się starał koniecznie jeszcze wpaść do ciebie, ale na wszelki wypadek żegnam cię i dziękuję ci za wszystkie dowody przyjaźni jakie mi okazałeś. Niech ci Bóg szczęści lepiej, niż mnie dotąd szczęścił. Bardzobym chciał zobaczyć się z tobą choć na minutę — i jeśli będę mógł, wpadnę do ciebie koło czwartej do biura. Tymczasem powtarzam prośbę, byście pamiętali o mojej żonie i przygarnęli ją trochę, gdy ludzie ją opuszczą. Ciebie proszę również, byś mnie przed nią bronił przeciw ludzkim językom. Wyjeżdżam do Berlina — o dziewiątej wieczór — i zupełnie otwarcie. Do widzenia, a w każdym razie bądź zdrow — i raz jeszcze, dzięki za wszystko. — Maszko.“

Połaniecki poszedł koło czwartej do biura, ale przeszło godzinę czekał napróżno. -- „Nie przyjdzie — pomyślał wreszcie — tem lepiej!“ I poszedł do domu z poczuciem pewnego zadowolenia, że udało mu się uniknąć kłopotliwego spotkania. Wieczorem jednak poczęło

się w nim budzić pewne politowanie dla Maszki. Pomyślał, że to jest człowiek, który wprawdzie szedł złą i gorączkową drogą, ale się namęczył i naszarpał, a w końcu ciężko przyplacił — że to wszystko, co się stało, było dawno do przewidzenia, jeżeli zatem ci, którzy to przewidywali, żyli z nim i przyjmowali go u siebie, nie powinni teraz okazywać mu pogardy w chwili upadku. Rozumiał też, ile Maszce sprawi przyjemności swoim przybyciem na kolej — i po chwili wahania — poszedł.

Po drodze przypomniał sobie, że prawdopodobnie znajdzie na dworcu i panią Maszkową, lecz wiedział, że i tak musi ją spotykać, a sądził, że cofnąć się z tego powodu byłoby jakimś marnem tchórzostwem.

Z temi myślami wszedł na dworzec. W niewielkiej salce pierwszej klasy było już kilka osób i na stołach leżały całe stopy ręcznych tobołków, lecz nigdzie nie mógł dostrzedz Maszki, i dopiero rozejrzawszy się dokładnie, rozpoznał w młodej zakwefionej damie, siedzącej w kącie sali, panią Maszkową.

— Dobry wieczór — rzekł, zbliżywszy się ku niej. — Przychodzę pożegnać pani męża. Co się z nim dzieje?

Ona, skinąwszy mu lekko głową, odrzekła zwykłym sobie chłodnym głosikiem:

— Mój mąż kupuje bilety. Zaraz przyjdzie.

— Jakto bilety? Czyby i pani miała z nim jechać?

— Nie; mój mąż kupuje bilet.

Dalsza rozmowa w tych warunkach przedstawiała się dość trudno; po chwili jednak wszedł Maszko, w to-

warzystwie kolejowego służącego, któremu oddawał bilet i pieniądze z poleceniem wyeksperymentowania rzeczy. Przybrany w długi płaszcz z peleryną i w miękki filcowy kapelusz, wyglądał razem ze swymi długimi faworytami i ze złotymi binoklami na jakiegoś podróżującego dyplomatę. Połaniecki też ludził się, że Maszko okaże nadzwyczajną radość z jego przybycia. Maszko, ujrzawszy go, rzekł wprawdzie: „Ach, jakżem ci wdzięczny, żeś przyszedł!” — ale jakby z pewną niedbałością i z pośpiechem, zwykłym u ludzi, którzy wyjeżdżają.

— No — ozwał się, rozglądając się po sali — wszystko załatwione! Ale gdzie to są moje ręczne pakuiki! — A są! — Dobrze!

Poczem zwrócił się do Połanieckiego i powtórzył:

— Dziękuję ci, żeś przyszedł. Zróbże mi w takim razie jeszcze jedną łaskę i odwieź żonę do domu, albo przynajmniej wyjdź z nią razem i pomóż jej odnaleźć powóz. Tereniu, pan Połaniecki odwiezie cię do domu. Mój drogi, choć na chwilę, mam ci jeszcze coś powiedzieć.

I wzięwszy Połanieckiego na bok, począł mówić gorączkowo:

— Odwieź ją koniecznie. Ja swój wyjazd upozorowałem, ale ty, tak, mimochodem, powiedz jej, że dziwisz się, iż na tak krótko przed terminem sprawy wyjeżdżam, bo gdyby mnie jaki wypadek zatrzymał, sprawa musiałaby być przegrana. Chciałem u ciebie być, żeby cię właśnie o to prosić, ale, jak to wiesz... w dniu wyjazdu! Termin za tydzień!... Ja zachoruję; stanie za mnie mój dependent, który jest poczynającym adwoka-

tem — i oczywiście przegra. Ale rzecz będzie upozorowana przez wypadek. Żonę zabezpieczyłem. Wszystko jest na jej imię i nie zabiorą jej jednej szklanki. Sam też mam jeden pomysł, z którym udam się do Towarzystwa budowy okrętów w Antwerpii. Jeśli zrobię układ, lasy zadrżą w całym kraju, ale kto wie, czy w takim razie nie wrócę, bo cała sprawa o Płoszów jest wobec tego drobnostką. Nie mogę mówić obszerniej! Gdyby nie te ciężkie chwile, które przejść musi moja żona, bronilibym się zgryzocie, ale to mnie dusi tak!

Tu pokazał ręką na gardło, a potem mówił jeszcze spieszniej:

— Nieszczęście na mnie spadło, ale nieszczęście może spaść na każdego. Zresztą zapóźno o tem mówić. Jak było, tak było, alem robił, co mógł, i jeszcze zrobię, co będę mógł. I to dla mnie ulga, że ty także swoje wydobędziesz — choćby z Krzemienia! Żebym miał czas powiedzieć ci, co mam za pomysł, sambyś przyznał, że lada komuby nie przyszedł do głowy. Być może, że będę miał interesa i z waszą spółką. Widzisz, że się nie daję... I żonę zabezpieczyłem zupełnie. Ha! stało się! stało! Inny na mojem miejscu gorzejby skończył. Czy nieprawda? Ale wracajmy teraz do żony.

Połaniecki słuchał z pewną przykrością słów Maszki. Podziwiał wprawdzie jego duchową niepożytość, ale jednocześnie czuł, że brak w nim jakiejś równowagi, która różni przedsiębiorczego człowieka od przedsiębiorczego awanturnika. I zdawało mu się, że w Maszce jest już coś z przyszłego wytartego wygi, który będzie się jeszcze długo rzucał, ale razem ze swymi pomysłami będzie

spadał coraz niżej, aż skończy na wykrzywionych butach, drugorzędnej kawiarni i opowiadaniach wśród tak samo „załamanych“ o swojej dawnej wielkości. Pomyślał także, że powód tego wszystkiego, to życie, oparte od początku na nieprawdzie, i że Maszko, przy całej swej inteligencji, nigdy nie potrafi się z pęt nieprawdy wydobyć.

Oto udawał jeszcze i teraz przy żonie. Poniekąd musiał to czynić, ale, gdy sala poczęła się napełniać ludźmi, a między nimi niektórzy znajomi przychodzili ich witać i zamienić parę takich prędkich słów, jakie zamienia się na kolejach, Maszko odzywał się do nich z takim jakimś odcieniem wyższości i łaski, że Połanieckiego brała złość. „I pomyśleć — mówił sobie — że on ucieka przed wierzycielami; coby było, gdyby ten człowiek doszedł kiedykolwiek do fortuny!“

Ale tymczasem ozwał się dzwonek, a z za okien dał się słyszeć pośpieszny oddech lokomotywy. Ludzie poczęli się ruszać i śpieszyć. „Ciekawym, co się w nim teraz dzieje?“ — pomyślał Połaniecki, Lecz on i w takiej chwili nie mógł wydobyć się z więzów kłamstwa. Być może, że serce ścisnęło mu się złem przecuciem, że miał błysk jasnowidzenia, iż tej żony, którą kochał, więcej nie zobaczy, że jedzie na poniewierkę, na upadek, ale nie wolno mu było ni okazać tego, co czuł, ani nawet pożegnać żony tak, jakby chciał.

Ozwał się drugi dzwonek. Wyszli na peron i Maszko zatrzymał się jeszcze chwilę przed sleepingiem. Blask latarni padał prosto na jego twarz, na której pojawiły się około ust dwie zmarszczki. Lecz mówił spo-

kojnie, tonem człowieka, którego interesa zmuszają do kilkodniowego wyjazdu i który jest pewien, że wróci.

— No, do widzenia, Tereniu. Ucałuj odemnie ręce mamy i bądź mi zdrowa. Do widzenia! do widzenia!

To mówiąc, podniósł jej rękę, którą jednak długo trzymał przy ustach.

A Połaniecki, usunąwszy się unyślnie nieco na bok, myślał:

— Oni się widzą ostatni raz. Za jakie pół roku nastąpi urzędowa separacya.

I uderzył go szczególny los tych obydwóch kobiet, jednaki dla matki i córki. Obie wyszły za mąż z wszelkimi pozorami świetności — i obydwóch mężowie musieli odbieżeć od domowego ogniska, pozostawiając żonom tylko wstyd.

Lecz tymczasem zadzwoniono po raz trzeci. Maszko wsiadł do wagonu. Przez chwilę w szerokiej szynie sleepingu widać było jeszcze jego faworyty i złote binokle, poczem pociąg zasunął się w ciemność.

— Służę pani — rzekł Połaniecki.

I był prawie pewien, że pani Maszkowa podziękuje mu sucho za towarzystwo. Był nawet z tego powodu zły, albowiem postanowił powiedzieć jej coś nietylko o mężu, ale i od siebie. Lecz ona skłoniła głowę na znak zgody. Miała także swój plan. W sercu jej zebrało się tyle gorzkiej niechęci i urazy do Połanieckiego, iż w przypuszczeniu, że on może znowu zechce skorzystać z chwili, którą mieli spędzić samowtór, postanowiła mu dać odprawę, którąby długo popamiętał.

Lecz myliła się najzupełniej. Najprzód, on przez nią rozbił się, jak łódź o skałę, i z tego powodu przez jakiś czas czuł dla niej nie tylko niechęć, ale i nienawiść. Powtóre, jeśli później, przez coraz wyraźniejsze poczucie, że wina jest wyłącznie po jego stronie, nienawiść ta przeszła, to zmienił się tak dalece, że był już niemal zupełnie innym człowiekiem. Kupiecki obrachunek z samym sobą nauczył go, że za podobne wybryki za drogo się płaci; był w fazie ogromnej tęsknoty za życiem bez oszustwa, a wreszcie zgryzota i żal tak przeżarły w nim żądzę, jak rdza przeżera żelazo. Pomagając jej teraz wsiadać do powozu i dotknąwszy jej ramienia, pozostał spokojny — i wsiadłszy, począł jej zaraz mówić o Maszce, sądził bowiem, że przez samo uczucie ludzkości należy przygotować ją na przyszłą katastrofę i złagodzić jej znaczenie.

— Podziwiam odwagę męża pani — rzekł. — Niech w czasie jego pobytu w Berlinie runie jeden most na kolei, to nie będzie mógł wrócić na sprawę, od której — jak pani zapewne wiadomo — cały jego los zależy. Musiał wyjechać dla ważnych powodów, ale to zawsze hazard.

.. Mosty są mocne — odpowiedziała pani Maszkowa.

Lecz on, niezrażony tą niezbyt zachęcającą odpowiedzią, mówił dalej, odchylając przed nią stopniowo zasłonę przyszłości i mówił tak długo, że tymczasem przybyli przed mieszkanie Maszków. Wówczas ona, nie rozumiejąc widocznie znaczenia jego słów, a może zła,

że nie miała sposobności dania mu zamierzonej odprawy, rzekła, wysiadłszy już z karety:

— Czy pan ma jaki osobisty cel w tem, żeby mnie niepokoić?

— Nie, pani — odrzekł Połaniecki, który uznał, że nadszedł czas powiedzenia jej tego, co jej postanowił powiedzieć od siebie. — W stosunku do pani mam tylko jeden cel, oto oświadczyć, żem względem pani niegodnie zawinił — i że panią z całej duszy przepraszam.

Lecz młoda kobieta, nie odpowiedziałwszy ani słowa, weszła do sieni. Połaniecki do końca życia nie dowiedział się, czy to było milczenie nienawiści, czy przebaczenia.

Jednakże wracał do domu z pewną ulgą, albowiem zdawało mu się, że powinien był tak postąpić. Był to w jego oczach mały akt pokuty — było mu zaś wszystko jedno, jak pani Maszkowa go zrozumiała. „Może sądzi, mówił sobie, żem ją przepraszał za moje późniejsze postępowanie, w każdym razie będę jej teraz śmieiej w oczy patrzył“.

I w tej jego myśli było niezawodnie trochę egoizmu, ale była i wola wyjścia z manowców.

XXI.

Panna Helena odebrała również przed wyjazdem od pani Broniczowej list, w rodzaju tego, który odebrała Marynia, i również, jak Marynia, nie pokazała go Zawilowskiemu. Zresztą i Zawilowski wyjechał razem ze Świrskim w tydzień później, nie odwiedzwszy nikogo ze znajomych, z wyjątkiem panny Ratkowskiej. Sam Świrski odwiódł go od wszelkich odwiedzin i Połaniecki, w rozmowach z żoną, przyznawał mu zupełną słusność. — „Teraz — mówił — byłoby to przykre i dla Ignasia, i dla nas. Co innego ci, którzy go codzień odwiedzali, bo ci do niego przywykli, ale nikt z innych nie mógłby się powstrzymać, by mimowoli nie spoglądać na ślad, jaki mu na czole pozostał. Zresztą Ignasz zmienił się bardzo. Przez podróż przyjdzie zupełnie do siebie i gdy wróci, my przyjmujemy go, jakby nic nie zaszło, a obcy będą w nim przedewszystkiem widzieli bogatego panicza“.

I tak mogło być rzeczywiście. Ale tymczasem przez ów wyjazd wokół Połanieckich uczyniło się pusto. Kółko ich znajomych rozproszyło się na wszystkie strony. Osnowski bawił ciągle w Brukseli; o niej nikt dobrze nie wie-

dział, gdzie jest. Pani Broniczowa z panną Castelli siedziały w Paryżu; zbrakło również domu Zawilowskich; pani Krasławska z córką zamknęły się i żyły tylko jedna dla drugiej, a nakoniec choroba przykuła biedną panią Emilię raz na zawsze do łóżka.

Pozostali tylko Bigielowie i profesor. Ale on był również chory, a przytem zdziwaczał tak bardzo, że dalsi mieli go wprost za waryata. Inni mówili z pewną ironią, iż człowiek, który spodziewa się, że duch chrześcijański przeniknie tak samo w dzieje, jak przeniknął w stosunki prywatne, nie może być chyba przy zdrowych zmysłach. On sam począł też myśleć o śmierci i czynić do niej przygotowania. Często powtarzał Połanieckiemu, że chciałby umrzeć w „sieni do innego świata” — i wybierał się w tym celu do Rzymu. Ale, kochając bardzo Marynię, pragnął doczekać się przedtem jej słabości.

W ten sposób czas upłynął Połanieckim w wielkiem osamotnieniu. Było ono zresztą potrzebne i dla Maryni, która w ostatnich dniach czuła się mocno niezdrowa, i dla jego usposobienia. Połaniecki pracował w biurze — i nad sobą; wyrabiał w sobie nowego człowieka i czuwał nad żoną, ona zaś również przygotowywała się do nowej w życiu epoki — i przygotowywała się wesoło, albowiem zdawało jej się, że sama jej zapowiedź wpływa doskonale na nich oboje. Połaniecki stawał się z każdym dniem jakiś mniej bezwzględny, wyrozumialszy w sądach o ludziach i łagodniejszy, nietylko w stosunku do niej, ale w stosunku do wszystkich, z którymi go stykało życie. Ją otaczał wyjątkową, uprzedzającą troskliwością,

a jakkolwiek przypuszczała, że troskliwość owa ma na celu nie tyle jej osobę, ile dziecko — uznała to za słuszną i była mu wdzięczna. Dziwiła ją czasem pewna nieśmiałość i jakby pewne wahanie się w jego obejściu, ale, nie mogąc odgadnąć, że to jest tylko powstrzymywanie uczucia dla niej, przypisywała podobne objawy obawie Stacha o to, czy wszystko odbędzie się szczęśliwie.

I w tych warunkach poczęły uchodzić całe tygodnie. Jednostajność ich przerywały czasem listy Świrskiego, który, gdy mógł złapać wolną chwilę, donosił co mógł, o Zawilowskim i o sobie. W jednym z tych listów pytał w imieniu Zawilowskiego, czy pani Połaniecka pozwoli, by ten opisy swych wrażeń posyłał pod formą listów do niej. — „Mówiliśmy z nim o tem obszernie — pisał Świrski. — On utrzymuje naprzód, że i pani może będzie przyjemnie mieć echa z kraju, który pani pozostawił tyle miłych wspomnień, a powtóre, że to bardzo ułatwia robotę, gdy się pisze jakby prywatnie. — Jest zdrow, chodzi, jada i sypia doskonale. Co wieczór widuję go też, jak siada do biurka i zabiera się do pisania. Uważałem, że próbuje i wierszy. Jakoś to nie idzie, bo dotąd, o ile wiem, nic nie napisał — przypuszczam jednak, że powoli wszystko się odnajdzie, a tymczasem może forma listów istotnie ułatwić mu pracę. Dodaję na ostatek, że pannę Helenę wspomina z ogromną wdzięcznością, a na każde wspomnienie o panie Ratkowskiej rozpromienia się w oczach. Ja zaś często mu o niej wspominam, bo cóż mam biedny robić. Jak co nie przeznaczone, to i niema rady, a jak komu pisane, że musi zostać kółkiem w płocie — to nie puści liści i na wiosnę“.

W połowie listopada przyszedł jednak z Rzymu list, który obojgu Połanieckim dał dużo do myślenia. Świrski pisał co następuje:

— „Wyobrażcie sobie państwo, że jest tu pani Broniczowa i panna Castelli — i żem się z nimi widział. Ja w Rzymie, jak w domu, więc o ich przyjeździe dowiedziałem się zaraz na drugi dzień. I wiecie, com na razie zrobił? Oto namówiłem Ignasia do Sycylii, w czym zresztą nie miałem wiele trudności. Pomyślałem, że będzie siedział w Palermo, w Syrakuzach i w Taorminie, a gdyby wypadkiem wpadł w ręce „maffii“, mniej drogo zapłaci za wykup, niż już zapłacił za prawo noszenia przez pewien czas pierścionka panny „Niteczki“. — Mówiłem sobie, że jeśli się mają spotkać gdziekolwiek na świecie i godzić, niechże się sobie spotykają i godzą, ale nie chciałem brać tego na własne sumienie, zwłaszcza po tem wszystkiem, co zaszło. — Ignas jest niby zdrów, ale umysłowo nie przyszedł jeszcze do siebie i w tym stanie mógłby łatwo być doprowadzony do czegoś, czegoby potem całe życie żałował. Co do tych pań, domyśliłem się od razu, dlaczego one tu przyjechały, i cieszyłem się w duszy, żem im pomieszał szyki — że zaś domysł mój był trafny, to dowód, że w kilka dni później przyszedł do Ignasia list, na którym rozpoznałem charakter szanownej wdowy po nieboszczyku Teodorze. Napisałem na kopercie, że Zawilowski wyjechał, niewiadomo dokąd, i list odesłano retro.

„To jednak dopiero początek historii. Nazajutrz odbieram list ja, z wezwaniem na rozmowę. Odpisuję, że z żalem muszę odmówić, ale moje zajęcia nie pozwa-

lają mi na zrobienie sobie tej przyjemności. Na to odbieram drugą kartkę, już z odwołaniem się do mego charakteru, talentu, pochodzenia, serca, współczucia dla nieszczęśliwej kobiety — i z prośbą, bym, albo sam przyszedł, albo wyznaczył godzinę w pracowni. Nie było rady — poszedłem. Przyjęła mnie sama pani Broniczowa, ze łzami i z całym potokiem opowiadań, których nie będę powtarzał, ale w których „Niteczka“ ukazuje się, jak Św. Agnieszka-męczennica. Pytałem, czem mogę służyć. Powiedziała mi, że tu nie chodzi o nic innego, jak o dobre słowo ze strony Zawilowskiego, że „dziecko jest chore, kaszle i prawdopodobnie roku nie przeżyje, ale chce umrzeć ze słowem przebaczenia“. Na to, wyznaję, że trochę zmięknął, ale się trzymał. Nie mogłem zresztą dać adresu Zawilowskiego, bom nie wiedział rzeczywiście, w którym hotelu się zatrzyma. Pociłem się, jak w łaźni, i w końcu przyrzekłem tam coś ogólnikowo, że, jeśli Ignasz zacznie kiedy pierwszy ze mną mówić o panie Castelli, to go będę namawiał, by postąpił zgodnie z chęcią pani Broniczowej.

„Ale to wszystko jeszcze nic. W chwili, gdym myślał o odwrocie, weszła nagle sama panna Lineta i zwróciła się do ciotki z prośbą, by mogła ze mną sam na sam pomówić. Nawiasem powiem państwu, że wychudła i że wydała mi się jeszcze wyższa, niż zwykle, prawdziwie jak „topolka“, którą lada wiatr może złamać. Ledwośmy zostali sami, zwróciła się do mnie i powiedziała mi tak: „Ciotka próbuje mnie uniewinnić i robi to wszystko z miłości dla mnie, więc jestem jej wdzięczna, ale ja nie mogę tego przenieść i oświadczam panu, że

jestem winna, że jestem zła, że jestem nic nie warta, i że, jeśli jestem nieszczęśliwa, to stokrotnie na to zasłużyłam“. — Usłyszawszy to, zdumiałem, ale widziałem, że mówi szczerze, bo jej się usta trzęsły i oczy zaćmiły. Mówcie sobie państwo, że mam maślane serce, ale wyznaję, że się grubo wzruszył i spytałem, co mogę dla niej uczynić. Na to odpowiedziała mi, że nic, ale prosiła, żebym wierzył przynajmniej w to, że ona w tych usiłowaniach ciotki do nawiązania na nowo stosunku nie bierze żadnego udziału, że jej się po postępku Zawilowskiego otworzyły oczy na to, jaka ona jest, co zrobiła, i że tego nigdy w życiu nie zapomni. W końcu powtórzyła raz jeszcze, że ona jedna wszystkiemu winna i prosiła, żebym tę naszą rozmowę powtórzył Zawilowskiemu, ale nie teraz, tylko kiedyś, gdy jej już nie będzie mógł posądzać, że go chce wzruszyć.

„No i co? Dalibyście czemuś podobnemu wiare? Ja widzę jasno dwie rzeczy. Naprzód, że ją zamach Zawilowskiego na siebie musiał. bądźco bądź, okropnie wstrząsnąć, a powtóre, że jest bajecznie nieszczęśliwa i kto wie, czy rzeczywiście nie chora. Przychodzi mi też na myśl to zdanie panny Heleny Zawilowskiej, któreś mi pan powtórzył, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje. W każdym razie jest to rzecz nadzwyczajna. Wierzę też, że gdyby nawet Zawilowski chciał teraz do niej wrócić, ona nie zgodziłaby się na to, tylko dlatego, że się go nie czuje godna. Co do mnie, myślę, że na świecie jest wiele lepszych i szlachetniejszych od niej natur kobiecych, ale niech mnie licho porwie, jeśli będę działał przeciw niej“.

W dalszym ciągu następowały zapytania o zdrowie i ukłony dla państwa Bigielów.

List ten uczynił wielkie na wszystkich wrażenie i dał powód do licznych rozpraw między Połanieckimi i Bigielami. Pokazało się też zarazem, jak dalece zmienionym człowiekiem jest Połaniecki. Dawniej nie znalazłby dość słów potępienia dla panny Castelli i nie byłby nigdy uwierzył, że w tego rodzaju kobiecie może się odezwać jakaś struna uczciwsza; obecnie zaś, gdy pani Bigielowa (która, jak i inne panie, ciałem i duszą należała do stronnictwa panny Ratkowskiej) wyraziła wątpliwość, czy nie jest to tylko odmienna taktyka ze strony panny Castelli — rzekł:

— Nie, ona na to zbyt młoda i wydaje mi się w tem szczerą. To już jest wielka rzecz, jeśli tak bezwzględnie uznaje swoją winę, bo to dowodzi, że jej zbrzydła życiowa nieprawda.

Po chwili zaś zastanowienia, dodał:

— Ja pamiętam, jak naprzykład taki Maszko — nieraz niby uznawał, że idzie błędną i fałszywą drogą, ale natychmiast szukał poza sobą przyczyn, któreby go mogły usprawiedliwić: „U nas tak trzeba“; „to wina naszego społeczeństwa“; „płacę takimi pieniędzmi, jakie mają kurs!“ — Com się tego nasłuchał! I to była również nieprawda. Tymczasem jest pewna odwaga w powiedzeniu: moja bezwzględna wina! — i kto tę odwagę ma, temu jeszcze coś zostało.

— Więc pan sądzi, że Zawilowski dobrzeby zrobił, wróciwszy do niej?

— Ani tak sądzę, ani przypuszczam, by się to stać mogło.

Lecz żywe zajęcie, rozbudzone wiadomościami z Rzymu, oraz troska o Zawilowskiego i pannę Castelli, przeszły wkrótce pod naciskiem poważniejszej troski, jaka zawisła nad domem Połanieckich. Pod koniec listopada zdrowie Maryni poczęło się psuć widocznie. Psuło się zresztą już od dawna, ale ona ukrywała to, póki mogła. Przychodziły na nią teraz ciężkie bicia serca i osłabienie tak wielkie, iż bywały dni, w których nie mogła porużyć się z fotelu. Następnie dołączyły się do tego bóle krzyża i zawroty głowy. W ciągu tygodnia zmieniła się w oczach i wychudła do tego stopnia, że nawet lekarze, którzy aż dotąd uważali te objawy za zwykłą zapowiedź zbliżającej się słabości, poczęli się nimi niepokoić. Przejrzysta jej twarz przybierała teraz czasem odcień błękitnawy i, zwłaszcza w chwilach, gdy chora trzymała oczy zamknięte, stawała się podobną do twarzy umarłej. Nawet pani Bigielowa, największa optymistka w otoczeniu, nie mogła w końcu oprzeć się obawom, lekarz zaś oświadczył wprost Połanieckiemu, że w takich warunkach oczekiwane przejście może być niebezpieczne i samo w sobie i w następstwach. Naprawdę jedna tylko Marynia, lubo codzien słabsza i więcej wyczerpana, nie traciła otuchy.

Połaniecki zaś ją tracił. Przyszedł na niego czas tak ciężki, że wszystkie bóle i zmartwienia, jakie trafiło mu się w życiu przechodzić, wydały mu się niczem w porównaniu z tym strasliwym niepokojem, przechodzącym częstokroć w zupełną utratę nadziei. Niegdyś, po ożenie-

niu się z Marynią, w jego pojęciach o małżeństwie i nadziejach na przyszłość, dziecko było czemś głównem; teraz dopiero uczuł, że oddałby nie jedno, ale wszystkie dzieci, jakie kiedykolwiek mógł mieć, byle uratować tę jedyną, kochaną głowę. I serce krajało mu się, gdy czasem Marynia powtarzała swym osłabionym głosem pytanie, które i przedtem nieraz mu zadawała: „Stachu, a jeśli będzie chłopiec?“ — Radby był upaść jej do nóg i, objawszy je, powiedzieć: „Niech лихо porwie chłopca, czy dziewczynę, byleś została mi ty!“ — musiał zaś uśmiechać się do niej i zapewniać ją spokojnie, że mu to wszystko jedno. Opadły go znów dawniejsze strachy — i owa nadzieja, którą w nim wzbudziły słowa Maryni, że fala złego wraca przy łasce bożej tylko jako żal, rozwinęła się bez śladu. Teraz chwilami miewał znowu poczucie, że choroba Maryni może być właśnie taką powracającą falą. Jakim sposobem tak mogło być, na to nie miał odpowiedzi, ale próżno rozum mówił mu, że naprzykład, między występkiem pani Osnowskiej, lub panny Castelli, a karą, jaka je spotkała, istnieje bezpośredni związek, którego tu nie masz. Strach odpowiadał mu na to, że zło może się filtrować przez życie tak tajemniczymi drogami, iż rozum ludzki nigdy ich nie wysledzi. I na tę myśl ogarniała go jakaś wprost mistyczna bojaźń. Człowiek w nieszczęściu traci zdolność do ścisłych rozumowań i żyje pod uciskiem groźby — i pod takim uciskiem żył Połaniecki. Widział tylko przepaść i własną bezsilność. Nieraz, patrząc na wynędzniałą twarz Maryni, mówił sobie: „Trzeba być szalonym, żeby przypuścić, iż ona może nie umrzeć!“ — a jednocześnie szu-

kał rozpaczliwie na twarzach otaczających choć cienia nadziei, i każdą kroplą krwi, każdą cząstką mózgu, całą duszą i sercem, buntował się przeciw jej śmierci. Wydawało mu się to niepojętą krzywdą, żeby ona miała zamknąć na zawsze oczy, zanim on nie okaże jej, jak ją bez miary kocha, zanim jej nie wynagrodzi tych wszystkich chwil nieuwagi, szorstkiego obojętstwa, egoizmu i niewiary, zanim nie powie jej, że stała się duszą jego duszy, czemś nietylko nad wszystko w życiu umiłowaniem, ale i uczczonem. Powtarzał sobie, że jeśli Bóg tego dla niego nie uczyni, to powinien uczynić dla niej, żeby przynajmniej odeszła z uczuciem takiego szczęścia, na jakie zasłużyła. Od tych zuchwałych narzuceń Bogu, jak powinien postąpić, przechodził znów do skruchy, pokory i prośby. Ale tymczasem Marynia była z każdym dniem bardziej i niebezpieczniej chora, on zaś, wśród dwóch rozpacz, z których jedna krzyczała: „to nie może być!“ — a druga: „to musi być!“ — wił się istotnie, jak w klezczach.

Nadomiar, z konieczności, z obawy, by żonie nie odebrać otuchy, musiał wobec niej udawać, że z jej choroby niewiele sobie robi. I lekarz i pani Bigielowa przestrzegali go codziennie, by jej nie przestraszał; wskazywał mu to również własny rozum, a jednocześnie było to dla niego nowem udręczeniem, przychodziło mu bowiem na myśl, że ona może to wziąć za brak uczucia i umrzeć z myślą, że on jej nigdy nie kochał. Zmieniło się też w nim wszystko do dna. Bezsensowność, zmęczenie i trwoga wprowadziły go w stan jakiejś chorobliwej egzaltacji, w której samo nawet niebezpieczeństwo, i tak aż nadto

rzeczywiste, widział w spotęgowanym stopniu. Zdawało mu się, że niema żadnej nadziei i chwilami myślał o Maryni, jakby już umarła. Po całych dniach rozpamiętywał wszystkie dodatnie strony jej charakteru, jej słowa, dobroć, spokój; przypominał sobie, jak wszyscy ją kochali i jednocześnie czynił sobie rozpaczliwe wyrzuty, że jej nigdy nie był wart, że ją nie dość kochał, nie dość cenił, że w końcu złamał jej wiarę, a zatem musi ją stracić — i traci słusznie.

I w tem poczuciu, że rzecz tak straszna jest zarazem zasłużoną i że na wszelką poprawę jest zapóźno, było po prostu coś rozdzierającego. Ci nawet, którzy za życia byli zawsze bardzo kochani, odchodząc, pozostawiają za sobą żal, że jeszcze nie dość byli kochani — ze wszystkich najcięższy.

Na początku grudnia wrócili po dwumiesięcznym pobycie we Włoszech Świrski i Zawilowski. Połaniecki tak wysechł i zmizerniał przez ten czas, że go ledwie poznali; ale i on, cały pogrążony w swem nieszczęściu, prawie nie zwrócił na nich uwagi i słuchał, jak przez sen, słów pociechy i otuchy ze strony obydwóch, również jak i opowiadań, któremi zacny malarz próbował rozzerwać jego strapioną myśl. Co go teraz mógł obchodzić Zawilowski, pani Broniczowa lub panna Castelli, wobec tego, że jego Marynia mogła lada dzień skończyć. Świrski, który miał dla niej ogromną przyjaźń, chcąc zacerpnąć skądkolwiek trochę nadziei, udał się do pani Bigielowej, lecz i ta nie miała jej wiele. Lekarze sami nie wiedzieli dobrze, co chorej jest, bo do jej stanu przyłączyły się jeszcze rozmaite inne powikłania, nie dające

się nawet określić. Wiadomo im było tylko, że serce chorej działa nieprawidłowo, obawiano się zaś przede wszystkim, by, wskutek złego krążenia krwi, nie potworzyły się w żyłach skrzepy, grożące natychmiastową śmiercią. Lecz prócz tego, nawet w razie szczęśliwego rozwiązania, obawiano się mnóstwa rzeczy: i wycieńczenia, i upadku sił, i wszelkiego rodzaju następstw, które dopiero później mogły się ukazać. Świrski przekonał się, że pani Bigielowa nie łudzi się już także, gdyż w końcu rozmowy rozplakała się i rzekła:

— Biedna Marynia, ale biedny i on! Żeby mu chociaż dziecko zostało, możeby znalazł siłę do zniesienia tego ciosu.

I wyplakawszy się, dodała:

— I tak ja nie rozumiem, jak on może to wszystko wytrzymać.

Była to prawda. Połaniecki nie jadł i nie spał. W biurze nie pokazywał się od dawna, z domu zaś wypadał tylko chwilami po kwiaty, które Marynia zawsze lubiła i których widok ją rozweselał. Ale była już tak chora, że on za każdym razem, niosąc pęki chryzantem, wracał ze straszną myślą, że może niesie je na trumnę. Maryni samej otworzyły się oczy, że to może zbliżyć się śmierć. Mężowi nie chciała o tem mówić, ale przed panią Bigielową plakała któregoś dnia z żalu za życiem i za „Stachem“. Martwiła się też myślą, jak on to przemiesie, bo chciało jej się, żeby jej bardzo żałował, a jednocześnie, żeby nie bardzo cierpiał. Przez długi czas udawała jednak przed nim, że jest pewna, iż wszystko skończy się szczęśliwie.

Ale później, gdy poczęły przychodzić na nią omdlenia, zebrała się na odwagę, by z nim mówić trochę otwarciej. Wydało jej się to obowiązkiem, więc którejś nocy, gdy pani Bigielowa, zwyciężona bezsennością, poszła spać, a on czuwał, jak zawsze, przy niej, przyciągnęła do siebie jego rękę i rzekła:

— Stachu, ja chciałabym z tobą pomówić i o jedną rzecz cię poprosić.

— Co chcesz, kochanie? — spytał Połaniecki.

Ona czas jakiś namyślała się widocznie, jakby wyrazić swoją prośbę, a potem poczęła mówić:

— Obiecuj mi... Ja wiem, że pewno wyzdrowieję... ale przyrzecz mi, że... choćby to był chłopiec, ty go będziesz kochał i będziesz dla niego dobry.

Połaniecki nadludzkim wysiłkiem pohamował łkanie, które chwytало go za piersi i odrzekł spokojnie:

— Moje drogie kochanie! I ciebie będę zawsze kochał i jego. Bądź pewna!...

Na to Marynia spróbowała podnieść jego rękę do ust, ale z osłabienia nie mogła tego uczynić, więc poczęła się tylko uśmiechać do niego z wdzięcznością, a po chwili znów rzekła:

— I jeszcze jedno... Nie myśl, żebym przypuszczała zaraz jakie straszne rzeczy — wcale nic! — ale ja — chciałabym się wypowiedzieć...

Połanieckiego dreszcz przebiegł od stóp do głów.

— Dobrze, moje dziecko — odpowiedział zająkliwym i jakby nieswoim głosem.

Ona zaś, przypomniawszy sobie, że niegdyś podobalo mu się jej wyrażenie „służba boża“, i chcąc mu

dać poznać, że tu nie chodzi o nic innego, jak tylko o wypełnienie zwykłych religijnych obowiązków, powtórzyła z uśmiechem, niemal wesołym:

— Służba boża!

I spowiedź odbyła się nazajutrz. Połaniecki tak był już pewien, że to jest koniec wszystkiego, iż niemal dziwiło go, że Marynia żyje jeszcze, a nawet, że wieczorem uczyniło się jej nieco lepiej.

Nie śmiał już wpuścić nadziei do duszy. Ona jednak stała się rzeświejsza i mówiła, że jej lżej oddychać. Około północy poczęła z nim zwykłą wojnę o to, by poszedł odpocząć. Jakoż on, ze zmartwienia i trudu wyglądał już nie wiele lepiej od niej. Bronił się też i teraz z początku, utrzymując, że spał w dzień, co była nieprawda — i że jest wypoczęty; ale gdy nalegała koniecznie — ustąpił, tem bardziej, że była przy niej umyślna kobieta i Bigielowa, a lekarz, który od tygodnia sypiał w ich mieszkaniu, upewnił go, że na dziś nie należy się niczego gorszego spodziewać.

Wyszedłszy jednak, uczynił to, co czynił zwykle, to jest siadł na fotelu przy drzwiach i począł nasłuchiwać, co dzieje się w jej pokoju.

Za najmniejszym szmerem zrywał się, lecz gdy szmer ustawał, siadał znowu i począł rozmyślać, prędko a chaotycznie, jak czynią ludzie, nad którymi wisi niebezpieczeństwo. Chwilami jednak myśli zachodziły mu ze znużenia jedna za drugą, tworząc jakąś zbitą gęstwinę, w której się plątał, nie mogąc nic rozeznąć. Morzył go też i sen. Siły miał niepospolite, ale od dziesięciu dni przebierał się tylko, nie rozbierał — i na nogach pod-

trzymała go jedynie czarna kawa i gorączka. Nie poddawał się i teraz, choć głowa ciężła mu ołowiem, a gestwina myśli zmieniła się jakby w czarną chmurę, bez jednego jaśniejszego promyka. Mechanicznie tylko powtarzał sobie jeszcze, że Marynia chora i że on nie powinien usnąć; ale słowa te nie miały już dla niego najmniejszego znaczenia.

Wreszcie trud, wyczerpanie i bezsenne noce przemogły. Chwycił go nieprzeparty, kamienny sen, w którym nic się nie śni, w którym ginie rzeczywistość, ginie cały świat i samo życie zdaje się drętwieć.

Nad ranem zbudziło go dopiero pukanie do drzwi.

— Panie Stanisławie! — ozwał się przytłumiony głos pani Bigielowej.

Połaniecki zerwał się na równe nogi i oprzytomniawszy w tejże chwili, wybiegł z pokoju. Jednym spojrzeniem objął łóżko Maryni i na widok zapuszczonych firanek nogi zachwiały się pod nim.

— Co się stało? — wyszeptał zbielełymi wargami.

A pani Bigielowa odpowiedziała równie cicho, głosem nieco zdyszany:

— Macie syna...

I położyła palec na ustach.

XXII.

Były jeszcze dni ciężkie i bardzo ciężkie. Przyszło osłabienie tak wielkie, że życie Maryni poczęło się wahać, jak płomyk. Zgaśnie czy rozetleje? — na to nie umiał nikt odpowiedzieć. Chwilami wszyscy byli przekonani, że już, już gaśnie. Jednakże młodość i ulga, jaką organizmowi przyniosło przyjście na świat dziecka, przeważyły szalę na stronę życia. Któregoś dnia chora po długim śnie obudziła się jakby rzeźwiejsza. Stary lekarz, który był przy niej i który to stwierdził, chcąc upewnić się lepiej, że owo polepszenie nie jest złudzeniem, zażądał wezwania drugiego, z którym przedtem składali konsylia. Połaniecki sam po niego pojechał i prawie odchodził od zmysłów, szukając go po mieście przez pół dnia, nie śmiał bowiem jeszcze mieć nadziei, że to już zwrot stanowczy w jej chorobie i w jego niedoli. Gdy nareszcie odnalazł utrapionego medyka i gdy przywiózł go do domu, przyjęła ich w przedpokoju pani Bigielowa, z mokremi rzęsami, ale z twarzą rozpromienioną, i rzekła:

— Lepiej! stanowczo lepiej!

I nie mogła mówić więcej, bo łzy popłynęły z jej oczu. Połaniecki pobladł ze wzruszenia, ona zaś, opanowawszy po chwili swą radość, poczęła mówić, uśmiechając się przez łzy:

— Wie pan, wojuje już o jedzenie! Przedtem kazała sobie przynieść małego. Dopytywała także, czemu pan nie wraca. A teraz wojuje o jedzenie, ale jak wojuje! A, chwała Bogu! chwała Bogu!

I w uniesieniu uściskała Połanieckiego, a on przez długi czas nie odejmował ust od jej rąk; drżał tylko cały z wysilenia, żeby potłumić radość, ale zarazem i jęki, które, nagromadziwszy się w nim przez tyle dni trwogi i męczarni, chciały teraz koniecznie wybuchnąć.

Tymczasem lekarze poszli do Maryni i siedzieli przy niej dość długo. Gdy po skończonej naradzie ukazali się znowu, na twarzach ich widać było zadowolenie. Na gorączkowe zapytania Połanieckiego, ten, który stale był przy Maryni, stary impetyk, ze złotymi okularami na nosie i złotem sercem w piersiach, sam uszczęśliwiony, ale utrudzon bardzo, rzekł oburkliwie:

— Jak się ma? Idź pan, podziękuj Bogu!... ot co!

I Połaniecki poszedł. Gdyby był człowiekiem zupełnie niewierzącym, byłby w tej chwili poszedł tak samo — i z sercem, wezbranem łzami i wdzięcznością, byłby dziękował tak samo Bogu, że się nad nim zlitował i pozwolił wrócić fali złego tylko pod postacią żalu, zgryzoty, męki — nie pod postacią śmierci.

Poczem, uspokoiwszy się, wszedł na palcach do pokoju żony, przy której była już pani Bigielowa. Marynia raźnie spoglądała przed się rozweselonemi oczyma

i na pierwsze wejrzenie znać było, że istotnie ma się daleko lepiej. Ujrawszy go, rzekła:

— A widzisz, Stachu... dobrze!

— Dobrze, kochanie — odpowiedział cicho Połaniecki.

Nie pora była jeszcze na głośne wybuchy, więc siadł w milczeniu przy jej łóżku. Lecz po chwili radość i ogromna miłość do niej zmogły go tak, iż, przechyliwszy się, objął rękoma jej okryte kołdrą stopy, a następnie, przyłożywszy do nich twarz, pozostał w ten sposób bez ruchu.

Ona zaś, jakkolwiek bardzo jeszcze osłabiona, uśmiechała się z zadowolenia. Przez czas jakiś patrzyła na niego, poczem zupełnie jak dziecko, uszczęśliwione, że je pieścą, rzekła do pani Bigielowej, ukazując swoim przezroczystym paluszkim na tę ciemną czuprynę, przytuloną do jej nóg:

— Kocha!

Nazajutrz Marynia czuła się jeszcze zdrowszą i od owej chwili każda niemal godzina przynosiła polepszenie. W końcu był to już nie powolny powrót do zdrowia, ale jakby rozkwit, jakby nagły powrót wiosny po zimie, który zdumiewał samego lekarza. Połanieckiemu chciało się teraz chwilami krzyżeć z radości, która dusiła go tak, jak dawniej — męka. Trzymano Marynię jeszcze w łóżku, przez zbytek ostrożności; ale gdy wracały jej siły, rumieńce, ochota do życia, humor, poczęła sobie przykrzyć i codziennie wieczór zapowiadać, że nazajutrz wstanie. Pod jednym tylko względem długa choroba i bezsilność przyniosły zmianę w jej usposobieniu, która

jednak wkrótce miała przejść razem z innymi śladami słabości. Oto tak spokojna i rozsądna niegdyś kobietka, stała się na pewien czas jakby rozpieszczonem dzieckiem, które często napierało się rozmaitych rzeczy bardzo usilnie i odczuwało prawdziwe zmartwienie, jeśli mu ich odmawiano. Połaniecki, rozmawiając z nią, wchodził mimowoli w jej ton, skutkiem czego owe „grymasy“ były powodem do wesołości.

Raz poczęła się przed nim skarżyć, że pani Bigielowa nie chce jaj dać czerwonego wina. Pani Bigielowa tłumaczyła się, że dała tyle, ile doktor pozwolił, ale musi czekać na jego pozwolenie, żeby dać więcej. Połaniecki jął zaraz Marynię pocieszać, mówiąc do niej tak zupełnie, jak niegdyś mawiał do Litki:

— Dadzą dziecku wina, zaraz dadzą!... Tylko doktor przyjdzie...

A Marynia na to:

— Czerwonego!...

— Ale jak czerwonego! — odpowiedział z zapalem Połaniecki.

Poczem oboje poczęli się śmiać, a z nimi razem i pani Bigielowa. Jak dawniej, w całym tym pokoju unosiła się trwoga śmierci i nieszczęścia, tak teraz często radość rozświecała go, jak słońce. Chwilami wpadali w doskonały humor, a do kompanii należał częstokroć i dziadzio Pławicki, który, od czasu przyścia na świat wnuka, stał się pełen patryarchalnej, ale dobrotliwej powagi, nie wyłączającej wesołości. Bywało zresztą różnie; czasem bowiem brał w nim górę nastrój wysoki i uroczysty. Pewnego dnia przyniósł testament i zmusił

wszystkich do wysłuchania jego paragrafów od początku do końca. We wstępie żegnał się we wzruszających słowach z życiem, z córką, z Połanieckim i z wnukiem, nie szczędząc przytem wskazówek, tyjących jego wychowania na dobrego wnuka, dobrego syna, ojca i obywatela; następnie czynił go spadkobiercą wszystkiego, co posiadał — i, pomimo, że od bankructwa Maszki posiadał tylko tyle, ile mu dawał Połaniecki — niemniej czuł się wzruszonym swoją hojnością i niemniej cały wieczór miał minę pelikana, który nakarmił własną krwią pisklęta.

Człowiek, który się odradza na świat po ciężkiej chorobie, przechodzi poniekąd znów przez wszystkie okresy dzieciństwa i pierwszej młodości, z tą jedynie różnicą, że to, co dawniej liczyło się na lata, liczy się w takich warunkach na tygodnie, lub nawet na dni. Tak było z Marynią. Pani Bigielowa, która z początku nazywała ją „bébé“, mówiła, śmiejąc się, że stopniowo „bébé“ zmienia się w małą dziewczynkę, a z dziewczynki w podlotka. Ale w podlotku poczęła się następnie odnajdować kobieca kokieterya. Teraz, gdy ją czesano, wymagała już koniecznie, by jej stawiano na kolanach niewielkie zwierciadło, które miała po matce, i pilnie badała w niem, czy też zapowiedź pani Bigielowej, że „potem jest się jeszcze ładniejszą“, sprawdza się na niej. W pierwszych czasach ogłędziny niezbyt ją zadawałniały, później jednak coraz więcej. Nakoniec, któregoś dnia, kazała sobie zaraz po uczesaniu podać raz jeszcze zwierciadło — i jeszcze raz odbyła dokładny przegląd cery,

oczu, ust, włosów, wyrazu, słowem wszystkiego, co było do obejrzenia.

I *rewiu* musiała wypaść dobrze, albowiem poczęła się uśmiechać, rozpromieniać, wreszcie zwróciła się w stronę pokoju Połanieckiego i przegrążając wymizowaną piąstką, z miną wielce zdobywczą, rzekła:

— A, poczekajno teraz, panie Stachu!

Rzeczywiście zaś nigdy nie była równie śliczna. Płeć jej, zawsze bardzo czysta, stała się jeszcze bardziej przezrocza i jeszcze więcej liliowa, niż wówczas, gdy Zawilowski tracił głowę i rymował z tego powodu od rana do wieczora. A obok tego, na policzkach jej świecił już pierwszy różowy blask zdrowia. Z oczu, z ust, ze zdrobniałej po chorobie twarzy, biło jakby światło, jakby odrodzenie się do życia i jakby wiosna. Była to po prostu cudna głowa, pełna barw jasnych, a leciuchnych, a zarazem subtelnego rysunku — prawdziwie wytworna i, jak się niegdyś wyraził Zawilowski: polna — tak cudna, że chwilami, gdy leżała na poduszkach i na podścieli ciemnych włosów, nie można się jej było dość napatrzeć. To też tak zwany „Pan Stach“, który to wszystko widział doskonale. i który, wedle określenia Bigiela, nie mógł już z miłości „ani ręką, ani nogą ruszyć“ — nie potrzebował wcale „czekać“. Nietylko ją teraz kochał jak kobietę i jak drogą głowę, ale czuł dla niej wdzięczność bez granic za to, że nie umarła — i okazywał swą wdzięczność w ten sposób, że starał się odgadywać jej myśli. Marynia ani przypuszczała kiedykolwiek, że stanie się do tego stopnia osią jego życia, zrenicą jego oka, duszą jego myśli i czynności. Nigdy

nie było im ze sobą źle, ale teraz, wraz z powrotem do zdrowia Maryni, weszło do ich domu niebывałe szczęście i niebывała radość.

Przyczyniał się do niej dzielnie i młody Połaniecki. Marynia nie mogła sama karmić i mąż, przewidując to, sprowadził do syna żywicielkę. Chcąc jednak sprawić chorej przyjemność, sprowadził dawną jej znajomą z Krzemienia. Służyła ona niegdyś u Pławickich, po ich wyjeździe zaś zgodziła się do Jałbrzykowa i tam zdarzyło się jej nieszczęście. Nigdy nie wiadano dobrze, kto był jego przyczyną; jeśli jednak któremu z większych właścicieli można było zarzucić brak miłości do ludu, to nie panu Gątowskiemu, albowiem w całym Jałbrzykowie pełno było dowodów, jak dalece pan Gątowski lud kochał. Nawet i przy układach o serwituty, współobywatele z Jałbrzykowa, między innymi kwestyami podnosili i tę, że: „pan dziedzic na białym koniu jeździ, z pistoletca se strzyla i dziewczkom w ślipia patrzy“ — i jeśli z jednej strony nie łatwo było pojąć, jaki właściwie związek mają powyższe zwyczaje pana Gątowskiego z układami o serwituty, to natomiast z drugiej stawało się zupełnie jasnym, iż, dzięki tymże zwyczajom, Połaniecki znalazł z łatwością w Jałbrzykowie karmicielkę dla swego syna.

Że zaś była to silna, młoda i hoża Mazurka, przeto młody człowiek mógł tylko dobrze wyjść na jej opiece. Wogóle ów mały Połaniecki była to osoba, która od pierwszej chwili przyjscia na świat rozpanoszała się w domu codzien bardziej, nie licząc się z nikim i nie myśląc o niczem, tylko o własnych potrzebach i przy-

jemnościach. W myśl tej metody, w chwilach wolnych od uczt i snu, zajmował się ćwiczeniem i rozwojem swych małych płuc, za pomocą krzyku tak doniosłego, na jaki tylko poranny jego wiek umiał się zdobyć. Przynoszono go wówczas najczęściej do Maryni, przyczem rozpoczynały się nieskończone sesye, na których rozpatrywano szczegółowo wszystkie jego fizyczne i umysłowe zalety, oraz uderzające podobieństwo do życiodawców. Stwierdzono w ten sposób, że ma nos matki, odrzucawszy z rzadką w głosowaniu jednomyślnością uwagę mamki, że ma nos jak „kociak“; stwierdzono również, że będzie miał niezmiernie ujmujący uśmiech, że będzie brunetem, że będzie niezawodnie wysoki, że jest bardzo żywy i że będzie się odznaczał zadziwiającą pamięcią. Pani Bigielowa, póki Marynia leżała jeszcze w łóżku, robiła przytem na swoją rękę rozmaite odkrycia, które zwiastowała wszem wobec. Raz też, wpadłszy do Maryni, poczęła mówić z radością i godnym wszelkiego uznania pośpiechem:

— Wyobraź sobie, rozłożył paluszki u jednej rączki, a drugą, przysięgłabyś, że je liczy. Będzie z pewnością matematyk!

Marynia zaś odrzekła z zupełną powagą:

— To będzie miał po ojcu.

I ona jednak zrobiła odkrycie, wcześniejsze nawet pod względem daty od wszystkich pani Bigielowej, mianowicie, że to jest „bardzo kochane stworzonko“. Co do Polanieckiego, ten w pierwszych chwilach patrzył na nowego znajomego ze zdziwieniem i pewną nieufnością. W swoim czasie bardzo sobie życzył mieć córkę, z tego

głównie względu, iż, będąc z usposobienia i serca wielkim dzieciarzem, wyobraził sobie, że tę całą tkliwość, jaką się ma w sobie, można oddać tylko dziewczynce. Nie wiadomo, dlaczego tkwiło w nim pojęcie, że syn, to będzie zaraz jakieś chłopisko, nieledwie z węsami, mówiące basem, wierzgające jak żrebak, do którego z tkliwością nie warto i przystępować, bo on ją ma — w pogardzie. Stopniowo dopiero, przypatrując się tej drobnej, śpiącej w poduszkach, figurze, począł dochodzić do przekonania, że to nietylko nie jest żadne „chłopisko“, ale po prostu godna litości bieda, taka mała, słaba, bezbronna, tak potrzebująca opieki i kochania, jak i wszystkie w świecie dziewczyny. Zresztą mówił sobie: „Taki on tam jeszcze i chłopiec!“ — i od tej chwili rozczulał się dla niego coraz więcej, a po kilku dniach próbował go nawet sam nosić do Maryni, co zresztą czynił z takim nakładem zgoła zbytucznych ostrożności, a zarazem tak niezgrabnie, że doprowadzał do śmiechu nietylko Marynię i panią Bigielową, ale, z ujmą swej powagi — nawet i mamkę.

I śmiech rozlegał się teraz w mieszkaniu Połanieckich niemal od rana do wieczora. Oboje, budząc się rano, budzili się z tem błogiem poczuciem, że dzień przyniesie im nową radość. Bigiel, który od czasu jak Marynia wstała, dopuszczany bywał wieczorem razem ze swoją wionoczelą, przypatrując się ich życiu, rzekł kiedyś, po chwili odpowiedniej rozważi:

— Na dobrych ludzi, jak i na każdego, może przyjść nieszczęście; ale za to, jak im dobrze, tak, dali-bóg, nikomu nie jest lepiej.

A im było rzeczywiście dobrze. Marynia, wedle tego, co słyszała w swoim czasie od pani Bigielowej i co myślała sama, sądziła, że przyczyną tego ponownego rozkwitu miłości męża jest dziecko, które ich związało nowymi węzłami... Któregoś dnia poczęła nawet o tem mówić z Połanieckim, lecz on odrzekł jej z całą prostotą:

— Nie! słowo ci daję! Jego swoją drogą kocham, ale ciebie kochałem już bajecznie, nim on na świat przyszedł — dla ciebie samej, dlatego, że jesteś taka, jak jesteś. Spójrz na okół, pomyśl, co się na świecie dzieje i z kim ja ciebie mam porównać?...

Tu, wzięwszy jej ręce, począł je całować nietylko z ogromną miłością, ale zarazem z największą czcią — i dodał:

— Ty sama nigdy nie będziesz wiedzieć, czem ty dla mnie jesteś i jak ja ciebie kocham!

Ona zaś, przytuliwszy się do niego, pytała z twarzą jasną od szczęścia, jak słońce:

— Nie? naprawdę, Stachu?... powiedz!...

XXIII.

Przyszły chrzciny. Młody człowiek był już ochrzczony z wody, albowiem uczyniła to zaraz po jego przyjściu na świat pani Bigielowa, której, pod wrażeniem choroby matki, wydawało się, że i mały umrze lada minuta... Lecz on ani o tem myślał — i w najlepszym zdrowiu i apetycie czekał na termin uroczystości, w której miał odegrać główną rolę. Połaniecki pospraszal wszystkich znajomych: była więc, prócz domowych i dziadzi Pławickiego, pani Emilia, która na ten dzień zebrała resztę sił, byli oboje państwo Bigielowie z małemi Bigielętami, i profesor Waskowski, i Świrski, i Zawilowski, i panna Ratkowska. Pani Połaniecka, zdrowa już, wystrojona i szczęśliwa, wyglądała tak uroczo, że Świrski, ujrzawszy ją, wziął się obu rękoma za włosy i, ze zwykłą sobie szczerością, rzekł:

— To przecie przechodzi wszelkie pojęcie! Dalibóg, oczy można stracić!

— Co! — zawołał Połaniecki, sapiąc z zadowolenia i z taką zarozumiałością, jakby zawsze utrzymywał to, o czem inni teraz dopiero się przekonali.

A Świrski odrzekł:

— Klękajcie narody! Nie powiem nic więcej!

Ona słuchała tego z zakłopotaniem, ale płonąc zarazem z radości w poczuciu, że Świrski ma słuszość. Musiała się jednak zająć gośćmi i ceremonią, a to tem bardziej, że z początku wkradło się pewne zamieszanie. W pierwszą parę miała trzymać małego Stasia pani Emilia i Bigiel, w drugą zaś malarz z panną Ratkowską. Tymczasem ten ostatni począł robić niespodzianie trudności, wynajdywać przeszkody i wykręcać się, niewiadomo dlaczego. „Radby bardzo — po to umyślnie z Włoch przyjechał... jakże! to rzecz ułożona; ale, że nigdy przedtem dziecka do chrztu nie trzymał, więc nie wie, czyby mu się chrześniak zdrowo chował, a zwłaszcza, czyby miał szczęście do kobiet“. Na to Połaniecki począł się śmiać i nazywać go przesadnym Włochem, lecz Marynia, która najprędzej domyśliła się o co chodzi, korzystając z chwili, w której chcąc się wymknąć, wycofywał się do okna, rzekła półgłosem:

— Kumostwo w drugą parę nie jest w danym razie przeszkodą.

Świrski powiódł za nią oczyma, następnie uśmiechnął się, ukazując swoje małe zdrowe zęby, i nagle rzekł, zwracając się do panny Ratkowskiej:

-- Prawda, że to tylko w drugą parę, więc... służę pani!

I wszyscy otoczyli teraz małego Stasia, który na ręku niani, przybrany w powłóczyste muśliny i koronki, wyglądał dzielnie razem ze swoją łysiną i wytrzeszczonymi okrągłymi oczkami, w których świat zewnętrzny

odbijał się tak mechanicznie, jak w zwierciadle. Bigiel wziął go teraz na ręce i rozpoczął się obrzęd.

Obecni słuchali w należytem skupieniu poważnych sakramentalnych słów, lecz młody poganin okazał wyjątkową zatwardziałość. Naprzód począł wierzcąc tak, że wysunął się nawpół z rąk Bigiela, poczem, gdy Bigiel wyrzekał się w jego imieniu czarta i jego nieprawości, uczynił wszystko, co było w jego mocy, żeby go zagłuszyć. Dopiero, ujrawszy niespodzianie wśród krzyku okulary Bigiela, uciał nagle, jakby chcąc dać do zrozumienia, że, jeśli na świecie istnieją tak zdumiewające przedmioty, to w takim razie co innego.

Zresztą obrzęd się skończył i zaraz potem oddano go w ręce niani, która po chwili ułożyła go w przepyszne łóżeczku, mającem kształt wózka, darze Świrskiego — i chciała go wytoczyć z pokoju. Lecz Świrski, który może dotąd nigdy w życiu nie widział z bliska tak małej osoby, i w którego piersiach biło stęsknione od dawna za ojcowstwem serce, zatrzymał nianię i, pochyliwszy się do kołyski, wziął dziecko w ramiona.

— Ostrożnie! ostrożnie! — zawołał, zbliżając się Połaniecki.

A malarz odwrócił się do niego i rzekł:

— Panie, ja miewałem w ręku wyroby Luca della Robbia.

I rzeczywiście, podniósł małe stworzenie i począł je huścić z taką zręcznością, jakby całe życie dzieci nianczył. Następnie przystąpił z nim do profesora Waskowskiego i spytał:

— Cóż? Co kochany profesor myśli o tym młodym Aryjczyku?

— A cóż — odpowiedział staruszek, spoglądając z rozczuleniem na malca — naturalnie, że Arya! najczystszej krwi Arya!

— I przyszedł misjonarz? — dodał Połaniecki.

— Nie uchyli się od tego w przyszłości, nie uchyli, tak, jak i wy nie umiecie się uchylić! — odpowiedział profesor.

Jakoż przyszłości niepodobna było przesądzać, na razie jednak młody Aryjczyk uchylił się od wszelkich misji w sposób tak niedwuznaczny, a nawet wprost obelżywy, że trzeba go było oddać niani. Panie jednak nie przestały się nim bawić, cmokać na niego i zachwycać się nim, póki nie doszły do stanowczego wniosku, że to jest dziecko zupełnie wyjątkowe, że całe zachowanie się jego dowodnie o tem świadczy i że trzebaby chyba nie mieć oczu, żeby nie poznać, że to będzie najprzystojniejszy w kraju mężczyzna, a przytem geniusz.

Geniusz jednak usnął wreszcie, jak gdyby odurzony kadzidłami, a tymczasem podano śniadanie. Marynia, mimo całej przyjaźni dla malarza, posadziła jednak koło panny Ratkowskiej Zawilowskiego. Chciała, jak zresztą i wszyscy, nie wyjmując nawet Świrskiego, żeby się coś w ich stosunkach wyjaśniło. Zawilowskiego postępowanie było bowiem dziwne. Świrski utrzymywał, że on nie jest jeszcze zupełnie normalny. Był zdrow, sypiał i jadł dobrze, nawet nieco utył, mówił rozsądnie, choć powolniej, niż dawniej, ale pojawiała się w nim jakaś niemoc woli, jakiś brak inicjatywy, której przedtem było w nim



tak pełno. We Włoszech rozpromieniał się na wspomnienie panny Ratkowskiej i. gdy o niej mówił, oczy czasem zachodziły mu łzami. Po powrocie, gdy mu ktoś czasem napomknął, że wartoby pójść z wizytą do panny Ratkowskiej, a zwłaszcza, gdy ofiarował się iść z nim razem, mówił: „A prawda!“ — i szedł z radością. Poza tem jednak zdawał się jakby nie pamiętać o jej istnieniu. Widocznem czasem było, że jakieś inne myśli nurtują go w głębi duszy i pochłaniają wszystkie jego duchowe władze. Świrski przypuszczał przez jakiś czas, że to może pamięć o panie Castelli — przekonał się jednak z pewnem zdziwieniem, że tak nie jest i wreszcie zaczął mniemać, że Zawilowski dlatego nigdy jej nie wspominał, iż stracił poczucie jej rzeczywistości, albo też, że wydawała mu się już czemś tak odległym, jakimś wrażeniem tak rozwianem, że wspomnień o niej nie mógł związać w żywą, realną całość. Nie był jednak smutny. Owszem, chwilami znać w nim było zadowolenie i radość z życia, jakby się dopiero po powtórnem odrodzeniu na niem poznał. Prawdziwie smutną, coraz bardziej zamkniętą w sobie i coraz cichszą była panna Ratkowska. Może, prócz braku wzajemności, niepokoiły ją w Zawilowskim i inne rzeczy, ale nie mówiła o swych niepokojach z nikim. Marynia i pani Bigielowa, sądząc, że wyłącznym powodem jej smutku jest zachowanie się Zawilowskiego w stosunku do niej, otaczały ją najserdeczniejszym współczuciem i gotowe były uczynić wszystko, by jej przyjść z pomocą. Marynia, od czasu powrotu Zawilowskiego z Włoch, widziała go po raz pierwszy, ale pani Bigielowa mówiła z nim codziennie o panie Ratkowskiej.

unosząc się nad nią, wspominając, ile jej winien wdzięczności, i dając mu coraz wyraźniej do zrozumienia, że powinien się jej jakoś z takiego długu uiszczyć. Poczciwy Świrski, wbrew własnym nadziejom, powtarzał mu toż samo — i Zawilowski wszystko przyznawał, tylko, jakby nie chcąc, lub nie umiejąc wyprowadzić ostatecznego wniosku, mówił o rychłym swym powtórnym wyjeździe, o planach jeszcze większych podróży na przyszłość, słowem, o rzeczach, które z natury swej wyłączały udział panny Ratkowskiej.

I teraz, siedząc obok, niewiele do siebie mówili. Zawilowski jadł obficie — i z zajęciem, a nawet pewną niecierpliwością, przeprowadzał oczyma nowe dania, które podawano naprzód starszym; panna Ratkowska, zauważywszy to, spoglądała na niego chwilami jakby z bolesnym współczuciem, a Marynię poczęło to trochę korcić, więc, chcąc zawiązać między nimi rozmowę, rzekła, przechyliwszy się przez stół:

— Pan tak świeżo z podróży, niechże pan coś opowie mnie i Stefcu o Włoszech. Wszak ty, Stefcu, nie byłaś tam dotąd?

— Nie byłam — odpowiedziała panna Ratkowska — ale niedawno właśnie czytałam jakąś podróż..., tylko, że czytać a widzieć, to co innego.

I zarumieniła się lekko, spostrzegła bowiem, iż się zdradziła, że czytywała o Włoszech właśnie wówczas, gdy Zawilowski tam bawił.

On zaś rzekł:

— Mnie pan Świrski namówił aż do Sycylii, ale tam były jeszcze upały; tamby trzeba teraz jechać!

— A! — rzekła Marynia — dobrze, że mi się przypomniało! A moje listy? Pytał pan przecie przez pana Świrskiego, czy chcę, by mi pan spisywał swoje wrażenia, a potem nie odebrałam ani literki!

Zawiłowski zaczerwienił się nagle, zmieształ, a potem rzekł jakimś dziwnym, niepewnym głosem:

— Bo... jeszcze nie mogłem... Ja będę ogromnie dużo pisał, ale później...

Świrski, posłyszawszy te słowa, zbliżył się po śniadaniu do Maryni i rzekł, ukazując na Zawiłowskiego oczyma:

— Wie pani, jakie on mi czasem robi wrażenie? — że to jest kosztowne naczynie — rozbite.

XXIV.

W parę dni po chrzcinach, Świrski odwiedził Połanieckiego w biurze, by się dowiedzieć o zdrowie Maryni, a zarazem pogadać o rozmaitych rzeczach, które mu leżały na sercu. Widząc jednak, że się spóźnił i że Połaniecki zabierał się do wyjścia, rzekł:

— Niech pan dla mnie nie zostaje. Pogawędzimy na ulicy. Światło dziś tak ostre, że nie mogę nic robić, więc odprowadzę pana do domu.

— Musiałbym pana w każdym razie przeprosić — odpowiedział Połaniecki. — Moja Marynia dziś po raz pierwszy wychodzi i idziemy do Bigielów na obiad. W tej chwili musi być już ubrana, ale mam jeszcze ze dwadzieścia minut czasu.

— Skoro wychodzi, to widać, że zdrowa.

— Chwalić Boga, jak ptak! — odpowiedział z radością Połaniecki.

— A Aryjczyk?

— Aryjczyk także tego się trzyma.

— Ach, szczęśliwy człowieku — rzekł Świrski — ja, żebym miał w domu taką żabę, nie mówiąc już

o takiej żonie, to nie wiem... chyba bym po dachach chodził!

— To też nie uwierzysz pan, jak mnie ten chłopak bierze za serce... Codzień więcej — a wogóle tak, że anim się spodziewał, bo trzeba wiedzieć, że ja sobie życzyłem córki.

— Jeszcze nie wieczór! przyjdzie i córka! — odrzekł Świrski. — Ale pan się śpieszysz, więc chodźmy.

Połaniecki wdział futro i wyszli na ulicę. Dzień był mroźny, jasny. Wokół rozlegał się pośpieszny brzęk dzwonek od sanek. Ludzie mieli kołnierze na uszach, szron na wąsach i z ust wyrzucali słupy pary.

— Wesoly jakiś dzień — rzekł Połaniecki. — Cieszę się dla mojej Marylki, że pogoda.

— Panu wesoło, więc wszystko bierzesz jasno — odrzekł Świrski, biorąc go pod rękę.

Lecz nagle puścił ramię Połanieckiego i, zastąpiwszy mu drogę, rzekł z taką miną, jakby się chciał z nim klócić:

— Czy pan wiesz, że pan masz za żonę najpiękniejszą kobietę w Warszawie? To ja panu powiadam — ja!

I począł stukać się ręką w piersi, jakby chcąc powiększyć pewność, że to mówi on, nie kto inny.

— Ba! — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki — i zarazem najlepszą, najpocziwszą w świecie; ale chodźmy, bo mróz.

Gdy zaś Świrski wziął go pod rękę, dodał z pewnem wzruszeniem:

— Com ja jednak przeszedł podczas jej choroby,

to Pan Bóg jeden wie... Lepiej o tem nie wspominać... Zrobiła mi po prostu niespodziankę swoim powrotem do zdrowia, ale też jeśli Bóg da doczekać wiosny, zrobię i ja jej niespodziankę, z której będzie rada.

— Jej niema z kim porównać — odpowiedział Świrski.

Tu, zatrzymawszy się znowu, rzekł jakby z pewnem zdziwieniem:

— I, jak Boga kocham, ile w niej przytem prostoty!

Przez jakiś czas szli w milczeniu, następnie Połaniecki począł wypytywać Świrskiego o wyjazd.

— Zatrzymam się ze trzy tygodnie we Fioren-cyi — odrzekł malarz. — Mam tam jakąś robotę. Prócz tego, stęskniłem się do światła na San-Miniato, do Ginewry, w której się niegdyś kochałem, i do Cimabuego. Pamiętasz pan w Santa Maria Novella, w kaplicy Rucellai?... Po trzech tygodniach pojedę do Rzymu. Właśnie chciałem o tem z panem pogadać, bo dziś rano był u mnie Zawilek z propozycją, żebyśmy znów jechali razem.

— A! — rzekł Połaniecki. — I zgodziłeś się pan?

— Nie miałem serca odmówić, choć — między nami — on bywa czasem ciężki. Pan przecie wiesz, jak go pokochałem i jak mu współczułem, więc samemu mi przykro to mówić, ale bywa bestya ciężka!... Co tu gadać: zmienił się ogromnie! Na chrzcinach powiedziałem pani, że on chwilami wydaje mi się, jak kosztowne naczynie — rozbite. I to prawda! Albo to ja raz widziałem, jak on się męczył nad tymi listami, w których chciał opisywać dla pani Włochy. Chodził całemi godzi-

nami po pokoju, tarł swoje postrzelone czoło, siadał, wstawał, a papier, jak był czysty, tak i pozostał. Daj Boże, żeby odzyskał dawny lot! Teraz jednak on wszystkim wokoło powtarza, że będzie pisał, ale sam już zaczyna o sobie wątpić — i gryzie się. Wiem, że się gryzie.

— Byłoby to nieszczęście i dla niego i dla panny Heleny — odpowiedział Połaniecki. — Gdybyś pan wiedział, jak jej rozpaczliwie chodziło nie tylko o jego życie, ale i o jego talent!

— Byłaby szkoda ogólna — odpowiedział Świrski. — Kogo mi jednak najbardziej żal, to panny Ratkowskiej. Ona też zaczyna już wątpić, czy on będzie tem, czem był, i to ją dręczy, może więcej od innych smutków.

— To biedna dziewczyna — rzekł Połaniecki — i tem biedniejsza, iż z tych wszystkich jego zamiarów podróży jedno widać jasno: że on o niej ani myśli. Szczęście, że panna Helena zapewniła jej byt niezależny.

— Ja rok czekam — odpowiedział Świrski — a po roku oświadczam się powtórnie. Wzięła mnie! niema co gadać! Uważałeś pan, jak jej ślicznie z tymi krótkimi włosami. Powinna zawsze tak chodzić. Rok czekam i milczę, ale potem będę uważał, że mam rozwiązane ręce. Niepodobna też, żeby i w niej przez rok coś się nie zmieniło, zwłaszcza, jeśli tamten nie da znaku życia... Wszystko to jest ogromnie dziwne! Myślisz pan, że ja nie robię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby w nim rozdmuchać jakąś iskrę dla niej? Dalibóg, że człowiek nigdy chyba więcej nie robił przeciw własnemu

sercu. Pani Bigielowa robi także, co może. Ale trudno! Nikt znowu nie ma prawa powiedzieć mu wyraźnie: żeń się, skoro on jej nie kocha. I to jest jeszcze dziwniejsze, że on i o tamtej, zdaje się, nie myśli. Jedna panna Ratkowska więcej jest warta, niż cały zagajnik takich „*Topolek*“ — ale to inna rzecz! Mnie o to chodzi, żeby ona nie myślała, że ja umyślnie wywożę Zawilowskiego. Nie odmówiłem mu, bom nie mógł, ale, mój drogi panie, jeśli tam kiedy będzie mowa o naszym wyjeździe. wspomnijcieżę jej, że ja, dalibóg, nie namawiałem Zawilowskiego do podróży i że oddałbym więcej, niż ona przypuszcza, byle jej było dobrze, choćby kosztem starego brysia, jak ja.

— Oczywiście, że tak zrobimy — odpowiedział Połaniecki.

— To i dziękuję! Przed wyjazdem będę jeszcze u pani z pożegnaniem.

— Koniecznie — i to wieczorem, żebyśmy mogli dłużej posiedzieć. Myślę też, że jak pan latem wróci, to czas jakiś zabawicie u nas z Zawilowskim.

— W Buczynku?

— W Buczynku, albo i nie w Buczynku, to jeszcze niewiadomo.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Osnowskiego, który w tej chwili wychodził z owocarni, trzymając w ręku zwinięty w róg biały pakiet.

— Patrz pan: Osnowski! — rzekł Świrski.

— A jaki zmieniony — odrzekł Połaniecki.

I rzeczywiście. Osnowski był ogromnie zmieniony. Z pod futrzanej czapki wyglądała twarz chuda, **pożółkła**

i jakby wiele starsza. Futro zdawało się na nim wisieć. Ujrawszy dwóch przyjaciół, stropił się; widocznem było przez chwilę, że się waha i namyśla, czy nie przejść koło nich, udając, że ich nie poznaje. Ale na chodniku były pustki i zeszli się nadto blisko; więc nagle zmienił zamiar — i zbliżywszy się, począł mówić z nienaturalnym pośpiechem, jakby w chęci zagadania tego, o czem wszyscy trzej wyłącznie myśleli:

— Dzień dobry panom! O, to wypadek, żeśmy się spotkali, bo ja siedzę w Przytułowie i w mieście rzadko bywam. Kupiłem sobie właśnie winogron, bo mi teraz każą jeść winogrona. Ale sprowadzają je w trocinach, więc wszystkie czuć trocinami; myślałem, że tu będą lepsze. Mróz dzisiaj — prawda? Na wsi doskonała sanna.

I poczęli iść razem — wszyscy trzej zakłopotani. Połaniecki wreszcie spytał:

— Pan podobno wybiera się do Egiptu?

— To dawny zamiar, ale teraz może się wybiorę. Na wsi w zimie niema roboty, a samemu nudno.

Tu urwał nagle, spostrzegłszy, że wchodzi na śliską drogę.

I szli dalej, w milczeniu jeszcze cięższem, czując tę niezmierną przykrość, jaką czuje się zawsze, gdy, na mocy jakiegoś milczącego układu, mówi się o rzeczach błahych, skrywając główne i zarazem bolesne. Osnowski radby był ich pożegnać. Ale ludziom, przywykłym przez całe lata do zachowywania pewnych form, chodzi mimowiednie, choćby w największem nieszczęściu, o pozory, więc też i on pragnął znaleźć jakiś łatwy i naturalny sposób do rozstania się z nimi. Tymczasem, nie mogąc

nie znaleźć, przedłużał tylko trudne położenie. W końcu też począł ich żegnać tak niespodzianie i nienaturalnie. jak człowiek, który traci głowę.

Lecz w ostatniej chwili postanowił nagle inaczej. Ta jakaś komedia wydała mu się nieznośną. Miał jej dosyć! Przyszło mu do głowy, że właśnie nie powinien robić z niczego tajemnicy i że w tem unikaniu każdej wzmianki o nieszczęściu, jest coś nędznego. Na twarzy jego znać było przymus i mękę, lecz, zatrzymawszy się, począł mówić przerywanym głosem, tracąc co chwila oddech:

— Moi panowie... Przepraszam, że was jeszcze zatrzymuję... Ale panowie wiecie, zem się rozstał z żoną... Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym o tem mówić, zwłaszcza z ludźmi tak uczciwymi i blizkimi... Oświadczam więc panom, że to było... że stało się tak... to jest... to jest, że to ja sobie życzyłem i że żonie mojej nic...

Lecz głos uwiązał mu w gardle i nie mógł mówić dalej. Widocznie chciał wziąć winę na siebie, ale nagle uczuł całe nieprawdopodobieństwo, całą bezmiar i całą rozpaczliwą czczość tego kłamstwa, które musiałoby być tak pustym dźwiękiem słów, że nawet, ni poczucie jakiegoś obowiązku, ni żadne względy światowe, nie mogły go usprawiedliwić.

I straciwszy do reszty głowę, odszedł w męce, razem ze swemi winogronami i ze swem nieszczęściem - bez dna!

A Świrski i Połaniecki szli przez jakiś czas pod wrażeniem tego nieszczęścia — w milczeniu.

— Dalibóg! — rzekł wreszcie Połaniecki — serce się kraje.

A malarz odrzekł:

— Takiemu chyba śmierci życzyć.

— I przecie ten na podobny los nie zasłużył.

— On? — rzekł Świrski. — Daję panu słowo, ilekroć go sobie przypominam, tylekroć widzę go, całującego jej ręce. Czynił to tak ciągle, że inaczej nie umiem go sobie wyobrazić...

Po chwili zaś dodał:

— I, co mnie jeszcze zastanawia, to, że nieszczęście przecina stosunki ludzkie, podobnie jak śmierć, a jeśli nie przecina zupełnie, to rozluźnia. Wy się niedawno znacie, ale ja, na przykład, żyłem z nim blisko, a teraz on mi jakiś dalszy i ja mu bardziej obcy. I niema rady, a to takie smutne!

— Smutne i dziwne...

Lecz Świrski stanął nagle i zawołał:

— Wie pan co? Niechże tę panią Osnowską piorun zapali! Panna Helena mówiła, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje, ale tę niech piorun trzaśnie!

A Połaniecki odrzekł:

— Nie było może w świecie kobiety więcej ubostwianej, niż ona.

— Ot, masz pan! — rzekł zapalczywie Świrski. — Kobiety, panie, biorąc wogóle...

Lecz nagle uderzył się rękawiczką po ustach.

— Nie! — zawołał. — Do diabła ze starym nałogiem! Dałem sobie słowo nie robić żadnych ogólnych wywodów o kobietach.

— Ja wspomniałem dlatego, że on ją tak ubóstwiał — rzekł Polaniecki — że teraz po prostu nie rozumiem, jak on potrafi żyć bez niej.

— A musi! — zakończył Świrski.

Osnowski zaś rzeczywiście musiał, a nie umiał. W Przytułowie i w Warszawie, gdzie pełno było wspomnień o niej, życie stało mu się wkrótce niemożliwym, więc w miesiąc później wybrał się w podróż. Lecz, wyjechawszy niezdrów już z Warszawy, zaziębił się w zbyt-
nio ogrzanym wagonie — i w Wiedniu zapadł tak ciężko, że musiał się położyć. Zaziębienie, które poczytano z początku za influencję, zmieniło się w gwałtowny tyfus. Po kilku dniach chory stracił przytomność i leżał w hotelu na łasce obcych lekarzy i obcych ludzi, daleko od domu i swoich. Lecz potem, w gorączce, która zwarzyła mu mózg i pomieszała zmysły, zdawało mu się, że widzi koło siebie jakąś twarz — najdroższą w życiu, kochaną zawsze, kochaną w osamotnieniu, kochaną w chorobie i wobec śmierci. Zdawało mu się to nawet i wówczas, gdy już odzyskał przytomność, lecz tak był osłabiony, że nie mógł jeszcze ni poruszyć się, ni mówić, ni nawet zładzić swych myśli.

Później widzenie znikło.

Ale on począł o nie wypytywać Sióstr miłosierdzia, które niewiadomo kto przysłał, a które otaczały go teraz najtroskliwszą opieką — i począł tęsknić bez miary.

XXV.

Po uroczystości chrzcin i po wyjeździe Świrskiego i Zawilowskiego, Połanieccy zaczęli znowu żyć życiem zamkniętem i domowem, nie widując niemal nikogo, prócz Bigielów, pani Emilii i profesora Waskowskiego. Ale dobrze im było w tem ciasnem kółku blizkich przyjaciół, a najlepiej ze sobą. Połaniecki był w tych czasach mocno zajęty; przesiadywał w biurze i dużo za biurem, załatwiając jakieś sprawy, o których nikomu nie wspominał. Lecz po ukończonej robocie przybiegał teraz do domu z większą jeszcze skwapliwością, niż wówczas, gdy, jako narzeczony, latał każdego dnia do mieszkania Pławickich. Wróciła mu dawna żywość, dawny humor i dawne zaufanie do życia. Niebawem też uczynił odkrycie, które jemu samemu wydało się dziwnem: oto, że nie tylko żonę kocha z całych sił, jak żonę i najbliższą głowę, ale, że kocha się w niej, jako w kobiecie, bez niepokoju i targaniny, bez przeskoków od radości do rozpacz i zwątpień, ale ze wszelkimi wzruszeniami szczerego uczucia, z całym mrowiem pragnień, z wiecznie jedną, świeżą wrażliwością na jej kobiece uroki i z nieustającym

baczeniem, które czuwa, przewiduje, jedna, uprzedza chęci i ustawicznie zabiega, by szczęścia nie zrazić i nie utracić. „Zmieniam się w Osnowskiego — mówił sobie wesoło — ale mnie jednemu wolno być Osnowskim, dlatego, że „moja mała“ nigdy nie zostanie Osnowską!“ Często też mówił teraz do niej „moja mała“, ale było w tem tyle czci, ile pieśczoły. Rozumiał także, że nie byłby jej tak pokochał, gdyby była inna, że to wszystko jest dzieło jej ogromnej dobrej woli i tej jakiejś dziwnej prawości, która biła od niej tak naturalnie, jak ciepło bije od ogniska. Połaniecki wiedział, że jego rozum był sprężystszy, myślenie rozleglejsze i wiedza głębsza, niż wiedza jej, a jednak czuł, że przez nią — i jedynie przez nią — wszystko to, co było w nim, stawało się jakoś bardziej wykończone i szlachetniejsze. Przez jej również wpływ te wszystkie zdobyte przez niego zasady przechodziły z jego głowy, gdzie były martwą teorią, do jego serca, gdzie stawały się życiem. Pomiarkował, że nietylko szczęście, ale on sam jest poniekąd jej dziełem. Było w tem nawet trochę rozczarowania do siebie, widział bowiem teraz bez żadnej wątpliwości, że gdyby był dostał byle jaką kobietę, to i sam mógłby być wyjść na byle kogo. Czasem dziwił się nawet, jak ona mogła go pokochać — przypominał sobie jednak wtedy jej wyrażenie „służba boża“ — i to tłumaczyło mu wszystko. Dla takiej kobiety małżeństwo było także „służbą bożą“, a zatem i miłość nie jakąś dziką siłą, leżącą poza wolą ludzką, ale właśnie aktem dobrej woli, służbą przysiędze, służbą bożemu prawu, służbą obowiązkom. Marynia kochała go dlatego, że był jej mężem. Taka była — i skoń-

czyło się! Połaniecki długi czas nie mógł pomiarkować, że to wszystko, co w niej tak uwielbiał, nakazuje po prostu pierwszy lepszy katechizm, a w niej wychowanie nie zabiło katechizmu. Być może, że nie chowano jej dość starannie, nauczono ją jednak, że ma służyć Bogu, nie postugiwać się Bogiem.

Lecz Połaniecki, nie rozumiejąc dobrze powodów, dlaczego ona taka jest, jak jest, coraz bardziej ją podziwiał, czcił i kochał. Co do niej, biorąc rzecz bez przesady, nie wpadała w zbytne o sobie rozumienie; pojmowała jednak, że nie było zawsze tak dobrze, jak dziś, że przeszła przez pewne próby, że postępowała w czasie owych prób poczciwie, że je przetrwała z cierpliwością, i że Pan Bóg ją za to wynagrodził. I poczucie to napępniało ją pogodą. Zdrowie jej wróciło zupełnie. Czuli się przytem bardzo ładną i bardzo kochaną! Ów „Stach“, którego się dawniej trochę bała, pochylał teraz często swoją ciemną czuprynę do jej kolan, niemal z pokorą, a ona myślała z radością, że „ten pan wcale nie jest z natury pokorny, a jeśli tak robi, to dlatego, że *okropnie* kocha!“ I aż rosła. Codzień zbierało się w niej więcej wdzięczności i płaciła mu za tę miłość całym sercem.

Młody „Aryjczyk“ spełniał też przednio swoją rolę promyka w domu. Czasem wprawdzie bywał to promyk wrzaskliwy, natomiast, gdy był w dobrym humorze i gdy, leżąc w ulubionej pozycji, z nogami podniesionymi pod kątem prostym, poczynął wydobywać z siebie okrzyki zadowolenia, cała męska i żeńska ludność w domu zgromadzała się koło jego łóżeczka. Marynia przykrywała mu nogi, nazywając go „brzydkim chłopcem“, on zaś

skopywał co chwila kołderkę, uważając widocznie, że człowiek z charakterem, skoro raz postanowił wierzgać, powinien w przedsięwzięciu dzielnie wytrwać. Śmiał się też przytem, ukazując swoje malutkie bezzębne dziąsła. pokrzykując, ćwierkając jak wróbel, gruchając jak gołąb, miaucząc jak kot, lub piszcząc jak uistiti. Niania i matka rozmawiały z nim teraz po całych godzinach, profesor Waskowski zaś, który całkiem stracił dla niego głowę, utrzymywał z całą powagą, że to jest „mowa ezoteryczna“, która powinna być przezuczonych fonografowana, albowiem mogłaby albo zupełnie odsłonić tajemnice bytu astralnego, albo przynajmniej dostarczyć co do niego walnych wskazówek.

I w ten sposób spływały zimowe miesiące w domu Połanieckich. W lutym sam Połaniecki zaczął wyjeżdżać za jakimiś interesami, a po każdym powrocie odbywać długie narady z Bigielem. Ale od połowy lutego siedział stale w domu, nie wychodząc nigdzie, tylko do biura, albo wyjeżdżając czasem z Marynią i Stasiem na krótkie przejażdżki powozem. Jednostajność życia, a raczej jednostajność pogody i szczęścia przerywały tylko wiadomości z miasta o znajomych, które najczęściej przynosiła pani Bigielowa. W ten sposób Marynia dowiedziała się, że panna Ratkowska, która w ostatnich czasach nie pokazywała się nigdzie, założyła z dochodu, zapewnionego jej przez pannę Helenę, ochronkę dla dzieci, a następnie, że pan Osnowski wyjechał rzeczywiście do Egiptu, ale nie sam, tylko ze swoją „Anetką“, z którą po przyjeździe do zdrowia ostatecznie się połączył. Pan Kresowski, dawny sekundant Maszki, widział ich nawet w Tryeście i opo-

wiadał ironicznie Połanieckiemu, że „pani ma minę kornej pokutnicy“. Ale Połaniecki, wiedząc z doświadczenia, jak człowiek kruszeje w nieszczęściu i ile może być szczerości w pokucie, odpowiedział zupełnie poważnie, że skoro panią Osnowską mąż przyjął, to żaden porządny człowiek nie ma prawa być surowszym od niego.

Ale później przyszła z Włoch wieść jeszcze dziwniejsza i tak niesłychana, że stała się przedmiotem rozmów nietylko Połanieckich i Bigielów, lecz i całego miasta, mianowicie, że malarz Świrski oświadczył się w Rzymie o rękę panny Castelli i że ślub ich ma się odbyć zaraz po Wielkanocy. Marynia była tem tak poruszona, że namówiła męża, aby do Świrskiego napisał i zapytał się, czy to prawda. Odpowiedź przyszła po upływie dni dziesięciu i, gdy Połaniecki wszedł nareszcie do pokoju żony, trzymając za róg koperty i ze słowami: „list z Rzymu!“ — poważna pani Połaniecka przybiegła z czerwonymi od ciekawości uszkami, poczem, z skronią przy skroni, czytali co następuje:

„Czy to prawda? — Nie, drodzy państwo — nieprawda! Ale żebyście zrozumieli, dlaczego nie mogło się to stać i nie stanie się nigdy, muszę wam mówić o Zawilowskim. Przyjechał tu przed trzema dniami, poprzednio namówiłem go, by został we Florencyi, a potem zobaczył Sienę, Parmę, a zwłaszcza Rawennę. Stąd wyprowadzam go do Aten i jutro wyjeżdża via Brindisi. Tymczasem przesiadywał u mnie od rana do wieczora, ja zaś widziałem, że mu coś dolega, i chcąc naprowadzić rozmowę na rzeczy, które go najbliższej obchodzą, wczoraj spytałem niebacznie, czy czasem nie ma w tece

z pół tuzina raweńskich sonetów. I wiecie co się stało? Z początku pobłądł i odpowiedział, że jeszcze nie, ale że wkrótce zacznie pisać — a potem rzucił nagle kapelusz na ziemię i począł szlochać, jak małe dziecko. Nigdy chyba nie widziałem wybuchu podobnej boleści. Po prostu wił mi się w rękach, powtarzając, że zabił swój talent, że już w nim nic niema, że nigdy już nic nie napisze i że wołałby był sto razy, żeby panna Helena nie była go odratowała. Oto, co się z nim dzieje, podczas gdy ludzie powtarzają zapewne, że nie pisze, bo ma pieniądze. I to tak już zostanie. Zabili tego biedaka, zamordowali w nim duszę i talent — zgasili duży ogień, przy którym mogłoby być ludziom widno i ciepło. I tego — widzicie — ja nie mógłbym zapomnieć. Bóg z panną Castelli! ale nie godziło się wrywać takich piór, by sobie zrobić z nich wachlarz, który się potem wyrzuca przez okno. Tak! tegobym nie mógł zapomnieć! Mniejsza o to, co tam gadałem w Warszawie, że teraz pozostaje jej tylko szukać księcia Crapulescu, bo nikt inny jej nie weźmie. Na świecie nie brak także i zaślepieńców. Co do mnie jednak, nie jestem ani księciem Crapulescu, ani zaślepieńcem. Wolno odpuszczać tylko *swoje* własne krzywdy, ale nie cudze, albowiem byłoby to zbyt łatwo. I oto wszystko, co w tej kwestyi mogę wam powiedzieć, gdyż resztę sami wiecie. Czekam do roku, a potem powtarzam moją prośbę pannie Ratkowskiej. Zechce mnie, czy odrzuci, niech ją w każdym razie Bóg błogosławi — jest to jednak moje nieodmienne postanowienie“.

— Tak — przerwała Marynia — ale skądże się takie wiadomości wzięły?

Lecz w dalszym ciągu listu Świrski dawał na to odpowiedź.

„Te wszystkie plotki — pisał — mogły powstać z tego powodu, iż widywano mnie dość często z temi paniami. Pamiętacie, że za poprzedniej bytności w Rzymie, pani Broniczowa pierwsza do mnie pisała, a następnie, gdym był u nich, panna Castelli, zamiast szukać wykrętów, sama oskarżyła się przedemną. Wyznaję, że mnie to ujęło. Niech co chcą mówią, jest jednak w otwartem wyznaniu winy jakieś rozbudzenie się uczciwości, jakaś odwaga, jakiś zwrot, jakiś jęk żalu, który, jeśli nie odkupuje winy, to przynajmniej może odkupić duszę. I wiercie mi, że w tem co mówię, tkwi coś więcej, niż moje maślane serce. Pomyslcie także, że im się naprawdę źle dzieje. Małoż to razy widziałem, z jakim one wahaniami zbliżają się do ludzi i jak ich przyjmują ci, którzy mają odwagę swych zasad. Zebrało się w nich tyle goryczy, że jak słusznie przepowiedział niegdyś Waskowski, same poczynają się na siebie rozgoryczać. To jest straszne położenie, w którym należy się jeszcze niby do świata, a dźwiga się już brzemień głośnej awantury. Bóg z niemi! Dużoby o tem pisać, ale ja pamiętam teraz zawsze, co powiedziała panna Helena, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje. Ta biedna Lineta zmieniła się ze zgryzoty, schudła i zbrzydła, a mnie tem bardziej jej żal. Żal mi nawet i pani Broniczowej, która wprawdzie wyklamuje ludziom dziury w uszach, czyni to jednak z przywiązania do tej dziewczyny. Sam przecie dopiero co powiedziałem, że tylko własne krzywdy wolno odpuszczać, ale byłby człowiek chyba jakimś go-

rylem, nie chrześcijaninem, gdyby nie odczuł trochę litości nad ludzką biedą. Czy teraz, gdym świeżo zobaczył rozpacz Ignasia, będę miał jeszcze serce pójść do nich — nie wiem — nie żałuję jednak, że bywałem. Ludzie pogadają i przestaną, a za jakiś rok — jeśli Bóg da doczekać mnie i tamtej słodkiej dziewczynie — poznają, że gadali głupstwa“.

List kończył się wzmianką o Osnowskich, o których połączeniu Świrski już wiedział i słyszał nawet rozmaite szczegóły nieznanne Połanieckim.

„Ja myślę — mówił — że Bóg jest mocniejszy, niż ludzka przewrotność a zarazem bajecznie miłosierny, i że czasem pozwala dlatego nieszczęściu bić w człowieka jak młotem, żeby z niego jakąś pocziwszą iskrę wykrzesać. Ja teraz wierzę nawet w odrodzenie się takiej Osnowskiej. Może to jest naiwne, ale chwilami przypuszczam, że całkiem złych ludzi niema na świecie! Patrzcie, że jednak coś zadrgało i w takiej pani Anecie i że go pilnowała w chorobie. Oj te kobiety! tak mi już przewróciły w głowie, że wkrótce nie będę miał zdania nietylko o nich, ale o niczem“.

Dalej były zapytania o Stasia i serdeczne słowa dla jego życiodawców, a nakoniec obietnica powrotu w pierwszych dniach wiosny.

XXVI.

A wiosna rzeczywiście szła i w dodatku czyniła się zarówno ciepła, jak wczesna. Połaniecki w końcu marca i na początku kwietnia począł znowu wyjeżdżać i spędzać po kilka dni za domem. Obadwaj z Bigielem byli tak zajęci, że niekiedy do późnego wieczora siedzieli w biurze. Pani Bigielowa przypuszczała, że muszą coś przedsiębrać na wielką skalę, dziwiło ją to jednak, że mąż, który zawsze mówił z nią o wszystkich interesach i niemal myślał przy niej głośno, a nawet często się jej radził, tym razem milczał jak zakłęty. Marynia zauważyła również, że Stach ma zaprzątniętą głowę w niezwykły sposób. Tkliwszy był dla niej niż kiedykolwiek, ale jej się zdawało, że nawet w tej jego tkliwości, jak również w każdej rozmowie i w każdej pieśczoście, jest jakaś trzecia, inna myśl, która go zajmuje tak całkowicie, że ani na chwilę nie może się od niej oderwać. I ten stan jakowegoś roztargnienia powiększał się z każdym dniem, a z nadejściem maja przeszedł w coś gorączkowego. Marynia poczęła się teraz wahać, czy nie zapytać męża, co mu jest. Bała się trochę być natrę-

tną, ale chodziło jej również i o to, by nie pomyślał, że ją jego sprawy zbyt mało obchodzą. W tej niepewności postanowiła czekać na sposobną chwilę, mając nadzieję, że on sam zacznie mówić o swoich zajęciach, choć z daleka.

Jakoż, wkrótce potem, zdawało jej się pewnego dnia, że stosowna chwila nadeszła. Połaniecki wrócił tym razem wcześniej z biura i wrócił z twarzą tak ja-koś dziwnie rozpromienioną, choć poważną, że spoj-rzawszy mu w oczy, prawie mimowolnie spytała:

— Coś ci się musiało zdarzyć pomyślnego, Stachu?

On zaś siadł przy niej, i zamiast odpowiedzieć wprost, począł mówić jakimś trochę dziwnym głosem:

— Patrz, jaka pogoda i jak ciepło. Moznaby już okna otwierać. Wiesz, o czym ja ciągle myślałem w osta-tnich czasach? — że i dla twego zdrowia, i dla Stasia, trzeba nam wcześniej z miasta wyjechać.

A Marynia rzekła:

— Jeśli Buczynek nie najęty? ..

— Buczynek sprzedany — odpowiedział Połaniecki.

A następnie, wzięwszy jej obie ręce i patrząc jej w oczy z ogromną miłością, począł mówić:

— Słuchaj, moje drogie stworzenie, ja mam ci coś powiedzieć — i coś, co powinno cię ucieszyć, ale przyrzec mi, że się nadto nie wzruszysz?

— Dobrze. Co Stachu?

— Widzisz, dziecinko, Maszko uciekł za granicę, bo miał więcej długów, niż majątku. Wierzyciele rzu-cili się na wszystko, co po nim zostało, by choć cośkol-wiek odzyskać. Poszło to na licytację Towarzystwa.

Magierówka została rozparcelowana i przepadła, ale Krzemień, Skoki i Suchocin były do uratowania — więc — tylko się nie wzruszaj, kochanie — więc — ja to dla ciebie kupilem.

Marynia patrzyła na niego czas jakiś, mrugając oczyma i jakby uszom nie wierząc. Ale nie! Sam był tak wzruszony, że nie mógł żartować. Oczy zaćmiły się jej łzami, i nagle zarzuciła mu obie ręce na szyję.

— Stachu!!

I w tej chwili nie mogła się zdobyć na inne słowa, ale w tym jednym okrzyku było i podziękowanie, i wielka miłość, i kobiece uwielbienie dla dzielności tego człowieka, który wszystkiego potrafił dokazać. Połaniecki zaś zrozumiał to i w poczuciu tak ogromnego szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie doznał, począł mówić, trzymając ją ciągle przy piersiach:

— Ja wiedziałem, że cię to ucieszy, a Bóg jeden wie, że i dla mnie niema większej uciechy, jak twoja radość. Pamiętałem, żeś żałowała Krzemienia, i że to była krzywda dla ciebie — a że można ją było naprawić, więcem naprawił... Ale to nic! Gdybym ci dziecię takich Krzemieni kupił, jeszczebym ci się nie wypłacił za to dobro, któreś mi wyrządziła i jeszczebym ciebie nie był wart.

I mówił szczerze, lecz Marynia oderwała głowę od jego ramienia i podnosząc na niego oczy, zarazem mokre i jasne, rzekła:

— To ja ciebie nie jestem warta, Stachu! i nawet nie spodziewałam się, że będę taka szczęśliwa!

Poczęli się więc sprzeczać, kto więcej wart, ale były w tej sprzeczce częste milczące przerwy, albowiem

Marynia, co chwila obejmując go, podsuwała mu swoje śliczne, nieco za szerokie usta, a on wpijał się w nie, a następnie całował naprzemian jej oczy. Przez długi jeszcze czas chciało jej się to śmiać, to płakać z radości, gdyż rzeczywiście szczęście jej przeszło wszystko, czego się kiedykolwiek spodziewała. Oto matka napisała jej niegdyś słabnącą już ręką; „Nie dlatego powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, ale dlatego, by spełnić obowiązki, jakie Bóg wówczas nakłada, a szczęście, to tylko przydatek i podarek boży“. — Tymczasem tego przydatku było teraz więcej, niż się mogło w sercu pomieścić. Były próby, były chwile i smutku i nawet zwątpienia, ale to wszystko przeszło — i wreszcie ten „Stach“ nietylko ją pokochał, jak żenicę własnego oka, ale spełnił więcej, niż kiedykolwiek przyrzekał.

I w tej chwili oto, chodząc wielkimi krokami po pokoju, wzruszony jeszcze, ale rad z siebie i z wyrazem pewnej chępliwości na swojej czarniawej twarzy, mówił:

— Cóż, Maryś! Teraz się dopiero zacznie robota! — co? Bo ja o gospodarstwie nie mam najmniejszego pojęcia, i to będzie twoja rzecz. Ale myślę, że administrator będzie ze mnie niezgorszy! Będziem oboje pracowali, bo to duża rzecz, ten Krzemień.

Ona zaś odrzekła, składając ręce:

— Mój Stachu złoty! ja wiem, żeś ty to dla mnie zrobił. Ale czy aby to tobie nie zaszkodzi w interesach?

— W interesach? Myślisz może, że ja się dałem obedrzeć. Ale gdzie tam! Tanio kupiłem! bardzo tanio! Bigiel, który się wszystkiego boi, przyznaje jednak, że to dobry interes. Zresztą zostaję dalej w spółce... Ty

się tylko, Maryś, nie bój biedy na Krzemieniu, ani dawnych kłopotów. Będzie za co gospodarować — i powiem ci szczerze, że gdyby się dziś cały Krzemień w ziemię zapadł, jeszczebyśmy mieli z czego żyć, razem ze Stasiem.

— Ja — rzekła Marynia, patrząc na niego tak, jak mniej więcej patrzyłaby na Napoleona, lub innego podobnej miary zdobywcę — jestem pewna, że ty potrafisz wszystko, co zechcesz, ale wiem, że to tylko dla mnie kupiłeś Krzemień.

— A spodziewam się! — odpowiedział Połaniecki. — Dlatego, że tam leży twoja matka, dlatego, że cię kocham, i dlatego, że ty kochałaś Krzemień. Ale swoją drogą, tyś mnie nawróciła do ziemi. Przypomniałem sobie, coś mówiła w Wenecyi, gdy Maszko chciał sprzedawać Krzemień Bukackiemu. Nie masz pojęcia, jak ja jestem pod twoim wpływem. Czasem coś powiesz, a ja na razie nic! — ale to we mnie zostaje i później się niespodzianie odzywa. Tak było i w tej sprawie. Teraz samemu mi się dziwnem wydaje, żeby mieszkać na tej planecie, niby coś mieć, a nie mieć trzech łokci kwadratowych tej ziemi, o których możnaby powiedzieć: „moje!“ To już była rzecz postanowiona, to kupno. Możeś zauważyła, że od kilku miesięcy kręciłem się, jak mucha w ukropie. Nie chciałem ci tylko nic mówić, póki nie będzie wszystko skończone; wołałem, żebyś miała niespodziankę. I masz! To za to, żeś mi zdrowa i taka kochana!

Tu, chwyciwszy jej ręce, począł je znowu przyciskać do ust i do czoła; ona chciała również ucałować

jego ręce, ale nie pozwolił na to i wreszcie poczęli biegać za sobą, jak dzieci, po pokoju, mówiąc przytem do siebie słowa dobre i jasne jak promienie. Maryni tak się chciało jechać zaraz do Krzemienia i tak nie mogła myśleć o czem innem, że on w końcu zagroził jej, że stanie się zazdrosny o Krzemień i że go sprzeda.

— Oj! nie sprzedasz! — odrzekła, kręcąc głową.

— Bo co?

Ona zaś, wspiąwszy mu się do ucha, szepnęła:

— Bo kochasz...

A on począł kiwać głową na znak, że tak!

Umówili się jednak, ku wielkiej radości Maryni, że w końcu tygodnia pojedą całym domem do Krzemienia, co było zresztą zupełnie możebne, gdyż Połaniecki urządził dom tak, aby był całkiem gotowy na przyjęcie „dzieżiczki“. Zapewnił też ją, że prawie nic nie zmienił — i że starał się tylko, by pokoje nie trąciły zbyt pustką.

Nagle począł się śmiać.

— Ale! — rzekł — ciekawym, co też papa na to powie?

Przypuszczalne zdziwienie „papy“ było nowym powodem radości dla Maryni. Nie trzeba było zresztą długo na pana Pławickiego czekać, gdyż po upływie pół godziny przyszedł na obiad. Ledwo się pokazał, Marynia, rzuciwszy mu się na ramiona, wypowiedziała jednym tchem szczęśliwą nowinę, a on istotnie zdumiał się nadzwyczajnie i nawet wzruszył. Może odczuł szczęście córki, może ozwało się w nim z nienacka przywiązanie do tego kąta, w którym tyle lat przeżył, dość, że oczy mu zwilgotniały; naprzód wspomniął o swoim po-

cie, którym ta ziemia była przesiąknięta, poczem począł mówić coś o „starcu“ i o „przytulku na folwarku“, a wreszcie, ścisnąwszy za głowę Połanieckiego, rzekł:

— Daj ci Boże, przy większem szczęściu, tylko tak dawać sobie rady, jak ja dawałem — i bądź pewien, że ani pomocy, ani wskazówek nigdy ci nie odmówię.

Wieczorem zaś u Bigielów, Marynia, upojona jeszcze szczęściem, mówiła do pani Bigielowej:

— No i powiedz? Jak takiego człowieka nie kochać? Powiedz sama!

XXVII.

Nazajutrz po przybyciu Połanieckich do Krzemienia wypadła niedziela. Sam Połaniecki wstał późno, gdyż wczorajszego dnia przyjechali po pierwszej w nocy. W Krzemieniu czekała na nich służba z chlebem i solą; potem Marynia, śmiejąc się i płacząc naprzemiany, oglądała wszystkie kąty w domu, a następnie nie mogła usnąć ze wzruszenia prawie do świtu. Z tych wszystkich przyczyn Połaniecki nie puścił jej z łóżka, ponieważ zaś chciała pojechać na sumę do Wątorów nieco wcześniej, aby pomodlić się przy kościele za matkę, obiecał, że każe zaprządz i da jej znać, gdy będzie czas. Tymczasem po śniadaniu wyszedł trochę popatrzeć na swoje nowe dziedzictwo. Była druga połowa maja i dzień wyjątkowo piękny. W nocy padał deszcz, a teraz słońce przeglądało się w małych kałużach na dziedzińcu i przy zabudowaniach folwarcznych, łamało się w brylantowe połyski w kroplach zawieszonych na liściach i rozświecało mokre dachy stodół, obór i owczarni. W tych blaskach i w jasnej majowej zieleni drzew, Krzemień przedstawiał się wcale ponętnie. Wśród zabudowań fol-

warcznych nie było z powodu niedzieli prawie żadnego ruchu, tylko przy stajni kręciło się kilku fernali, którzy mieli jechać do kościoła. Połanieckiego dziwnie uderzyła ta cisza i to uśpienie. Przed niedawnym czasem, zamierzyszy kupić Krzemień, był w nim kilkakrotnie i wiedział, że jest to majątek opuszczony. Maszko począł wprawdzie wznosić śpichlerz kryty czerwoną dachówką, ale go nie skończył. Sam nie mieszkał tu nigdy, i w końcu nie mógł nic w majątek wkładać — więc opuszczenie widne było na każdym kroku. Ale nigdy nie przedstawiło się ono Połanieckiemu tak wyraźnie, jak teraz, gdy już mógł sobie powiedzieć: „to moje!“ Budynki były jakieś krzywe; ściany w nich niezbyt szczelne, płoty krzywe i rozgrodzone; pod ścianami walały się szczątki rozmaitych połamanych sprzętów gospodarskich; wszędy ziemia zdawała się chcieć wciągnąć w siebie to, co na niej stało, wszędy widoczne było jakieś bierne pozostawienie rzeczy samym sobie, wszędy widoczna niedbałość. Połaniecki o gospodarstwie wiedział tylko tyle, że trzeba być ostrożnym z wkładami — zresztą, prócz jakichś ogólnych wiadomości, które mu się obily o uszy jeszcze za lat dziecinnych, nie miał o niem najmniejszego pojęcia. Jednakże, spoglądając na swoje królestwo, dymyślił się, że i pola muszą być uprawne w prostym stosunku do tego niedbalstwa, które naokół widział; miał wyraźne poczucie, że jeśli tu się coś robiło, to raczej ze zwyczaju, z rutyny, jakby dlatego tylko, że coś się robiło lat temu dziesięć, dwadzieścia i sto. Tego natężenia, tej nieustającej czujnej energii, która jest podstawą handlu, przemysłu i wogóle

spraw miejskich. nie było tu ani śladu. „Gdybym nic więcej nie przyniósł do tej martwoty — myślał Połaniecki — to jużby było bardzo wiele, bo tu tego bezwzględny brak. A ja mam prócz tego pieniądze i przynajmniej tyle rozumu, że naprzód wiem, że nic nie wiem, a powtóre wiem, że się trzeba uczyć i pytać“. Pamiętał jeszcze ze swoich czasów belgijskich, że nawet tam, w Belgii, dusza ludzka i napięcie woli więcej znaczyło od najpotężniejszych maszyn. A pod tym względem liczył na siebie — i mógł liczyć. Czuł się człowiekiem uporczywym i sprężystym. Wszystko, co dotąd brał w ręce, musiało iść, czy chciało, czy nie chciało, Czuł prócz tego, że w interesach ma głowę nie fantastyczną, ale ściśle rachunkową, i dzięki temu poczuciu, nietylko nie stracił otuchy na widok opuszczenia, które przed sobą widział, ale znalazł w niem coś na kształt bodźca. Ta martwota, to zaniedbanie, ta inercya i ta senność zdawały się go wyzywać, a on, wodząc naokół oczyma, mówił im niemal z uciechą: „To dobrze! to się spróbujemy!“ I było mu nawet pilno do tej próby.

Te pierwsze oględziny i rozmyślenia nie popsuly mu humoru, ale zabrały sporo czasu. Spojrzawszy na zegarek, spostrzegł, że jeśli chcą być przed sumą w Wątorach, to zaraz czas jechać; kazawszy więc zaprzęgać, wrócił śpiesznie do domu i zapukał do drzwi Maryni:

— Pani dziedziczko! — rzekł — „służba boża!“

— Można! można! ozwał się przeze drzwi wesóły głos Maryni — jam już gotowa.

Połaniecki wszedł i ujrzał ją w jasnej wiosennej sukni, podobnej do tej, w jakiej ją widział za pierwszej

bytności w Krzemieniu. Ubrała się tak umyślnie, on zaś, ku wielkiemu jej zadowoleniu, zrozumiał jej intencję, albowiem zawołał, wyciągnąwszy do niej ręce:

— Panna Pławicka!

A ona, zbliżywszy się, oparła, jakby zawstydzona, swój różowy nosek o jego policzek i ręką ukazała na łóżeczko, w którym spał Staś.

Poczem wraz z papą Pławickim pojechali do kościoła. Dzień był wiosenny, jasny, pełen ciepłych tchnień i radości. W zagajnikach odzywały się kukułki, a na łąkach widać było brodzące bociany. Wzdłuż drogi dudki i sroki przelatywały przed powozem z drzewa na drzewo. Od czasu do czasu zrywał się powiew i leciał po runi, jak po fali, pochylając żdźbła traw i tworząc chybkie cienie na zieleni pól. Naokół pachniało ziemią, trawą i wiosną. Oboje Połanieckich ogarnął rój wspomnień. W niej odzywała się, przytępiona już nieco życiem miejskiem, miłość do ziemi i do wsi, do lasów, do zielonych grudzi, do grusz na polach, do zwięzających się w oddaleniu zagonów, do szerokich powietrznych przestworów i do tej, daleko rozleglejszej niż w mieście, przestrzeni nieba. Wszystko to napępniało ją nawpół uświadomioną, ale graniczącą z upojeniem, rozkoszą. Połaniecki zaś wspominał, jak niegdyś jechał tak samo z panem Pławickim do kościoła i jak tak samo dudki i sroki przelatywały przed nimi z drzewa na drzewo. Tylko teraz czuł przy sobie to różowe stworzenie, które wówczas po raz pierwszy zobaczył, tę dawną pannę Marynię Pławicką. W jednej chwili uprzytomnił sobie w myśli wszystko, co między nimi było: i pierwszą

znajomość, i ów czar, jakim go opętała, i dalsze nieporozumienia, i ten dziwny udział, jaki w ich życiu wzięła Litka, i ślub, i późniejsze pożycie, i wahanía się szczęścia, i zmiany, jakie pod wpływem tej jasnej duszy w nim zaszły, i dzisiejsze wypogodzenie się życia. Miał zarazem błogie poczucie, że zło przeszło, że znalazł więcej, niż marzył, i że obecnie mogą wprawdzie przyjść na niego wszelkiego rodzaju nieszczęścia, ale pod względem stosunku z nią życie stało się już raz na zawsze pogodne, ogromnie cne, jednoznaczne niemal ze „służbą bożą“, i o tyle słoneczniejsze, niż dawne, o ile ten widnokrąg, który ich otaczał, słoneczniejszy był od miejskiego. Na tę myśl serce zalewało mu szczęście i miłość dla niej. Przyjechawszy do Wątorów, odmawiał „wieczny odpoczynek“ za duszę tej matki, której zawdzięczał taką żonę, z niemiejszą gorliwością, niż sama Marynia. Zdawało mu się, że kocha ten proch, pochowany pod kościołem, takim samem synowskiem uczuciem, jak prochy własnej matki.

Lecz tymczasem zadzwoniono na sumę. W kościele znów dawne wspomnienia poczęły się Połanieckiemu cisnąć do myśli. Wszystko, co go otaczało, było takie jakieś znane, iż chwilami miał złudzenie, że był tu wczoraj. W nawie tak samo pełno było szarych głów chłopskich i zapachu tataraku; ten sam ksiądz celebrował przy ołtarzu, te same gałęzie brzozy, poruszane wiatrem, były od zewnątrz w okno — i Połaniecki znów tak samo myślał, że wszystko mija — mija życie, mijają bóle, nadzieje, porywy, mijają kierunki myśli i całe systemy filozofii — a msza po staremu się odprawia, jakby

w niej jednej była wieczysta niepożytość. Nową postacią w starym obrazie była tylko Marynia. Połaniecki, spoglądając chwilami na jej spokojną twarz i podniesione ku ołtarzowi oczy, odgadywał, że się modli całą duszą za przyszłe ich życie na wsi, więc dostrajał się do niej i modlił się z nią razem.

Lecz po mszy, na dziedzińcu kościelnym otoczyli ich sąsiedzi, dawni znajomi pana Pławickiego i Maryni. Pan Pławicki jednak napróżno oglądał się za panią Jamiszową, albowiem od kilku dni bawiła w mieście. Natomiast radca Jamisz, wyleczony zupełnie z kataru żołądka, zatem zdrów i odmłodzony, wpadł na widok Maryni w prawdziwy zapal:

— Jest moja pupilka — wołał, całując jej rękę — jest moja gosposia! Jest „złota Marynia!“ Aha! wróciły ptaki do starego gniazda. A jakie to zawsze ładne! Dalibóg, istna panienka, czysty podłotek, a przecie wiem, że jest chłopak na świecie!

Marynia czerwieniła się z zadowolenia, lecz w tej chwili zbliżyli się państwo Zazimscy ze swoim sześciorgiem dzieci, a wraz z nimi i pan Gątowski, vulgo „Niedźwiadek“, dawny nieszczęśliwy konkurent Maryni i niedoszły zabójca Maszki. Pan Gątowski zbliżył się niezgrabnie i z pewnem zmieszaniem, jakby olśniony Maryniną urodą i zdjęty żalem po szczęściu, które go ominęło. Jakoż i Marynia przywitała go z pewnem komizcznem zakłopotaniem, natomiast Połaniecki wyciągnął do niego przyjaźnie rękę ze wspaiałomyślnością tryumfatora i rzekł:

— Ot, i ja tu znajduję znajomych jeszcze z lat dziecinnych. Jak się pan ma?

— Po staremu — odpowiedział pan Gątowski.

A pan Jamisz, który był w wyborynym humorze, rzekł, spoglądając przekornie na młodego człowieka:

— Ma kłopoty z uregulowaniem serwitutów.

Pan Gątowski zmieszał się jeszcze bardziej, gdyż cała okolica mówiła o tych kłopotach. Od lat kilku biedaczysko ledwie dyszał na swoim Jalbryzkowie. Uregulowanie serwitutów i sprzedaż lasu mogły go jeszcze wyprowadzić na równą drogę, cóż, kiedy wpoprzek wszelkim, nieraz już blizkim zawarcia układom, stawał wiecznie jednaki zarzut ze strony jalbryzkowskich współsąsiadów: „ze pon dziedzic na biołem koniu jeździ, z pi-stolców se strzyło i dziewczkom w ślepia patrzy“.

Pan Gątowski, jakkolwiek przywykły od młodych lat do rozmaitych wiejskich korowodów, tracił jednak czasami cierpliwość i wołał z prawdziwą rozpaczą:

— No, co to — psia krew! — ma jedno do drugiego! A żeby was najjaśniejsze pioruny zatrzasyły!

Ale po tak przekonywajacem „dictum“ rajcy jalbryzkowscy składali zwykle nową dojrzałą naradę i, po statecznem rozpatrzeniu wszystkich *za* i *przeciw*, oświadczali znów, drapiąc się w potylice, że wszystko byłoby dobrze:

„ino ze pon dziedzic na biołem koniu jeździ, z pi-stolców se strzyło i dziewczkom... etc.“

Ale tymczasem Marynia, która do pana Jamisza miała takie przywiązanie, jak do człowieka z rodziny, dowiedziawszy się, że jest słomianym wdowcem, zapro-

siła go na obiad. Niespodzianie jednak pan Pławicki, zły, że nie znalazł w Wątorach pani radczyni, a razem pomny dawnych niedzielnych partyjek z „Gątosiem“, zaprosił i „Gątosa“ — wskutek czego Połanieccy wyruszyli naprzód i bardzo śpiesznie, aby Marynia miała czas wydać odpowiednie rozporządzenia. Za nimi zabrał się pan Pławicki z radcą, Gątownski zaś pociągnął na ostatku na swojej bryczce, zaprzężonej w chudą jałbrzykowską fornalkę.

Po drodze pan Pławicki rzekł do radcy Jamisza:

— Nie mogę powiedzieć!... Córka moja jest szczęśliwa. On jest dobry człowiek i energiczna sztuka, ale...

— Ale co? — zapytał pan Jamisz.

— Ale narwany! Pamiętasz sąsiad, że on mnie tak przycisnął o jakieś marne dwadzieścia tysięcy rubli, że musiałem sprzedać Krzemień. A potem co? Potem odkupił ten sam Krzemień... Gdyby zaś był mnie nie przyciskał, nie potrzebowałby kupować Krzemienia, bo wziąłby go darmo po mojej śmierci za Marynią. Dobry człowiek, ale tu... (i mówiąc to, pan Pławicki stuknął się palcem w czoło)... szumi jeszcze! Co prawda, to nie grzech!

— Hm! — odpowiedział radca Jamisz, nie chcąc panu Pławickiemu czynić przykrości uwagą, że gdyby Krzemień pozostał dłużej w jego rękach, toby nie pozostało z Krzemienia.

Pan Pławicki zaś westchnął i rzekł:

— A dla mnie na starość nowy trud, bo i teraz wszystko tam musi pójść moją głową.

Pan Jamisz z trudnością powstrzymał okrzyk: „niechże

Bóg broni!“ — znał jednak Polanieckiego o tyle, iż wiedział, że naprawdę niema niebezpieczeństwa. Pan Pławicki też sam nie bardzo wierzył w to, co mówił, zięcia się trochę bał, i rozumiał dobrze, że teraz właśnie wszystko pójdzie inną głową.

Tak rozmawiając, zajechali przed ganek; Marynia, która już zarządziła, co było potrzeba do obiadu, przyjęła ich ze Stasiem na rękę.

— Chciałam panu przedstawić syna, nim siądziemy do stołu — rzekła — duży syn! ogromny syn! grzeczny syn!

I w takt do tych słów poczęła go huścić w stronę pana Jamisza, pan Jamisz zaś dotknął palcami Stasiowego policzka, na co „grzeczny syn“ naprzód skrzywił się, potem uśmiechnął i wydał nagle okrzyk, który dla badaczy „ezoterycznej mowy“ mógł mieć zapewne wyjątkowo doniosłe znaczenie, ale dla zwykłego ucha dziwnie przypominał skrzek sroki lub papugi.

Tymczasem nadjechał pan Gątowski i powiesiwszy okrycie w sieni na kołku, szukał w niem właśnie chustki do nosa, gdy dziwnym wypadkiem Rozulka, niania Stasiowa, znalazła się także w sieni i zbliżywszy się do pana Gątowskiego, naprzód podjęła go pod nogi, a potem pocałowała w rękę.

— Ano, jak się masz! jak się masz! A co powiesz? — spytał dziedzic Jałbrzykowa.

— Nie! chciałam się ino pokłonić — odrzekła pokornie Rozulka.

Pan Gątowski przechylił się nieco w bok i począł szukać czegoś palcami w kieszeni od kamizelki, lecz ona

widocznie przyszła się tylko pokłonić dawnemu dziedzi-
cowi, bo, nie czekając na datek, pocałowała go znów
w rękę i odeszła cicho do dziecinnego pokoju.

Pan Gątownski zaś ruszył z gęstą miną do reszty
towarzystwa, podśpiewując sobie basem:

— Um-dry-dry! Um-dry-dry! Um-dramta-ta!!!

Poczem siedli wszyscy do stołu i rozpoczęła się
rozmowa o powrocie państwa Połanieckich na wieś. Pan
Jamisz, który sam przez się był człek inteligentny, a jako
radca, musiał być z urzędu mądry i wymowny, zwrócił
się do Połanieckiego i mówił co następuje:

— Pan przychodzisz na wieś bez znajomości go-
spodarstwa, ale z tem, czego ogółowi naszych ziemian
głównie brak, bo ze znajomością administracyi i z ka-
pitałem. Dlatego ufam i jestem pewien, że nie wyjdiesz
źle na Krzemieniu. Powrót wasz, to wielka radość dla
mnie, nietylko ze względu na was i na tę moją kochaną
uczenicę, ale że to zarazem dowód na to, co ja zawsze
mówię i twierdzę, iż większość nas starych musi wyjść
z ziemi; synowie jednak nasi, a jeśli nie synowie, to
wnuki — wrócą. I wrócą tężsi, bardziej wyrobieni w ży-
ciowej walce, z rachunkiem w głowie, z tradycją pracy.
Pamiętasz pan, com ci kiedyś mówił, że ziemia ciągnie
i że ona jedna jest prawdziwym bogactwem. Pan wów-
czas mi zaprzeczałeś, a dziś — patrz — jesteś właści-
cieniem Krzemienia.

— To przez nią! — odpowiedział, wskazując na
żonę, Połaniecki.

— Przez nią i dla niej! — powtórzył radca —
a myślisz pan, że w mojej teorii niema miejsca dla

kobiet i że ja nie wiem, co one warte? One sercem i sumieniem zgadują, gdzie jest prawdziwy obowiązek, i sercem popychają do niego. A prawdziwy obowiązek, równie jak prawdziwe bogactwo — to ziemia.

Tu pan Jamisz, który, na obraz i podobieństwo wielu radców, miał tę słabość, że się sam lubił słuchać, przymknął oczy, żeby się słyszeć jeszcze lepiej i mówił dalej:

— Tak! wróciłeś przez żonę! Tak, to jej zasługa! i bodaj nam się takie kobiety na kamieniu rodziły; ale swoją drogą, wyście wyszli z ziemi i dlatego ziemia was przyciągnęła. My wszyscy powinniśmy się naprawdę pieczętować pługiem! I powiem wam jeszcze, że to nie tylko wrócił pan Stanisław Połaniecki, nie tylko pani Maryja Połaniecka — to wróciła Rodzina Połanieckich, bo się w niej odezwał instynkt całych pokoleń, które z gleby wyrosły i których prochy tę glebę użyźniają.

To rzekłszy, pan Jamisz podniósł się i wzięwszy kieliszek, zawołał:

— W ręce pani Połanieckiej, zdrowie Rodziny Połanieckich!...

— Zdrowie Rodziny Połanieckich! — zakrzyknął pan Gątowski, który, mając serce czule na wymowę, gotów był przebaczyć w tej chwili rodzinie Połanieckich wszystkie serdeczne męki, jakie z jej powodu przeszedł.

I wszyscy udali się z kieliszkami do pani Maryni, która dziękowała wzruszona, Połanieckiemu zaś, gdy się do niej zbliżył, szepnęła:

— Aj, Stachu, jaka ja szczęśliwa!

Lecz gdy całe towarzystwo znalazło się znowu za stołem, papa Pławicki dodał ze swojej strony:

— Trzymać się ziemi do ostatka — oto, co całe życie głosiłem!

— Bo pewno! — potwierdził pan Gątowski.

Ale w duszy pomyślał:

— Żeby tylko nie te psie krwie, korowody!

A w tymże czasie, w dzieciennym pokoju, Rozula śpiewała do snu małemu Stasiowi smutną wiejską piosenkę:

„Niesczęśliwe te pokoje,
Oj, Jasieńku mój!!..

Po obiedzie goście poczęli się zabierać, ale pan Pławicki zatrzymał ich na „partyjkę“, tak, że wyjechali dopiero pod zachód. Wówczas Połanieccy, nacieszywszy się naprzód ze Stasiem, wyszli na werandę i dalej do ogrodu, albowiem wieczór czynił się cichy i pogodny. Wszystko, co im przypominało ową pierwszą niedzielę, którą tu spędzili razem, wydawało się im jak jakiś sen cudny i słodki, a tego rodzaju wspomnień było tu na każdym kroku bez liku. Słońce zniżało się tak samo wielkie i promienne, drzewa stały nieporuszone w wieczornej ciszy, czerwieniąc się na czubach od zorzy; z drugiej strony domu klekotały tak samo na gnieździe bociany; ten sam był nastrój --- kojący i nieszporny. Oni poczęli chodzić wszędzie, przebiegać wszystkie aleje, zbliżać się do sztachet, patrzeć na pola ginące w oddaleniu, na ciemne pasma lasów, zamykające widnokrąg, i mówić sobie rzeczy ciche, a zarazem tak spokojne, jak spokojny był ów wieczór. To wszystko, co ich otaczało,

to miał być ich świat. Oboje czuli, że ta wieś bierze ich w siebie, że poczyną się zawiązywać jakiś stosunek między nią a nimi, i że odtąd życie musi im spłynąć tu, a nie gdzieindziej — pracowite, oddane „służbie bożej“, z ludem — na roli.

Gdy słońce zaszło, wrócili na werandę, lecz, jak niegdyś, tak i teraz, pozostali jeszcze na niej, by się zupełnego mroku doczekać. Tylko dawniej Marynia trzymała się daleko od Połanieckiego, a teraz przytuliła się całkiem do jego boku i po chwili milczenia rzekła:

— Będzie nam tu ze sobą dobrze, Stachu — prawda?

A on objął ją mocno, tak, aby ją czuć przy samym sercu, i począł powtarzać:

— Moja kochana! moja bardzo kochana!...

Tymczasem z ponad spowitych w tumany olszyn podniósł się rumiany księżyc — i żaby w stawach, zwiędziawszy się już widocznie, że wróciła ta panienka, którą niegdyś tak często widywały nad brzegiem, ozwały się wśród wieczornej ciszy jednym wielkim chórem:

— Rade! rade! rade! rade!...

I odtąd poczęło się obojgu snuć życie, nie wolne od trosk, ale w którym było jednak więcej miodu, niż piołunu.

Autor zaś niniejszej książki pił ów miód — mocą wyobraźni.

Stanford University Libraries



3 6105 012 052 499

PG
7158
84
1882

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(415) 723-1493

All books may be recalled after 7 days

DATE DUE

JUN 15 1997
JUN 26 1997

